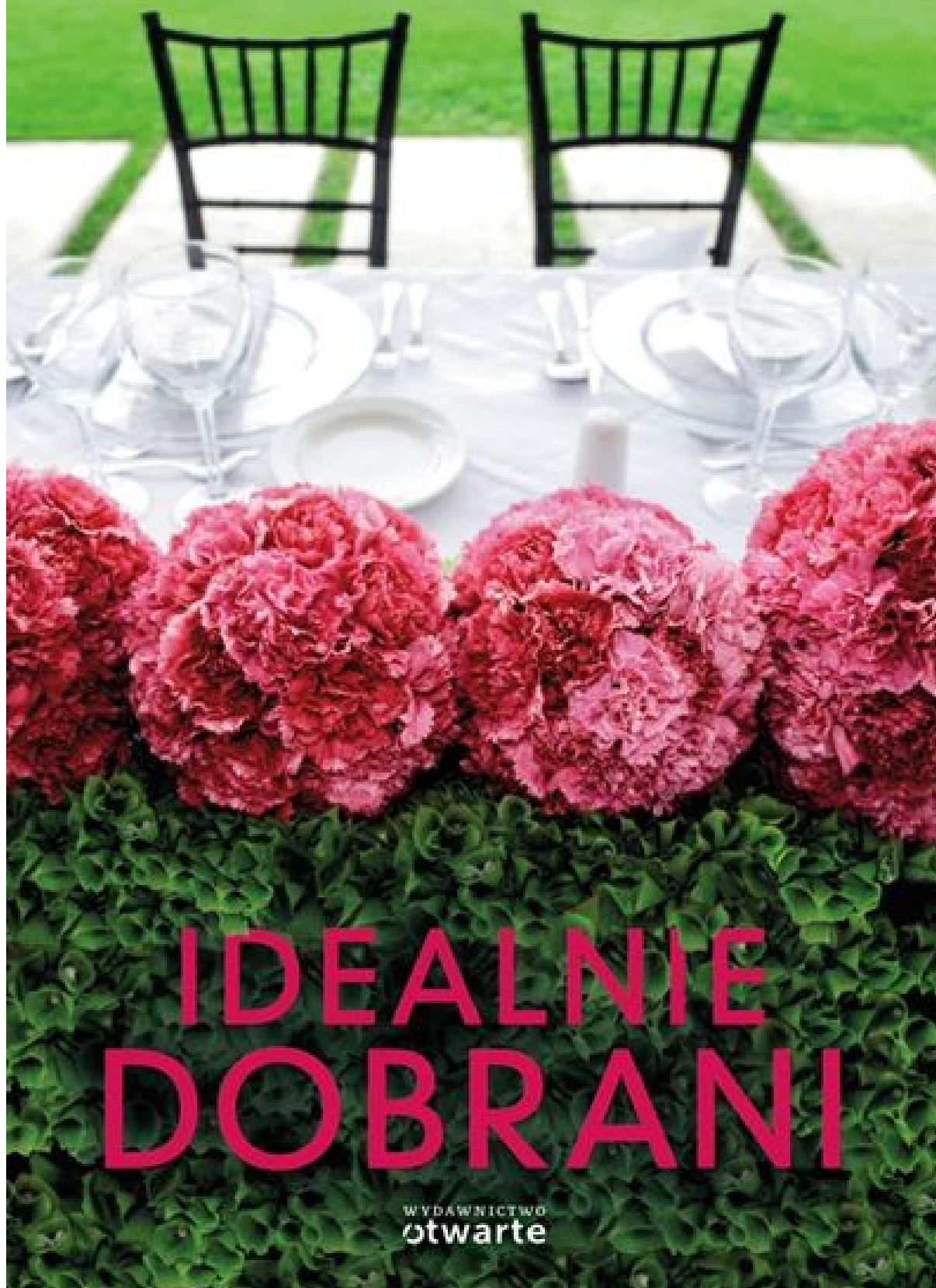


CATHERINE MCKENZIE



IDEALNIE
DOBRANI

WYDAWNICTWO
otwarte

MCKENZIE CATHERINE

IDEALNIE DOBRANI

Czy w nowoczesnym świecie singli i wolnych związków można znaleźć swoją drugą połówkę?

Anne jest jak Ania z Zielonego Wzgórza – ma to samo imię, rude włosy oraz talent pisarski. Do szczęścia brakuje jej tylko mężczyzny, dla którego zabawa w związek nie kończy się po kilku spotkaniach. Gdy w jej ręce trafia wizytówka tajemniczej firmy kojarzącej pary, postanawia zaryzykować. Nie spodziewa się jednak, że zamiast na pierwszą randkę zostanie wysłana... prosto przed ołtarz.



CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

MIARKA SIĘ PRZEBRAŁA

- Czytałam twoje e-maile - powiedziałam do Stuarta. Gwałtownie podniósł głowę znad numeru „CKM”.

Siedział na skórzanej kanapie, którą kupiliśmy pół roku wcześniej, stopy w skarpetkach trzymał na szklanym stoliku. Wyglądał niewinnie, ale wiedziałam, że to tylko pozory.

- Co takiego?

- To, co słyszałeś.

Rysy jego kanciastej twarzy nabrały ostrości.

- Wolałbym nie słyszeć.

Przez chwilę czułam się winna. A potem przypomniałam sobie, co przeczytałam.

- Czytałam twoje e-maile. Wszystkie. - Chciał coś powiedzieć, ale nie dałam mu dojść do głosu. - Jak mogłam naruszyć twoją prywatność? O to chciałeś spytać? Nawet mi nie mów o naruszaniu zasad, Stuart. Ani się waż.

Zamknął usta tak szybko, że słychać było, jak zgrzytnęły jego zęby. W głowie mu się gotowało. Prawie to widziałam w głębi jego oczu, które potrafiły być takie ciepłe, namiętne i w ogóle, ale teraz były zimne, harde i cholernie błękitne.

- Powiedz mi, co przeczytałaś, Anne - wyrzucił z siebie w końcu. Uważał, by ton jego głosu nie zdradzał emocji.

- Naprawdę mam to powiedzieć głośno?

Milczał, jego czarne włosy lśniły w świetle lampki. Na półce nad kominkiem tykał zegar, odliczał sekundy do mojego wyjścia.

Wzięłam głęboki wdech.

- Wiem, że spałeś z Christy. Wiem, że sypiasz z nią od dłuższego czasu.

No i powiedziałam to. Chociaż nie było to już dla mnie tajemnicą, chociaż o tym czytałam, wypowiedzenie tych słów niespodziewanie urealniło tę myśl. Teraz, gdy już stała się tak rzeczywista, wydawała się o wiele poważniejsza. O wiele gorsza. Zupełnie jakby Christy tu była. Jakby powtarzała słowa napisane do Stuarta swoim miękkim, zmysłowym głosem, który słyszałam raz na automatycznej sekretarce. Słowa, których nie mogłam wymazać. Zegar wciąż tykał. Czułam się jak w potrzasku, czekałam, aż coś zrobi albo powie.

Powiedz coś, do cholery. No mów!

Wstał, tak jakby mnie słyszał. Rzucił gazetę na lakierowany parkiet.

-Brawo, Anne, zdemaskowałaś mnie! I co zamierzasz z tym zrobić?

O Boże. Byłoby świetnie, gdyby można było nagrać moment zerwania. A jeszcze lepiej, gdyby można było obejrzeć film na samym początku związku. Zobacz, jak ten facet cię potraktuje za sześć, osiem, dziesięć miesięcy. Zobacz, jak potraktował kobietę, z którą spędził trzy lata! Uciekaj, uciekaj!

Gardło miałam ściśnięte, ale udało mi się z siebie wydusić:

- Odchodzę.

- Odchodzisz - powtórzył. Nie byłam pewna, czy to było stwierdzenie, czy pytanie. Miałam wrażenie, że nie do końca w to wierzy.

- Naprawdę oczekujesz, że zostanę? Po tym, co zrobiłeś? Chcesz tego w ogóle?

Uciekł wzrokiem w bok - pierwsza oznaka słabości.

- Sam nie wiem.

- Błagam cię, Stuart. Przecież marzysz o tym. Tylko nie chcesz wyjść na tego złego. Dlatego wolałeś dopilnować, żebym ja to zakończyła. A ja, głupia, dopiero teraz się zorientowałam.

- Myślisz, że jesteś mądra, co?

- Właśnie powiedziałam, że byłam głupia. Ale teraz rzeczywiście myślę, że jestem mądra.

- Ja się nie wyprowadzę, nawet na to nie licz.

- Rany, ty mnie chyba w ogóle nie znasz. I to po tylu latach.

Parsknął.

- Nie martw się, Anne, znam cię bardzo dobrze. Przyjrzałam mu się. Miałam przed sobą przystojnego, wściekłego mężczyznę, za którego do niedawna zamierzałam wyjść.

- To chyba koniec - powiedziałam, bo tak mówią ludzie w tego rodzaju sytuacjach. Przynajmniej w filmach, a w tamtej chwili moje życie wydawało się nierealne.

Nie odpowiedział. Patrzył tylko, jak podchodzę do szafy w przedpokoju i wyciągam torbę podróżną, do której już wcześniej spakowałam wszystko, co mogło mi się przydać w najbliższej przyszłości. Odwróciłam się do niego. Spojrzałam mu w oczy. Czegoś tam szukałam, sama nie wiem czego.

- Żegnaj, Stuart. -Żegnaj, Anne.

Wahałam się, czekałam, aż powie coś jeszcze, aż zacznie mnie błagać, żebym została, powie mi: „Kocham cię, to był błąd, jestem skończonym dupkiem, nie mogę bez ciebie żyć. Błagam, kochanie”. Ale nie miał zamiaru dać mi tej satysfakcji. Nie kiedy w końcu pozwoliłam mu żyć tak, jak chciał. Naprawdę był dupkiem, a ja - kretynką. Oczekiwałam od niego czegośkolwiek, nawet drobiazgu. Zanim zdążył mi to wypomnieć albo spytać, na co jeszcze czekam, zarzuciłam torbę na ramię i wyszłam.

Na zewnątrz wsiadłam do czekającej na mnie taksówki i pojechałam do swojego nowego mieszkania.

Dwadzieścia minut, które zajęła mi podróż ze starego do nowego życia, upłynęło w mgnieniu oka. Ulice miasta były tylko rozmytymi smugami światła na tle czarnego nocnego nieba.

Z zamyślenia wyrwało mnie stukanie taksówkarza w oddzielającą go ode mnie brudną szybę. Wsiadłam i popatrzyłam na budynek, w którym miałam odtąd mieszkać. Cztery kondygnacje, wysokie stropy, drewniane podłogi, blisko do sklepów. Opis, który przeczytałam poprzedniego dnia w sieci, wydawał się zbyt piękny, by mógł być prawdziwy. Czynnosc był dla mnie trochę za wysoki, ale na gwałt potrzebowałam nowego mieszkania. Kiedyś może zatrzymałabym się u przyjaciółki albo - o zgrozo! - u rodziców, ale czułam, że w wieku trzydziestu trzech lat jestem już na to za stara. Podobnie jak na wiele innych rzeczy.

Weszłam po masywnych betonowych schodach i stanęłam przed drzwiami. Ramka na nazwisko obok mojego dzwonka była pusta, przygotowana dla mnie. Mieszkanie też było puste. Na jasnobezowych ścianach nie było nic poza liniami kurzu, które zostały po wiszących tam kiedyś

plakatach. Powietrze pachniało jakoś inaczej, dziwnie. Zobaczyłam kącik przy zaokrąglonym oknie wykuszowym. Idealne miejsce na biurko, które zostawiłam po drugiej stronie miasta. Poczułam ten lekki dreszcz, którego doznaję zawsze, gdy ogarnia mnie potrzeba pisania. Wtedy jeszcze nie byłam pewna, czy będę w stanie napisać o tym, co się zdarzyło tego dnia.

Za ścianą (na górze? na dole? jeszcze nie wyczuwałam dźwięków tego miejsca) usłyszałam czuły głos kobiety wołającej mężczyznę na obiad i poczułam, jak uginają się pod mną kolana. Po chwili klęczałam na podłodze, powstrzymując szloch.

Mój Boże, jak to się stało? Dlaczego tak długo to trwało, zanim dostrzegłam, jaki on jest naprawdę? Dlaczego oddałam siebie, swoje serce mężczyźnie, który mnie zdradził? Znowu.

Zadzwoiła moja komórka. Rzut oka na wyświetlacz - to był Stuart. Spóźnił się. Żadne słowa nie mogły już wymazać tego, co przeczytałam, tego, co zrobił.

Cisnęłam telefon tak daleko, jak mogłam. Uderzył o framugę, powodując hałas w tym cichym, pustym miejscu. Kawalek lakieru odprysnął od drewna, dzwonek ucichł. Objęłam kolana, przyciskając je do piersi i wpatrując się w milczące urządzenie.

Czas mijał. W końcu zaczęłam normalnie oddychać. Twarda drewniana podłoga dawała mi się już we znaki.

Znów usłyszałam dźwięk komórki. Siła mojego gniewu nie uciszyła jej na zawsze. Tym razem telefon był ratunkiem. Dzwoniła moja przyjaciółka Sarah.

- Cześć, to ja - powiedziała z niepokojem. - Bar nadal aktualny?

Mój głos zabrzmiał mocniej, niż myślałam.

- No jasne. Będę za dziesięć minut.

Umyłam twarz i wyciągnęłam z torby cienki trencz. Na zewnątrz czekała na mnie nowa okolica. Tuż przy granicy chodników stały budynki z cegły. Drzewa rosły tylko w parkach, od których mieniła się każda przecznica. Kolorowe jesienne liście szeleściły na wietrze. Powietrze było gęste od mieszaniny spalin i zapachów z okolicznych restauracji. Te ulice były jednocześnie ciasne i tętniące życiem. Podobał mi się spokój poprzedniego osiedla, na którym odgłosy miasta były ledwie słyszalne. Tutaj jednak urzekła mnie energia, którą czerpałam z tych wszystkich dźwięków, ludzi i z wrażenia, że w każdej chwili coś może się wydarzyć. Gdy od baru dzieliła mnie tylko jedna przecznica, mój wzrok zatrzymał się na leżącej na ziemi karteczce. Czy to moje nazwisko? Schyliłam się, żeby ją podnieść, i zobaczyłam, że to wizytówka z napisem:

Blythe & Company Zawodowe kojarzenie

ul. Cunningham 4300 20 piętro (555) 458-4239

Gdy zobaczyłam swoje nazwisko na wizytówce, przeszył mnie dreszcz. Bez zastanowienia schowałam ją do przedniej kieszeni dzinsów i poszłam dalej.

Weszłam do baru. W ciemnym pomieszczeniu zaczęłam szukać wzrokiem Sarah. Wystrój Białego Lwa nie był odzwierciedleniem najnowszych trendów dekoratorskich. Obite czerwoną skórą stołki stały przed zniszczonym mahoniowym barem. Za nim było lustro na całą ścianę obramowane małymi białymi żarówkami. Piosenka Taylor Swift przeplatała się z gwarem wtorkowego wieczoru.

Sarah siedziała na jednej z ciemnych kanap pod ścianą, pisząc coś wściekle na swoim blackberry. Miała na sobie granatową garsonkę. Kręcone blond włosy spięła w koński ogon. Jej jasna skóra wydawała się niemal prześwitująca w przygaszonym świetle. Uśmiechnęła się do mnie, gdy usiadłam. Miała małe i równe zęby.

-No i?

- Zrobiłam to - powiedziałam, kiwając na kelnerkę.

- Dzięki Bogu.

- Naprawdę aż tak go nie znosisz?

- Naprawdę.

Zamówiłam gin z tonikiem.

- No to czemu nigdy nic nie mówiłaś?

W jej szafirowych oczach malowało się niedowierzanie.

- Jak to? Po pierwsze, oczywiście, że mówiłam. A po drugie, wolałam być przy tobie i pilnować, żeby wszystko było dobrze, niż zaczynać wielką kłótnię, po której straciłybyśmy kontakt.

Sarah jest prawniczką i zawsze mówi wyliczeniami. Po prostu myśli w sposób zorganizowany. Jest taka, odkąd ją znam, czyli od podstawówki.

- Dzięki.

- Nic się nie martw. Tylko żałuję, że cię wyciągnęłam na tamtą imprezę.

Poznałam Stuarta przed trzema laty na imprezie. Byłam tuż przed trzydziestką i ciągle jeszcze rozbita po tym, jak zostawił mnie John, mój ówczesny ukochany. Sarah upierała się, że dobrze by było, gdybym „wróciła do życia”. Nie byłam przekonana, ale jej się po prostu nie da odmówić.

Wkrótce po tym, jak tam dotarliśmy, zobaczyłam Stuarta. Proste czarne włosy, jasne błękitne oczy, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupły - od czasu mojego pierwszego zauroczenia miałam słabość do takich facetów.

Otoczające go dziewczyny walczyły o jego zainteresowanie. To mnie nie zniechęciło. Przywykłam do tego. Musiałam, skoro moją słabością byli przystojni faceci.

Właśnie zastanawiałam się, jak zwrócić na siebie jego uwagę, kiedy Sarah niespodziewanie mnie wyręczyła, przypadkowo wylewając na mój biały sweter czerwone wino. Wykorzystałam okazję i odegrałam dramatyczną scenę. Osiągnęłam zamierzony cel - oczy wszystkich wokół, w tym Stuarta, zwróciły się w naszą stronę. Nawiązałam z nim kontakt wzrokowy, przez chwilę patrzyłam mu w oczy, a potem się odwróciłam.

Kiedy po wyczyszczeniu mojego sweterka wyszliśmy z Sarah z łazienki, znalazłyśmy wolne miejsce na kanapie. Usiadłam tak, żeby nie móc patrzeć na Stuarta. Czułam jednak, że on się we mnie wpatruje.

Potem faceci skrzyknęli się, żeby wypić parę kolejek jacka danielsa. Uznałam, że to dobra okazja i przepchnęłam się przez tłum, żeby do nich dołączyć. Kilku protestowało, stwierdzili, że jestem za słaba i od razu odpadnę. Związałam swoje długie rude włosy w koński ogon i powiedziałam, żeby się tak o mnie nie troszczyli, tylko polewali. Stuknęliśmy się kieliszkami i właliśmy ich zawartość do gardeł. Spojrzałam na Stuarta i zaczerwieniłam się, widząc w jego oczach zainteresowanie.

- No więc, dlaczego go zostawiłaś?

- Zauważyłaś, że jeśli jakaś historia zaczyna się od: „Czytałam jego e-maile”, to nie może się skończyć na: „Myliłam się, on wcale mnie nie zdradza”?

Sarah zmarszczyła swój mały nosecek.

- Czyli naprawdę cię zdradzał?

- Oczywiście. Tak jak mówiłaś.

- No cóż. To, że musiałam ci to powiedzieć, nie sprawiło mi żadnej satysfakcji.

Zaczęła się bawić limonką zdobiącą brzeg jej szklanki.

- Wiem, Sarah.
 - To dobrze. Muszę przyznać, że świetnie to znosisz. No tak, nie widziała, jak szlochałam na podłodze.
 - Czyli się nabrałaś?
 - Prawie.
 - To niesamowite, na co można się zdobyć pod wpływem gniewu.
- Uśmiechnęła się.
- Gdyby ktoś wynalazł sposób na butelkowanie kobiecego poczucia krzywdy, zbiłby na tym fortunę.
 - Ja potrzebuję raczej lekarstwa na złamane serce.
 - Słyszałam o czymś takim, to się chyba nazywa alkohol. Próbowałam się uśmiechnąć, ale zamiast tego się rozplakałam. Bezgłośnie, słonymi łzami. Sarah pogładziła mnie po dłoni.
 - Z czasem będzie ci łatwiej, Anne.
 - Wiem. Zawsze tak jest. - Wytarłam łzy wierzchem dłoni i zmusiłam się do uśmiechu. - Już wystarczy. Mamy świętować pierwszy dzień mojego nowego życia.
- Podniosłam szklanke. Sarah stuknęła w nią swoją.
- Za nowe życie Anne Blythe!
 - A właśnie. Zobacz, co znalazłam na ulicy. - Wyciągnęłam z kieszeni wizytówkę i jej podałam.
 - Czemu to wzięłaś?
 - Chyba dlatego, że zobaczyłam swoje nazwisko. Ciekawe, czym się zajmują.
 - „Zawodowe kojarzenie”, a pod spodem symbole kobiety i mężczyzny... to chyba jakieś biuro randkowe.
 - Pewnie tak. Może jeśli popadnę w desperację, zadzwonię i się dowiem.
- Sarah się zarumieniła.
- Nie trzeba być w desperacji, żeby korzystać z usług biura randkowego.

- A ty... korzystałaś?

- Nie, ale myślałam o tym, zanim poznałam Mikea. -Uśmiechnęła się, jak zawsze, kiedy o nim wspominała. Jest maklerem i pracuje w tym samym budynku co ona. Poznali się sześć miesięcy wcześniej na imprezie biznesowej. Jak na razie nie potwierdził mojej teorii, że z facetem, który jest samotny w wieku trzydziestu pięciu lat, musi być coś nie tak.

Na temat siebie samej, znów samotnej w wieku trzydziestu trzech lat, miałam miliony teorii.

- Masz szczęście, że go poznałaś - powiedziałam.

- Owszem. Ty też masz szczęście, Anne.

- Może. Ale na razie chcę chyba pobyc trochę sama, żeby zobaczyć, jak to jest.

Staralam się powiedzieć to z przekonaniem, chociaż życie w pojedynkę nigdy nie było moją mocną stroną. W każdym razie nie dawnej Anne. Jednak Anne, która odeszła dziś od Stuarta, będzie przez jakiś czas żyła sama. A przynajmniej spróbuje.

Dopiłyśmy drinki, zapłaciłyśmy i wyszłyśmy w noc. Zaczynało się czuć jesień, było chłodniej niż parę godzin wcześniej. Mocniej otuliłam się płaszczem i włożyłam zmarznięte dłonie do kieszeni. Sarah zatrzymała taksówkę i wsiadła, po czym opuściła szybę.

- Będzie dobrze, Anne. Uwierz w to, a na pewno tak się stanie.

Gdy jej taksówka zniknęła wśród samochodów, zastanawiałam się, czy ma rację. Czy naprawdę poczuję się lepiej, jeśli będę tego bardzo chciała? Zamknęłam oczy i powoli trzy razy stuknęłam obcasami. Będzie dobrze. Będzie dobrze. Będzie dobrze. Otworzyłam oczy i spojrzałam na Gwiazdę Polarną świecąca jasno nad moją głową. To jedyna gwiazda, którą widać w tym mieście. Czuałam się z tym głupio, ale posłałam do niej w myślach życzenie i wróciłam do domu.

W nowym mieszkaniu chodziłam po pustych pokojach, w których dudniło echo, i zastanawiałam się, gdzie mam spać. Facet, po którym je wynajęłam, zostawił kanapę i łóżko. Nie mogłam się zdecydować, który z tych mebli będzie mniej odpychający. Wybrałam kanapę i poszłam do łazienki umyć zęby. Wyciągnęłam z kieszeni drobniaki, a razem z nimi wizytówkę Blythe & Company. Przesunęłam palcami po wytłaczanych literach i poczułam przypływ ciekawości. „Zawodowe kojarzenie” - to brzmiało tak oficjalnie, staroświecko.

Czy powinnam do nich zadzwonić i dowiedzieć się, czym się zajmują? A jeśli to biuro randkowe, to czy powinnam skorzystać z ich usług? Nie, to głupie. Przecież przed chwilą postanowiłam, że muszę pobyć trochę sama. Właśnie, tak postanowiłam. Więc pobędę sama. A potem sama znajdę nowego, tym razem właściwego mężczyznę.

Rzuciłam wizytówkę tam, gdzie znajdował się kosz na śmieci w moim starym mieszkaniu. Usłyszałam, jak opada na kafelki. Podniosłam ją i znów przeczytałam. Miałam dziwne wrażenie, że to łut szczęścia, tak samo jak ciasteczko z wróżbą, w którym znalazłam kiedyś karteczkę z napisem: „Pisanie jest twoim życiem”. Ta karteczka wisi teraz oprawiona w ramkę nad moim biurkiem w siedzibie magazynu „Twist”.

Wsunęłam wizytówkę za czarną ramę lustra wiszącego nad białą umywalką.

Chyba nic się nie stanie, jeśli się jej od razu nie pozbędę.

ROZDZIAŁ 2

HISTORIA LUBI SIĘ POWTARZAĆ

Zadzwoiłam do Blythe & Company dwa miesiące i siedemnaście dni po tym, jak znalazłam ich wizytówkę na ulicy.

Po co ja to, u diabła, zrobiłam?

No cóż... pamiętacie to życzenie, które pomyślałam, patrząc na Gwiazdę Polarną? Mój los się dzięki niemu odmienił. Na gorsze.

Zaczął się od tego, że wpadłam na swojego byłego chłopaka Tadda. To było sześć tygodni po rozstaniu ze Stuartem. Fakt, że nie rozmawiałam z nim od tamtego dnia, był przejawem ogromnej siły woli. Przechodziłam za to przez pierwsze trzy stadia rozpaczki po rozstaniu: „lepiej mi bez niego”, „postąpiłam właściwie, prawda?” oraz „może powinnam do niego zadzwonić, żeby sprawdzić, jak się trzyma?”, aż w końcu doszłam do „najlepiej będzie, jak już zawsze będę sama”.

Weekend spędziłam na nanoszeniu poprawek zasugerowanych przez moją agentkę literacką do książki, którą właśnie pisałam. Miałam trudności z wprowadzeniem zmian, które proponowała, w niedzielę byłam już mocno

przygnębiona i zupełnie rozbita. Zimny, uporczywy deszcz i snucie się przez cały weekend w piżamie wcale mi nie pomagały. Kiedy w prognozie pogody powiedzieli, że może spaść śnieg, postanowiłam pójść do sklepu po nowy płaszcz. Stary musiał się gdzieś zapodziać przy przeprowadzce. Miałam nadzieję, że już nigdy więcej nie będę musiała wysłać dwóch osiłków po pozostałości mojego inwentarza.

Poprawka. Na pewno już nigdy nie będę musiała tego robić. Jasne, Anne? Świetnie. Kontynuuj.

W każdym razie kiedy przechadzałam się po sklepie GAP, wpadłam prosto na Tadda. Łapiąc oddech, spojrzałam w jego niesamowicie niebieskie oczy. Wpatrywałam się w jego twarz, w proste ramiona odziane w szarą bluzę i poczułam wirowanie w żołądku. A potem zorientowałam się, kto to jest. Właściwie to zorientowałam się, kiedy Tadd powiedział:

- Cześć, Anne!

Jak to się stało, że ten piękny mężczyzna zna moje imię? Przyjrzałam się bliżej.

- A cześć, Tadd.

- Dawno się nie widzieliśmy.

To była prawda. Poznaliśmy się, kiedy miałam dwadzieścia cztery lata. Pracowałam w małym tygodniku. Właściciel zatrudnił Tadda jako prawnika, kiedy pewien koncern zaproponował, że kupi naszą firmę. Tadd spędził parę dni w biurze, żeby dowiedzieć się czegoś o interesie. Ja miałam być jego przewodniczką. Kogoś tak przystojnego nie widziałam, odkąd skończyłam studia. Zrobiłam wszystko, żeby wiedział, że jestem zainteresowana i wolna. Chodziliśmy ze sobą przez ponad rok i to ja zerwałam, chociaż w tej chwili nie bardzo pamiętałam dlaczego.

- Tak, dawno.

- No tak.

- No to co teraz porabiasz? - zapytałam po chwili krępującej ciszy.

- Żyje się... praca. ..i w ogóle...

Kiedy Tadd gadał dalej, przypomniałam sobie, dlaczego z nim zerwałam. To był najnudniejszy facet pod słońcem. Jeśli mam być zupełnie szczerą, muszę przyznać, że jedyną jego interesującą cechą była uroda.

O Boże, jak ja mogłam z nim chodzić przez ponad rok? Czy naprawdę nie pociągało mnie w nim nic poza wyglądem? Co mi odbiło?

Słuchając go jednym uchem, zanotowałam, jak mówi:

- No i ożeniłem się w zeszłym roku.

- Co takiego?

- W zeszłym roku się ożeniłem. Moja żona jest właśnie w przymierzalni - powiedział, wskazując w tamtą stronę.

- Masz żonę? - poczułam się dziwnie, jakbym znów się zapowietrzyła.

- Wszystko w porządku? Staralam się zachować spokój.

- Nic mi nie jest.

- Trochę zbladłaś. Chyba mi nie wyszło.

- To tylko alergia na sklepy. Nie znoszę tych wielkich galerii.

- Naprawdę?

Cholera. Tadd uwielbiał zakupy. Na początku związku spędzaliśmy wiele weekendów w takich przybytkach, mierząc ciuchy i uśmiechając się, gdy ekspedientki mówiły, jak ładnie razem wyglądamy. W sklepowym lustrze Tadd prezentował się nawet lepiej niż w rzeczywistości, a ja lubiłam patrzeć na ten lekko zniekształcony obraz jego osoby. Nie było jednak sensu mu tego wyjaśniać. Sama nie do końca to rozumiałam.

- Tak, kiedy jestem zmęczona. Miałam ciężki tydzień.

- No tak, rozumiem.
- Jak się poznaliście z żoną? Rozpromienił się.
- Jest prawniczką w moim biurze...

Próbowałam udawać zainteresowanie, ale myślałam tylko o tym, że Król Nudy ma żonę, a ja znowu jestem samotna. No ale może wyszła za niego dla pieniędzy. A tak, była prawniczką, więc sama miała mnóstwo kasy. No to pewnie była tak samo nudna jak on i dlatego do niego pasowała. Tak, to na pewno to!

Nie miałam ochoty tego sprawdzać, więc pożegnałam się z Taddem i wyszłam ze sklepu oszołomiona, zupełnie zapominając o nowym płaszczu. Jeszcze nie doszłam do siebie, kiedy wchodziłam do pubu w centrum na spotkanie z moim przyjacielem i redaktorem naczelnym Williamem. Mieszkał parę przecznic od tego baru w supernowoczesnym apartamentowcu stojącym na miejscu dawnej masarni. Ciągłe powtarzał, że jego okolica zmieni się na lepsze. Ponieważ tak się jeszcze nie stało, wolałam podjechać taksówką pod same drzwi lokalu. Staralam się nie zwracać uwagi na zgarbionych nastolatków w za dużych bluzach i obwisłych spodniach, rozglądających się, czy na ulicy nie pojawili się przypadkiem gliniarze.

Wnętrze baru było ciemne i trochę w stylu country. Z szafy grającej rodem z lat pięćdziesiątych rozbrzmiewała piosenka Steve'a Earlea, a stoliki były zrobione z grubo ciosanych kawałków drewna. Za barem stał tęgi facet koło pięćdziesiątki, całe jego ręce pokrywały niewyraźne tatuaże. Na półce za nim stało parę butelek mocnego alkoholu. Były do połowy puste. W powietrzu unosił się zapach orzeszków ziemnych i zwiędzłego piwa.

Postanowiłam, że następnym razem spotkam się z Williamem w mojej okolicy. Zamówiłam kufel guinnessa

i podeszłam z nim do stolika obok szafy grającej, który zajął William. Miał na sobie granatową bluzę z białym napisem z przodu. Jego jasne włosy były jak zwykle postawione na sztorc.

- No co tam, ziom?

- Wolno ci tak mówić w tym wieku? Przewrócił swoimi jasnozielonymi oczami.

- Wielkie dzięki za przypomnienie, że skończyłem trzydzieści sześć lat.

- Cholera, miałeś urodziny?

- Zdaje się, że dwa dni temu na imprezie w moim biurze zjadłaś dwa kawałki tortu.

Uśmiechnęłam się.

- Właściwie to trzy.

- Dziewczyny pewnie cię nie znoszą.

- Czasami. - Wzięłam duży łyk piwa, po czym wytarłam pianę z górnej wargi. Wbiłam wzrok w czarny płyn, wpatrując się w odbicia świateł z sufitu na jego powierzchni.

- Co jest, Anne? Wydajesz się trochę... ponura.

- Chyba ostatnio zaczęłam boleśnie odczuwać swój wiek.

- Z powodu pana Niewiernego?

Tak nazywał Stuarta, odkąd zerwaliśmy.

- Przez to i... sama nie wiem... czujesz się czasem tak, jakbyś miał przeżyć resztę życia w samotności?

William westchnął.

- Wiem, że będę tego żałował, ale... Powiedz, co się naprawdę stało.

Przypomniałam sobie, jaka byłam skołowana, kiedy Tadd powiedział, że ma żonę. Czułam się tak już wcześniej. Może dlatego byłam ze Stuartem dłużej, niż powinnam.

- Po prostu odnoszę wrażenie, że nie mam szans na spotkanie mężczyzny, z którym chciałabym spędzić resztę życia. Za każdym razem, kiedy myślę, że to ten, coś się psuje.

- Ile razy tak myślałaś?

- Cztery.

- To całkiem sporo.

- No nie?

William wziął z miski na stoliku garść orzeszków ziemnych.

- Możesz mi coś wyjaśnić? Dlaczego kobiety zawsze myślą, że na świecie jest jedna osoba, z którą powinny być?

- A faceci tak nie myślą? -Nie.

-Ha!

- To jak, oświecisz mnie? - spytał znowu. Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem, jak to tłumaczą inne, ale ja myślę, że to wina mojej matki.

Roześmiał się. -No jasne, że tak.

- To ona dała mi imię po Ani z Zielonego Wzgórza. -No i?

- Imię głównej bohaterki powieści zakrawającej na romans wystarczy, żeby oczekiwać, że życie będzie naśladować sztukę. A na dodatek wyglądam jak ona.

Powiedziałam to kpiącym tonem, ale niestety było w tym wiele prawdy. Wyglądałam dokładnie tak jak Ania z Zielonego Wzgórza - rude włosy, zielone oczy, blada cera, nos usiany piegami - i dorastałam w przekonaniu, że mężczyzna moich marzeń chodzi gdzieś po świecie, a nasze spotkanie jest tylko kwestią czasu.

- To tylko książka, Anne - powiedział trzeźwo William.

-Wiem, ale... Nie sądzisz, że czasem takie rzeczy się zdarzają?

- Jesteś tragiczna, wiesz?

- Nie przypominaj mi.

Chociaż bardzo się starałam, nigdy nie udało mi się pozbyć uczucia, że moje życie nie ma nic wspólnego z tym, co sobie wymarzyłam. Utwierdziłam się w tym przekonaniu, kiedy wpadłam na Johna. To o nim próbowałam zapomnieć, gdy poznałam Stuarta.

Poznałam Johna sześć lat temu, kiedy zaczęłam pracę w magazynie „Twist”, miejskim miesięczniku. John pisał do działu aktualności. Cieszyłam się, że mam własne biurko. Zauważyłam go drugiego dnia, kiedy minęliśmy się w pomieszczeniu z kserokopiarką. Wyglądał tak, jakby się właśnie wybierał na casting do roli Jamesa Bonda. Serce zabiło mi szybciej. Po paru tygodniach szukałam dla niego informacji o kandydatach na burmistrza. Wpadliśmy sobie w oko i zaczęliśmy flirtować. Niedługo potem zostaliśmy parą.

Zerwał ze mną po dwóch latach. W moje urodziny. Najwyraźniej nie chciał się angażować. Właściwie to nigdy nie spotykał się z jedną dziewczyną dłużej niż dwa lata - jak to pięknie ujął: to była dla niego „data ważności”.

To było okropne rozstanie, z rodzaju tych, kiedy padają słowa: „Ale dlaczego?! Nie rozumieeeeem!” Nie potrafił mi na to odpowiedzieć inaczej niż: „Już ci mówiłem, że nie chcę długich związków”. „Ale przecież mówiłeś, że mnie koooo-chaasz!” i tak dalej, i tak dalej, aż w końcu dotarło do mnie, że nie zmieni zdania. Wyprowadziłam się i zamieszkałam na kanapie u Sarah. Niedługo potem dostałam pracę w „Daily Chronicle”. Więcej go nie widziałam.

Spotkałam go parę tygodni po tym, jak wpadłam na Tadda. Terminy mnie goniły. Rok wcześniej przydzielono mi dział z recenzjami produktów konsumenckich. Artykuł, który teraz pisałam, dotyczył najnowszych czytników e-booków. Nie wiedziałam, z której strony się do tego zabrać.

Szczerze mówiąc, wciąż miałam nadzieję, że życie będzie wyglądać tak jak w bajce *Jetsonowie*.

Wpadłam na Johna przed kawiarnią na rogu mojej ulicy. Miałam na sobie znoszone dżinsy, za duży wełniany sweter (chyba po Taddzie) i bejsbolówkę. Tym razem to ja rozpoznałam jego.

- Cześć, John!

Chwilę mu zajęło, zanim skojarzył.

- Anne... Prawie cię nie poznałem.

O rany, dlaczego musiałam go spotkać właśnie teraz, kiedy tak wyglądałam? On oczywiście prezentował się doskonale w ciemnobezowej kurtce.

Nerwowo poprawiłam bejsbolówkę.

- Wskoczyłam tylko na kawę. Właśnie piszę artykuł. A co u ciebie?

- W porządku... - Podniósł lewą rękę i przeczesał nią włosy. Oczywiście miał piękne włosy - czarne i gęste. Podążyłam wzrokiem za jego dłonią. Wtedy dostrzegłam błysk metalu.

-Ożeniłeś się?!

- Tak. Ty nie wyszłaś za męża? -Nie.

- Oj... Chyba coś takiego obilo mi się o uszy.

Obilo mu się o uszy, że wyszłam za męża! Może kiedy się o tym dowiedział, wpadł w rozpacz i ożenił się z pierwszą dziewczyną, która pojawiła się na jego drodze i...

- Ziemia do Anne. - Pomachał mi dłonią z obrączką przed oczami.

- Przepraszam, odpłynęłam na chwilę. Ile jesteś po ślubie?

- Trzy lata.

- Trzy lata?!

Powiedziałam to tak głośno, że parę osób się za nami obejrzało.

- Spokojnie, Anne.

- Jaja sobie robisz czy co? - spytałam, nie zniżając głosu. W jego jasnobłękitnych oczach pojawił się cień irytacji.

- Masz jakiś problem?

- Ja mam problem? Facet, który zrywa z dziewczyną w jej urodziny pyta mnie, czy mam problem? - Z każdą chwilą coraz bardziej podnosiłam głos.

- Możesz mówić ciszej? -Boże drogi... Wyglądał na zakłopotanego.

- Słuchaj, Anne. Przykro mi, że cię zraniłem, nie jestem też dumny z tej całej afery z urodzinami, ale między nami to nie było to. Z Sashą to co innego. Przepraszam, że tak prosto z mostu, ale taka jest prawda.

Nagle zrozumiałam, o czym mówi. Nie znałam Sashy, nie miałam też pojęcia, jak między nimi jest, ale między nami to rzeczywiście nie było to. Nie kiedy się temu bliżej przyjrzeć. To jest właśnie mój problem. Cholerne przystojne buźki przyprawiają mnie o palpitację serca i wyłączają mój mózg, zanim zdołam dostrzec, co jest głębiej.

- Czyli spotkałeś tę jedyną i nagle poczułeś, że czas się ustatkować?

-Tak.

- To naprawdę takie proste?

- Miłość nie musi być skomplikowana, Anne - powiedział, siląc się na ton znawcy.

Cholera, może rzeczywiście znał się na rzeczy. A może głównie wiedział. Jednak jego obrączka była prawdziwa. Naprawdę był żonaty.

- Na ciebie też ktoś gdzieś czeka, Anne.

- Tak. Jasne.

Zadzwoiła jego komórka. Wyciągnął ją z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz. I wtedy na jego twarzy pojawił się ten

rozbrajający uśmiech. Poczulałam łaskotanie w brzuchu, chociaż dobrze wiedziałam, że nie uśmiecha się do mnie. Gestem dał mi znać, że potrwa to tylko chwilę.

- Cześć, skarbie.

Serce mi zamarło. Do mnie mówił „skarbie” tym samym tonem.

- Tak, będę za parę minut. Wpadłem na Anne, odświeżamy znajomość.

„Wpadłem na Anne”? Nie wyjaśniał, kim jestem, ale też tego spotkania nie ukrywał. Jakie to irytujące. Nie mogłabym być chociaż sekretnym wspomnieniem?

John się rozłączył.

- Muszę iść, ale super było cię znów spotkać.

- Serio?

- Pewnie. Często się zastanawiałem, jak się potoczyło twoje życie.

- To brzmi tak oficjalnie.

- Wybacz. Wiesz, o co mi chodzi.

Nie wiedziałam, ale wolałam w to nie wnikać.

- Teraz piszę do działu o produktach konsumenckich i znalazłam agenta do mojej książki. Wiesz, tej, którą zaczęłam, kiedy...

Rany, gadałam jak kretyńka!

- To świetnie, Anne.

- Miałam paru chłopaków, odkąd...

Poprawka. Gadałam jak zdesperowana, żalosna kretyńka.

-No jasne, że tak.

- Chciałam powiedzieć, że nie usychałam z tęsknoty za tobą.

-I dobrze. Byłam strasznym palantem.

- To fakt. Uśmiechnął się.

- Widzisz, w paru kwestiach się zgadzamy.

- Chyba tak.

- To jak, wszystko gra? - Szurał stopami, chciał jak najszybciej iść. Spojrzałam w te jego szaleńczo błękitne oczy i po mojej złości nie było już śladu.

Może i się wykręcał, ale przecież mogłabym mu wybaczyć. To nie jego wina, że nam nie wyszło. Dużo wcześniej powiedział mi o swojej „dacie ważności”. To ja głupio pomyślałam, że to się odnosi do mnie.

- Jasne, wszystko gra. Chyba poczuł ulgę.

- Cieszę się. Trzymaj się.

Uścisnął mnie przelotnie, a potem patrzyłam za nim, aż wtopił się w tłum. Następnie poszłam prosto do biura Sarah. Gdy tylko zamknęła drzwi, uderzyłam w szloch.

- Nie chciał się ze mną ozeeeeeniic - jęknęłam cicho. -Co jest ze mną nie taaaaak?

- Wszystko jest z tobą w porządku, Anne. Wydmuchałam nos.

- To czemu zawsze zostaję sama?

- Może raczej powinnaś spytać, czemu zawsze wybierasz niewłaściwych facetów.

- No dobrze, pani mecenas, czemu zawsze wybieram niewłaściwych facetów?

Skrzywiła się.

- Nie wiem, ale sama widzisz, że to robisz, prawda?

- Trudno tego nie zauważyć. Czuję się, jakbym była uwięziona w filmie *To wspaniałe życie*.

- Nigdy nie rozumiałam, dlaczego jest taki popularny.

- Mnie nie pytaj.

- To co masz zamiar zrobić? - spytała jak zwykle trzeźwo Sarah.

- Postaram się nie rzucić na następnego ciemnowłosego, niebieskookiego faceta, który się do mnie uśmiechnie?

Roześmiała się.

- To może być dobry początek.

Tak więc parę tygodni później pisałam artykuł poświęcony nowym modelom telefonów komórkowych, które mają szanse zrewolucjonizować komunikację. Wokół mojego biurka pełno było notatek i odrzuconych brudnopisów. Wypiłam już trzy bardzo mocne kawy, lewa noga zaczęła mi podskakiwać. Otaczały mnie zwykłe biurowe dźwięki - sygnały telefonów, stukanie w klawiaturę i gwar kolegów z pracy, zwykły szum, który zazwyczaj udaje mi się ignorować.

Nagle głośno zadzwonił mój telefon, a ja aż podskoczyłam z nerwów.

- Heja.

Usłyszałam tylko niezrozumiały świergot.

- Sarah, to ty? Znowu świergot.

- Sarah, wszystko w porządku? Nic nie rozumiem.

- Mówię, że zaręczyłam się z Mikiem. Zaręczyłam się z Mikiem!

Nigdy nie słyszałam, żeby Sarah była taka podekscytowana, nie będąc pod wpływem alkoholu. Dużej ilości alkoholu.

- Świetnie! - powiedziałam, siląc się na radość, ale znowu poczułam, że robi mi się słabo.

- Prawda? Tak bardzo się cieszę!

- Ja też się strasznie cieszę. Opowiedz mi wszystko. Chcę znać każdy szczegół.

-No więc...

Staralam się skupić, ale gdy Sarah opowiadała mi o najbardziej romantycznej chwili w swoim życiu, mnie robiło się coraz bardziej słabo. Zaczęłam się zastanawiać, czy ja kiedykolwiek zadzwonię do Sarah i zacznę nieskładnie opowiadać o najbardziej romantycznej chwili w moim życiu.

Czemu mi, do diabła, tak zależało? Czy naprawdę musiałam być w związku, wyjść za mąż? Miałam świetną pracę i wspaniałych przyjaciół. Dlaczego to mi nie wystarczało? Ale czy naprawdę nie miałam prawa chcieć od życia czegoś więcej? Czegoś, co miało tylu ludzi wokół mnie? Chciałam stałej relacji z kimś, kto będzie mnie kochał. Chciałam mieć dzieci. Ale nie sama, nie chciałam sztucznego zapłodnienia ani nasienia od anonimowego dawcy. Chciałam owocu związku z mężczyzną. Chciałam zobaczyć u takiego szkraba miniaturę jego łokcia czy zgięcia ramion - kimkolwiek o n był. O ile był jakiś on.

Kiedy skończyłam rozmawiać z Sarah, oszołomiona wstałam od biurka i poszłam po kolejną kawę. Z dymiącym kubkiem w dłoni opierałam się o chłodną szybę i wpatrywałam się w wieżowce wokół. Szkło i metal połyskiwały w słabym listopadowym słońcu. Przed oknem zawirowało w locie parę uschniętych liści.

Moja najlepsza przyjaciółka wychodziła za mąż! Powinnam się uśmiechać, cieszyć i obmyślać, jak to uczymy. Zamiast tego wróciłam do biurka i wybrałam numer, który znałam już na pamięć po codziennym oglądaniu go przy wieczornej toalecie.

Odebrała kobieta z wyraźnym nowojorskim akcentem.

- Blythe & Company.

Ściszyłam głos, żeby wścibska dziennikarka z działu mody (przezywana Modową Faszystką, bo osądzała ludzi na podstawie ich ubioru) mnie nie słyszała.

- Tak, dzień dobry. Chciałabym się umówić na spotkanie.
- Interesuje panią znalezienie partnera?
- Tak, chyba tak.

Przypomniały mi się słowa starej piosenki: *I wanna man, I wanna man, I wanna mansion in the sky.*

- Mamy wolne miejsce jutro o czternastej. Może pani wtedy przyjść?

- Jak długo to potrwa?

- Pierwsze spotkanie zajmuje około godziny. Zajrzałam do kalendarza.

- Powinnam się wyrobić.

- W takim razie wpisuję panią.

- Świetnie, dziękuję. - Chciałam się rozłączyć, ale usłyszałam, że coś jeszcze do mnie mówi. - Przepraszam, nie dosłyszałam.

- Prosiłam, żeby podała mi pani swoje nazwisko.

- A tak, przepraszam. Nazywam się Anne Blythe. Chwila ciszy.

- Blythe?

Czy ludzie, dzwoniąc do biur randkowych, podają fałszywe nazwiska? A gdybym podała fałszywe nazwisko, to czy byłabym na tyle głupia, żeby użyć nazwy firmy, do której dzwonię?

- Tak, zgadza się.

- Dobrze, panno Blythe, wpisałam panią na jutro na drugą.

Zapisałam sobie godzinę w kalendarzu i rozłączyłam się. Czułam się podenerwowana, ale i podekscytowana. Zaczęłam wirować na obrotowym fotelu, aż zakręciło mi się w głowie - zupełnie jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. *I wanna man, I wanna man, I wanna mansion in the sky.*

ROZDZIAŁ 3

POD SZKŁEM POWIĘKSZAJĄCYM

Następnego dnia o drugiej jechałam windą z gładkiego szkła na dwudzieste piętro wieżowca. Drzwi się rozsunęły, a ja ruszyłam hallem wyłożonym grubym dywanem za strzałkami prowadzącymi do Blythe & Company. Zatrzymałam się przed szklanymi drzwiami i zajrzałam do środka. Poczekalnia była pusta, tylko za kontuarem siedziała recepcjonistka i pisała coś na komputerze z dużym srebrnym monitorem. Miała gładkie brązowe włosy i była ubrana w granatową garsonkę szytą na miarę. Wyglądała doskonale w otoczeniu pluszowych mebli. Byłam zadowolona, że się pofatygowałam i włożyłam najlepszą czarną spódnicę i zieloną koszulę podkreślającą barwę moich oczu.

Wzięłam głęboki wdech i otworzyłam drzwi.

- Dzień dobry. Nazywam się Anne Blythe. Byłam umówiona.

Spojrzała na mnie łagodnie, ale niepewnie.

- Oczywiście, panno Blythe. Będzie pani rozmawiać z panną Cooper. Przyjdzie do pani za chwilę. Proszę spocząć. - Wskazała na miejsca dla czekających.

Usiadłam na szarym fotelu. Na hebanowym stoliku leżała sterta lśniących czasopism. Sięgnęłam po numer „Atlantic Monthly” i zaczęłam go kartkować. Po chwili usłyszałam ciche chrząknięcie i podniosłam wzrok. Stała przede mną kobieta po czterdziestce. Była mniej więcej mojego wzrostu, szczupła, niemal mizerna. Platynowe włosy spięła w ciasny kok. Miała bladoniebieskie oczy i spiczasty nos.

- Panna Blythe? - Wyciągnęła do mnie rękę. - Samantha Cooper. Bardzo mi miło.

Wstałam i uściśniłam jej dłoń. Była sucha i chłodna.

- Mnie również.

- Proszę za mną, dobrze?

Minęłyśmy recepcjonistkę, przeszłyśmy przez drzwi w szarobrązowej ścianie i podążyłyśmy długim korytarzem do biura w rogu. Okna zajmowały całe ściany, rolety były podniesione, a spod nich wylaniał się niesamowity widok na centrum i fragment szaroniebieskiej rzeki. Usiadłam na fotelu dla gości, a panna Cooper zajęła miejsce za prostym mahoniowym biurkiem. Było nieskazitelne i niemal puste - leżały na nim tylko telefon i podkładka.

- W czym mogę pani pomóc, panno Blythe? - Po akcencie trudno było stwierdzić, skąd pochodzi. Był wystudiowany, ale coś się w nim kryło. Anglia? Francja? Południe?

- Chyba może mi pani znaleźć mężczyznę, którego poślubię - powiedziałam żartobliwym tonem.

- Oczywiście. Tym się właśnie zajmujemy. Skąd się pani o nas dowiedziała?

- To zabawna historia...

Opowiedziałam, jak na ulicy znalazłam wizytówkę Blythe & Company i dlaczego ją podniosłam.

- Więc Blythe to pani prawdziwe nazwisko?

- Tak. Ludzie naprawdę podają fałszywe nazwiska?

- Nawet pani nie wie, jakie rzeczy ludzie potrafią robić, panno Blythe.

Pewnie w tej pracy spotkała się z wieloma dziwakami. Miałam nadzieję, że jakoś ich eliminują...

- No tak, rozumiem.

- Zazwyczaj nasi byli klienci polecają nas kolejnym osobom. Pani przypadek jest dość... nietypowy. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, kiedy ostatnio przyszedł do nas ktoś, kogo nikt tu nie skierował.

- No tak, cóż... Jeśli potrzebne są jakieś referencje... Co za bzdury! Dlaczego miałabym potrzebować referencji w biurze matrymonialnym?

- Dziękuję za propozycję. Damy znać, gdyby okazało się to konieczne.

- Szukałam o was informacji w internecie...

-1 niczego pani nie znalazła? Zgadza się, jesteśmy bardzo dyskretni. To jedna z naszych zasad. Jeśli ma pani zamiar korzystać z naszych usług, również prosimy o dyskrecję.

- Oczywiście. No więc jak to wszystko działa?

- Przepraszam. Zazwyczaj klienci znają nasze metody już przed spotkaniem. Zaczynamy od dokładnego zbadania historii związków i testu psychologicznego. Na tej podstawie stwierdzimy, czy jest pani właściwą osobą dla naszego biura. Jeśli tak będzie, wykorzystamy wyniki testów, by znaleźć pani partnera.

Stwierdzą, czy jestem właściwą osobą?

- Zdarza się, że kogoś odrzucacie?

- Codziennie, panno Blythe. Przedziwne.

- Nie wiedziałam, że to biuro jest takie ekskluzywne.

- Przekonaliśmy się, że to najlepszy sposób, by nasze działania zakończyły się powodzeniem.

- Jak często się to udaje?

- W dziewięćdziesięciu pięciu procentach - powiedziała takim tonem, jakby oznajmiała, że niebo jest niebieskie.

- Rany.

- No właśnie. Rozumie więc pani, dlaczego jesteśmy tak wymagający podczas selekcji klientów.

No tak. Albo może dotąd przyjmowali tylko takich ludzi, którzy zadowolą się jakimkolwiek partnerem.

- Chyba tak, ale testy psychologiczne? Czy to nie przesada?

- Zapewniam panią, że badanie psychologiczne to bardzo istotna część całego procesu. Dzięki temu możemy zyskać pewność, że obie strony będą zaangażowane, gotowe do podjęcia poszukiwania i że będą w stanie znieść napięcia związane z korzystaniem z naszych usług. Poza tym dzięki temu możemy wyeliminować świrów. - Przy ostatnim zdaniu się uśmiechnęła. Zapewne nie pierwszy raz w ten sposób żartowała.

Odwzajemniłam uśmiech.

- To wszystko brzmi bardzo poważnie.

- Czy pani zdaniem znalezienie męża jest sprawą niepoważną?

Wiedziałam, że na to pytanie właściwa jest tylko jedna odpowiedź, ale odniosłam wrażenie, że wszystko, co powiedziałam, odkąd tam weszłam, było niewłaściwe. Spróbowałam zmienić temat.

- To co teraz?

- Kiedy ureguluje pani opłaty, będziemy mogli umówić się na testy.

- A jakie są koszty?

- Jeszcze raz przepraszam. To z przyzwyczajenia. Opłata wynosi dziesięć tysięcy dolarów.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze.

- Dziesięć tysięcy dolarów? To chyba sporo jak na biuro randkowe.

- Biuro randkowe? O nie, panno Blythe. My nie jesteśmy biurem randkowym. My zajmujemy się kojarzeniem małżeństw.

Po półgodzinie byłam już na zewnątrz. Szarpałam za kołnierz kurtki i próbowałam złapać oddech. Ze wszystkich stron atakowały mnie klaksony samochodów i odgłosy silników ciężarówek. Nie mogłam sobie przypomnieć, na co się zgodziłam w biurze panny Cooper. Wiedziałam tylko, że ściskam w dłoni broszurkę pełną danych i wykresów i że następnego dnia miałam się stawić na badanie psychologiczne. Na samą myśl o tym przegrzewał mi się mózg. Swatanie. Swatanie? Nie ma takiej opcji. Nie ma szans.

Potrzebowałam mocnego drinka i papierosa, ale w dzisiejszych czasach dziennikarzom nie wolno pić ani palić w pracy. Odkąd wprowadzono ten zakaz produktywność spadła pewnie o połowę, ale chyba nie o to chodziło. Spędziłam resztę popołudnia, próbując szukać informacji o ekologicznych środkach czystości. Zamiast tego wpisałam w Google „kojarzenie małżeństw” i przejrzałam wyniki. W Stanach funkcjonuje to tylko w kiepskich reality show, w których występują seksowni single przed trzydziestką, ale w wielu krajach jest to żywa tradycja. Nie tylko tam, gdzie kobiety nie mają praw wyborczych. Na przykład wykształcone kobiety w Indiach często także i dziś decydują się na małżeństwa aranżowane. Jeśli odsetek rozwodów o czymkolwiek świadczy, te małżeństwa są udane.

Kiedy przeglądałam kolejne strony - starając się oddzielać fakty od fantazji - przypominały mi się urywki zdań panny Cooper.

Wyjaśniła, że ich usługi są takie drogie, ponieważ w cenę wliczone są wakacje z pakietem *all-inclusive*. Po wielu eksperymentach (nie mogłam się zdobyć na to, by spytać, co to znaczy) odkryli, że dyskrekcja jest najważniejsza. Najwyraźniej w naszym zwariowanym na punkcie miłości społeczeństwie lepiej widziane jest spontaniczne małżeństwo z obcym człowiekiem na wczasach niż jego planowanie. Po to ta przykrywka z wakacjami.

Wspominała też, że terapia jest częścią programu. Zalecali co najmniej roczną terapię dla par. Dzięki niej nowożeńcy mogli poradzić sobie z „przejściem” i nauczyć się „filozofii przyjaźni” w małżeństwie. Między innymi dlatego firma odnosiła takie sukcesy.

A potem powiedziała, że nie będę mogła zobaczyć jego zdjęcia (kimkolwiek „on” by był), zanim się poznamy.

- Nie będzie zdjęcia?

- Nie - odparła zdecydowanie.

- Dlaczego?

- Bo nasze miłosne oczekiwania często opierają się na naszym wyobrażeniu o tym, co sprawia, że przedstawiciel płci przeciwnej jest atrakcyjny. Jeśli zobaczy pani zdjęcie mężczyzny, którego dla pani wybierzemy, i uzna pani, że nie wygląda odpowiednio, nie zaangażuje się pani w pełni w proces, co zwiększy ryzyko porażki. Wierzymy, że małżeństwo oparte na przyjaźni, wspólnych celach i doświadczeniach na dłuższą metę sprawdza się najlepiej.

- Ale przecież i tak go zobaczę, zanim się pobierzemy. Potem też będę wiedziała, jak wygląda, prawda? Skoro wygląd stanowi problem, to przecież po ślubie i tak nic się nie zmieni.

- Pani się zmieni.

- Ja się zmienię? -Tak.

- Skąd to przypuszczenie?

- Już sama pani obecność tutaj to początek zmiany. Będziemy kontynuować ten proces podczas sesji terapeutycznych przed ślubem i po nim.

Nie powiedziałam, że tak naprawdę nie szukałam męża, tylko chłopaka. Kiedy jednak przemyślałam to spokojnie przy swoim biurku, jej słowa nagłe do mnie dotarły.

Może i mogłabym się zmienić. Na pewno to by mi nie zaszkodziło.

Czy to rzeczywiście działało? Czy naprawdę dziewięćdziesiąt pięć procent przypadków kończyło się powodzeniem? Czy miłość to w istocie tylko płytkie zauroczenie? Czy czekanie, aż pojawi się miłość mojego życia, sprawiało, że nie mogłam osiągnąć tego, czego pragnęłam?

Odsunęłam od siebie te myśli. Nie będzie żadnego swatania. Bo kosztuje dziesięć tysięcy. Bo to szalony pomysł. Bo nie wyjdę za kogoś, kogo w ogóle nie znam. Bo w małżeństwie chodzi o miłość.

Prawda?

Spotkałam się z Sarah w indyjskiej restauracji, mieszczącej się na parterze jednego z hoteli. Znajdowała się w połowie drogi między moim a jej biurem. Chodziłyśmy tam mniej więcej raz w miesiącu. Była trochę kiczowata - na ceglasto-szafranowych ścianach roilo się od retuszowanych zdjęć przedstawiających Tadź Mahal - ale serwowali najlepszy w mieście saag z baraniny.

Sarah jak zwykle przyszła wcześniej. Siedziała przy stoliku, na który padało światło z ogromnego, wbudowanego w ścianę akwarium. Przyłapałam ją na tym, jak podziwiała błękitne refleksy na swoim pierścionku zaręczynowym.

-No dobra, jestem babą - powiedziała, śmiejąc się z siebie.
- Nigdy w to nie wątpiłam. A teraz daj mi go obejrzeć z bliska.

Nieśmiało wyciągnęła dłoń. Pierścioneł był platynowy, z pięknym kwadratowym diamentem. Bardzo pasował do Sarah.

- Jest prześliczny. Idealny.

Spojrzała na niego znowu, po czym położyła dłoń na kolanie.

- To prawda.

- A teraz opowiadaj.

- Już ci opowiedziałam.

No tak, ale ja nie słuchałam, bo myślałam o tym, dlaczego ze mną nikt nie chce się ożenić.

- Opowiedz mi jeszcze raz. Wszystkie szczegóły. -Okej...
Pamiętasz, że na pierwszą randkę poszliśmy

do tej portugalskiej restauracji na ulicy Elm? -No jasne.

- Zabrał mnie tam i odtworzył tamten wieczór. Pamiętał każdy szczegół: przystawki, wino, to, przy którym stoliku siedzieliśmy... Mniej więcej w połowie kolacji zaczął się zachowywać dziwnie. Stukał w szklankę z wodą, w kieliszek z winem, chrząkał co parę minut, jakby go bolało gardło. W końcu zaczęłam myśleć, że chce ze mną zerwać.

- Sarah, naprawdę myślałaś, że chce zerwać?! Kiwnęła głową.

- Tak, naprawdę. Siedziałam i zastanawiałam się, jak sobie z tym poradzę. Czy powinnam zachować spokój, czy zrobić mu awanturę w restauracji?

-1 co zdecydowałaś?

- Że zachowam spokój. - A jakżeby inaczej.

Pokazała mi język.

- Do rzeczy - popędziłam ją.

- No więc ja tam siedzę i świruję, a on nagle klęka, bierze mnie za rękę i mówi, że nie wyobraża sobie życia beze mnie. A potem spytał: „Zostaniesz moją żoną?”.

Sarah pociekły łzy, a mnie ścisnęło się gardło.

- Mów dalej.

-Wyciągnął pierścionek, a ja się rozbeczałam. Zdołałam tylko kiwnąć głową, że się zgadzam, kiedy wsuwał mi pierścionek na palec. I wszyscy ludzie w restauracji zaczęli klaskać.

Sarah się zarumieniła. Nie lubi się obnosić z uczuciami. Byłam zaskoczona, że Mike oświadczył się w miejscu publicznym.

-Ups.

- Nie, nie przeszkadzało mi to. Sama się zdziwiłam. Myślałam, że publiczne oświadczyzny to coś okropnego, ale tak nie było. Naprawdę. - Rozmarzyła się, obracając pierścionek na palcu.

- Wspaniale, Sarah. Naprawdę się cieszę.

- Dzięki. Ale dość już o mnie. Co tam u ciebie? Przyszła mi do głowy moja rozmowa z panną Cooper, ale za żadne skarby nie opowiedziałabym tego Sarah. Zaraz podałyby mi listę argumentów przeciw temu pomysłowi, które i tak sama znałam.

- W sumie to niewiele.

- A jak książka? Naniósłś te poprawki?

- Tak, w końcu. -I co teraz?

- Teraz czekam na odpowiedź od wydawnictw, do których przesłała ją Nadia.

Nadia to agentka literacka. Zgodziła się pośredniczyć w wydaniu mojej książki *Dom* jakieś sześć miesięcy wcześniej.

W powieści przeplatają się historie grupki przyjaciół z liceum, a pretekstem do opowiedzenia ich losów jest przyjazd do rodzinnego miasta na dziesiąty wspólny zjazd. Główny wątek to oczywiście historia miłości Lauren i Bena - licealnej pary, której drogi się rozeszły, ale mają szansę zejść się ponownie. Sarah spojrzała na mnie ze współczuciem.

- Takie oczekiwanie musi być ciężkie.

- Staram się o tym nie myśleć. -1 jak ci to wychodzi? Uśmiechnęłam się i powiedziałam:

- Tak jak można się było spodziewać. Bez przerwy sprawdzam, czy nie dostałam e-maila, i odsłuchuję pocztę głosową.

- Jestem pewna, że się sprzeda. Jest świetna.

Czasem wierzyłam, gdy to mówiła - w dni, gdy sądziłam, że książka jest chyba niezła. Ale w dni, kiedy chciałam przepuścić ją przez niszczarkę, wydawało mi się, że Sarah mówi to z grzeczności.

Przyłapałam ją na tym, jak znów patrzyła na pierścionek.

- Jesteś szczęśliwa?

- Taka szczęśliwa, że aż zaskoczona. Wyciągnęłam rękę i uścisnęłam jej dłoń.

- Kocham cię, Anne.

- Ja też cię kocham.

I nagle pomyślałam, że może przyjaźń rzeczywiście wystarcza.

Kiedy po obiedzie wróciłam do domu, włosy pachniały mi kminkiem, a brzuch bolał z przejedzenia. Opadłam na okropną starą kanapę. Przykryłam ją narzutą w kolorze khaki i stała się prawie wygodna. Postanowiłam, że jak tylko zaoszczędzę trochę pieniędzy, to z miejsca wymienię ją na nową. Przejrzałam plik listów, które zebrały mi się przez

kilka ostatnich dni. To były głównie rachunki i reklamy, ale znalazłam też czerwoną kopertę z życzeniami bożonarodzeniowymi od mojej przyjaciółki Janey. Poznałam ją na studiach, ale ostatnio urwał nam się kontakt. Od rozstania ze Stuartem zaczęłam to coraz wyraźniej dostrzegać: ubywało mi przyjaciół. Kiedy zaczęłam z nim chodzić, moje życie wyglądało podobnie jak na studiach. W tygodniu pracowaliśmy, w weekend się bawiliśmy. I wydawało się, że tak będzie już zawsze. Ale w którymś momencie między kolejką Jacka Daniela, podczas której przyciągnęłam uwagę Stuarta, a chwilą, w której przeglądałam pocztę, wszystko się zmieniło. Janey, Nan i Susan wyszły za mąż i urodziły dzieci. I chociaż parę lat wcześniej zapierały się, że nigdy nie zamieszkają w miejscu, gdzie nie można wyjść na drinka po jedenastej, żadna z nich nie mieszkała już w mieście. Janey niedawno urodziła synka i nazwała go Tanner. Jego śliczna okrągła buzia uśmiechała się do mnie ze starannie wybranej kartki. Widniał tam napis: „Wesołych Świąt życzą Jennerowie!”. Wydawało mi się, że ta kartka krzyczy: „Zobacz, co robiłam, kiedy ty marnowałeś czas na zdradzającego cię dupka!”. Tanner Jenner. Biedne dziecko.

Rzuciłam kartkę na stolik i owinęłam się polarowym kocem. Zaczęłam czytać autobiografię Andre Agassiego *Open*. Pół godziny później całkowicie mnie ona pochłonęła, co rzadko mi się ostatnio zdarzało.

Z lektury wyrwał mnie dzwonek telefonu.

- Heja.
 - Nie możesz odbierać telefonu jak normalny człowiek?
 - Cześć, mamó. Znów oglądasz CS/?
 - Skąd wiesz?
- Bo jak zwykle było to słycać w tle.
- Strzelałam. Czemu dzwonisz w trakcie serialu?
 - Już widziałam ten odcinek.

- No to po co go oglądasz?
- Bo nie mam co robić.
- Co się dzieje?
- To już nie mogę zadzwonić do córki, żeby pogadać? Nie wiem czemu, ale poczułam się zirytowana. Często się tak czułam, rozmawiając z mamą.

- Jasne, że możesz. Tylko zazwyczaj tego nie robisz.

- No więc... rozmawiałam dziś z twoim bratem.

- No i co tam u Gila?

Tak, zgadza się. Matka nazwała mnie Anne Shirley Blythe, ale to nie wszystko - mojemu starszemu bratu dała na imię Gilbert po ukochanym Ani z Zielonego Wzgórza. To cud, że nie musiałam się zapisać na terapię. Jeszcze.

- Cathy jest w ciąży!

No jasne. Mój brat ożenił się w wieku dwudziestu ośmiu lat, rok później urodziło mu się pierwsze dziecko, a od tego czasu na świecie pojawiła się jeszcze dwójka. Teraz miałam trzy bratanice, a w drodze był czwarty maluch. Przez całą rodzinę chciało mi się rzygać, pewnie z zazdrości, ale udawałam, że z innego powodu.

- Coś nowego.

- Po co ten sarkazm? Wiesz, też mogłabyś spróbować być jak twój brat.

- Wiem, że tak myślisz.

- Co to niby miało znaczyć?

- Że nie każdy musi wziąć ślub i mieć dzieci, mamó. Nigdy się przed nią nie przyznałam, że sama właśnie tego chcę. Nie wiem dlaczego, ale zawsze tak było. Westchnęła.

- Chcesz być sama do końca życia?

- Oczywiście, że nie.

- No więc?

- A co niby mam z tym zrobić? Przecież nie tylko ja o tym decyduję.

-Nie?

- Co to miało znaczyć?

- Przecież nie wyszłaś za mąż. I nawet nie masz chłopaka. - I to moja wina, tak?

- No cóż, moim zdaniem wszyscy twoi chłopcy byli w porządku. Jesteś zbyt wybredna.

Tak naprawdę wiedziałam, że to z mojej winy tak myślisz, bo nigdy nie mówiłam jej wszystkiego, ale ta rozmowa zaszła za daleko.

Starłam się nie podnosić głosu, ale miałam ochotę zacząć krzyczeć.

- To niesprawiedliwe. To, że nie mówię ci, dlaczego moje związki się kończą, nie znaczy, że rozsypują się bez powodu. Dlaczego zakładasz, że to przeze mnie?

- A jak było ze Stuartem? Chwyciłam mocno kabel telefonu.

- O co ci chodzi?

- Wydawał się całkiem w porządku.

- Stuart był sukinsynem, który mnie zdradzał i oszukiwał. Głośno wciągnęła powietrze.

-Nie musisz się tak wyrażać, Anne.

- Przepraszam.

- Phi. Skąd miałam to wiedzieć? Nigdy nic nam nie mówisz. No tak, ciekawe dlaczego?

- Nie mówię wam pewnych rzeczy, bo nie chcę być bez przerwy osądzana.

- Jesteś niesprawiedliwa. Przecież wiesz, że zawsze cię wspieramy. - W jej głosie słychać było urazę, chyba powstrzymywała łzy. Cholera.

- Mamo, nie smuć się, dobrze? Pociągnęła nosem.

-Nie chcę, żebyś była sama, Anne. Pragnę, żebyś była szczęśliwa.

- Wiem, mamó. Ja też tego pragnę.

- Chcesz wyjść za mąż? -Tak.

-1 mieć dzieci?

- Oczywiście. Może nie tyle, ile ma Gil, ale co najmniej dwoje.

- Jeśli będziesz miała chłopca i dziewczynkę, możesz je nazwać Diana i James.

To imiona dwojga z dzieci Ani z Zielonego Wzgórza. Moja mama ma taką małą obsesję.

- Nazwę je, jak tylko będę chciała, mamó.

- Oczywiście, kochanie. To tylko sugestia.

- Dobrze.

- Zadzwońisz do Gila, żeby mu pogratulować? -Tak.

- Cieszysz się, że będą mieli dziecko, prawda? -Tak.

- To świetnie. No dobrze, będę kończyć.

- Miłego oglądania.

Odłożyłam słuchawkę gwałtowniej, niż powinnam. Zastanowiłam się, czy zadzwonić do Gila, ale stwierdziłam, że to może spokojnie poczekać do jutra.

Trzeba będzie wykrzesać z siebie konieczny entuzjizm, a w tej chwili nie zdołałabym tego uczynić.

Przeczytałam za to kilka kolejnych rozdziałów i wskoczyłam do łóżka. Zazwyczaj od razu zasypiałam, ale tej nocy nie mogłam się uspokoić. Wciąż się zastanawiałam, czy Blythe& Company to rzeczywiście to, czego tak długo szukałam - chociaż brzmiało to wariacko. Czy przez sam fakt, że tak myślałam, nie byłam wariatką?

Może ktoś lub coś próbowało wskazać mi drogę. Dawało mi znak.

Problem w tym... że ja nie wierzyłam w znaki.

Może powinnam przeczytać broszurkę, którą dała mi panna Cooper. Powiedziała, że ona rozwieje moje wątpliwości. Wyciągnęłam ją z torebki i wróciłam do ciepłego łóżka. Pierwsza część opowiadała o „filozofii przyjaźni” w małżeństwie. Potem były opowieści par, które skorzystały z usług Blythe& Company, opowiadających, jak terapia pomogła im się zbliżyć i zapomnieć o powierzchownych kryteriach wyboru partnerów. Wpatrywałam się w uśmiechnięte twarze na zdjęciach zrobionych w nadmorskim kurorcie, a potem prześledziłam kolejne pięć, dziesięć lat małżeństwa. Narodziny dzieci, kupno domu, wspólne szczęśliwe życie. I zaczęłam myśleć, że to ja mogłabym to wszystko przeżywać.

Kiedy odłożyłam broszurkę i zgasłam światło, poczułam się spokojniejsza. Może rzeczywiście to coś dla mnie. Może w końcu znajdę właściwą osobę, kogoś, z kim będę szczęśliwa. Przecież nie zaszkodzi, jeśli poddam się tym psychologicznym badaniom. Kto wie, może to wypali.

Kto wie, kto wie...

ROZDZIAŁ 4

CAŁA JA

Nazajutrz znów siedziałam na jednym z szarych skórzanych foteli twarzą w twarz z panną Cooper. Białe włosy miała upięte we francuski kok. Każdy ich kosmyk był zebrany ze schludnością, której ja nigdy nie zdołałabym osiągnąć. Coś mnie w tej kobiecie przerażało, ale nie potrafiłam określić co.

- No więc jak będą wyglądać te testy? - spytałam, przyciskając kawałek gazy do skóry w zgięciu łokcia. Chwilę wcześniej pielęgniarka w kitlu pobrała mi krew. Włożyła małe probówki z moją gęstą czerwoną krwią do niewielkiego kuferka i zostawiła nas same.

- Badania krwi będą obejmować testy na choroby przenoszone drogą płciową oraz podstawowe badania genetyczne. Potem odpowie pani na serię pytań o pani pochodzenie, historię rodziny i przeszłe związki, abyśmy mogli ocenić, czy jest pani gotowa do rozpoczęcia procesu. Potem przejdzie pani dokładne badanie psychologiczne, w którym określimy typ pani osobowości. Ostatnie dwa testy wykorzystamy do znalezienia dla pani męża.

- Skąd będzie wiadomo, czy jestem gotowa do rozpoczęcia procesu? - Z trudem powstrzymałam się przed objęciem słowa „proces” w niewidzialny cudzysłów.

- Tak jak mówiłam wczoraj, jednym z wymogów jest sześć nieudanych związków. Uznaliśmy, że ludzie, którzy mają za sobą mniej niż sześć związków, nie są gotowi, by zrezygnować z koncepcji romantycznej miłości.

Czy ja powiedziałam, że byłam w sześciu związkach? Najwyraźniej tak, ale nawet tego nie pamiętałam. Ekstremalny szok naprawdę potrafi otępić.

- Więcej dowie się pani podczas terapii.

- Oczywiście.

- Możemy zaczynać? -Jak najbardziej. Uprzejmie odchrząknęła.

- Panno Blythe, zapewne pamięta pani, że pierwszej wpłaty należy dokonać przed rozpoczęciem całej procedury.

Pierwsza opłata? Cholera. Ile to mogło być? Nie miałam przy sobie dziesięciu tysięcy dolarów, a nawet gdybym miała, na pewno nie dałabym ich Pannie Schludnie Uczesanej. Poza tym co, jeśli nie przejdę testu albo nie znajdą mi partnera? Czy zwrócą pieniądze, jeśli facet, którego dla mnie wybiorą, okaże się kompletną pomyłką?

Wyluzuj, mała.

- Może mi pani przypomnieć, ile powinnam dziś wpłacić? - spytałam, czując się jak ostatnia sierota.

-Pierwsza rata wynosi pięćset dolarów. Jeśli przejdzie pani badanie psychologiczne, powinna pani wpłacić na nasz rachunek dwa tysiące pięćset dolarów. Kolejnej wpłaty będziemy oczekiwać, gdy znajdziemy dla pani partnera.

Sięgnęłam do torebki po książeczkę czekową.

- Przyjmują państwo czeki?

- Oczywiście.

Położyłam książeczkę na jej biurku i wypisałam czek. Popatrzyłam na niego przez chwilę, zanim jej podałam. Pięć stów za to, że się dowiem, czy jestem dostatecznie zdrowa na umyśle, by zrobić najbardziej szaloną rzecz, o jakiej w życiu słyszałam. To miała być okazjna oferta?

- Dziękuję. Jest pani gotowa?

Wyszłyśmy z biura i poprowadziła mnie korytarzem do pokoju, w którym stało na środku małe szklane biurko. Na biurku leżał kwestionariusz. Był dość gruby i wyglądało na to, że zawiera trudne pytania. Poczułam się, jakbym znów miała zdawać maturę. Miłość ma się do małżeństwa tak jak... Nigdy nie byłam dobra w takich pytaniach.

Usiadłam i spojrzałam na pannę Cooper. Poczułam się mała i niespokojna.

- Jest jakieś ograniczenie czasowe?

- Nie, panno Blythe. Ma pani tyle czasu, ile uzna pani za konieczne. Jeśli będzie pani potrzebować pomocy, proszę wcisnąć ten przycisk. - Wskazała na żółty guzik na ścianie.
-Proszę się dokładnie stosować do instrukcji.

Wyszła z pokoju i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Otworzyłam arkusz egzaminacyjny i zaczęłam go wypełniać.

Imiona i nazwisko: Anne Shirley Blythe Wiek: 33

Data urodzin: 29 października Wzrost: 173 cm Włosy: rude

Długość włosów {krótkie, średnie, długie): długie Oczy: zielone Waga: 56 kg

Zawód: dziennikarka/pisarka Pracodawca: magazyn „Twist”

Jak długo jest Pan(i) zatrudniony/-a u tego pracodawcy? 6 lat

Wykształcenie, dziedzina: licencjat, filologia angielska

Czy prowadziła) Pan(i) kiedyś własne przedsiębiorstwo? Nie

Hobby: czytanie

Uprawiane sporty: tenis

Czy ma Pan(i) rodzeństwo? Tak Imiona i wiek braci i sióstr: brat Gilbert, 35 Zawody braci i sióstr: prawnik Czy rodzice wciąż są małżeństwem? Tak W jakim wieku pobrali się rodzice? 27 {matka), 28 {ojciec) W jakim wieku rodzice mieli pierwsze dziecko: 28 {matka), 29 {ojciec)

Zawód matki: pani domu

Zawód ojca: pośrednik ubezpieczeniowy

Pytania wydawały się ciągnąć w nieskończoność i nie mieć żadnego określonego porządku. W jakim domu się wychowywałam? W jakiej okolicy? Do ilu szkół podstawowych i liceów uczęszczałam? Czy jako nastolatka miałam wielu przyjaciół? I tak dalej...W końcu doszłam do ostatniej serii pytań związanych z moimi upodobaniami seksualnymi. Nagle w pokoju zrobiło się gorąco i ciasno i zaczęłam się zastanawiać, czy mogę pominąć tę część... Jasne, chodzi tu o kojarzenie małżeństw, więc oczywiście trzeba to wziąć pod uwagę, ale... cholera. Wyluzuj w końcu, dobrze? Zachowujesz się, jakbyś była jakąś pensjonarką ubraną w długą białą koszulę nocną, a w drugim pokoju czekał na ciebie wielki zły facet z zachłannym błyskiem w oku.

No dobrze. Wzięłam głęboki wdech i starałam się uspokoić. Niewiele mi to pomogło, ale jakoś przebrnęłam przez

pytania wywołujące rumieniec na twarzy. Skończyłam trudną część i przeszłam dalej.

Proszę opisać wszystkie swoje związki w dorosłym życiu i podać powody ich rozpadu. Zalecany jest maksymalny obiektywizm. Proszę opisać wygląd partnera, okoliczności pierwszego spotkania, długość związku, czy mieszkali państwo razem, czy byli państwo narzeczeństwem lub małżeństwem i tak dalej, i tak dalej.

Ta cała panna Cooper powiedziała, że muszę być po sześciu związkach, żeby się zakwalifikować... Dziwiłam się, że to stała zasada. Dlaczego? Jaka to różnica, czy byłam po pięciu, po czterech, czy po żadnym? Miłość to nie nauka ścisła. A tu i tak nie chodziło o porywy serca. Powinnam wybić sobie z głowy miłość. Ale powiedziała, że musi ich być sześć. Cholera! Chyba nie zdam... Chwila, chwila. Przecież cały czas coś zmyślam. Teraz też bym mogła. Opisałam szczegóły związków z moimi prawdziwymi byłymi i pomiędzy nie wplotłam dwa kolejne związki, jeden z „Brianem”, drugi z „Sethem”. Opis wyglądu był łatwy, a pozostałe szczegóły wybrałam z doświadczeń z prawdziwych związków. Kiedy już się wciągnęłam, zaczęło mnie to nawet bawić - przypominało pisanie opowiadania. Wyobrażałam sobie, jak mi było z tymi zmyślonymi facetami i jak się czułam po rozstaniu. Zdecydowałam, że to ja zerwałam z Brianem (nie chciał mieć dzieci), a Seth zerwał ze mną, bez słowa wyjaśnienia wystawiając moje rzeczy za drzwi. Szlag by trafił Setha. Kiedy o tym pisałam, ścisnęło mi się gardło. No dobra, Anne, tego już za wiele.

Ręka mi ścierpła, tak samo jak na studiach, kiedy próbowałam wcisnąć informacje z całego semestru w arkusz egzaminacyjny. Skończyłam pisać o Stuarcie i cofnęłam się do początku, żeby przeczytać to, co napisałam. Oto podsumowanie mojej wiedzy o miłości. Ciekawe, jak

świadczyło o mnie to, że nie poprosiłam o dodatkowy arkusz?

Przeszłam do drugiej części kwestionariusza, profilu psychologicznego. Przeczytałam instrukcję: „Proszę udzielić szczerych odpowiedzi na zadane pytania. Tu nie ma poprawnych lub niepoprawnych wyborów. Proszę odpowiadać instynktownie i nie zmieniać zdania. Na każde pytanie proszę odpowiedzieć »tak« lub »nie«. Nie można pominąć żadnego pytania. Jeśli któreś wyda się za trudne, proszę podać tę odpowiedź, która pierwsza przyjdzie Pani/Panu na myśl”.

Test składał się z takich pytań, jak: „Czy skupia się Pan(i) bardziej na bieżących wydarzeniach niż na przyszłości?” (Tak) oraz „Czy wyrażanie uczuć sprawia Pani/Panu trudność?” (Nie). Niektóre wydawały się strasznie banalne, a inne dotyczyły ważnych kwestii, na przykład: „Czy obchodzą Panią/Pana przyszłe losy ludzkości?” (Powinnam odpowiedzieć „Tak”, prawda? Kogo nie obchodzą przyszłe losy ludzkości?). Inne to zwyczajne pytania o osobowość: „Czy jest Pan(i) otwartą osobą?” (Tak), „Czy jest Pan(i) spontaniczną osobą?” (Nie), „Czy lubi Pani eksperymentować?” (Nie). Cholera. Czy sama ta odpowiedź mnie zdyskwalifikuje? Chrzanić to. Przeszłam dalej. Przy następnym pytaniu głośno się roześmiałam: „Czy angażuje się Pan(i) emocjonalnie w losy bohaterów komedii romantycznych?” (z zażenowaniem zaznaczyłam: „Tak”). O co chodziło? Jakie to mogło mieć znaczenie?

Kolejne pytanie dało mi do myślenia: „Czy polega Pan(i) na swoich instynktach?” Po dłuższej chwili w końcu wybrałam „Nie”. Tak naprawdę odpowiedź brzmiała: Nie powinnam. Ech.

I w końcu ostatnie pytanie. Powód mojej obecności tutaj. „Czy potrafi Pan(i) zaangażować się w relację z jedną

osobą?" (Tak). Podkreśliłam odpowiedź, chociaż pewnie ten, kto będzie to czytał, pomyśli, że kłamię albo że nie odpowiedziałam instynktownie, czy jak to tam ujęli w poleceniu.

Gdy doszłam do końca testu, dopadł mnie stres. Czy to im naprawdę wystarczy, żeby znaleźć mi męża? Historia mojego życia i odpowiedzi „tak” lub „nie” na pięćdziesiąt pytań związanych z moimi zainteresowaniami i liczbą przyjaciół? Miałam wrażenie, że to za mało.

Czy partner, którego dla mnie wybiorą, będzie miał taki sam profil jak ja, przeciwny czy częściowo taki sam? I kto będzie analizował test - człowiek czy komputer? Szkoda, że wczoraj nie słuchałam uważniej panny Cooper.

Ale przynajmniej jedno pamiętałam: dziewięćdziesiąt pięć procent przypadków zakończonych powodzeniem.

Złożyłam arkusz i przesunęłam dłonią po krawędzi, żeby go wygładzić. Wcisnęłam przycisk na ścianie. Po chwili w drzwiach pojawiła się panna Cooper. -Tak?

- Skończyłam.

- Już? Na pewno odpowiedziała pani na wszystkie pytania?

Spojrzałam na zegarek. Test zajął mi półtorej godziny.

- Ile to zwykle zajmuje innym?

- Na ogół ponad dwie godziny.

- Zawsze pierwsza wychodziłam z klasówek - powiedziałam, czując się głupio.

- W porządku, panno Blythe. Proszę ze mną, dobrze? Gdy wróciłyśmy do jej biura, spytałam, jaki jest kolejny krok.

- Za kilka tygodni zakończymy analizę pani odpowiedzi. Jeśli uznamy, że jest pani gotowa na rozpoczęcie procesu, damy pani znać. Gdy wpłaci pani kolejną ratę, zaczniemy szukać dla pani partnera.

- Jak długo to zazwyczaj trwa?
 - Nawet do sześciu miesięcy.
 - Sześć miesięcy?! Zmarszczyła czoło.
 - Mężowie nie leżą na ulicy. Nie zajmujemy się szukaniem chłopaka na randkę. To będzie partner, z którym będzie pani mogła wieść wspólne życie.
 - Tak, oczywiście.
 - Wielu klientów myśli tak samo jak pani, panno Blythe. Jednak ten czas jest naprawdę konieczny, zapewniam.
 - Kto przeprowadza analizę, dopasowywanie i tak dalej...?
 - Nasz zespół psychologów. Analizują dane z wykorzystaniem zaawansowanego systemu komputerowego, który sami opracowaliśmy.
 - Co się stanie, jeśli nikogo mi nie znajdą?
 - Wtedy nie będzie pani musiała płacić kolejnej raty. - A co, jeśli kogoś znajdą, ale związek na dłuższą metę nie wypali? Dostanę zwrot pieniędzy?
 - Nie. Nie gwarantujemy ostatecznego sukcesu. Jeśli zdecyduje się pani kontynuować proces, to pani będzie odpowiedzialna za to, czy pani małżeństwo będzie udane, czy też nie. Oczywiście dysponujemy środkami, które zwiększają prawdopodobieństwo powodzenia.
 - Na przykład?
 - Omówimy to szczegółowo, kiedy będziemy mieć pewność, że może pani kontynuować. A teraz przepraszam bardzo, ale czeka na mnie kolejny klient.
- Wstała, żeby odprowadzić mnie do wyjścia.
- Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?
 - Oczywiście - powiedziała, dobrze ukrywając irytację.
 - Jak długo istnieje ta firma i ile par państwo już wyswatali?

- To dwa pytania, panno Blythe, ale odpowiem na nie. Firma istnieje od piętnastu lat. Wyswataliśmy około dwóch i pół tysiąca par. - Mówiąc to, wyprostowała się lekko, jakby była osobiście odpowiedzialna za każde z tych małżeństw.

-1 dziewięćdziesiąt pięć procent wciąż jest razem?

- Zgadza się.

- Kurczę.

- W rzeczy samej. A teraz bardzo przepraszam...

- Oczywiście, dziękuję.

- Skontaktujemy się z panią.

Wstałam i skierowałam się w stronę drzwi.

- Panno Blythe... - Odwróciłam się do niej. Wpatrywała się we mnie w skupieniu. - Chciałabym przypomnieć, że zgodziła się pani zachować to w tajemnicy.

- Rozumiem zasady.

Ciekawe, kto by mi uwierzył, gdybym się wygadała...

ROZDZIAŁ 5

PRZYMIARKI

Kilka dni później siedziałam przy swoim biurku, pracując nad kolejnym artykułem. To było podsumowanie trendów w elektronice użytkowej, zauważalnych w ostatnim roku, zatytułowane *Anne przepowiada przyszłość*. Ciężko było nie wyczuć ironii tego tytułu.

- Siema, Anne - powiedział William, wychylając się zza ścianki obok mojego biurka. Sprawiało mu wielką przyjemność straszenie mnie co najmniej kilka razy w tygodniu. Najwyraźniej zaczął mężną walkę z wszystkimi swoimi trzydziestoma sześcioma latami.

- Will... O, cześć. Jak leci? - Zmiałam kartkę moich bazgrołów i rzuciłam w stronę kosza na śmieci. Ustawiłam go na tyle daleko, żeby to było wyzwanie. - Tłum szaleje, gdy Blythe po raz trzeci trafia do kosza!

William spojrzał na mnie ze współczuciem.

- Aż tak źle?

- Ty to powiedziałaś.

Zrzucił plik magazynów z brzydkiego beżowego krzesła naprzeciw biurka, usiadł i przesunął dłońmi po i tak

już sterczących włosach. Miał na sobie jasnoszary sweter i czarne spodnie pasujące do jego wysokiej, niemal patykowatej postury.

Rozłożyłam na biurku kolejną kartkę i wygładziłam ją, żeby zacząć od nowa. Kiedy przygryzałam końcówkę długopisu, zauważyłam, że William wpatruje się we mnie jakby zaskoczony.

- Wiesz, do czego służy to coś na twoim biurku, prawda? - Zabębnił palcami w monitor mojego komputera.

- Do czytania najnowszych plotek z życia gwiazd?

- Serio, Anne. Dlaczego ciągle piszesz wszystko ręcznie? Pomyślałam o tym chwilę.

- Pewnie dlatego, że mój tata miał fioła na punkcie kina, a ja wychowałam się na takich filmach jak *Wszyscy ludzie prezydenta*, *Chiński syndrom*, *Drapieżne maleństwo...*

- Dobre tytuły.

- Świetne. W każdym razie w tych filmach dziennikarze zawsze pisali na maszynach, które na końcu każdej linijki robiły trrr-brzdęk! A kiedy im nie wychodziło, zgniatali kartkę i...

- Ciskali ją do kosza.

- No właśnie. Potrząsnął głową.

- Zostałaś dziennikarką, żeby grać w kosza kiepskimi tekstami?

- Nie, ale to niezły bonus.

- To czemu nie kupisz sobie maszyny do pisania?

- A próbowałeś kiedyś na czymś takim pisać? Wystarczy drobny błąd i trzeba zaczynać wszystko od nowa. Poza tym nie ma sprawdzania pisowni, a przecież wiesz, jakie mam z tym problemy.

- Przypomnij mi, czemu cię zatrudniłem?

- Nie mogłeś się oprzeć mojemu uśmiechowi?

Pacnął się dłonią w czoło.

- No jasne, właśnie dlatego!
- Przyszedłeś tu w jakimś celu, czy chciałeś się ze mnie ponabijać?
- Jedno i drugie.
- To może przejdiesz do rzeczy? Mam na karku termin, a mój naczelny to naprawdę ciężki przypadek.

W jego zielonych oczach pojawił się błysk.

- Słyszałaś, że Larry odszedł?

Larry był reportażystą. Przyszedł do nas, kiedy zniknął z redakcji John Rzucający Dziewczyny w Urodziny.

- Jasne.
- No więc zmył się i nie dokończył artykułu, więc w następnym numerze mam ziejącą dziurę.

Poczułam przypływ podniecenia.

- Chcesz, żebym wypełniła tę dziurę?
- Tylko w tym numerze. Jutro damy ogłoszenie o wakacie.

Reportaże! Będę mogła opowiadać o ludziach, a nie tylko o tym, co ludzie kupują. No i płaca! Była o wiele lepsza. Nie to, żebym pisała dla pieniędzy, ale...

- Nie musisz dawać tego ogłoszenia.
- Słucham?
- Proszę cię, William. Ja mogę wziąć ten dział. Nie był przekonany.
- No nie wiem...
- Jestem na to gotowa. Na pewno.
- To zdecydowanie bardziej pracochłonne...
- Wiem, jak to będzie wyglądać. No, William? Nie każ mi błagać.

Kącik jego ust lekko się uniósł.

- No dobra, to może być zabawne.
- Padalec.

- Dzięki.

- No więc?

- To może zrobimy tak: jeśli się sprawdzisz, dostaniesz ten dział.

Ogarnęła mnie fala radości i z trudem powstrzymałam się przed wyściskaniem go. Will jednak nie jest fanem uścisków. Poza tym Modowa Faszystka mogłaby sobie pomyśleć coś, co już pewnie wcześniej przyszło jej do głowy.

- Wielkie dzięki. To świetnie! Wyszczерzył zęby.

- Tylko nie waż się mówić, że nic dla ciebie nie robię. -Nigdy więcej, przyrzekam. To o czym mam napisać?

- Nie dość, że dałem ci szansę sprawdzić się w tym dziale, to jeszcze muszę podsuwać ci pomysły? Chcesz, żebym cię niańczył?

- O, cholera. -Co?

- Zapomniałam zadzwonić do brata i pogratulować, że znów będzie miał dziecko.

- Które to już, dziesiąte?

- Dopiero czwarte.

- Może zrób z nim wywiad.

- Ta, jasne.

Odszedł, a ja zakręciłam się na krześle z radości. Kiedy skończyłam wirować, po raz setny sprawdziłam skrzynkę e-mailową, licząc na znak życia od agentki. Kiedy zobaczyłam, że nie ma nic nowego, powstrzymałam się od napisania jej: „I co? I co? I co?”. Zamiast tego zadzwoniłam do brata. Pracuje po sto godzin tygodniowo w wielkiej prawniczej korporacji i produkuje umowy kupna obligacji i świadectwa udziałowe. A przynajmniej mnie się tak zawsze wydawało. Nigdy nie przywiązywałam do tego szczególnej uwagi. -Gilbert Blythe.

- No proszę, naprawdę odebrałeś telefon. Nie wiedziałam, że jeszcze ci wolno.

- Co tam, Kordelia?

Tak chciała mieć na imię Ania z Zielonego Wzgórza, gdy była dzieckiem. Gilbert od zawsze mnie tym dręczył.

- Odpuść sobie.

- Niby co? - spytał niewinnie.

- Mówiłam ci, żebyś mnie tak nie nazywał. Zachichotał.

- Mama pewnie przekazała ci wieści.

- Powinieneś sobie podwiązać.

- Co jest złego w dużej rodzinie?

- Nic. Cieszę się twoim szczęściem.

- W dzisiejszych czasach sporo osób decyduje się na duże rodziny. Sama powinnaś spróbować.

- Bardzo śmieszne.

- Jest pewnie nawet biuro randkowe dla ludzi, którzy chcą stworzyć liczne rodziny. Na przykład ta rodzinka z telewizji z dziewiętnastką dzieci i kolejnym w drodze. Wiesz, eDarling, wersja XL.

Serce skoczyło mi do gardła. Trafił za blisko sedna.

Ale chwila... może by to wykorzystać? Może w jakiś sposób udałoby mi się dowiedzieć czegoś więcej o kojarzeniu małżeństw, a przy okazji dostać awans.

- Chcesz mi mało delikatnie powiedzieć, że powinnam się zalogować na jakiś portal randkowy?

- Twierdzisz, że jeszcze tego nie zrobiłaś? Myślałem, że tak poznałaś Stuarta.

- Żarty się ciebie dzisiaj trzymają, co?

Gdyby tak napisać artykuł o współczesnych kobietach decydujących się na małżeństwa aranżowane? Oczywiście nie o Blythe & Company, ale gdybym namierzyła jedną z tych kobiet, o których czytałam w internecie...

- Staram się, jak mogę - odparł Gilbert. - Może wpadniesz na obiad w przyszłym tygodniu? Dziewczynki o ciebie pytały.

- Jasne, świetny pomysł. Słuchaj, Gil, muszę kończyć. Mam artykuł do napisania.

- Jasne. Zadzwoń do Cathy w sprawie obiadu.

- Nie ma sprawy.

Dwa dni później miałam teczkę pełną informacji i trzy umówione spotkania: jedno z pośredniczką matrymonialną i dwa z najprawdziwszymi wyswatаныmi małżeństwami.

Biuro pośredniczki znajdowało się w niewielkim lokalu z witryną wychodzącą na ulicę pełną indyjskich restauracji i wonnych sklepików. Już wcześniej tam byłam - na tę ulicę można było dojść pieszo z miejsca, gdzie mieszkałam ze Stuartem (i gdzie on pewnie nadal mieszkał). Restauracja indyjska, z której zawsze zamawialiśmy jedzenie, znajdowała się zaledwie przecznicę dalej. Wokół mnie unosił się zapach wspomnień. Czułam się zestresowana, dzwoniąc do drzwi, chociaż był sam środek dnia pracy i Stuart na pewno był daleko stąd.

Rozległo się brzęczenie, drzwi się otworzyły. Za standardowym biurkiem stała bardzo niska kobieta o pomarszczonej twarzy koloru czekolady. W jej czarnych włosach widać było siwe pasma. Były zaczesane do tyłu nad jej wysokim czołem i spięte w kok jak u nauczycielki. Miała na sobie granatowy blezer i szal w kolorze szafranowym luźno owinięty wokół szyi.

- Pani Gupta? Uśmiechnęła się szeroko.

- Pani Blythe, jak sądzę? - Panna Blythe. Tak.

- A tak. Panna. Co za głupie określenie, prawda?
- Chyba tak.
- Usiądzie pani? - spytała, wykonując zamaszysty ruch. Zajęłam jedno z czarnych krzeseł biurowych naprzeciw jej biurka. Wyciągnęłam notes i długopis i położyłam je na kolanach.

- A więc - zaczęła pani Gupta - chciałaby pani napisać o naszym biurze?

- Tak, zgadza się. - Nagle zobaczyłam komodę za jej plecami. Były na niej trzy komputery Applea. Na ich wielkich monitorach widać było mniejsze prostokąty, a na nich widoki z kamer przedstawiające kobiety ze słuchawkami na uszach.

O co biega?

Pani Gupta podążyła za moim wzrokiem i obejrzała się przez ramię.

- Ach, to moje pszczołki-swatki.

- Słucham?

- Pracują w biurze obsługi klienta w Bangladeszu.

W razie gdyby czyjeś małżeństwo potrzebowało naprawy?

- Czyli nie kojarzy pani małżeństw osobiście? Uśmiechnęła się.

- Kiedyś każdą parą zajmowałam się osobiście. Ale dziś, w dobie internetu, możemy pomóc o wiele większej liczbie osób.

- To znaczy, że aranżowanie małżeństw to duży rynek?

- Duży rynek? Tak, chyba tak. Wolimy jednak nazywać je małżeństwami planowanymi.

- Ze względów marketingowych?

- Można tak to ująć. Młodzi ludzie są pod silnym wpływem współczesnej kultury. Pojęcie „małżeństwo aranżowane” wydaje się niektórym zbyt staroświeckie. To coś, co robili ich rodzice i dziadkowie.

- Czy młodzi ludzie sami podejmują decyzję o aranżowaniu małżeństw?

- Oczywiście, panno Blythe. Młodzi ludzie tego właśnie chcą. Sama pani zobaczy.

- Tak, dziękuję, że mi to pani umożliwiła.

- Zawsze do usług. Ale proszę mi powiedzieć, z jakiej perspektywy chce pani podejść do tematu?

- To znaczy?

Rozpostarła dłonie na biurku. Obrączka z polerowanego złota wbijała się w skórę na palcu serdecznym.

- Nie jest pani pierwszą dziennikarką, która się u mnie zjawia, panno Blythe. Co parę lat wraca moda na ten temat i dzwoni do mnie kobieta, zawsze jest to kobieta, mówiąc, że chciałaby się dowiedzieć czegoś o mojej firmie. Te artykuły są zawsze takie same.

- Jakie?

- Prześmiewcze.

Długopis zaczął wyslizgiwać mi się z dłoni. Dobrze wiedziałam, co miała na myśli. Plik artykułów w mojej torebce był przesiąknięty kpina, wręcz szyderstwem. Do niedawna sama tak właśnie napisałabym ten artykuł, o ile w ogóle bym to zrobiła.

- Ja przyjmę inną perspektywę.

- Naprawdę?

- Słowo. Nie mam... żadnego interesu w tym, żeby ośmieszać panią lub pani firmę.

Uśmiechnęła się, ale jej oczy mówiły: „to się jeszcze okaże”.

Następnie spotkałam się z państwem Singh. Po piętnastu sekundach wiedziałam już, że nie zbiorę zbyt dużo informacji do artykułu, a tym bardziej nie rozwieję obłoku

szaleństwa, który zawisł nade mną w chwili pierwszego spotkania z panią Cooper.

Państwo Singh prowadzili bar przy tej samej ulicy, przy której znajdowało się biuro pani Gupty. Kiedy ruszyłam w jego kierunku, nabrałam pewności, że już tam byłam. O ile dobrze pamiętałam, była tam niewielka lada dla gości, przy której można było zjeść pyszne, choć mocno przyprawione dania z curry. W momencie gdy otworzyłam drzwi, zaczęło mnie wiercić w nosie.

Nad głową zadźwięczał mi dzwoneczek informujący o moim przybyciu. Wewnątrz były cztery rzędy ustawionych ciasno ław upstrzonych kolorowymi egzotycznymi dekoracjami. Za ladą stał wysoki mężczyzna przy kości, z czerwonym turbanem na głowie - miał bardzo poważną minę. To był jeden z tych mężczyzn, który mógł mieć równie dobrze trzydzieści pięć, co pięćdziesiąt pięć lat. Jego górną wargę skrywały czarne wąsy. Kasę obsługiwała o wiele młodsza - na oko dwudziestotrzyletnia - wyglądająca na nieśmiałą kobieta. Włosy miała częściowo otulone prześwitującą białą chustą opadającą na ramiona.

- Pani Singh?

- Tak? - odparł mężczyzna szorstko i bez akcentu. Przez chwilę wpatrywałam się w kobietę. Uśmiechnęła się do mnie nerwowo i odwróciła wzrok.

- Czego pani chce? - spytał mężczyzna.

- Pan Singh, jeśli się nie mylę?

- Zgadza się.

- Jestem Anne Blythe. Dziennikarka. Czy pani Gupta przekazała państwu, że przyjdę?

Jego wzrok powędrował w lewo, a potem w prawo.

- A tak. Dzwoniła.

- Powiedziała, że zgodzili się państwo na wywiad... -Tak.

- Czy mogę go przeprowadzić teraz?

Zmarszczył brwi, wyraźnie chcąc odmówić, chociaż bar był pusty, a na ulicy nikogo nie było. Może to tylko moje odczucie, ale na jego miejscu pogadałabym z dziennikarką choćby po to, żeby przełamać monotonię. W tym barze można było popaść w depresję.

- Podać pani coś? - spytał w końcu.

- Słucham?

- Jadła pani lunch?

Spojrzałam na dymiący garnek pyszności za jego plecami. Zaburczało mi w brzuchu.

- Chętnie coś zjem.

Zmrużył oczy, ale kiwnął głową. Usiadłam przy ladzie i położyłam notes na zniszczonej laminowanej płycie. Mężczyzna zakrzętnął się przy kuchence, nie racząc nawet spytać, na co mam ochotę. Zobaczyłam, jak kroi kawałek ciasta i formuje go w znany mi kształt chleba naan. Poczułam czyjąś dłoń na łokciu. Pani Singh podeszła do mnie cicho jak kot. Usiadła na stołku obok mnie. Nic nie mówiła, tylko nieśmiało się uśmiechała.

Kiedy naan wylądował w piekarniku, pan Singh odwrócił się do mnie, krzyżując ręce na piersi.

- Szybko się piecze. Trzeba go pilnować.

Uznałam to za przyzwolenie na zadawanie pytań i skorzystałam z okazji.

- A więc oboje państwo zdecydowali się na... planowane małżeństwo?

Pani Singh zakryła dłonią usta.

- Tak, zgadza się - odparł pan Singh.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego zdecydował się pan na taki ślub?

- Byłem tak zajęty, że nie miałem czasu na szukanie żony - powiedział bez cienia uśmiechu.

Świetnie.

- A pani?

Wydawała się zdziwiona, że zwracam się bezpośrednio do niej.

- Ja też chciała męża - odparła łamaną angielszczyzną.
-Pytała rodziców, zgodzili się. Tak normalnie się robi.

Pan Singh coś burknął i odwrócił się do piekarnika. Gdy go otworzył, wydostała się fala gorąca. Wyciągnął złocisty chleb naan za pomocą dużej drewnianej łopatki. Zanurzył chochlę w bulgocącym garnku i nałożył szczodłą porcję do okrągłej miedzianej miski. Postawił ją przede mną, a ja od razu wiedziałam, że to będzie palące, ostre, za ostre, żeby zjeść.

- Po co pani pisze ten artykuł? - spytał.

- No cóż, ten temat zawsze mnie interesował. To ciekawe, jak w innych kulturach podchodzi się do małżeństwa.

- Ale pani... nie ma męża? - spytała pani Singh, wzdychając.
Sama miałam ochotę westchnąć. -Nie.

- Je pani czy nie? - burknął pan Singh.

- Oczywiście. Wygląda pysznie.

Podniosłam łyżkę i przemieszałam nią czerwono-brązowy sos. Zaczęło mnie palić w nosie. Poczułam, że zaraz, za chwilę kichnę... Za późno podniosłam rękę i kichnęłam tak potężnie, że niezwykle ostre vindaloo - teraz je rozpoznałam - rozprysło się na szybie między mną a panem Singh. Sięgnęłam po serwetkę, zachłystując się powietrzem. Skóra mnie paliła.

- Na zdrowie - powiedziała pani Singh, skrywając uśmiech.

Po rozmowie z państwem Singh byłam tak zniechęcona, że prawie zrezygnowałam z ostatniego spotkania. Ale potem pomyślałam o niepewnym spojrzeniu Williama, gdy prosiłam, by dał mi tę pracę, i o możliwościach, jakie by się przede mną otworzyły. Uznałam, że nie mogę się poddać.

Ashi Sharma, która zgodziła się ze mną porozmawiać, pod warunkiem że zachowa anonimowość, mieszkała z mężem i dwójką dzieci w dwupokojowym mieszkaniu niedaleko ode mnie. Kiedy otworzyła drzwi, uderzyła mnie jej niezwykła uroda. Miała migdałową skórę, jasnobrązowe oczy i gęste czarne włosy opadające falami na ramiona. Była ubrana w luźne dzinsy i T-shirt z odciskiem dziecięcej dłoni na ramieniu. Wspomniane dziecko, tłuście i zadowolone, było oparte o jej biodro.

Usiadłyśmy na pełnej zabawek kanapie w jej słonecznym salonie. Trzyletni maluch krążył hałaśliwie między nami, jadalnią a kuchnią. Zadałam kilka wstępnych pytań, a ona wyczerpująco na nie odpowiedziała.

Urodziła się w Bombaju, w dobrze sytuowanej rodzinie z klasy średniej. Gdy miała dwadzieścia dwa lata, ukończyła studia z zakresu literatury angielskiej na Oksfordzie. Związała się tam nawet poważnie z doktorantem z Kanady. Ale kiedy przyszedł czas na małżeństwo, zdecydowała się na tradycyjną metodę, którą popierali jej rodzice. Spytałam dlaczego.

- Wie pani, czasami sama zadaję sobie to pytanie - powiedziała cicho, z nienagannym brytyjskim akcentem. -Chociaż wychowałam się ze świadomością, że małżeństwo moich rodziców było aranżowane, zawsze żywiłam przekonanie, że to przestarzała metoda. Ale gdy dorosłam, uświadomiłam sobie, że czasem za szybko odrzucamy dawne zwyczaje. Mylimy wiedzę z mądrością. Zadałam

sobie pytanie, czy moi przyjaciele, którzy pobrali się z miłości, byli szczęśliwsi niż moi rodzice. Miałam wrażenie, że nie. Wydawało mi się, że często niedbale podchodzili do swoich związków. Nie pracowali nad nimi. A kiedy zauroczenie mijało, pojawiała się rozczarowanie.

- Kiedy poznała pani męża?

- On mieszkał tutaj, a ja z rodzicami, więc pisaliśmy do siebie, zanim spotkaliśmy się twarzą w twarz. Osobiście poznaliśmy się chyba dwa dni przed ślubem. Może trzy?

- Jak się pani z tym czuła? Pokołysała chwilę dziecko w ramionach.

- Mówiąc krótko, dziwnie.

- Domyślałam się.

- Tak, ale wie pani, to się szybko zmieniło. Mieliśmy bardzo wiele wspólnego. Naprawdę skorzystałam na tym, że zwróciłam się do pani Gupty. Ona dba o to, by wszystko się zgadzało. Kasta, religia, wartości. Nie chodzi o to, by powiedzieć: „Panie Sharma, mam dla pana dziewczynę, bardzo ładną dziewczynę”. - Ostatnie zdanie powiedziała z akcentem handlarza obnośnego, pochylając się do przodu. - Dobra swatka szuka wśród setek potencjalnych partnerów. A kiedy samemu się o tym decyduje, wiele zależy od przypadku.

Co jakiś czas robiłam notatki.

-Pani zdaniem najważniejsze jest podobne pochodzenie?

- Nie wydaje mi się. Oczywiście, to też jest ważne, ale... prawie od pierwszego e-maila od mojego męża poczułam więź, której nigdy wcześniej nie czułam. To samo nas śmieszyło, złościło. W pewnym momencie zaczęłam z niecierpliwością czekać na kolejne wiadomości od niego. Po kilku tygodniach co chwilę wymienialiśmy e-maile, czasami ca-

łymi godzinami. On mnie po prostu... rozumiał. Wie pani, co mam na myśli?

Poczułam dreszcz przechodzący po kręgosłupie. Bo nie wiedziałam, co miała na myśli, ale chciałam się dowiedzieć.

Naprawdę chciałam.

ROZDZIAŁ 6

POZWOLENIE NA START

Tydzień później wściekle wypełniałam kartki. Miałam oddać artykuł za dwie godziny. Podłoga wokół mojego biurka była zavalona kulkami papieru, a ja miałam kontuzję ramienia od zbyt wielu rzutów do kosza.

- Hej a.

- Czy to pani Anne Blythe? - spytał zimny, oficjalny głos.

- Tak.

- Mówi Karen z firmy Blythe & Company. Ścisnęło mnie w piersi.

-Tak?

- Zaraz poproszę pannę Cooper.

Moje serce zabiło ze dwadzieścia razy, zanim się odezwała.

- Witam, panno Blythe. Dzwonię, by poinformować panią o wynikach testu.

- Wolno pani podawać wyniki przez telefon? To nie łamię żadnego punktu regulaminu?

- To nie było badanie lekarskie, panno Blythe.

Modowa Faszystka wychyliła swoją ciekawską, przesadnie umalowaną twarz zza ścianki, która nas dzieliła. Odwróciłam się do niej plecami i zasłoniłam słuchawkę dłonią.

- Tak, oczywiście... Czyli mogę... To znaczy... Jestem...

- Pani wynik jest pozytywny. Może pani przejść do kolejnego etapu, jeśli pani chce.

Uzyskałam wynik pozytywny? A tak, w tym przypadku to była dobra wiadomość. Chyba... Jejku. Poczułam się, jakby moja klatka piersiowa miała eksplodować.

- Świetnie. Hm, to co teraz?

- Może pani przyjść jutro, jeśli pani sobie życzy. Wtedy to omówimy. Jest też oczywiście kwestia kolejnej wpłaty.

- Tak, oczywiście. To będzie dwa tysiące pięćset dolarów, tak? - gdy wymówiłam tę kwotę, prawie głośno przełknęłam ślinę.

- Zgadza się. Czy może pani przyjść jutro o jedenastej? Potwierdziłam i rozłączyłam się. Oparłam rękę nieruchomo na telefonie.

O mój Boże. Zdałam. Nadawałam się, nie byłam wariatką, a przynajmniej nie na tyle, żeby nie zostać dopuszczoną do' tego zwariowanego procesu. Jeśli wydam kolejne dwa i pół tysiąca ciężko zarobionych dolarów, dowiem się, czy na świecie istnieje mężczyzna stworzony dla mnie.

- Czego to były wyniki? - spytała Modowa Faszystka swoim nosowym głosem, znów wychylając się zza ścianki. Jej włosy, mające za każdym razem inny kolor tęczy, tego dnia mieniły się oberżyną. - Jesteś chora?

Powoli podniosłam na nią wzrok i przybrałam niewinny wyraz twarzy.

- Jeszcze nie.

Jej przesadnie wyskubane brwi podniosły się w rozczarowaniu.

-Aha.

Zniknęła z pola widzenia, a ja wróciłam do wewnętrznej paniki. Bo jeśli chciałam kontynuować proces, to miałam jeden mały problem. Poprawka. Jeden duży problem. Wyciągnęłam książeczkę czekową i podsumowałam saldo. Tak jak myślałam. Miałam na koncie cztery tysiące dwieście dolarów. Potrzebowałam tych pieniędzy na czynsz, opłaty i jedzenie. Spojrzałam na ostateczną wersję artykułu, nad którym właśnie pracowałam. Jeśli dobrze mi pójdzie, jeśli dostanę dział reportażu, może zdołam wpłacić kolejną ratę. Jeśli naprawdę będę tego chciała.

Nagle uświadomiłam sobie, że tego właśnie chcę. Ale skąd niby miałam wziąć resztę pieniędzy? Za jedzenie i inne rzeczy mogłam przez parę miesięcy płacić kartą kredytową, ale to nie zmieniało faktu, że siedem tysięcy dolarów nie pojawi się na moim koncie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Byłam też przekonana, prawie pewna, że żaden bank nie udzieli mi pożyczki na poszukiwanie męża.

Może Gil by mi pożyczył? Nie, to fatalny pomysł. Ostatnio, kiedy pożyczałam od niego pieniądze, ustalił grafik spłaty i co miesiąc do mnie dzwonił, żeby przypomnieć o kolejnej racie. Po tym wszystkim prawie przestaliśmy się do siebie odzywać, a ja przysięgłam sobie, że prędzej zamieszkam na ulicy, niż znów go poproszę o pieniądze. Poza tym gdybym go poprosiła, musiałabym mu powiedzieć, na co je wydam, a nie chciałam tego robić. Nie mogłam.

Spojrzałam na godzinę na ekranie komputera. Cholera. Jeśli miało mi się cokolwiek udać, musiałam jak najszybciej skończyć artykuł.

Wzięłam do ręki długopis i dopisałam kilka ostatnich akapitów. Poczulałam to przyjemne uczucie, które przychodzi zawsze, kiedy w świecie słów wszystko jest tak, jak być

powinno, kiedy słowa niemal czekają, żeby je odkryć. Byłam przekonana, że ten artykuł spełni oczekiwania Williama. A jeśli tak się stanie, to może naprawdę dostanę awans. Czy pani Cooper nie wspominała, że znalezienie partnera może zająć sześć miesięcy? W takim razie może zapłacę teraz te dwa i pół tysiąca, a do czasu następnej wpłaty odłożę resztę. Tak czy owak już najwyższa pora nauczyć się oszczędzać.

Ułożyłam na biurku kartki ze skończonym artykułem i zaczęłam go przepisywać na komputerze. Dochodząc do końca każdej linijki, mruczałam do siebie: „trrr-brzdęk!”.

Kiedy następnego dnia przyszłam na spotkanie, panna Cooper była milcząca jak nigdy. Był jasny, słoneczny dzień. Nieskalanie błękitne niebo zdawało się nie mieć końca. Chłodne światło wpadające przez okna sprawiało, że jej biuro wyglądało surowiej i bardziej bezosobowo niż zwykle, o ile to w ogóle było możliwe.

- Czyli nie jestem wariatką?

- Nie, panno Blythe. A sądziła pani, że jest?

Nie wiedziałam dlaczego, ale za każdym razem gdy wchodziłam do tego biura, mój iloraz inteligencji spadał przynajmniej o dwadzieścia punktów. Zaczynało mnie to już wkurzać.

- Oczywiście, że nie, ale...

- Trzeba być trochę postrzelonym, żeby tu przyjść?

- Pani to powiedziała.

- Uważa pani, że to, co robi, to szaleństwo?

- Przyzna pani, że to dość niecodzienne.

-No cóż, z tym się zgodzę, panno Blythe. Ale czasami to, co niecodzienne, przynosi najlepsze efekty.

- No tak.

- Ponadto małżeństwa aranżowane były czymś zupełnie naturalnym przez całe stulecia. Miłość romantyczna to współczesny wynalazek.

- Tak było napisane w ulotce.

I w moim artykule. Hm, ciekawe, co ona o tym pomyśli. Na jej wargach prawie pojawił się uśmiech.

- Czy ma pani kolejną ratę?

Wyciągnęłam wypisany czek i podałam jej. Włożyła go do beżowego segregatora, na którym nadrukowane było moje nazwisko. Blythe, Anne. Desperacko szukająca męża. Gdy podążyłam wzrokiem za jej dłońmi, zauważyłam, że nie ma obrączki. Jak mogło mi to umknąć? Czy bycie w związku małżeńskim nie jest warunkiem pracy w takim miejscu?

- Tam są moje wyniki?

- Zgadza się.

- Czy mogłabym je zobaczyć?

Na jej twarzy pojawił się prześłyk pogardy.

- A jest pani wykwalifikowanym psychologiem, panno Blythe?

Znowu się zaczęło. Kiedy już ze mną skończy, będę miała iloraz inteligencji kretynki i nie będę potrafiła nawet zawiązać sobie sznurowadeł.

- Nie, skądże.

- W takim razie nie ma powodu, żeby oglądała pani swoje wyniki.

- Nie rozumiem. Chce mnie pani zniechęcić do dalszego udziału?

- Skąd takie przypuszczenie?

- Nie jest pani zbyt uprzejma.

- Ja nie jestem od tego, żeby mnie pani lubiła. Ja mam znaleźć pani męża.

-Wiem o tym. Ale to wymaga ogromnego zaufania z mojej strony. Spodziewałam się, że będzie pani bardziej przyjazna, że będzie pani chciała mnie... zafrapować.

A masz, paniusiu. Nie na darmo czytałam w dzieciństwie słownik!

Nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Nie mam zamiaru niczego ani nikogo pani sprzedawać, panno Blythe, ani przekonywać, żeby zrobiła pani coś, czego nie chce. To pani do nas przyszła. Poprosiła pani o pomoc w znalezieniu kogoś, kogo sama nie zdołała pani znaleźć. Jeśli nie chce pani korzystać z naszych usług, nie będziemy pani zmuszać. Jeśli jednak się pani zdecyduje, wyniki testów wskazują, że możemy przejść dalej. Decyzja należy do pani.

- Chciałabym przejść dalej - powiedziałam, zdziwiona pewnością w swoim głosie.

Uśmiechnęła się, zaciskając wargi.

- Świetnie. Jak już wcześniej pani tłumaczyłam, poszukiwania partnera mogą zająć do sześciu miesięcy. Kiedy już znajdziemy właściwą osobę, zadzwonimy do pani. Jednak pani sesje terapeutyczne zaczną się już teraz. Proszę się zapisać w recepcji na pierwsze spotkanie. Ma pani jakieś pytania?

-Nie, wszystko jasne, dziękuję. - Wstałam. - Będę czekać na telefon od państwa.

Na pierwsze spotkanie z terapeutą udałam się tydzień później. Okropnie się denerwowałam.

Biuro mojego terapeuty znajdowało się w tym samym budynku co siedziba Blythe & Company, na czwartym piętrze. Atmosfera była jednak zupełnie inna. Szklano-stalowe wnętrza Blythe & Company wydawały się sterylne, biuro doktora Szwicka wyglądało zaś jak domowy salon rodziny która nie ma czasu na porządne sprzątnięcie. To ostatnie

pasowało też do doktora Szwicka. Jego brązowe włosy i za długa broda zapewne od ładnych paru tygodni domagały się strzyżenia. Koszula w paski raczej nie widziała żelazka. Ale jego jasnobrązowe oczy były pełne ciepła. Zmarszczki wokół nich świadczyły o życiowej mądrości, ale w jego spojrzeniu kryło się coś jeszcze, czego nie mogłam uchwycić.

- Witam, panno Blythe. Czy mogę pani mówić Anne?
-Wskazał mi duży, miękki fotel naprzeciw swojego. Był pokryty sztruksem w kolorze czekolady. Wyczułam ślad obecności jego poprzedniego pacjenta.

- Tak, oczywiście. - Przycupnęłam na skraju fotela i mocno zaparłam się stopami o podłogę. W oknach na całą wysokość ścian wisiały zaciągnięte ciężkie zasłony. Pomieszczenie rozjaśniał łagodny blask kilku lamp podłogowych. Domyśliłam się, że ten wystrój miał pomóc pacjentom w rozluźnieniu się, ale na mnie to nie działało. Serce trzepotało mi jak u małego ptaszka, ubrania nagle wydały się za ciasne.

-A więc zdecydowałaś się skorzystać z usług firmy Blythe & Company? - Doktor Szwick zasiadł w swoim fotelu. Rozłożył na kolanie czarny notes i wiecznym piórem w lewym górnym rogu strony zapisał datę.

-Tak.

- Zabawny zbieg okoliczności z tym nazwiskiem. Uważasz, że jesteś gotowa na małżeństwo aranżowane?

Może pan mi to powie?

- Tak sędzę.

Spojrzał na mnie pobłaźliwie.

- Anne, wiem, że czujesz się niezręcznie, ale musisz się trochę rozluźnić.

- To znaczy?

- Wyglądasz, jakbyś miała składać zeznania. Zupełnie jak moje nastoletnie dzieci, kiedy pytam, dokąd i z kim wychodzą.

- Przepraszam. Po prostu się denerwuję.

- Rozumiem. Zrobimy eksperyment. Chciałbym, żebyś wsunęła się w fotel tak głęboko, by twoje stopy nie dotykały ziemi. Śmiało, oprzyj się wygodnie.

Lekko machnął pulchną dłonią, chcąc mnie zachęcić. Niepewnie zaczęłam się wsuwać, aż w końcu moje stopy dyndały w powietrzu.

- Od razu lepiej. Jak się teraz czujesz? Poirytowana.

- Sama nie wiem.

- Ależ wiesz. Twoja mina mówi sama za siebie. Czujesz się jak dziecko. Nie podoba ci się to, bo dzieci nie mają kontroli nad tym, co się z nimi dzieje.

Co to za facet?

- Chyba rzeczywiście.

- To dobrze, właśnie tak powinnaś się czuć. -Myślałam...

Pochylił się w moją stronę.

- Tak? Śmiało, Anne, co chciałaś powiedzieć?

- Myślałam, że mam się rozluźnić.

- Ach tak. To właśnie przed chwilą sugerowałem, prawda? Kiedy spytałem, czy mogę ci mówić po imieniu.

Kiwnęłam głową.

- A teraz jesteś zdezorientowana? Znów kiwnęłam.

-Chciałbym, żebyś mi zaufała, Anne, jednak podczas tych spotkań nie będziesz się czuła komfortowo. Chciałbym, żebyś zaczęła się wnikliwiej przyglądać swojemu otoczeniu i na nie reagować. W ten sposób będziemy mogli przełamać schematy, które doprowadziły cię do Blythe & Company.

Dobrze?

-Chyba tak...

- Hmm. Jeszcze nad tym popracujemy.

Zapisał coś w notatniku. Jego pismo było zbyt kanciaste, bym mogła je odczytać z przeciwnej strony. Nie żebym próbowała.

Podniósł wzrok.

- Zacznijmy od początku. Dlaczego tutaj przyszłaś?

- Cóż... Przyszłam tu, bo nie umiem wybrać właściwego mężczyzny.

- Jak myślisz, dlaczego tak jest?

Zaczęłam machać nogami jak w dzieciństwie przy stole w jadalni.

-Nie wiem. Wszystkie moje związki kończyły się porażką, a wszyscy mężczyźni, z którymi się związałam, byli do siebie podobni. W sensie wyglądu zewnętrznego, ale też traktowałam ich w podobny sposób...

- Mów dalej. W jakim sensie traktowałaś ich podobnie?

- Chyba... skupiałam się przede wszystkim na tym, jak wyglądają, a nie na tym, jacy są.

- Jak myślisz, dlaczego tak jest?

Przecież bym tu nie przyszła, gdybym znała odpowiedź na to pytanie.

- Sama nie wiem.

- No, Anne. Powiedz, co podpowiada ci instynkt, co ci pierwsze przychodzi do głowy.

- Bo jestem płytka. Zmarszczył czoło.

- Nie, to raczej nie to. Tu chyba chodzi o coś innego. Ale to była moja instynktowna odpowiedź...

- Myślę, że jest tak dlatego - mówił dalej - że twoim zdaniem miłość powinna być prosta.

- Naprawdę?

- Tak. Nie chcesz pracować nad zakochaniem, chcesz po prostu być zakochana. Jak w bajce.

No serio, co to za facet?

- Skąd pan tyle o mnie wie? Przecież znamy się zaledwie od kilku minut.

- Czy w czymś się pomyliłem?

- Nie wiem. Chyba ma pan rację. Ale dlaczego pan tak myśli?

Uśmiechnął się. Boki jego brody zbliżyły się do kącików oczu.

- Wiele o tobie czytałem, Anne.

- Ma pan na myśli mój test? Aż tyle pan z niego wywnioskował?

- Niezupełnie. Po prostu już od dawna się tym zajmuję. Spotkałem się już z takim typem.

- Czyli jestem taka sama jak wszyscy?

- A przeszkadza ci to?

- Chyba każdy lubi myśleć o sobie, że jest wyjątkowy.

- Droga każdego do tego miejsca jest wyjątkowa, Anne. Liczy się to, co nastąpi dalej.

- To znaczy, że od teraz będę się musiała przystosować?

- Ależ nie. Chodziło mi o to, że musimy się przekonać, co w twoim wnętrzu dzieli cię od szczęścia, a potem razem to pokonać. Kiedy to nam się uda, będziesz gotowa, by w pełni się otworzyć na partnera, którego znajdzie ci Blythe & Company.

- Czy to znaczy, że mogliby wybrać kogokolwiek? Że to, kim jest partner, nie ma znaczenia?

- Skądże znowu. Tylko połączenie tych dwóch elementów może zakończyć się powodzeniem. Dopasowanie osobowości i przyjęcie nowej perspektywy. - Złączył razem dłonie.

- Moja obecna perspektywa to bajki?

- A nie jest tak?

Zacząłem się nad tym zastanawiać. Nad tym, jak marzyłam, by być Anią z Zielonego Wzgórza albo inną postacią

z książki czy filmu, na których punkcie miałam bzika, bo opowiadały historie ludzi, którzy byli sobie przeznaczeni.

- Chyba coś w tym jest. To znaczy raczej romanse niż bajki, ale rozumiem, o co chodzi.

- Jesteś gotowa z tego zrezygnować?

- Z czego? Z nadziei na szczęśliwe zakończenie?

- Nie, z przekonania, że nie będziesz musiała na nie pracować.

- Ale czy nie po to tu jestem? By już nie musieć nad tym pracować?

Posłał mi kolejny uśmiech. Miał duże kwadratowe zęby.

- Myślisz, że gadam bez sensu, prawda?

- Trochę.

- Czujesz się zagubiona i brak ci pewności siebie?

- Odkąd kazał mi pan tak usiąść - odparłam, machając nogami dla wzmocnienia efektu.

- To dobrze. Możemy ruszyć w drogę. -Dokąd?

-Do tego miejsca. Zacząć pracować nad tym, byś znalazła się tu i teraz.

- Myślałam, że już tu jestem.

- Niedługo będziesz, Anne. Niedługo będziesz.

ROZDZIAŁ 7

CZEKAM I CZEKAM

Byłam już po pracy. Jechałam pociągiem podmiejskim do Gila i Cathy. Mieszkali w tej samej części przedmieść, w której dorastaliśmy, dwadzieścia cztery minuty pociągiem, trzydzieści lat myślami. Zawsze gdy tam jechałam, odnosiłam wrażenie, że nic się nie zmieniło od czasu, gdy nosiłam warkoczyki i żółte spinki. Często się zastanawiałam, dlaczego Gilbert zdecydował się wrócić, zamieszkać tak blisko rodziców i przeszłości.

Wysiadłam na cichej stacyjce kilka przecznic od domu Gila i Cathy i zaczęłam iść w stronę ich ulicy. Domy obłożone sidingiem udekorowano migoczącymi lampkami świątecznymi. Sąsiedzi Cathy i Gila przeszli na wyższy poziom - na ganku ustawili rząd kiwających głowami reniferów. Duch Rudolfa, czerwono-nosego Renifera zakłócał spokój nocy.

Zatrzymałam się przed długą betonową ścieżką do drzwi domu Gila, który był lustrzanym odbiciem domu sąsiadów, nie licząc reniferów. Przez okno widać było dużą choinkę ustrójoną kolorowymi lampkami i bombkami.

Nacisnęłam dzwonek. Drzwi otworzyła Jane, lat sześć, rudowłosa, ze szparą między zębami. Miała na sobie dżinsowe spodnie dzwony obszyte na dole różowymi kwiatami i różowy sweterek.

- Ciocia Anne! Ciocia Anne!

Schyliłam się, żeby ją uściskać. Pachniała szamponem dla dzieci firmy Johnson & Johnson.

- Cześć, szkrabie. Odsunęła się.

- Wiesz, że na Gwiazdkę dostanę lalkę American Girl?

- Naprawdę? -Mhm.

- A skąd wiesz?

Spojrzała na mnie przebiegle.

- Mamusia z tatusiem mówili o tym wczoraj w salonie.

- Rozmawiali z tobą o twoim świątecznym prezencie?

- Nie. Powinnam już spać, ale byłam spragniona. - Wymówiła ostatnie słowo jak „spłagniona”.

- Nie wolno podsłuchiwać cudzych rozmów, Jane. Splotła dłonie za plecami i zaczęła nimi machać w przód i w tył.

-Nie zrobiłam tego specjalnie.

- Wiem, słoneczko. Nic się nie stało.

- Nie powiesz mamie, prawda? -Nic się nie bój.

Zmierziłam jej włosy. Potem wzięła mnie za rękę i pociągnęła w stronę kuchni w głębi domu. Zapach pieczonego kurczaka sprawił, że od razu zrobiłam się głodna.

Cathy stała nad kuchenką, mieszając sos. Czteroletnia Elizabeth o blond włosach i wielkich niebieskich oczach, trochę pulchna, stała przyklejona do jej kolan. Dwuletnia Mary, również blondynka, siedziała w kojcu w rogu.

- Cześć, Cath.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że jak zwykle promienieje dzięki ciąży. Jej ciemnoblond włosy splecione były w gruby warkocz, który opadał do połowy pleców, a czysta cera lśniła jak twarze dziewczyn z reklam Neutrogeny. Gdyby nie była jedną z najserdeczniejszych osób, jakie znałam, znie-nawidziłabym ją.

- Fajnie, że przyjechałaś, Anne. Dawno się nie widziałyśmy.

Wzięłam ciasteczko z talerzyka leżącego na blacie i wetknęłam do ust. Miało słodki maślany smak.

- Czy jeśli powiem, że byłam bardzo zajęta w pracy, to wystarczy jako wymówka?

Uśmiechnęła się. To po niej Jane miała niewielką szparę między zębami.

- Nie ma szans.

- No wiem, przegięłam. W końcu ty masz prawie czwórkę dzieci i w ogóle.

Roześmiała się niskim, radosnym śmiechem. Elizabeth spojrzała na nią z uwielbieniem. Widziałam, jak gromadziła w sobie ten śmiech na lata, gdy będzie starsza.

- Pewnie myślisz, że nam odbiło, co?

- Nie wam obojgu, tylko tobie. To w końcu ty zdecydowałaś się spędzić resztę życia z moim bratem.

Usiadłam w rogu kuchni na wytartym krześle obitym kwiecistą tkaniną. Jane wdrapała mi się na kolana. Oparła swoją jedwabną główkę o moją pierś i wetknęła kciuk do buzi. Była tak podobna do mnie w jej wieku, że prawie serce mi pękło. Patrzenie na to, jak rosła przez ostatnie sześć lat, było jak obserwowanie samej siebie.

- Ma swoje dobre strony.

- Skoro tak twierdzisz...

- Tak w ogóle to niezły artykuł. Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

Ukryłam rumieniec, chowając twarz we włosach Jane.
-Znajomy znajomego podobno chciał zostać wyswatany.

- Strasznie dziwne.

- Naprawdę myślisz, że to dziwne?

- Sama nie wiem. Chyba część tego, co mówiła ta dziewczyna z Oksfordu, była sensowna, ale raczej nie dałabym rady przejść przez chwile kryzysu bez miłości.

- Nie powiedziała, że go nie kocha.

- A powiedziała, że kocha?

- Nie, ale... - Urwałam. Cathy miała rację. Ashi ani razu nie użyła słowa „miłość”. To ja myślałam, że ją czuła. - To wy mieliście jakieś chwile kryzysu?

- Myślisz, że będąc rodzicami trójki dzieci, ani razu poważnie się nie pokłóciliśmy?

- Jasne, że nie. Po prostu... gdy się na was patrzy, to wydaje się łatwe i tyle.

- Miłość nie zawsze jest łatwa.

- Wiem.

Teraz to ona się zaczerwieniła.

- Przepraszam, nie chciałam... Powinnam zapytać, jak się masz...

- Odkąd odeszłam od Stuarta? Raz lepiej, raz gorzej.

- Spotykasz się z kimś? -Nie.

- To dobrze, bo jest taki facet u Gila w pracy...

- O, nie.

- Dlaczego?

- Bo... Chyba na razie nie mam ochoty na randki. Jane wyciągnęła z buzi ośliniony kciuk.

- Co to jest randka?

- To taka głupota, którą robią dorośli, żeby było im smutno.

- Daj spokój, Anne. Ten facet jest naprawdę świetny, a do tego gotowy, by się ustatkować.

-Innymi słowy: prze-le-ciał każdą dwudziestolatkę w jego zasięgu, a teraz, kiedy ma już mniejsze powodzenie w za-li-cza-niu, jest gotowy, by umówić się z kobietą w swoim wieku i zmarnować parę miesięcy jej życia, do czasu aż zrozumie, że nie potrafi się zaangażować.

- On naprawdę nie jest taki. Niedawno zakończył długi związek.

- Bo ją zdradzał? -Nie.

- Bo ona chciała mieć dzieci, a on nie?

- Nic z tych rzeczy, Anne. Przysięgam. Zwyczajnie im nie wyszło. On jest w porządku, ona jest w porządku, ale po prostu przestali się kochać. Nic wielkiego.

-Gdzie są moje dziewczyny? - zawołał Gilbert od progu.

Jane zeskoczyła z moich kolan, a Elizabeth oderwała się od Cathy. Obie pobiegly do drzwi, piszcząc wniebogłosy „Taaatuuuuś!” I znów się zaczęło. Ukłucie zazdrości, które często czułam, gdy do nich przychodziłam, a które sprawiało, że odwiedzałam ich rzadziej, niż powinnam.

Gil wszedł do kuchni, trzymając każdą z dziewczynek na jednej ręce. Mój brat ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, brązowe oczy i kręcone ciemne włosy z rudymi pasmami. Na skroniach zaczęły mu się pojawiać siwe kosmyki, a wokół oczu - kurze łapki. W przeciwieństwie do mnie nie ma bladej cery - jego skóra ma złotawy odcień i łatwo się opala. Powiedziałabym nawet, że jest przystojny, ale wtedy trafiłabym do tej samej szufladki co bohaterka *Kwiatów na poddaszu*. To w końcu tylko mój starszy brat, który czasem bywa denerwujący.

- Siemka, Kordelia. Fajnie, że jesteś.

Zacisnęłam zęby i lekko skinęłam głową.

- Cześć, Gilbert. Pocałował Cathy w kark.

- Cześć, śliczna. Odepchnęła go.

- No już, cześć.

- Czego się wstydzisz? Przecież Anne setki razy widziała, jak się całujemy.

- Mogę zamknąć oczy - dodałam.

- Przestańcie obydwójce.

Gilbert posadził mi dziewczynki na kolanach. Elizabeth zaraz wróciła na swoje stanowisko u stóp Cathy. Gil poluzował krawat i przerzucił marynarkę przez oparcie jednego z krzeseł przy blacie śniadaniowym.

- Cathy mówiła ci o Richardzie?

- Richard to ten od randki? - spytała Jane.

- Zgadza się, żabko - odparł Gilbert, uśmiechając się do mnie przebiegle.

W czasie obiadu Gilbert jakimś cudem przekonał mnie, żebym się umówiła z Richardem, prawnikiem z jego firmy. Tak naprawdę nie wiedziałam, czy mogę chodzić na randki w związku z tą całą sprawą z Blythe & Company. Pomyślałam jednak: cóż mam do stracenia?

Okazało się, że odpowiedź na to pytanie brzmi: kilka godzin z życia.

Wieczór zaczął się miło. Richard wybrał dobrą restaurację. Były w niej jasne drewniane podłogi, ceglane ściany i nastrojowe kwadratowe stoliki, nad którymi wisały podłużne żyrandole. Całe pomieszczenie było oświetlone w ten sposób, dzięki czemu wydawało się przytulne i żywe

zarazem. W dodatku czuć było smakowitą mieszankę zapachów dobiegających z kuchni.

Kelnerka poprowadziła mnie przez salę. Czułam się dobrze w swojej uwodzicielskiej czarnej spódnicy i miękkim sweterku w jedynym odcieniu różu, w jaki mogę się ubrać. Nawet włosy nieźle mi się tego dnia ułożyły.

Richard wstał, gdy podeszłam do stolika, i pocałował mnie na powitanie w oba policzki. Nigdy mi się nie podobał ten pseudoeuropejski zwyczaj, ale głos Gila w mojej głowie mówił, żebym się wyluzowała i dała facetowi szansę. Uśmiechnęłam się więc i usiadłam na krześle, które odsunął dla mnie Richard.

Ubrany był w grafitowy garnitur i nie włożył krawata. Włosy w kolorze piasku miał krótko ścięte, a ciemnobrązowe oczy w głębokim odcieniu przypominającym czekoladę. Był przystojny, z tym że nie w moim typie.

Zamówiłam gin z tonikiem.

- Miałaś ciężki dzień? - spytał Richard.

- Czemu pytasz?

- Tak pomyślałem... bo zamówiłaś takiego drinka...

- Lubię gin z tonikiem. - Chciałam to powiedzieć lekko, ale nie do końca mi się udało.

- Chyba nie powinienem był tego mówić, co?

- Chyba nie.

- To co powinienem powiedzieć?

- Że ślicznie wyglądam - rzuciłam żartobliwie, lekko uwodzicielskim tonem.

- Przepraszam. Miałem długą przerwę.

- Słyszałam.

Jego twarz zmarszczyła się jak od ukłucia. Cholera.

- Przepraszam. Ja chyba też nie powinnam była tego mówić.

- Nic nie szkodzi - odparł, ale po jego tonie poznałam, że wcale tak nie myśli.

Wziął do ręki menu i zaczął je przeglądać. Po chwili poszłam w jego ślady. Zdecydowanie za długo wybieraliśmy dania. Kelnerka wróciła z moim drinkiem. Pociągnęłam spory łyk i zakrztusiłam się gorzkim tonikiem.

- Mam pomysł - powiedział Richard, gdy kelnerka się oddaliła.

-Jaki?

- Udawajmy, że ja powiedziałem to, co trzeba, ty powiedziałaś to, co trzeba, i że od pięciu minut wszystko jest w porządku.

Uśmiechnęłam się.

- Brzmi nieźle.

Stuknęliśmy się szklankami i przez parę minut myślałam, że to może wypalić.

Nie byłam pewna, co sprawiło, że przestałam tak myśleć, ale co chwilę odnosiłam wrażenie, że mówimy nie to, co powinniśmy. Nic wielkiego, po prostu pasmo drobnych niezręczności. Zamówiłam rybę, on miał alergię na rybę. Ale nie powiedział tego, kiedy składałam zamówienie, tylko dopiero gdy chciałam się z nim podzielić, przy czym odepchnął mój widelec. Spytałam, jaki jest Gil w pracy, a on opowiedział, jak w czasie kiedy był żółtodziobem, mój brat go zjechał. Dzięki takim historiom mogłabym się ponabijać z Gila, ale słysząc je od Richarda, wolałam bronić brata.

Najgorsze jednak było to, że Richard chyba nie zauważał, jak kiepska jest nasza randka. Tylko na początku miał chwilę przebłysku, kiedy się zorientował, że fatalnie zaczęliśmy, ale ta chwila już dawno minęła.

Spędziliśmy razem dwie niezręczne godziny, po których przez co najmniej dwadzieścia minut czekaliśmy na

rachunek. Nawet niewyczuwający sytuacji Richard zaczął się niecierpliwić.

- Co robisz w przyszły piątek? - spytał. Ups.

- Nie wiem jeszcze, pewnie będę miała sporo pracy. Kelnerka w końcu przyniosła rachunek. Już miała odejść, ale chwyciłam ją za rękę i zatrzymałam przy stole.

- Chwileczkę, zapłacimy od razu.

Sięgnęłam do torebki, ale Richard podał jej swoją kartę, zanim zdążyłam wydobyć moją.

- Spieszysz się gdzieś? - spytał, gdy odeszła.

Czy naprawdę będę musiała powiedzieć to głośno?

- No wiesz, miałam ciężki dzień. Jestem trochę zmęczona.

- Jasne, rozumiem - powiedział z rozczarowaniem. Kelnerka na szczęście szybko wróciła, a my wstaliśmy, żeby wyjść. Na ulicy podziękowałam mu za kolację.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Powinniśmy to kiedyś powtórzyć.

-Cóż...

- Jestem w tym tygodniu trochę zajęty, ale mam wolny piątek.

- Już o tym mówiłeś w restauracji.

- Jasne, jasne. A ty wspomniałaś, że możesz nie mieć czasu...

- Tak, przykro mi.

- Nic nie szkodzi. Zadzwoń do ciebie w tygodniu, może będziesz już wiedziała, czy uda ci się wyrwać.

Spojrzałam mu przez ramię i za późno się zorientowałam, że pochyła się do pocałunku. Zamarłam, nie będąc w stanie się odwrócić. Jego usta przelotnie dotknęły moich. Byłam zbyt oszołomiona, a pocałunek za krótki, żebym mogła stwierdzić, jak by się nam całowało. Zobaczyłam

zbliżające się światła taksówki i podniosłam rękę, żeby ją zatrzymać.

- Jeszcze raz dzięki za kolację.

Wskoczyłam do taksówki, zanim zdążył coś odpowiedzieć. Kierowca ruszył. Spojrzałam na zegarek. Piętnaście po dziesiątej. Spróbuję.

- Halo - powiedział Gil cichym głosem sugerującym: „lepiej, żeby to była ważna sprawa, skoro ryzykujesz obudzenie moich dzieci tuż po tym, jak je położyłem”.

- Chyba sobie żartujesz.

- Kto mówi?

- Dobrze wiesz, kto mówi. Kaszlnął.

- Ach, witaj, Kordelia.

- Nie „ach-witaj” mnie tu. Wkurzyłam cię jakoś i o tym nie wiem?

- Nie bawiłaś się dobrze?

- Nie. Nie bawiłam się dobrze. Jak mogłabym się z nim dobrze bawić?

- To Anne - szepnął do Cathy. - A co jest z nim nie tak?

- Jest niewrażliwy, nie wyczuwa sytuacji i nie pije kawy.

- Nie żartuj, Anne.

- Nie żartuję. W ogóle nie zaiskrzyło. Naprawdę. W ogóle. Westchnął.

- Nie rozumiem cię.

- A co tu do rozumienia?

- Kogo ty szukasz?

- Kogoś, z kim poczuję więź. Kogoś, kto będzie mnie dobrze traktować.

- Oczywiście, że tak, kochana. - Cathy podniosła słuchawkę drugiego telefonu na linii. - I znajdziesz go.

- Dzięki, Cath.

- Myślę, że powinnaś dać Richardowi jeszcze jedną szansę - powiedział Gil.

- Czemu?

- Pamiętasz, jak było z mamą i tatą? Pamiętasz ich zasadę? Zasada moich rodziców brzmiała: trzeba pójść z kimś

trzy razy na randkę, zanim się go skreśli. Dlaczego? Bo ich dwie pierwsze randki były potworne i dopiero na trzeciej zaczęli się dogadywać. Zawsze uważałam, że mama poszła na kolejne randki przez nazwisko taty (miała szansę wyjść za mężczyznę o nazwisku Blythe, zupełnie jak Ania z Zielonego Wzgórza!), a tata poszedł, bo mama była najfajniejszą laską, jaka kiedykolwiek się z nim umówiła.

- No więc?

- Zastanowię się.

- Na pewno?

- Już powiedziałam. Zejdź ze mnie.

-Może poczekaj, aż zadzwoni, i wtedy zdecyduj? - powiedziała Cathy rozsądnie.

- Może tak zrobię. Zgadamy się. Na razie. Rozłączyłam się i zaczęłam śledzić wzrokiem światła

samochodów przesuujące się za oknem.

Gdy wróciłam do mieszkania, włączyłam komputer i sprawdziłam pocztę. W samym środku wiadomości z listy mailingowej „Twista” znalazłam e-mail od mojej agentki Nadii zatytułowany „Mam wieści!” i przez chwilę nie mogłam złapać oddechu.

Wpatrywałam się w nagłówek, czując się tak jak wtedy, gdy dostawałam listy z wynikami rekrutacji na uczelnię. Tylko że wtedy cienka koperta oznaczała „nie”, a gruba - „tak”. Ten e-mail wyglądał tak samo jak pozostałe.

Tak czy nie? Tak czy nie? Nie dowiem się, dopóki nie otworzę... Kliknęłam na tytuł. Serce waliło mi jak szalone.

Anne, przepraszam, że piszę to za pośrednictwem poczty elektronicznej, ale przez pomyłkę usunęłam Twój numer komórki. W każdym razie mam świetne wieści! Odpowiedziała mi dzisiaj redaktor naczelna z Wessona. Jest zachwycona książką, oto ich propozycja...

Tak, tak, tak! Wydadzą moją książkę. Uważali, że jest świetnie zredagowana i chcieli ją włączyć do wiosennej serii. Tak im się spodobała, że proponowali umowę na dwie książki. A do tego miałam dostać zaliczkę: piętnaście tysięcy dolarów. Jezu! Piętnaście tysięcy!

W końcu mogłam kupić samochód, pojechać na wakacje albo... wyjść za mąż.

Teraz mogłam wyjść za mąż. Nareszcie mogłam.

ROZDZIAŁ 8

SZYKUJE SIĘ IMPREZA

- Cześć, tu Sarah. Zostaw wiadomość.
- Sarah! Jak możesz nie odbierać?! Mam wieści. Wspaniałe wieści! Wiem, powinnam poczekać, aż się spotkamy, ale nie mogłam wytrzymać. Wydadzą moją książkę! Dostanę zaliczkę i takie tam. Ale gdzie ty w ogóle jesteś? Oddzwoń!
- Wiesz, kto mówi, wiesz, co robić.
- William! Gdzie ty jesteś? Zadzwoń do mnie, jak tylko odsłuchasz wiadomość! Też wiesz, kto mówi.
- Dodzwoniłeś się do Gilberta, Cathy, Jane, Elizabeth i Mary. Niektórzy z nas nie umieją jeszcze odebrać telefonu, a inni są zajęci. Zostaw wiadomość.
- Gilbert, Cathy, tu Anne. Gdzie wy, do diabła, jesteście? Przecież przed chwilą gadaliśmy. A w ogóle, Gil, to wasze nagranie wcale nie jest śmieszne. W każdym razie mam wieści. Dosyć ważne, więc zadzwońcie.
- Dodzwoniłeś się do domu Blythebw. Zostaw krótką wiadomość, oddzwonimy.
- Mamo, tato, tu Anne. Podnieście słuchawkę. Mamo, wyłącz to cholerne *CSI* i podnieś słuchawkę! No dobra,

chyba was nie ma. Zadzwońcie, kiedy odsłuchacie wiadomość.

Nie mogłam uwierzyć, że nikt nie odebrał telefonu. To była najważniejsza chwila w moim życiu i nie mogłam się do nikogo dodzwonić, żeby się tym podzielić w piątkowy wieczór.

Potrzebowałam męża, i to jak.

Wieczorem nikt do mnie nie oddzwonił. W ciągu weekendu odezwali się wszyscy, w przewidywalnej kolejności. Sarah jako pierwsza, mój brat jako ostatni. Wszyscy bardzo się ucieszyli. Ojciec był dziwnie zainteresowany szczegółami finansowymi. Mama chciała wiedzieć, komu zadedykuje książkę. Do tego ograniczało się jej zainteresowanie treścią. Nawet nie pytała, czy może ją przeczytać, a ja, żeby się odwdzińczyć, nigdy jej o to nie poprosiłam. Jeśli mam być szczerą, muszę przyznać, że gdyby wiedziała, o czym jest, pewnie by ją przeczytała, ale nie o to chodzi, prawda?

Sarah i ja zdecydowałyśmy, że zorganizujemy łączone przyjęcie przedmałżeńsko-przedwydawnicze. Spędziłyśmy pół godziny, omawiając szczegóły i chichocząc, jakbyśmy organizowały szesnaste urodziny. zaproponowała, że zadzwoni do Mikea, odwoła ich wspólne plany i wpadnie do mnie, ale nie chciałam o tym słyszeć.

Kiedy się rozłączyłyśmy, byłam podekscytowana. Powinam wyjść, ale mocno padało i było ponuro, a to zniechęcało do wystawiania nosa za drzwi bez absolutnej konieczności. Przerzucałam chwilę kanały w telewizji, ale były w nich tylko programy z poradami, jak schudnąć. Próbowałam czytać, ale nie mogłam się skupić, nie mówiąc już o pisaniu. Przez chwilę rozważałam, czy nie pojechać do rodziców, ale wiedziałam, że żałowałabym tego chwilę po przyjeździe.

W końcu postanowiłam urządzić przemeblowanie. Zawsze sprawiało mi przyjemność patrzeć na nowy układ mebli.

Zaczęłam od sypialni. Przesunęłam łóżko pod okno, żeby móc czytać przy porannym świetle, gdy wcześniej się obudzę w weekend. Znalazłam jedenaście gumek do włosów i parę sporych kotów kurzu. Następnie wyciągnęłam z komody szuflady, żeby przesunąć ją pod przeciwną ścianę. Przejrzałam ubrania i zaczęłam przygotowywać paczkę dla potrzebujących. Po chwili podniosła się chmura kurzu, a ja zaczęłam potężnie kichać.

Kiedy skończyłam, stanęłam w progu, podziwiając rzeczy należące tylko do mnie. Przestało padać, słońce przeświecało przez firanki, nadając pomarańczowy poblask białej puchowej kołdrze i jasnoszarym ścianom. Powietrze pachniało sosnowym odświeżaczem i ziołami w doniczce na oknie. Wszystko wyglądało czysto, subtelnie i solidnie.

Poczułam się spokojniejsza. Szczęśliwa.

Poczułam, że wiem, jak doszłam do tego miejsca.

- Poczułam, że wiem, jak doszłam do tego miejsca - powiedziała doktorowi Szwickowi na następnej sesji.

Zbliżały się święta, tego ranka zobaczyłam pierwsze płatki śniegu. Były małe i twarde - to najpaskudniejszy rodzaj śniegu, jaki znam. Wiał porywisty wiatr, ale ciężkie adamaszkowe zasłony przypięte mocno nad oknami tłumiły jego dźwięk. Brakowało tylko ognia trzaskającego w kominku.

- Co się wydarzyło? - spytał doktor Szwick. Był ubrany w granatowy sweter z naszytymi zamszowymi łatami na łokciach. Wydawało się, że broda zawładnęła kolejnym centymetrem jego twarzy.

Wzruszyłam ramionami.

- Następnego dnia wyszło słońce. -1 jak się wtedy czułaś?

- Tak jak wtedy, gdy tydzień temu siedziałam z nogami nad ziemią.

- To dobrze.

- Nie czułam się wtedy za dobrze.

- Bo nie miałaś się tak czuć.

- Skoro tak pan mówi.

- Tak mówię. - Pióro zgrzytliwie przesuwało się po papierze.

- Tak więc, Anne, ciekaw jestem... czemu napisałaś ten artykuł o małżeństwach aranżowanych?

- Czytał go pan? -Tak.

Spojrzałam w jego czujne oczy. Serce zatrzepotało mi tak jak wtedy, gdy wicedyrektor szkoły przyłapał mnie na wagarach w toalecie.

- Nie wspomniałam o firmie Blythe & Company.

- Zauważyłem. Oczywiście, gdybyś to zrobiła, nie byłoby cię tutaj.

- Grozi mi pan?

- Nie, tylko przypominam, że zgodziłaś się na zachowanie naszego procesu w tajemnicy.

- Nie zapomniałam o tym.

- To dobrze. Zatem jak wpadłaś na pomysł, by napisać ten artykuł?

Wytarłam spocone dłonie o uda.

- Cóż, nagle dostałam szansę napisania czegoś do tego działu, a skoro już i tak szukałam informacji na ten temat, wie pan, tak ogólnie...

Rany. Można by pomyśleć, że rozmawiałam z panną Cooper.

- Czy aby na pewno o to chodziło?
 - Tak, oczywiście, możliwość porozmawiania z ludźmi, którzy zostali wyswatani, była kusząca. Pan na moim miejscu nie byłby ciekaw?
 - Zapewne. Znalazłaś odpowiedzi na swoje pytania?
 - Chyba. Druga kobieta, z którą rozmawiałam, była wykształcona i miała spory potencjał. Wydawała się szczęśliwa, spokojna. Odniosłam wrażenie, że znalazła to, czego ja szukam.
 - Czyli?
 - Osobę, z którą wszystko wydaje się właściwe. Z którą można poczuć, że dwoje ludzi to coś więcej niż suma jednostek.
 - Dlaczego właśnie tego chcesz?
 - Czy nie tego pragnie większość ludzi? Zaczął stukać wiecznym piórem w notes.
 - Niewielu z nich zwraca się do Blythe & Company.
 - Co racja, to racja.
 - Wróćmy do rozmowy z poprzedniej sesji, jak myślisz, dlaczego jeszcze nie znalazłaś takiej osoby?
 - Nie wiem.
 - A co z twoim poprzednim związkiem? Czemu nie wyszłaś za... - Rzucił okiem do notatek. - Stuarta?
- Ramiona napięły mi się na dźwięk jego imienia.
- To akurat łatwe pytanie. Bo fatalnie mnie traktował.
 - Czemu pozwalałaś mu się tak traktować?
 - Sama nie wiem. Potrzęsnałam głową.
 - Daj spokój, Anne. Dobrze wiesz.
 - To może pan mi powie - rzuciłam obrażonym tonem.
 - Nie mogę sam podnosić wszystkich ciężarów. Powiedz, czemu pozwalałaś mu się tak traktować?

Sama milion razy zadawałam sobie to pytanie.

- Naprawdę nie potrafię odpowiedzieć. Ale z przyjemnością usłyszę pańską hipotezę.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Czy chodzi tutaj o część bajki?

- Jakim cudem to miałyby być część bajki? Ludzie w bajkach nie obchodzą się ze sobą w taki sposób.

- Nie? Przecież bohaterka zawsze jest uciśniona, zanim ktoś ją wybawi. I wtedy pojawia się rycerz na białym koniu.

- A zatem twierdzi pan... że pozwoliłam Stuartowi na zdradę, żeby ktoś mnie wybawił, bo... gdybym tego nie potrzebowała, to nigdy nie zjawiłby się bohater?

- Brzmi znajomo?

- Sama nie wiem. A jeśli tak jest, to czemu od niego odeszłam?

Uśmiechnął się.

- Sama się wybawiłaś. Sama stałaś się bohaterem. Wsunęłam się głębiej w fotel, opierając głowę na oparciu.

- Skoro sama jestem bohaterem, czy to znaczy, że do końca życia pozostanę samotna?

- Nie, to znaczy, że jesteś gotowa na kogoś, kto będzie naprawdę do ciebie pasował, a nie do twoich fantazji o bohaterach.

- Blythe & Company nie znajdzie dla mnie bohatera? Cholera. To za co ja tyle płacę? Jego broda się poruszyła.

- Za rozpoczęcie kolejnej historii.

- Jak ona się skończy?

- Wkrótce się przekonamy, Anne.

Przez następne trzy tygodnie chodziłam otumaniona szczęściem, które spłynęło na mnie wraz z kontraktem na książkę. Zakłócało mi je tylko podenerwowanie, gdy przypominałam sobie, że czekam na telefon od Blythe& Company. Święta minęły jak z bicza strzelił. Parapet przy oknie wykuszowym wypełnił się uśmiechniętymi twarzami rodzin moich przyjaciół. Przez chwilę rozważałam rozesłanie kartek ze zdjęciem mojego „dziecka” - kopia pierwszej strony książki - ale wolałam wydać te pieniądze na prezenty dla bratanic.

Sylwestra spędziłam z Williamem na dużej, prawie anonimowej imprezie w czyimś lofcie. Sarah i Mike dołączyli do nas przed północą, promieniejąc. Otaczał ich kokon miłości. O północy dostałam buziaki w policzki od Williama i Mikea. Nowy Rok. To będzie mój rok, pomyślałam, sącząc szampana. Czekały mnie same dobre rzeczy.

W okamgnieniu minęły dwa tygodnie. Przyszedł wieczór naszej imprezy przedmażeńsko-przedwydawniczej, a ja stałam przed barem i trzęsłam się, otulona płaszczem, czekając, aż Richard zapłaci za taksówkę.

Poszłam na imprezę z Richardem, bo dorwał mnie w momencie otumanienia. Najwyraźniej od podpisywania umów wydawniczych się nie mądrzeje. Gdy już weszliśmy, rozejrzałam się po pokoju za Sarah i Mikiem. Rozmawiali z rodzicami Sarah i jej młodszą siostrą. Przedstawiłam im Richarda.

Sarah podniosła ze zdziwieniem brwi.

- Niezły - powiedziała bezgłośnie. Wyglądała pięknie w sukience w kolorze wina i z lśniącoymi lokami.

- Nudziarz - odparłam, też bezgłośnie. Sarah powstrzymała chichot. Mike, wysoki i dość barczysty, z jasnobrązowymi włosami i oczami w tym samym kolorze, pocałował mnie w policzek.

- Gratuluję, Anne.

Podziękowałam i odwzajemniłam gratulacje. Uśmiechnął się radośnie i otoczył Sarah ramieniem.

- Anne wygląda dziś pięknie, prawda? - powiedział Richard i otoczył mnie ramieniem, naśladując Mikea.

Miałam na sobie granatową satynową sukienkę związaną na szyi, z odkrytymi plecami. Kupiłam ją specjalnie na tę okazję. Była trochę zbyt wyszukana i gdy zimne palce Richarda otarły się o moją skórę, powodując nieprzyjemny dreszcz, zaczęłam żałować tego wyboru.

Wyślizgnęłam się spod jego ramienia i przez parę minut gawędziłam z rodzicami Sarah. Potem, zostawiając Richarda pogrążonego w opowiadaniu Mikebwi o swojej pracy, uciekłam do baru. Był tam William, właśnie płacił za drinka. Miał na sobie elegancką koszulę w paski i modne džinsy z rozdarciami.

Włosy sterczały mu na głowie jak wykrzykniki.

- Kozacko wyglądasz, ziom!

- Dzięki.

Wziął mnie za rękę i rozciągnął je.

- Mówię poważnie, Anne. Z sukcesem ci do twarzy. Promieniejesz.

- To chyba poblask rozdrażnienia. - Wskazałam głową za siebie, gdzie Richard wciąż rozwodził się nad pasjonującym zajęciem, jakim było poprawianie trzydziestostronicowych umów, czy inne bzdury. Dwie oliwki i do dna.

- To chyba nie Richard?

- A któżby inny?

- Po co go tu przyprowadziłaś?

- Bo boję się umrzeć, mając za towarzyszy tylko koty? -1 słusznie. Szkoda, że w ogóle mnie nie pociągasz.

- Ta, szkoda, że ja nie pociągam ciebie. Wyszczrzyliśmy się do siebie.

-W każdym razie chciałabym dzisiaj świętować swój nieprawdopodobny talent i szczęście Sarah z kimś, kto może mi zafundować parę drinków.

Barman postawił przede mną kieliszek martini. Nalał od serca. Srebrno połyskujący płyn sięgał aż do krawędzi.

William uniósł kieliszek.

-Rozumiem. W takim razie dzisiaj, wyjątkowo, będę świętować twój talent.

- Dzięki, stary.

- Cześć, kochanie - powiedziała do mnie mama za moimi plecami. - Nie zimno ci w tej sukience?

Tylko spokojnie, Anne, tylko spokojnie.

Odstawiłam drinka na bar i odwróciłam się do rodziców. Za nimi stali Gil i Cathy. Tata to jakby starsza wersja Gila poza tym, że ma moje oczy. Włosy mamy, obcięte do połowy szyi, są tego samego koloru co moje, ale w niczym więcej nie jesteśmy podobne. Oczy ma blade, a twarz okrągłą, bez żadnych kantów. Tego wieczoru miała na sobie płaszcz w stylu lat czterdziestych, który odziedziczyła po cioci. Każdy pretekst jest dla niej dobry, by go włożyć. Sama nie wiem czemu.

- Nie, mam, jest dobrze. Cześć, tato.

- Cześć, skarbie, przepraszamy za spóźnienie. - Tata objął mnie, przyciskając mocno do swojej szorstkiej beżowej kurtki.

- Nic nie szkodzi - odparłam. - Cześć, Gil. Cześć, Cath.

- Cześć, Kordelia. - Gilbert trącił mnie w podbródek. -Jestem z ciebie dumny, siostrzyczko.

Gardło ścisnęło mi się, gdy usłyszałam emocje w jego głosie.

- Dzięki.

- Gdzie są wszyscy? - spytała mama, rozglądając się.

- W głębi sali. - Wskazałam w stronę balonów i serpentyn, które wcześniej rozwiesiłyśmy z Sarah.

Poszliśmy w stronę napisu „Gratulacje!”, rozmawiałam z gośćmi, piłam i przyjmowałam pochwały. Janey, Nan i Susan przyjechały z mężami, cieszyły się moim szczęściem i opowiadały śmieszne historyjki z życia młodych matek. Moja agentka podeszła do mnie, trajkocząc o prawie autorskim i finalizacji mojego kontraktu. Odesłałam ją do Gilberta. Czas co chwilę zwalniał i przyspieszał. Byłam szczęśliwa i zdenerwowana zarazem. Wypiłam kilka martini z oliwkami. Znow odłączyłam się od grupy, gdy usłyszałam, jak moja mama mówi:

- No wiecie, to po mnie ma talent literacki. Mam całe szuflady pisaniny, którą zawsze chciałam poskładać w jakąś całość.

Na darmo próbowałam przyciągnąć uwagę barmana. Flirtował z jakąś panienką, która chyba nie była pełnoletnia. Z radia dudniła piosenka Alicii Keys, a ja nie miałam ochoty wrzeszczeć.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytał mężczyzna stojący obok mnie. Jego głos był niski i zmysłowy.

Spojrzałam na niego i poczułam skurcz w żołądku. Był wysoki, szczupły, miał krótkie czarne włosy ułożone jak ten przystojniak w filmie *Szesnaście świeczek*. Właściwie w ogóle bardzo go przypominał, z tym że był niewiele po trzydziestce. Miał niebieskie oczy i lekko zadarty nos. Na biały T-shirt włożył koszulę w czerwono-niebieską kratę.

Martini sprawiło, że nabrałam śmiałości.

- Mógłbyś sprawić, żeby barman na chwilę przestał się interesować tamtą panienką?

- Dla ciebie wszystko - odparł, patrząc mi prosto w oczy.

Włożył do ust kciuk i palec wskazujący, po czym krótko i przenikliwie zagwizdał, co zwróciło uwagę barmana. Normalnie uznałabym, że to prostackie, ale tego wieczoru, w wykonaniu tego mężczyzny, wydawało się właściwe,

a nawet pociągające. Gdy barman niechętnie podszedł w naszą stronę, przystojny nieznajomy uśmiechnął się figlarnie i spytał, jakiego chcę drinka.

- Martini z wódką.

- Już się robi.

Patrzyliśmy, jak barman przygotowuje nasze drinki. Mój nowy znajomy zapłacił i podał mi kieliszek.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Zdrowie.

Upiłam łyk. Drink nie wchodził mi tak, jak trzeba. Nie powinnam już więcej pić.

- Zawsze chciałam się tego nauczyć - powiedziałam.

- Tego? - Podniósł do ust kciuk i palec wskazujący. - To proste. Trzeba tylko złączyć usta i dmuchnąć.

Roześmiałam się.

- Jesteś fanem Bogarta?

- Staram się.

- Nie usłyszałam, jak masz na imię.

- Aaron. A ty?

- Anne.

Przez chwilę nad tym dumał.

- Anne. Podoba mi się.

- Trochę nudne, co?

- A czy ty jesteś nudna, Anne?

Nasze ramiona lekko się stykały. Czułam szorstki materiał jego koszuli i ciepło jego skóry pod nią.

- Mam nadzieję, że nie. Jesteś tu sam?

- Umówiłem się z kolegą, ale się spóźnia. A ty?

- Jestem z nimi. - Wskazałam kieliszkiem w stronę balonów i ludzi pod nimi.

- A z jakiego powodu ta impreza?

- Chyba częściowo z mojego.

- Wychodzisz za mąż?

- To co tu świętować?

- Nie widzisz we mnie nic godnego świętowania? Obejrzał mnie od góry do dołu.

- Widzę w tobie wiele rzeczy godnych świętowania... Ale nie trzeba do tego serpentyn i balonów.

Poczułam, jak gorąco uderza mi do twarzy. Obiecałam sobie, że więcej nie piję.

- Wydaję książkę.

- Świetnie. Jaki ma tytuł? -*Dom*.

- A o czym jest?

- O grupie przyjaciół, którzy wracają do...

- Anne? Cholera.

- Hej, Richard. Spojrzał wrogo na Aarona.

- Co ty tu robisz? -Przyszłam po drinka.

Aaron się odsunął. Poczułam nagle chłód na ramieniu.

- Twoja mama o ciebie pytała. Coraz lepiej.

- Rozmawiałaś z moją mamą?

- Jasne. Sama się przedstawiła.

- No pewnie, że tak.

- Co to niby miało znaczyć? - Był chyba bardziej zagubiony niż zły.

Rozejrzałam się za Aaronem. Stał już w drugim końcu sali, rozmawiał z mężczyzną w dwurzędowej kurtce - to był pewnie ten kolega, na którego czekał.

- Nic takiego. Wracajmy na imprezę.

Spojrzałam przez ramię i napotkałam wzrok Aarona. Uniósł w moją stronę opróżniony do połowy kieliszek.

Wieczór się ciągnął, a ja wciąż na niego zerkałam, obserwując jego ruchy przy barze. Sarah mnie na tym przyłapała. -ToTadd? -Co? Nie!

- Strasznie podobny. Znacie się?

- Chwilę z nim rozmawiałam. Naprawdę uważasz, że wygląda jak Tadd?

Zmrużyła oczy.

- Jak skrzyżowanie Tadda ze Stuartem.

Znow spojrzałam na Aarona. Sarah miała trochę racji. Cholera.

- Znasz jakieś kobiety w naszym wieku? - spytałam. - A co?

- Bo potrzebuję najlepszej przyjaciółki.

- Phi. A kto by ci mówił oczywistości, gdybyś mnie nie miała?

- Racja.

Jej oczy lśniły z miłości i zadowolenia.

- Dziękuję za ten wieczór.

- Nie, to ja dziękuję. - Uściskałam ją. Nawet pachniała szczęściem. - Naprawdę cieszę się twoim szczęściem.

- Wiem. A ja twoim.

Rozdzieliliśmy się. Spojrzałam w stronę Aarona. Jakaś część mnie chciała dać mu numer telefonu. Inna część się bała, że chcę tego tylko ze względu na jego wygląd. Ale przecież fajnie nam się gadało, prawda? To był całkiem miły flirt, czyż nie?

Ostatecznie sobie odpuściłam. Byłam zmęczona i postanowiłam powiedzieć Richardowi, że chcę już iść. Zaczęłam szukać go w tłumie. To było w stylu niewłaściwego mężczyzny: nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny.

- Anne? - Aaron położył mi dłoń na ramieniu. Z kolei właściwy mężczyzna...

Miał na sobie kurtkę. Ciemnoniebieski materiał idealnie pasował do jego oczu.

- Może dam ci numer telefonu?

- No dobrze.

- Świetnie. - Podał mi wizytówkę. - Najłatwiej mnie złapać przez komórkę.

- Miło było cię poznać. - I wzajemnie, Anne.

Patrzyłam, jak odchodzi, zupełnie jak w jakimś głupim filmie. Obejrzał się raz i posłał mi obezwładniający uśmiech.

Kiedy zlokalizowałam Richarda, rozmawiał z moimi rodzicami. Widziałam, że ojciec tylko udaje, że słucha, co jakiś czas wydając pomruk zrozumienia. Robił tak, kiedy był znużony. Jego pomruki wpasowywały się w słowotok Richarda tylko w jednej trzeciej przypadków. Richard oczywiście niczego nie zauważał.

- Anne! - Tata prawie się na mnie przewrócił z ulgi.

- Richard, chyba już chcę iść do domu.

- Wobec tego czas na nas. - Richard ujął dłoń mojej mamy i ją ucałował, co rozbawiło tatę. - Pani Blythe, bardzo miło się rozmawiało. Mam nadzieję, że jeszcze nie raz to powtórzymy.

- A tak, oczywiście - powiedziała wymijająco. - Jeszcze raz gratulacje, kochanie.

- Dzięki, mamó. Dobranoc, tato. Tacie załśniły oczy.

- Na ilu randkach już byliście? Stłumiłam śmiech.

- Dzisiaj jest druga. Mama się ożywiła. - Wiesz, Richard...

- Ta historia nikogo nie obchodzi, Dianę. Czas na nas.

Czasami naprawdę kocham mojego tatę. - No już dobrze, idę. Anne, czy to z Taddem wcześniej rozmawiałaś?

W taksówce uchyliłam się od pocałunku Richarda (postanowiłam, że trzeciej randki nie będzie) i uciekłam do mieszkania. Byłam zmęczona, ale zbyt podekscytowana, by zasnąć. Usadowiłam się na mojej średnio wygodnej kanapie i zaczęłam przerzucać kanały w telewizji.

Gdy patrzyłam, jak kamerzysta śledzi Paris Hilton, myślami znów powędrowałam do Aarona. Przypomniałam sobie, jak na mnie patrzył, dotyk jego koszuli na ramieniu. Wyciągnęłam jego wizytówkę z kieszeni płaszcza i zaczęłam obracać ją w palcach.

Chyba nic się nie stanie, jeśli poszukam jakichś informacji o nim w internecie, prawda?

Wpisałam jego nazwisko w Google. Oto i on: specjalista do spraw inwestycji, ukończył MBA i miał liczne osiągnięcia. Na zdjęciu na stronie swojej firmy wyszedł całkiem dobrze, ale poczułam niepokój, gdy dostrzegłam jeszcze większe podobieństwo z Taddem.

Przejrzałam pozostałe wyniki. W połowie strony zobaczyłam coś, co mnie zmroziło. To była informacja o ślubie sprzed mniej niż roku. Państwo Price zawiadamiali, że ich córka Anne wyszła za Aarona Denisa, bla, bla, bla. Aaron uśmiechał się radośnie do aparatu, obejmując piękną blondynkę.

Jasna cholera. Chyba nie kłamał, gdy mówił, że podoba mu się moje imię. Chyba dlatego chciał, żebym zadzwoniła na komórkę. Wiedziałam! No dobra, nie wiedziałam. Ale powinnam była się domyślić. Co za drań!

Podarłam jego wizytówkę na drobne kawałeczki i wyrzuciłam do śmieci. Niech to szlag. Od Stuarta odeszłam parę

miesiący temu, ale mój instynkt ciągle był do bani. Gdy widziałam pięknego mężczyznę, od razu traciłam głowę i nie widziałam niczego wokół siebie. Pewnie nawet miał obrączkę, a ja jej nie zauważyłam. A do tego wszystkiego Richard jest pewnie całkiem ciekawym facetem. No, może nie. Ale to niczego nie zmienia.

Chodziłam po mieszkaniu, szukając czegoś, w co mogłabym uderzyć albo to ścisnąć. Zamiast tego zobaczyłam, że w moim telefonie miga czerwona lampka - dostałam

wiadomość. Gdy ją odsłuchiwałam, wzięłam do ręki szklany przycisk do papieru *leżący* obok. Miałam tylko jedną wiadomość. Nagraną o siedemnastej czterdzieści siedem z nieznanego numeru.

- Witam, panno Blythe. Z tej strony Samantha Cooper. Z przyjemnością informuję, że znaleźliśmy dla pani partnera. Proszę zadzwonić w poniedziałek, umówię panią na spotkanie. Życzę miłego weekendu.

Prawie nie mogłam oddychać. Ścisnęłam przycisk do papieru tak mocno, jak mogłam, ale palce ślizgały się po gładkim szkłe.

Znaleźli mi partnera.

Już nie potrzebowałam instynktu.

Miałam Blythe & Company.

CZESC II

ROZDZIAŁ 9

NIE PIĆ WODY

Mój samolot wylądował miękko na lotnisku w Cancun w Meksyku dokładnie miesiąc po tym, jak otrzymałam wiadomość od panny Cooper. Odebrałam bagaż, przeszłam przez kontrolę paszportową i wydostałam się na zewnątrz, prosto w otępiający upał. W gardle czułam gęste powietrze, które miało smak kurzu. Słońce odbijało się od bielonych ścian. Osłoniłam oczy, rozglądając się za czymś, co wyglądałoby znajomo. Pośród morza taksówek stał mężczyzna trzymający kartkę z napisem „Blythe & Company”.

- Pani od Blythe & Company? - spytał z latynoskim akcentem.

-*Si.*

-Proszę iść do autobusu numer siedemdziesiąt. To w tamtą stronę. - Wskazał na długi rząd busów ustawionych przy ścianie budynku. Rzeka bladoróżowych turystów w jasnych szortach i podkoszulkach ustawiła się przed autobusami. Wyglądali na podekscytowanych i spragnionych zimnego napoju.

- *Gracias.*

Przed autobusem numer siedemdziesiąt pociły się cztery kobiety, stojąc w nierównej kolejce. Stałam na końcu i czekałam z niecierpliwością. Kobieta przede mną - przed czterdziestką, o gasnącej urodzie i włosach w kolorze słomy - uśmiechnęła się do mnie nerwowo. Pewnie panikowała tak samo jak ja. Podczas oczekiwania w myślach powtórzyłam sobie harmonogram, który mieliśmy realizować przez następne dwa dni: spotkanie organizacyjne, czas wolny, spotkanie z partnerem, obiad, wieczór kawalerski i panieński, sen, śniadanie, ślub. Brzmiało to jak mieszanka obozu, wycieczki w liceum i snu, w którym wszystko wydaje się prawdziwe, chociaż nie ma sensu. Najgorsza była ta świadomość dręcząca mój umysł i niedająca spokoju sercu - za dwa dni miałam zostać mężatką.

Na spotkanie z panną Cooper udałam się trzy dni po imprezie. Gdy weszłam do jej gabinetu, zobaczyłam białą teczkę leżącą równo na środku jej biurka. Wyczułam, że wszystko, co mi zdradzi na temat mojego przyszłego męża, znajduje się w tej teczce, i nie mogłam oderwać od niej wzroku. Wpatrywałam się w nią z niecierpliwością, zachłannością, może nawet pożądaniem. Jej rogi wyglądały na tak ostre, że można by się zaciąć, gdyby postępować z teczką niewłaściwie. Ale ja miałam zamiar postępować z nią właściwie.

Przede wszystkim jednak chciałam się dowiedzieć, co -kto - kryje się w środku.

- Chciałaby to pani przeczytać, jak mniemam? - spytała, swobodnie biorąc teczkę do ręki.

Ostrożnie z tym, paniusiu! W środku jest mój mąż.

- Tak, bardzo chętnie.

Podawała mi ją z nieodgadnioną miną. Położyłam ją na kolanach i przesunęłam palcami po jej brzegach. Były tak

ostre, jak sądziłam. Zamiast żołądka miałam kłębek nerwów. Wzięłam głęboki oddech i ją otworzyłam. W środku znajdowała się jedna biała kartka, na której napisano:

Profil partnera dla Anne Blythe

Jack H., 34 lata, pisarz/dziennikarz. 178 cm wzrostu, brązowe włosy, zielone oczy, rodzice nie żyją, jedynak, kawaler, chce mieć dzieci, ukończył uniwersytet. Pierwsza próba kojarzenia. Współczynnik dopasowania: 8.

Siedziałam, wpatrując się w kartkę. Przeczytałam ją jeszcze raz i znowu, aż w końcu znałam na pamięć każde słowo. Ale nieważne, jak długo bym się wpatrywała - informacje na stronie pozostały bez zmian.

Jacku H., czy jesteś właściwym mężczyzną?

- Co to znaczy „współczynnik dopasowania: 8”?

- To jednostka miary, której wartość obliczamy na podstawie typów osobowości i pasujących cech.

- Ale co z tego wynika?

- Nic z tego nie wynika.

- To skąd mam wiedzieć, czy trafiliście? Po jej twarzy przebiegł wyraz irytacji.

- Dopasowanie określamy w skali od jednego do ośmiu. Jeden oznacza najśłabsze dopasowanie, a osiem najlepsze.

- Czyli pasujemy do siebie? - Nie dawałam za wygraną. - Tak, panno Blythe. Nie doprowadzamy do spotkań

osób, które mają współczynnik niższy niż siedem. Dlatego mamy tyle sukcesów.

- Czy on dostanie takie same informacje o mnie?

Zawahała się.

- Tak, dostał takie same informacje na pani temat.

- Dostał? On już o mnie wie?

- Tak, panno Blythe.

Serce zaczęło mi walić jak szalone. W jakimś miejscu na ziemi, możliwe, że właśnie w tym biurze, Jack H. przeczytał krótki akapit o mnie i pomyślał... No właśnie, co?

- Dlaczego on dowiedział się pierwszy? - spytałam, czując się jak dziecko.

- Przekonaliśmy się, że lepiej zyskać pewność co do zgody mężczyzny, zanim przedstawimy profil kandydata kobiecie.

Zastanowiłam się nad tym.

- Bo mężczyźni lepiej radzą sobie z odrzuceniem?

- Nie tyle lepiej, ile po prostu inaczej.

- Czyli to, że pokazała mi pani tę kartkę, oznacza, że on zgodził się... ze mną ożenić?

-Tak.

Bum, bum, bum.

- Zgodził się na pierwszą zaproponowaną partnerkę czy otrzymał wcześniej inne profile?

- Nie, pani jest pierwsza. To właśnie oznacza zwrot „pierwsza próba kojarzenia”.

Wybrał mnie. Wybrał mnie! Jack H. nie ma pojęcia, kim jestem, ale zgodził się ze mną ożenić. Jak to w ogóle możliwe?

- Co teraz będzie?

- Od pani zależy, czy będziemy kontynuować proces.

- Czyli... ja mam decydować?

- Oczywiście. Pani decyduje od początku.

- Ile mam czasu na decyzję?

- Czas nie jest tu ograniczony, ale...

- Nie powinnam kazać mu czekać.

Posłała mi jeden z tych swoich bladych uśmiezków.

- Uważamy, że lepiej nie czekać zbyt długo. Druga strona może się zniescierpliwzić.

- A jeśli się zgodzę, to co dalej?

- Kolejny wyjazd planowany jest na piętnastego.

Miała na myśli wypad do kurortu w Meksyku, gdzie odbywały się śluby. Siedem dni w pełnym słońcu i nocy pod księżycem w pięciogwiazdkowym hotelu. *A propos...*

- Nie powiedziała mi pani, jak wygląda kwestia noclegów.

- Będzie pani miała pokój dla siebie przez tydzień.

- Więc nie mamy... - Urwałam, czując się tak jak wtedy, gdy na zajęciach ze szkolną higienistką wyrwało mi się jakieś głupie pytanie.

- To, co będzie pani robić z mężem po ślubie, zależy od pani, panno Blythe. Z pewnością może pani porozmawiać o tym z doktorem Szwickiem.

Kiwnęłam głową, rumieniąc się jak kretyńka, i jak najszybciej stamtąd uciekłam.

Przez kolejnych parę dni prawie nie spałam. Gdy przyszłam na kolejne spotkanie z doktorem Szwickiem, ogarniała mnie panika.

- Jak pan sądzi, co powinnam zrobić? - spytałam go, siedząc cała napięta na brzegu fotela.

- Ja ci nie powiem, Anne.

- Dlaczego?

- Dobrze wiesz dlaczego.

- Ale skoro ktoś może mi wybrać kandydata na męża, dlaczego nie możecie mi powiedzieć, czy mam za niego wyjść?

- Blythe & Company mówi ci tylko, jaki jest typ osoby, z którą powinnaś się związać. Decyzja o tym, czy wyjść za mąż i czy zrobić to w takich okolicznościach, to życiowy wybór, którego musisz sama dokonać, Anne. - Położył dłonie na kolanach. - Wiem, że jesteś zbyt bystra, aby nie dostrzegać tej różnicy, więc co cię trapi?

- Chyba to, że to wszystko wydawało się bardzo abstrakcyjne. Po prostu robiłam to na próbę, to nie miało do niczego prowadzić, a już na pewno nie tak szybko.

- Będę z tobą szczery, Anne. To się dzieje szybciej, niż bym chciał. Chyba powinniśmy jeszcze popracować. Idealnie by było, gdybyśmy mieli więcej czasu. Ale Jack jest takim świetnym partnerem dla ciebie i...

Przerwałam mu.

- Jak to: „Jack jest takim świetnym partnerem dla mnie”? Poznał go pan?

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Oczywiście, że tak, Anne. Myślałem, że zdajesz sobie z tego sprawę. Pracowałem z nim tak samo jak z tobą. Spotykam się ze wszystkimi klientami Blythe & Company w mieście.

- Przychodził tutaj? - Położyłam ręce na oparciach fotela tak, jakbym mogła tam znaleźć coś, co powie mi o nim więcej niż szczątkowe informacje na kartce od panny Cooper.

- Oczywiście.

- Jaki on jest? Niech mi pan wszystko opowie.

- Anne, dobrze wiesz, że nie mogę ci powiedzieć wszystkiego. W swoim czasie poznasz odpowiedzi na swoje pytania, jeśli zdecydujesz się kontynuować proces. Ale muszę przyznać, że cieszę się, że spytałaś, jaki on jest, a nie jak wygląda. To chyba oznacza postęp.

Albo i nie. Naprawdę chciałam wiedzieć, jak wygląda.

- Czyli... powinnam za niego wyjść? - nie mogłam się powstrzymać.

Potrząsnął głową.

- Zróbmy eksperyment.

- Znów pan chce, żebym się poczuła niekomfortowo? Już się tak czuję.

- Nie. Chcę, żebyś się rozluźniła. Oprzyj się wygodnie, zamknij oczy i powoli policz do dziesięciu.

Odchyliłam się.

- Co mam robić, kiedy będę liczyć?

- Nic, Anne. Po prostu zamknij oczy i zacznij liczyć. Nie myśl o niczym poza liczeniem. Wyobraź sobie, że w twojej głowie pojawiają się kolejne liczby. Wykorzystaj je, aby odsunąć wszystkie inne myśli. Gotowa?

Zamknęłam oczy. Próbowałam odsunąć od siebie wszystko poza liczbami. Jeden... dwa... trzy... cztery... pięć... Wyobrażałam sobie kolejno każdą liczbę - były tak błyszczące, że aż bolały mnie powieki.

- Doliczyłaś do dziesięciu? -Tak.

- Dobrze. To teraz wróć myślami do chwili, w której postanowiłaś przyjść do Blythe & Company. Pamiętasz, gdzie wtedy byłaś?

- Tak, byłam w pracy.

- Co robiłaś?

- Rozmawiałam z najlepszą przyjaciółką, Sarah. Powiedziała mi, że się zaręczyła.

- Oświadczyła, że wychodzi za mąż, po czym ty zdecydowałaś się przyjść do Blythe & Company?

-Tak.

- Dlaczego? Nie mów „nie wiem”.

Powoli wciągnęłam i wypuściłam powietrze. Raz... dwa... trzy... teraz liczby miały pastelowe kolory. Były pomalowane kredkami wyjeżdżającymi za linie, tak jakby malowały je moje bratanice.

- Chyba chciałam mieć to, co ona.

- Tak. Ale dlaczego postanowiłaś to zdobyć z pomocą Blythe & Company?

- Bo sama nie potrafiłam tego zrobić.

- Czy nadal tak jest? Czy wciąż chcesz tego, co ma Sarah?

Sześć... siedem... osiem...

- Tak, chyba tak.

- Odpowiadaj zdecydowanie, Anne. Czy potrafisz zdobyć to, czego chcesz?

-Nie.

- Czy nadal chcesz mieć to, co ma Sarah? -Tak.

- Czy powinnaś wyjść za Jacka?

Dziewięć... dziesięć... jeden... dwa... liczby rozbłysły jasno, a potem znikły.

- Sugeruje pan, że jeśli wyjdę za Jacka, zdobędę to, czego chcę, mimo że tego nie potrafię?

- A jak ci się wydaje?

- Chcę zdobyć to, czego pragnę. -Więc?

- Chcę wyjść za Jacka.

- Dobrze, Anne. Otwórz oczy.

Powoli otworzyłam oczy. Światło mnie raziło, tak jak wtedy, gdy w środku nocy zapali się lampę w łazience. Potarłam pięściami oczy, a gdy znów widziałam wyraźnie, zobaczyłam uśmiech doktora Szwicka.

- Jak się czujesz?

- Podekscytowana.

- To dobrze, Anne. Bardzo dobrze.

Wyszłam z gabinetu doktora Szwicka na haju, który trwał aż do przyjazdu do Meksyku. Dokończyłam obowiązki, poprosiłam o urlop i powiedziałam wszystkim, że jadę na spontaniczne wakacje z okazji podpisania umowy na wydanie książki. Co wieczór siedziałam do późna, przeglądając adiustację mojej książki. Kupiłam trochę ciuchów na plażę i poszłam do fryzjera. I oczywiście dziesięć razy się rozmyślałam, ale cały czas udawało mi się trwać przy swoim.

Dzień przed planowanym wyjazdem kupiłam sukienkę, którą miałam włożyć na ślub. Wszystko było gotowe.

Wsiadłam do autobusu i zajęłam miejsce obok krągłej kobiety po czterdziestce z rozwichrzonymi kasztanowymi włosami, w których przebijały pierwsze siwe pasma. Miała na sobie luźną kremową spódnicę aż do kostek i lnianą koszulkę bez rękawów. Pachniała oliwką dla niemowląt i lawendą.

- Cześć - powiedziała pogodnie. - Jestem Margaret.

- Anne.

- Byłaś już kiedyś w Meksyku?

- Nie. A ty?

- Nie. Ciekawe, gdzie są faceci.

Sama rozpaczliwie starałam się o tym nie myśleć. Próbo-
wałam nie patrzeć na twarze mężczyzn w samolocie, którzy
mieli brązowe włosy, i nie zastanawiać się, czy któryś z nich to
Jack. Czy naprawdę nie zobaczę tego mężczyzny przed
dzisiejszym wieczorem?

- Dobre pytanie - odparłam.

- Może będą jechać innym autobusem?

- Pewnie tak.

- Jak twój ma na imię?

Trochę się wstydziłam wyjawić komuś to imię. Przez to
stawało się jakby bardziej rzeczywiste. Chociaż chyba nie
mogło być już bardziej realne, skoro siedziałam w autobusie
jadącym na spotkanie z nim.

- Jack.

- Mój ma na imię Brian. Zabawne, ale nigdy mi się nie
podało to imię. Ale cóż. Na pewno będzie dobrze. Podoba ci
się imię Jack?

- Właściwie tak.
- Czym się zajmuje?
- Jest pisarzem.
- Brian jest księgowym. Zawsze myślałam, że to strasznie nudny zawód, ale to chyba dobrze, że ma stałe zarobki, prawda? Pisarz. Hmm. To chyba nie jest zbyt stabilny zawód.
- Poczułam napięcie w ramionach.
- Ja jestem pisarką.
- Jej jasnobrązowe oczy otworzyły się szeroko.
- Para pisarzy. O, kurczę. Na pewno będzie dobrze.
- Czemu wciąż to powtarzasz?
- Co takiego?
- Że na pewno będzie dobrze.
- Naprawdę? No wiesz, tak się tylko mówi. Po prostu Blythe & Company ma taki wysoki odsetek prób zakończonych powodzeniem. Na pewno wybrali dla nas właściwe osoby. Z tym że... - Pochyliła się, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu. - Zastanawiałaś się, czy zdarza im się mylić? No wiesz, pomieszać dane albo coś?
- Nie... Nie zastanawiałam się nad tym... Aż do teraz!
- Machnęła niedbale ręką.
- A, nie przejmuj się tym. Na pewno mają na to jakieś sposoby, no wiesz, rejestry czy coś, żeby zapobiec takim sytuacjom.
- Miałam cholerną nadzieję, że tak. Wyjrzała przez okno.
- Zauważyłaś, że sporo tu klasycznych garbusów Volkswagena?
- Nie...
- Zobacz, jedzie następny! - Trąciła mnie pięścią w ramię. Mocno. - Żółty garbusek!

- Ała. - Zaczęłam trzeć ramię w miejscu, w którym mnie uderzyła.

- Przepraszam. Po prostu lubimy się tak bawić z synem. Czasem nie zdaję sobie sprawy z własnej siły.

- Masz dziecko?

- Jasne. Ma na imię David. Ma dziewięć lat.

- Miałaś już męża? -Mhm.

- Poznałaś go... zwyczajnie? Roześmiała się pogodnie.

- Oczywiście. No co? Myślisz, że tylko dziwolągi, które nie potrafią znaleźć męża w zwykły sposób, korzystają z usług takich firm?

- Nie, oczywiście, że nie, przepraszam.

- W każdym razie, kiedy moje małżeństwo się rozpadło, postanowiłam inaczej do tego podejść. Korzystałam z chrześcijańskiego biura matrymonialnego, kiedy siostra powiedziała mi, jak naprawdę poznała męża. Myślałam, że padnę, ale kiedy się nad tym zastanowiłam, dostrzegłam wiele plusów.

- Na przykład?

- Nie trzeba przechodzić przez te wszystkie randki, poznawanie się, zastanawianie, czy jestem dość ładna, szczupła i mądra, można zapomnieć o tych wszystkich bzdurach. Od razu zaczyna się od budowania przyszłości z kimś, z kim mogę się zaprzyjaźnić. Wiesz, ja i Sal, czyli mój pierwszy mąż, chyba się tak naprawdę nie lubiliśmy, nawet na początku. Do ślubu już prawie wszystko mnie w nim wkurzało, ale David był w drodze, więc...

- Rozumiem.

- W każdym razie pomyślałam, że to fajne, że przez jakiś czas nie będę nic wiedziała o Brianie. Czy nie jest tak? No wiesz, niespodzianki i wkurzające drobiazgi mogą poczekać.

Poza tym, zauważyłam, że coś, co denerwuje nas w naszym partnerze, nie jest tak irytujące, gdy dostrzegamy to u przyjaciół. Wiesz, o czym mówię? Kogo obchodzi, czy przyjaciel źle wyciska pastę z tubki albo nie opuszcza deski klozetowej? Blythe&Company chyba wie, co robi z tą całą „filozofią przyjaźni”. Skąd się o nich dowiedziałaś?

W głowie mi wirowało, gdy próbowałam nadażyć za Margaret. Chwilę potrwało, zanim dotarło do mnie pytanie.

-A, no cóż...

- Jesteśmy na miejscu!

Autobus zatrzymał się przed wejściem do hotelu, który wyglądał podobnie do wszystkich, które mijaliśmy po drodze. Był zdobiony biało-żółtym stiukiem, miał ogromne szklane drzwi, schody były pokryte kolorowymi kafelkami. Od lazurowego, spokojnego bezkresu oceanu dzielił nas pas niesamowicie białego piasku.

Wysiadaliśmy i przeszliśmy z walizkami do holu, karnie ustawiając się w kolejkę przy biurku recepcjonistki. Kolorowe kafelki zdobiły też wnętrze hotelu, dodając życia ścianom pod półokrągłym stiukowym sklepieniem. Poza obsługą hotelową w holu nie było żadnych mężczyzn, a i tych ciężko było od siebie odróżnić - wszyscy w białych uniformach i beżowych krawatach. Gdy przyszła moja kolej, mężczyzna za ladą sprawdził moje dane i podał mi broszurkę informacyjną. Włożył mi na rękę niebieską plastikową bransoletkę -tygodniową przepustkę na posiłki i drinki - i kazał uważać, żebym jej nie zgubiła.

Razem z Margaret przeszliśmy z holu w stronę skrzydła hotelu, w którym znajdowały się nasze pokoje. Cały czas trajkotała, gdy szliśmy drogą wyznaczoną przez różowe kwiaty bugenwilli. Powietrze było przesycone ich słodkim, nieco ostrym zapachem. Słyszałam stłumiony odgłos fal rozbijających się o brzeg, ich kojący pomruk.

- O, to mój pokój - powiedziała Margaret z ekscytacją przy drzwiach z numerem czterdzieści dwa. - Do zobaczenia na spotkaniu organizacyjnym!

Po minucie dotarłam do pokoju numer pięćdziesiąt osiem. Podłoga była wyłożona jasnoszarymi kafelkami. Słońce prześwitywało przez lekkie firanki. Na ogromnym łóżku leżała narzuta w jaskrawe kwiaty. W rogu pokoju, na okrągłym stoliku, stał kosz owoców, które wyglądały, jakby były z wosku.

Czułam się brudna i zmęczona po podróży, więc wzięłam prysznic w wielkiej wykafelkowanej łazience. Woda była twarda i trochę pachniała solą, ale strumień był mocny i gorący. Gdy skończyłam, nałożyłam warstwę kremu do opalania, ubrałam się w plażowe ciuchy i poszłam na spotkanie.

Odbywało się w pomieszczeniu obok holu, oddzielonym od świata tylko szkłem. Obserwowałam grupę mężczyzn grających w siatkówkę na plaży, gdy panna Cooper prowadziła spotkanie. Ubrana jak zwykle w szarości i beże, wydawała się nie na miejscu pośród tych jasnych letnich kolorów. Podobnie jak w autobusie, w pomieszczeniu znajdowały się tylko kobiety. Było nas około dwudziestu. Najmłodsze były przed trzydziestką, a najstarsze - po pięćdziesiątce.

Panna Cooper omówiła harmonogram i wyjaśniła, że hotel Blythe& Company jest połączony z hotelem obok, w którym zatrzymują się zwykli urlopowicze. Dzięki białej opasce na nadgarstku miałyśmy tam dostęp.

- Mam pytanie - powiedziała Margaret. - Gdzie są mężczyźni?

- Przyjechali wczoraj. A właśnie: proszę, nie rozmawiajcie panie z mężczyznami aż do dzisiejszego wieczornego spotkania.

- Dlaczego?

Panna Cooper posłała jej swoją firmową zirytowaną minę. Ucieszyłam się, że nie ja jedna wywoływałam ten wyraz na jej twarzy.

- Uważamy, że lepiej jest, by obie grupy pozostawały rozdzielone aż do oficjalnego spotkania.

- Czyli chodzi o to, żebyśmy nie zbratały się z niewłaściwymi osobami?

- Owszem. A więc, tak jak mówiłam...

Gdy spotkanie się skończyło, miałyśmy całe popołudnie dla siebie. Zapoznanie z naszymi partnerami zaplanowane było na szóstą. Cztery godziny, które zostały do tego czasu, wydawały się wiecznością.

- Chcesz się przejść na basen? - spytała Margaret.

- Jasne. - Spojrzałam na plan hotelu, który dała nam panna Cooper, wysilając, jak mogłam, swój pobawiony orientacji przestrzennej umysł. - To chyba będzie w tę stronę.

- Nie, lepiej chodźmy do tego drugiego, obok.

- Jak to?

- A chcesz się całe popołudnie zastanawiać, czy któryś z facetów na basenie to twój przyszły mąż?

- W sumie masz rację.

Chociaż hotel obok był architektoniczną kopią naszego, miał zupełnie inną atmosferę. Nasz był wyważony i subtelny, podobnie jak biura Blythe & Company, z tym że w meksykańskim stylu. Ten miał w sobie klimat juwenaliów. Głośna muzyka wprawiała podłogę w wibracje, a kąpiel topless chyba była dozwolona. Pośrodku basenu znajdował się nawet pływający bar otoczony zapijającymi się mężczyznami i kobietami pogrążonymi w szalonym flircie.

Usiadłyśmy na dwóch leżakach pokrytych niebieskim materiałem. Znów posmarowałam się kremem z filtrem.

- Zdejmujesz górę? - spytała Margaret.

- To trochę nie w moim stylu.

- Nie będzie ci przeszkadzać, że ja zdejmę? W końcu, kiedy wejdiesz między wrony... - Rozwiązała sznureczek na karku i zdjęła górę swojego czerwonego kostiumu. Położyła się, zamknęła oczy i zaczęła się napawać słońcem.

Może ja też powinnam zdjąć górę? Ale chwila. Jack mógł wpaść na ten sam pomysł co Margaret. Mógł leżeć na którymś z leżaków przy tym basenie. Nie chciałam, żeby widząc mnie po raz pierwszy w życiu, ujrzał mnie półnagą.

Rozejrzałam się. Jesteś tu, Jacku H.? Czy jesteś tym facetem z brązowymi włosami i jasnymi - może zielonymi - oczami, flirtującym z młodziutką blondyneczką nad margaritą w plastikowym kieliszku? Nie, tamten był zbyt opalony. Na pewno był tu już od paru dni. Przeszukałam wzrokiem tłum, rozglądając się za kolejnym kandydatem. Zobaczyłam mężczyznę z wielkim orłem wytatuowanym na plecach, unoszącego się na dmuchanym materacu. Miał brązowe włosy i wydawał się właściwego wzrostu. Cholera. Nie lubię tatuaży. Czemu nie spytali mnie o to w formularzu? Czy to nie jest ważne? A może spytali, tylko ja nie pamiętałam. Jack, Jack, Jack! Jesteś tu? Może cię nie widzę, a ty na mnie patrzysz i zastanawiasz się, czy to o mnie czytałeś? Ładnie wyglądam w tym kostiumie? Cieszysz się, że nie zdjęłam góry? Anne Shirley Blythe, uspokój się, do cholery! Próbowałam zagłębić się w lekturze, ale popołudnie się ciągnęło, a basy głośników stawały się coraz mocniejsze. Nie mogłam się skoncentrować, więc postanowiłam popływać. Zanurzyłam się w ciepłej wodzie i bez entuzjazmu pokonałam parę metrów. Podpłynęłam do baru i zamówiłam margaritę. Zaczęłam wsypać zbryloną sól z brzegów kieliszka i liczyłam poszczególne ziarenka.

Raz... dwa... trzy...

Cholera, to nie działało.

Niepewność mnie zabijała, zżerała - niemal czułam, jak się starzeję. Chciałam włączyć szybkie przewijanie czasu do wieczora, chciałam, żeby już za kilka chwil odbyło się spotkanie, kiedy to miałam się dowiedzieć, jak on wygląda i trochę też jaki jest. Chciałabym umieć latać wokół Słońca jak Superman i przyspieszyć czas. Byłoby super. Z tym że on to chyba robił, żeby się cofnąć w czasie... Rany, mocna ta margarita.

Nie zwracając na to uwagi, osuszyłam kieliszek i popływałam jeszcze chwilę, po czym uświadomiłam sobie, że ludzie, którzy upijają się przy pływającym barze, mogą się za bardzo nie przejmować tym, gdzie sikają. Starczy już tego pływania.

Spojrzałam na zegarek, gdy się wycierałam. Wielkie powitanie miało nastąpić za pół godziny. A więc przedstawienie czas zacząć...

ROZDZIAŁ 10

OBIETNICE

Równo o ósmej stawiałam się na miejscu.

Miałam na sobie sznurowane sandały i sukienkę do kolan w kolorze miętowym. Włosy wyschły mi na powietrzu i ułożyły się w fale. Opaliłam się trochę, więc nos połyskiwał mi na różowo. Chyba wyglądałam dobrze, chociaż byłam zbyt zdenerwowana, by to ocenić. A w ogóle to jak się powinno wyglądać, gdy ma się poznać przyszłego męża? Jak ostra laska? Skromna panienka? Rozważna dama?

Budynek, w którym miałam go poznać, był... Cholera, czy to się dzieje naprawdę? Czy ja naprawdę mam zamiar to zrobić? I czy on... Wrr! Stop. Wyluzuj. Rozejrzyj się po pomieszczeniu. Skup się na szczegółach. No już, dobrze. Budynek był stylizowany na antyczny grecki amfiteatr: był idealnie okrągły, a dwadzieścia koncentrycznych kręgów białych betonowych stopni wznosiło się ku górze. Pośrodku była płaska przestrzeń, po jednej stronie stał bar. Funkcję sufitu pełniło białe płótno rozświetlone przez małe lampki. Wyglądało to ładnie, dramatycznie. To była właściwa oprawa do tego, co miało się za chwilę stać. Pomieszczenie było

już prawie pełne, w powietrzu czuło się atmosferę napięcia i wyczekiwania. Mężczyźni i kobiety siedzieli daleko od siebie na stopniach. Nikt chyba nie chciał ryzykować rozmowy z niewłaściwą osobą.

Panna Cooper stała przed barem, trzymając w ręku tekturową podkładkę. Była ubrana w piaskową sukienkę koszulową, którą przewiązała w wąskiej talii paskiem w identycznym kolorze. Włosy miała rozpuszczone, ale idealnie ułożone. Znow zaczęłam się zastanawiać nad swoim wyglądem.

- Dobry wieczór, panno Blythe. Jest pani zadowolona z pobytu?

O tak, jak najbardziej. Jedyne problem to potworne, niekończące się nerwy.

- Na razie mi się podoba. Odhaczyła moje nazwisko na liście.

- Zaczniemy, gdy tylko wszyscy się zjawią. Jeśli ma pani ochotę, może pani zamówić drinka.

Świetny pomysł.

Zamówiłam margaritę i zaczęłam ją popijać, wspinając się na przedostatni stopień. Przeskanowałam wzrokiem pomieszczenie. Mogłam łatwo obserwować wchodzących mężczyzn. Jak dotąd naliczyłam trzech, którzy mogliby być Jackiem, choć miałam nadzieję, że nie byli. Już czterech. Rany, oby to nie był tamten facet.

Cholera. Co się ze mną działo? Przecież wiedziałam, że Jack nie wygląda tak jak moi dawni ukochani. To nie znaczyło, że jest ogrem i nie można na nim zawiesić oka albo że nie jest wspaniałym facetem, który mnie uszczęśliwi.

- Czemu usiadłaś tak wysoko? - spytała Margaret, zaskakująco zwinnie wspinając się po stopniach. Miała na sobie coś w rodzaju indyjskiego sari przerobionego na sukienkę. Było związane na karku i opadało fałdami w dół. Kończyło się tuż nad jej kolanami. Jasnoczerwony kolor pasował do

jej ciemniejszej już skóry, ale mimo wszystko wyglądała trochę bezkształtnie.

- Nigdy nie lubiłam siadać w pierwszej ławce.

- Nie jesteśmy w szkole, głuptasie. Nikt cię nie wyrwie do odpowiedzi.

Uśmiechnęłam się i przesunęłam, by zrobić jej miejsce.

- Jak się czujesz po basenie? - spytałam, wciąż obsesyjnie wpatrując się w każdego mężczyznę, który wchodził do pomieszczenia.

- Zrelaksowałam się.

- Naprawdę?

- Tak. Odpoczęłam i teraz czuję się, no wiesz, gotowa.

- To dobrze. -A ty?

Ja? Ja miałam nadzieję, że nie padnę na zawał. -No... chyba też...

- Denerwujesz się może?

- A ty nie?

- Nie bardzo. Przy pierwszym małżeństwie naprawdę się stresowałam. Ale gdy się nad tym zastanowić, to chyba głównie tym, żeby nie zwymiotować na sukienkę.

- Jak to możliwe, że teraz nie jesteś podenerwowana?

- A niby dlaczego?

- Żartujesz sobie? Wzruszyła ramionami.

- Ufam Blythe & Company.

- Naprawdę?

- Jasne. A ty nie?

Potencjalny Jack Numer Pięć wszedł do pomieszczenia i zaczął coś mówić do panny Cooper. Był dość atrakcyjny, ale wyglądał na starszego niż trzydzieści cztery lata.

- Zastanawiasz się, czy ten facet to Jack? Oderwałam od niego wzrok.

- Przyznaję się do winy.
- Jest niezły. Mogłaś gorzej trafić.
- Przejmujesz się tym, jak wygląda Brian? Wzruszyła ramionami.

- Ja jakoś nigdy nie zwracałam uwagi na wygląd. Zresztą, spójrz na mnie. Chyba nie powinnam wybrzydzać, co?

Powstrzymałam się od kiwnięcia głową. -A ze mną jest inaczej. Ja zwracam uwagę na wygląd. Albo przynajmniej zwracałam.

- No jasne, że tak.

Zanim zdążyłam ją spytać, co miała na myśli, panna Cooper głośno odchrząknęła.

- Czy mogę prosić o uwagę? - Natychmiast nastąpiła cisza. - Witamy na turnusie Blythe & Company w Cancun. Mamy nadzieję, że pokoje przypadły państwu do gustu i że skorzystaliście z atrakcji. Wszyscy wiemy, po co się tu zbraliśmy i na pewno chcą państwo, abym przeszła już do rzeczy. Kolejno wyczytam nazwiska każdej z par. Proszę zejść i przywitać się z partnerem. Od tej chwili będziecie państwo mogli spędzić razem wolny czas i kolację. Kolacja odbędzie się we włoskiej restauracji o wpół do ósmej. Wtedy omówimy dalsze szczegóły. Czy są jakieś pytania?

Rozejrzała się po pomieszczeniu, ale nikt się nie poruszył. Na wszystkich twarzach, które widziałam, malował się strach odzwierciedlający stan mojego umysłu.

- Gdy już zostaną państwo sobie przedstawieni, zostanę tu, w razie gdyby ktoś chciał mi zadać jakieś pytanie na osobności. - Spojrzała na listę. - Stephanie F. i Thierry A.

Dwoje przerażonych ludzi przed czterdziestką wstało, zeszło po stopniach i spotkało się pośrodku sali.

Thierry A. wyciągnął dłoń, a po chwili wahania Stephanie F. ją uścisnęła. Kilka osób nerwowo się zaśmiało. Thierry pomachał do tłumu, co spotkało się z cichym aplauzem.

- Candice M. i Michael P. - Dwoje jeszcze bardziej przerażonych ludzi zeszło niepewnie po stopniach i spotkało się pośrodku okręgu.

- Amy J. i Olivier G., Tanya B. i Eric P., Annie B. i Phil M., Sara P. i Patrick S.

Rany, to jakaś tortura! Czułam się tak jak w szkole, gdy wybierało się drużyny. Wiedziałam, że w końcu ktoś będzie musiał mnie wybrać, ale czekanie, aż usłyszę swoje nazwisko, doprowadzało mnie do szaleństwa.

- Anne B. i Jack H.

Nadszedł ten moment. Wstałam tak szybko, że prawie się przewróciłam. Zeszłam ostrożnie po stopniach i spotkałam się z Jackiem H. pośrodku okręgu. Chociaż tak czujnie wpatrywałam się w drzwi, nie był to żaden z mężczyzn, których podejrzewałam o bycie Jackiem. Wyglądał tak, jak powinien - miał metr osiemdziesiąt, jasnobrązowe, lekko kręcone włosy, zielone oczy o odcień ciemniejsze od moich. Podobnie jak ci, którzy zeszli tu przed nami, podaliśmy sobie ręce. Jego dłoń była sucha, ciepła i pewna. Miałam nadzieję, że moja nie drżała.

- Pozwolisz? - powiedział średnio niskim głosem bez akcentu. To był dobry głos.

- Oczywiście.

Wyszliśmy, a panna Cooper wywołała kolejną parę.

- Tasha T. i Chris T.

- Dokąd chcesz iść? - spytałam, gdy znaleźliśmy się na zewnątrz. Słońce dotarło już do linii białych budynków. Jego promienie, wciąż mocne, opierały się o moje ramiona.

- Przy jednym z basenów jest chyba bar na wolnym powietrzu. Może tam?

- Świetny pomysł.

- No to prowadź.

- A... może ty? W orientacji w terenie jestem sprawna inaczej.

Wydawał się rozbawiony.

- Chodź za mną.

Poszliśmy ścieżką do baru na wolnym powietrzu. Jack prowadził. Wpatrywałam się w jego plecy. Z tego, co widziałam, pod jego niebieską koszulą i lekko pomiętymi szortami kryło się przeciętne ciało. Miał zaróżowiony kark. Wydawało się, że ważył o jakieś cztery kilo za dużo, ale dodatkowe kilogramy rozłożyły się równomiernie na jego ciele.

Bar znajdował się na środku dziedzińca pokrytego kostką brukową. Bufet stał w głębi, całość otaczały wysokie mahoniowe filary. Kwitnące pnącza tworzyły sklepienie i wiły się po ażurowych podparciach. Grube białe świece płonęły na okrągłych stolikach z kutego żelaza. Znad oceanu dolatywała delikatna bryza pachnąca solą. Znaleźliśmy wolny stół i usiedliśmy naprzeciw siebie na płóciennych składanych krzesłach. Większość stolików w barze zajmowały pary, które dopiero co się poznały dzięki Blythe & Company. Gwar ich rozmów był wystarczająco głośny, byśmy mieli odrobinę prywatności podczas rozmowy. Przyglądałam się twarzy Jacka. Miał wysokie czoło, wokół oczu zaczęły mu się pojawiać kurze łapki. Miał mały nos jak na mężczyznę - wyglądał przez to jak chłopiec. Cienkie wargi odsłaniały białe i równe zęby. Krótka broda o odcień jaśniejsza niż włosy skrywała jego prostokątny podbródek. Cholera. Nie przepadam za brodami.

Nasze oczy się spotkały i uświadomiłam sobie, że też mi się przyglądał.

- Dziwnie, nie? - powiedział z nerwowym uśmiechem. Odwzajemniłam uśmiech, który był moim tikiem nerwowym.

- Bardzo.

- Wiesz, nawet nie wiem, jak masz na nazwisko. - Podał mi dłoń przez stół. - Ja jestem Jack Harmer.

Jack Harmer. Ładnie. Anne Harmer. Anne Blythe Harmer. Nieźle.

Jeżu. Czy ja mam dwanaście lat?

- Ja jestem Anne Blythe. Miło mi cię poznać. - Uścisnęłam jego dłoń po raz drugi tego wieczoru. Wciąż była pewna, sucha i ciepła. Miło.

- Anne Blythe. To nazwisko brzmi dziwnie znajomo.

- Tak poza nazwą Blythe & Company? -Tak.

- Piszę dla magazynu „Twist”.

Przez chwilę się zastanawiał, a potem kiwnął głową.

- Czytałem parę twoich tekstów. To ty napisałaś ten artykuł o małżeństwach aranżowanych, prawda?

-Tak.

- Ciekawy wybór tematu. Poczulałam gorąco na karku.

- Mówią, żeby pisać o tym, co się zna...

- Tak mówią.

Kelner podszedł, by zebrać zamówienie.

- *Buenas noches, señor, señorita.* Czego się państwo dziś napiją?

- *Una cerveza* - powiedziałam.

- *Dos* - dodał Jack. Kelner odszedł. Zachichotałam.

-Co?

- Powiedział do mnie *señorita*, jakbym była nastolatką.

- Dla mnie wyglądasz młodo.

- Dziękuję. Chyba. Ty też piszesz? -Mhm.

- A co piszesz?

- Głównie artykuły do magazynu „Outdoor”. Wydałem też parę powieści.

- Jakich?

- Różnych. Osiał akcji ostatniej powieści był rajd przygodowy.

- A co to takiego?

- To siedmiodniowa wyprawa, podczas której się biega, chodzi po górach, wspina i uprawia rafting.

- Byłeś na czymś takim?

- Jasne. Stąd ten pomysł.

- Czyli rajdy przygodowe, magazyn „Outdoor”... Lubisz spędzać czas poza domem, co?

- Na to wygląda. A ty? Też to lubisz? Wydawało się, że ze mną flirtuje. Ciekawe...

- Czasami.

- To znaczy?

- Wstydzę się tego.

Pochylił się do mnie. Pachniał trochę mydłem, a trochę jakby lasem.

- Teraz już musisz mi powiedzieć.

Kelner wrócił z naszymi piwami. Nerwowo wzięłam łyk, zastanawiając się, co mu powiedzieć, o ile w ogóle coś mówić.

- Oświecisz mnie w końcu? - spytał Jack. Jak się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”.

- To nic wielkiego. Chodziłam kiedyś z facetem, który lubił jeździć pod namiot, więc spędziłam sporo czasu w lesie. Ale sama nie wiem, czy to lubię.

- Spodziewałem się czegoś o wiele gorszego.

- No proszę, naprawdę?

W tej grze ja też miałam prawo poflirtować. -Mhm.

- Na przykład?

- No nie wiem. Że przez ostatnie trzy lata nie wyściubiłaś nosa z domu i jesteś tu tylko dlatego, że bierzesz za dużo prochów, żeby się połapać, co się dzieje. Czegoś w tym stylu.

Stłumiłam śmiech.

- No tak, to każdemu od razu przyszłoby do głowy. Uśmiechnęliśmy się do siebie. Ładnie się uśmiechał.

- Więc... to jest najbardziej zwariowana rzecz, jaką w życiu zrobiłaś?

- W sumie tak. A dla ciebie?

- Zdecydowanie.

- To dobrze, bo gdybyś zrobił coś bardziej szalonego, podpadałbyś pod kategorię przypuszczalnych pacjentów szpitala psychiatrycznego, a to chyba nie jest najlepszy materiał na męża.

-1 tu rodzi się pytanie...

- Co my tu robimy? - powiedzieliśmy równocześnie.

- Zdradzę ci swoje sekrety, jeśli ty zdradzisz mi swoje -powiedziała, zaskoczona swoją zuchwałością.

Pociągnął duży łyk piwa.

- Cóż, byłem w paru dłuższych związkach, które nie wytrzymały. Sam nie wiem czemu. Do tego pracuję prawie cały czas sam, więc ciężko kogoś poznać. Zawsze myślałem, że w tym wieku będę już miał żonę i dzieci. Któregoś razu kolega powiedział mi, że poznał żonę przez Blythe & Company. Wciąż są małżeństwem i mają dwójkę ślicznych dzieciaków. Wiele o tym myślałem, aż w końcu stwierdziłem, że raz kozie śmierć.

- Czyli jesteś całkiem normalny? Położył dłoń na piersi.

- Przysięgam, jestem całkiem normalny. Teraz twoja kolej. Moja kolej? Czemu ja tam byłam?

- Zakończyłam długi związek z facetem, z którym nigdy nie powinnam być, po czym uświadomiłam sobie,

że nigdy nie powinnam być z żadnym z moich byłych. Wszyscy znajomi albo są już po ślubie albo wkrótce się pobiorą, mają dzieci... Też tego chcę, a nie wiedziałam, jak to zrobić. Uznałam, że potrzebuję pomocy.

- Czyli też jesteś całkiem normalna? Skrzyżowałam palce i położyłam na piersi.

- Przysięgam na wszystko.

- Jak trafiłaś na Blythe & Company?

- Pomyślisz, że to głupie.

- Powiedz - poprosił, znów się do mnie pochylając.

-Znalazłam wizytówkę Blythe & Company na ulicy

w dniu, gdy zerwałam z moim byłym. Potem dowiedziałam się, czym się zajmuje ta firma, i uznałam, że to znak.

- Wierzysz w znaki?

- Tak naprawdę to nie.

- Jesteś trochę dziwna, prawda?

- Być może. Spojrzał na zegarek.

- Już prawie wpół do ósmej. Idziemy na kolację?

- Chodźmy.

Wstaliśmy i przeszliśmy przez brukowany placzyk do ścieżki.

- Trzymaj się blisko mnie, to się nie zgubisz, Anne - powiedział żartobliwie.

Wyciągnął dłoń, a ja podałam mu swoją. Uścisnął ją delikatnie i poprowadził mnie w stronę restauracji. Przy drzwiach kelner odhaczył nasze nazwiska na liście i zaprowadził nas do stolika dla dwojga z niesamowitym widokiem na ocean.

Jack rozejrzał się po restauracji, patrząc na inne pary pogrążone w rozmowie.

- Jak myślisz, o czym oni wszyscy rozmawiają?

- O tym, co my. Chcą się lepiej poznać.

- Ciekawe, ile osób myśli, że Blythe & Company spieprzyło sprawę? - Wziął do ręki menu i zaczął przerzucać kartki.

Czy chciał mi delikatnie zasugerować, że jego zdaniem Blythe & Company spieprzyli sprawę? A co z tamtym flirtem w barze?

- A ty tak uważasz?

- Jeszcze nie - powiedział z twarzą ciągle utkwioną w menu.

- Jakbyś doszedł do takiego wniosku... daj znać. - Podniosłam swoje menu i starałam się zachowywać normalnie.

- Nie ma sprawy. - Spojrzał na mnie figlarnie znad menu i wtedy zrozumiałam, że się droczył. Moje ramiona, mimowolnie napięte, rozluźniły się.

- Anne, opowiedz mi o swoim życiu.

- Serio?

- Jasne. Chcę cię lepiej poznać.

- No dobra, ale ostrzegam, że to dość nudne.

- Przyjąłem ostrzeżenie.

No to opowiedziałam mu o swoim życiu. Opisałam rodziców, brata i dzieciństwo. Powiedziałam, do jakich szkół chodziłam i kiedy. Mówiłam o pracy, a także o Sarah, Williamie i przyjaciółach, którzy wyjechali. W tym czasie zamówiliśmy jedzenie - wzięliśmy to samo, zupełnie niemeksykańską lasanię - i wypiliśmy butelkę wina. Gdy podano sałatki, dotarłam do terażniejszości.

- Masz sos na podbródku - powiedziałam Jackowi, który ze smakiem zajadał się sałatką.

- Często się to zdarza. To jedna z rzeczy, które powinnaś o mnie wiedzieć.

Z błyskiem w oku starł serwetką sos.

- Mówisz, że rodzice nazwali cię po tej dziewczynce, która zawsze pakowała się w kłopoty w filmach puszcanych o pierwszej po południu?

- Nawet mi nie mów o tym świętokradztwie! Książki są o wiele lepsze.

- To była więcej niż jedna książka?

- Tak, Ania jest główną bohaterką co najmniej ośmiu książek i... - Urwałam, słysząc fanatyzm w swoim głosie.

- Kurczę. Nie miałem o tym pojęcia.

- Nie mów tego przy mojej mamie.

- Zagorzała miłośniczka?

- No nie wiem. Czy kogoś, kto nazwał dzieci po postaciach z książki, nazwałbyś zagorzałym miłośnikiem?

- Chyba raczej zaciekle.

- Więc tak można nazwać moją mamę.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam.

Po kręgosłupie przeszedł mi dreszcz. Jack miał wkrótce poznać moich rodziców. Gila. Sarah. Williama. Jak, do cholery, to będzie wyglądać?

- Anne... - zaczął Jack - nie wspomniałaś nic o facetach.

Podniosłam wzrok, zaskoczona.

- Chcesz coś o tym wiedzieć?

- Koniecznie.

- Po co?

- Jeśli się dowiem, co było przedtem, łatwiej zrozumiem, dlaczego tu jesteś.

- Myślałam, że od tego jest doktor Szwick. Zmarszczył się.

- A tak. Doktor Szwick. Dzięki naszym metodom odkryjesz swoje najgłębsze uczucia.

- Nie przypadł ci do gustu?

- Oj, nie. No to dawaj, opowiedz mi o facetach. Opowiedziałam. Mówiłam kolejno o każdym facecie, zaczynając od ogółu i przechodząc do detali. Nieco zamroczona winem wyznałam nawet, że tak naprawdę byłam

w czterech związkach, a nie w sześciu, jak wymaga tego Blythe& Company. Gdy skończyłam opowiadać o Stuarcie, wyglądał na zamyślonego.

- Masz swój typ.
- Ta, facetów, którzy do mnie nie pasują.
- To też, ale chodziło mi o wygląd. Cholera. Dolałam sobie do kieliszka.
- Za dobrze słuchasz. Zaśmiał się cicho.
- Żadna kobieta mnie jeszcze o to nie oskarżyła.
- Kolejny pierwszy raz.
- Najwidoczniej to dzień wielu pierwszych razów - powiedział łagodnie. - Mam rację?
- Uniosłam ręce, poddając się.
- Przyznaję się.
- Ja nie jestem w twoim typie, prawda? -Nie.
- Przybrał filozoficzny wyraz twarzy.
- Tak myślałem. A tak z ciekawości: kogo przypominali moi konkurenci?
- Na pewno to wytrzymasz?
- Dawaj.
- Piercea Brosnana.
- A nie jest trochę za stary?
- To moja dawna miłość.
- Hmm. James Bond. Ciężka konkurencja.
- Przykro mi.
- A niby dlaczego?
- Sama nie wiem. A ty? Masz swój typ?
- Ups. Po co o to pytałam? Pewnie podobały mu się wysokie blondynki ze złotobrązową opalenizną. Chyba nie chciałam tego wiedzieć...

- Chyba nie. Uff.
- Naprawdę? Żadnych uderzających zależności?
- Nie... Chociaż jeśli już mamy porównywać do gwiazd, moja eks wyglądała trochę jak Cameron Diaz.

Wiedziałam!

- Ciężko mi będzie dorównać. Wzruszył ramionami.
- Jak widać, to nie wystarczyło, żeby nasz związek przetrwał.
- Chyba nie. - Ale tak czy siak, musiałam wiedzieć...
-Gdybyś zobaczył moje zdjęcie przed poznaniem mnie, zniechęciłbyś się?

- Raczej bym się zapalił. Przyjemny rumieniec oblał moją twarz.

- Dzięki. Tak dla twojej wiadomości, ja byłabym o wiele spokojniejsza, gdybym zobaczyła twoje zdjęcie.

- Wyobrażałaś sobie typową łysinę i rozwinięty mięsień piwny?

- Tylko w te lepsze dni.

Kelner postawił przed nami talerze z lazanią. Jack pochylił się nad swoim i wciągnął zapach. Sprawiało mu to wyraźną przyjemność.

Przylapał mnie na tym, jak mu się przyglądałam.

- Muszę ci coś wyznać - powiedział.

- Co takiego?

- Uwielbiam węglowodany. Tak naprawdę jestem głęboko przekonany, że życie nie miałoby sensu, gdybym nie mógł jeść produktów ziemniaczanych i makaronów. Powiedz, że ty też tak myślisz.

Zachichotałam.

- Tak myślę. Mówię szczerze.

- Tylko sobie kpisz, prawda? Bo ja traktuję to bardzo poważnie.

- O, nie. Mówię serio. Makaron to sens mego życia.

- Anne, wyjdiesz za mnie? Zaczęłam się śmiać.

- Nie, serio. Wyjdiesz za mnie? - Miał grobową minę, przez co zaczęłam się jeszcze bardziej śmiać. Starłam się powstrzymać, ale nie za dobrze mi to wychodziło.

Z trudem złapałam oddech.

- Mówisz... poważnie?

- W normalnej sytuacji nie powiedziałbym tego, ale w tych okolicznościach, czemu nie? Zróbmy to.

Przestałam się śmiać. Czy facet przede mną, którego poznałam dwie godziny wcześniej, naprawdę chciał się ze mną ożenić? Serce zaczęło mi walić jak szalone.

- Najpierw mi o sobie opowiedz. Opowiedz o swoim życiu.

- Nie na taką odpowiedź liczyłem, ale dobrze.

Gdy mówił o swoim dzieciństwie, szkole i ośmiu (!) związkach, starałam się odgadnąć, czy naprawdę był zawiedziony tym, że nie zgodziłam się od razu za niego wyjść. Jeśli tak było, dobrze to ukrywał. Przestałam się tym przejmować i zaczęłam go słuchać. Potrafił porywająco opowiadać, chociaż ryzykownie gestykulował, gdy mówił.

- Uważaj na szklankę - ostrzegłam, odsuwając ją poza linię zagrożenia.

- Dzięki. Zawsze wszystko przewracam, kiedy mówię.

- Nie dziwię się. Ej, popatrz na zachód słońca.

Niebo nad turkusową wodą pokryte było czerwono-pomarańczowymi smugami. Starłam się zapamiętać ten widok i myślałam o słowach, których bym użyła, by go opisać.

- Co najbardziej lubisz w pisaniu? - spytałam.
 - To zabrzmiało jak pytanie na rozmowie o pracę.
 - To trochę jest rozmowa o pracę, prawda? Dla nas obojga.
 - W takim razie musisz wiedzieć, że jestem roztrzepany, ale nie jestem bałaganiarzem, a wydaje mi się, że jest to wielka różnica. Ponadto chrapię krótko tylko trzy razy, gdy zasypiam, co moim skromnym zdaniem jest urocze, i robię piekielnie dobre kanapki z jajkiem i bekonem.
 - Dziękuję, będę o tym pamiętać.
 - To dobrze. Wracając do tematu, pytałaś, co lubię w pisaniu?
 - Nie mógłbyś być poważny?
 - Chcesz, żebym był poważny? Naprawdę poważny? -Wargi mu drgały, ale zachował kamienną twarz. - Ależ proszę bardzo. Lubię dobierać słowa, które właściwie opiszą dane uczucie, miejsce czy zapach. Lubię, gdy z jednego wrażenia, widoku, wyłania się pięć kolejnych. Gdy czuję, że to się udaje, wiem, że moja praca ma sens. Wystarczająco poważnie? Czy zbyt banalnie?
 - W sam raz. Wiem, o czym mówisz. Kiedy dobrze mi idzie, czuję, jakbym przelewała część siebie na papier. Wiesz, chodzi mi o ten moment, kiedy widzisz i słyszysz świat w swojej głowie.
 - Super uczucie, prawda?
 - Tak. Wynagradza kiepską płacę. Rozejrzał się dookoła.
 - Chyba musi ci się w miarę dobrze powodzić, skoro stać cię było na przyjazd tutaj.
 - To samo mogę powiedzieć o tobie. -Fakt. Więc...?
- Spuściłam wzrok i utkwiłam go w swojej napoczętej lazanii. Wstydziłam się wyznać, skąd pochodziły pieniądze.

-Hmm... podpisałam kontrakt na książkę i część pieniędzy wydałam na to.

Jack wyciągnął rękę i szybko uścisnął moją dłoń. Spojrzałam na niego zaskoczona. Odsunął dłoń z wyrazem skrepowania na twarzy.

- To wspaniale, Anne. Kiedy wychodzi twoja książka?

- Za parę miesięcy.

- O czym opowiada?

- O grupce przyjaciół, którzy spotkali się na zjeździe klasowym.

- Będę mógł ją przeczytać?

- Może.

Kelner podszedł z kartą deserów. Ja wybrałam lody z truskawkami, a on - ciasto czekoladowe. Gdy kelner odszedł, Jack spojrzał na mnie z uznaniem.

- Cieszę się, że lubisz jeść.

- Widać to po mnie?

Jack się zarumienił. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Nie o to mi chodziło - powiedziałam. - Szczęściara ze mnie. Mam świetny metabolizm.

- Zanotować w mózgu: „Nie, skarbie, wcale nie wyglądasz w tym grubo!”.

- Właściwe podejście. Oby tak dalej, to może dostaniesz tę robotę.

Podniósł kieliszek z winem i zaczął poruszać rubinowym płynem w środku.

- Sam nie wiem... Jak wygląda pakiet korzyści?

- Za wcześnie na takie pytanie.

Kelner przyniósł nasze desery. Wzięłam kęs: mój był zimny, słodki i kremowy. Jack wyraźnie delektował się swoim ciastem, pomrukując cicho, gdy je pochłaniał. Odłożyłam łyżeczkę.

- Jack, czy nie wydaje ci się to całkiem odrealnione?

Popatrzył na mnie z ustami pełnymi ciasta.

- To trochę jakby półprawdziwe, o ile wiesz, o co mi chodzi.
- Coś jak reality show?
- No właśnie, o tym mówię.
- To dobrze czy źle? Wykrzywił usta.
- Za wcześnie na to pytanie.
- Reality show to jedna z moich wstydlwych namiętności.
- Zapamiętam. Powiedz mi coś więcej o swoich wstydlwych namiętnościach.
- Nie na pierwszej randce.
- Ale to jest też wieczór zaręczynowy.
- Racja.

Panna Cooper postukała nożem w swój kieliszek, by skupić uwagę wszystkich. W sali zapadła cisza.

- Dobry wieczór wszystkim. Mam nadzieję, że smakuje państwu kolacja i że miło spędzacie czas ze swoimi partnerami. Jak państwo wiecie, jutro jest wielki dzień. Proszę, aby każdy podszedł do mnie, gdy będą państwo wychodzić.' Otrzymają państwo informację o godzinach swojej sesji terapeutycznej i ceremonii. Jeśli ktoś z państwa zdecydował, że chce zrezygnować, proszę o informację. Jutro wieczorem odbędzie się kolejna wspólna kolacja, by uczcić państwa śluby. Osoby, które chciałyby spędzić czas poza hotelem, informuję, że istnieje możliwość skorzystania z szerokiej oferty wycieczek. Miejsca na nie można zarezerwować w recepcji. Jeśli ktoś z państwa ma jakieś pytania, będę tu jeszcze mniej więcej przez godzinę. Jeszcze jedno: chcemy wprowadzić do naszego procesu elementy tradycji. Dlatego też o jedenastej wyruszą stąd autobusy do dwóch osobnych barów, jeden dla mężczyzn, a drugi dla kobiet. Życzę miłego wieczoru i gratuluję.

Panna Cooper podeszła do drzwi z podkładką w dłoni. Pary zaczęły się ustawiać przed nią w kolejce, oczekując na informacje o harmonogramie następnego dnia. Niemal wszyscy wyglądali na zdecydowanych, gotowych. Ich pewność mnie przytłoczyła.

- Co jej powiemy? - spytał Jack.

- Pannie Cooper? - Tak.

- A co chcesz jej powiedzieć? Wziął głęboki oddech.

- Chcę jej powiedzieć... że się pobierzemy.

O mój Boże. Miałam wrażenie, że zaraz zemdleję.

Byłam w stanie wykrztusić tylko:

-Aha.

- To znów nie jest odpowiedź, na którą liczyłem. Musiałam złapać oddech. Tak, oddychanie to był dobry pomysł.

- Wszystko w porządku, Anne? - Jack położył mi rękę na ramieniu. Moja skóra rozgrzała się pod jego dotykiem.

- Tak, tylko trochę panikuję.

- Chodźmy już.

-Ale musimy powiedzieć pannie Cooper, czy się pobieramy.

- Nie myśl o tym. Chodź ze mną.

Jack wstał i wyciągnął dłoń. Po chwili wahania podałam mu swoją i pozwoliłam mu się prowadzić do wyjścia naprzeciw tego, przy którym stała panna Cooper.

Minęliśmy basen, a potem po kilku stopniach zeszliśmy na pogrążoną w mroku plażę. Usiadłam na niskim betonowym murku i zaczęłam głęboko oddychać, starając się wziąć w garść. Zazwyczaj zachwycał mnie intensywny zapach oceanu, ale tego wieczoru ledwie go czułam.

Zdjęłam buty, zanurzyłam stopy w miękkim białym piasku i zaczęłam myśleć o tym, co poradził mi doktor Szwick w razie wątpliwości. Powiedział: „Skup się na tym, co cię tu przywiodło. Trzymaj się swojej decyzji. Zaufaj sobie”.

Byłam tam, bo chciałam tego, co mieli wszyscy wokół mnie. Chciałam mieć rodzinę. Męża. Zdecydowałam, że to zrobię. Musiałam sobie zaufać. Musiałam...

- Anne? Wszystko w porządku?

Otworzyłam oczy. Jack stał przede mną, wyglądał na zmartwionego.

- Wszystko dobrze.

- Na pewno? - Tak.

Wsunął ręce do kieszeni.

- Słuchaj, nie chcę, żebyś robiła coś wbrew sobie. Pomyślałem tylko, że skoro już tu jesteśmy i chyba się dogadujemy.. a przy tym poczułem. ..czuję między nami więź.

Musiałam sobie zaufać. Musiałam uwierzyć, że podjęłam właściwą decyzję.

- Wiem, Jack. Ja też to czuję. Uśmiechnął się.

- To co robimy?

- Mów dalej.

- Nie ma sprawy. - Usiadł obok mnie na murku, oboje byliśmy zwrócenii twarzami do oceanu. - Wygląda jak atrapa, co nie?

Księżyc był w pełni. Na niebie wisiały wąskie smugi chmur rozświetlane jego blaskiem. Wiatr ustał, woda była taka spokojna, miała całkiem spokojną powierzchnię. Samotna palma obok nas owinięta była sznurem drobnych neonowych lampek. Przypominało to sceny z filmów mające przedstawiać idealną romantyczną noc.

- Racja, tak właśnie wygląda.

Jack zdjął buty i skarpetki, podwinął nogawki spodni i poszedł w moje ślady, zagrzebując palce stóp w piasku.

- Co robisz?

- Chyba ci to pomogło, więc postanowiłem, że sam spróbuję.

- Dziwny z ciebie facet. Posłał mi szeroki uśmiech.

- A ja myślałem, że uda mi się to ukryć.

- Nie wyszło.

- No dobra. Może następnym razem pójdzie mi lepiej.

- Następnym razem?

- No wiesz, przy kolejnej kandydatce. Przy której współczynnik dopasowania będzie wynosił siedem.

- Chcesz obniżyć poprzeczkę?

- Nie to, żebym chciał, ale jeśli miałbym wypełnić misję... to chyba będę musiał to znieść.

- Misję?

Uśmiechnął się nerwowo.

- No wiesz, operację „Małżeństwo, zanim stanę się tak gruby i brzydki, że nikt nie będzie mnie chciał”. O, przepraszam, faceci chyba nie powinni tak myśleć, prawda?

Roześmiałam się głośno. Za głośno jak na otaczającą nas ciszę.

Przelotnie się uśmiechnął. Siedzieliśmy, wpatrując się w księżyc i wsłuchując w szum oceanu.

- O czym myślisz? - spytałam w końcu. Spojrzał na mnie kątem oka.

- Czemu kobiety zawsze o to pytają?

- Bo zawsze chcemy to wiedzieć.

- Zawsze?

- Zazwyczaj.

- Wiesz, myślę, że to może się udać.

- Jak to?

- Nie próbuję ci zaimponować, więc mogę pytać o rzeczy, które zawsze chciałem wiedzieć o kobietach, ale bałem się zapytać.

- Nie chcesz mi zaimponować?

- Wiesz, o co mi chodzi. Nie musimy grać w te wszystkie gierki...

- Kumam. Chyba masz rację. Ale, co dziwne, to mniej przyjemne niż zazwyczaj.

Uśmiechnął się z nadzieją.

- To jak, powiesz mi to, co zawsze chciałem wiedzieć?

- Mogę ci powiedzieć prawdę o sobie, ale nie zdradzę kobiecego rodu.

- To się okaże.

Zobaczyłam, jak mała fala piętrzy się, a potem rozbija o brzeg. Poczułam spokój, jakiego dawno nie doświadczyłam. Wciąż jednak dręczyła mnie jedna myśl.

- Jack, jak się zapatrujesz na tę całą „filozofię przyjaźni”? Naprawdę jesteś gotowy zrezygnować z dążenia do miłości?

Milczał, grzebiąc stopami w piasku.

- Nie musisz odpowiadać.

- Nie, odpowiem. Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Czy zakładam, że do końca życia nie poznam nikogo, w kim mógłbym się zakochać? Nie, oczywiście, że nie. Niby dlaczego? Ale czy przyjałem do wiadomości, że kobiety, z którymi byłem, nie potrafiły mnie uszczęśliwić na dłuższą metę? Tak, chyba tak. Poza tym naprawdę wierzę w przyjaźń. Wierzę, że będę szczęśliwy z przyjaciółką, która pragnie tego samego co ja. Czy to wystarczy jako odpowiedź?

-Tak.

- A ty, Anne? Zrezygnowałaś z miłości?

- Chyba wciąż kurczowo trzymam się nadziei, że kiedyś ją znajdę. Wiem, że będę spotykać na swojej drodze mężczyzn, którzy będą mi się podobać, ale jak na razie donikąd

mnie to nie doprowadziło. Mam trzydzieści trzy lata i nigdy nie byłam w dobrym związku, Już nie mam siły walczyć. Patrzyliśmy na księżyc i chmury nad naszymi głowami.

- Może gdy jest się zakochanym na samym początku, to szanse powodzenia są mniejsze - powiedział Jack.

- Czemu tak myślisz?

- Bo jeśli coś się zmienia, przypominamy sobie, jak było dawniej, i czujemy rozczarowanie. A jeśli niczego się nie oczekuje, nie można się zawieść.

- To trochę cyniczne.

- Być może. Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania. Wiem tylko, że Blythe & Company nie dali ciała, gdy nas ze sobą swatali. - Jack spojrzał mi prosto w oczy, a ja poczułam, jak ściska mnie w żołądku, zupełnie jak przy mężczyznach takich jak Aaron, Tadd czy Stuart.

- To co sądzisz? - spytał łagodnie. Czas podjąć decyzję, Anne. Jak będzie?

- Sądzę, że... powinniśmy się pobrać. A ty?

- Zgadzam się z tobą.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Miał ładne oczy. Zielen otoczona była niebieską obwódka - pamiątką po okresie niemowlęctwa.

- Wiesz, nie odpowiedziałeś, kiedy pytałam cię, o czym myślisz.

- Myślałem, że to zabójcza pierwsza randka.

- To urocze.

Wyglądał na zakłopotanego.

- Chyba nie powinniśmy tak myśleć, prawda?

- Chyba nie. Ale ciężko wymazać lata praktyki w jeden dzień.

- Racja.

- Może po to ta terapia. Dzięki naszym metodom przestaną państwo oczekiwać miłości.

- Znowu doktor Szwick.
- Nie da się od niego uciec.
- Chyba masz rację. Ale tak czy owak... - Jack pochylił się i delikatnie mnie pocałował. Jego broda była delikatniejsza, niż sądziłam. Miał mocne, pasujące do moich usta. Po chwili się odsunął i spojrzał na mnie nieśmiało.
- Dziś po południu coś ci kupiłem. To drobiazg, ale chciałem ci coś dać. Skoro się zgodziłaś...
- Sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął srebrny pierścionek. Zupełnie gładki, z turkusem - kamień połyskiwał niebieskozielono w świetle księżyca, jego kolor przywodził na myśl ocean.
- Jest śliczny - powiedziałam.
- Jack wsunął mi pierścionek na serdeczny palec lewej dłoni. Pasował idealnie.
- Wyjdiesz za mnie, Anne?
- Tak, wyjdę za ciebie, Jack.

ROZDZIAŁ 11

TANIEC DO UPADŁEGO

Ruszyliśmy z Jackiem w stronę hotelu, gdzie czekały dwa autobusy mające zabrać nas na wieczór kawalerski i panieński. Panna Cooper stała z boku i rozmawiała z jedną z par. Jack podszedł do niej, żeby powiedzieć, że

bierzemy ślub.

- Dziewiąta i dwunasta piętnaście - powiedział, gdy do mnie wrócił.

- To znaczy?

- Terapia o dziewiątej, ślub o dwunastej piętnaście. I to wszystko w jeden dzień.

- Dobra.

Staliśmy razem, skrępowani. Czar skąpanej w blasku księżycy plaży zaczął tracić moc.

- Widzimy się rano, tak? - zapytał w końcu Jack.

- Z przyjemnością.

- Baw się dobrze.

- Ty też.

Uścisnął moją dłoń i podreptał w stronę autobusu. Gdy patrzyłam, jak się oddala, część paniki, którą stłumiłam na

plaży, znów do mnie powróciła. Chyba płynęła od palca z pierścionkiem. Jak dobrze, że jechałam się napić.

Stałam wśród kobiet wsiadających do autobusu i zajęłam miejsce przy oknie.

Margaret przysiadła się do mnie.

- Hej, Anne!

Autobus ruszył i skręcił w tę samą ulicę, z której przyjeżdżałyśmy z lotniska. Wydawało się, że to było wieki temu.

- Ale będzie zabawa.

- Pewnie tak. Wiesz, dokąd nas zabierają?

- To miejsce nazywa się chyba Señor Frogs - powiedziała z łamanym meksykańskim akcentem. - Jak ci dziś poszło?

- Z czym?

- Z twoim przyszłym mężem, głuptasie.

A tak, mój przyszły mąż. Jack. Miałam wyjść za Jacka. Przed chwilą na plaży się na to zgodziłam.

- Chyba dobrze. A tobie?

- Też, było bardzo dobrze.

- O czym rozmawialiście?

- O moim dziecku, jego dziecku. O niczym wielkim.

- Ale miło wam się gawędziło?

- No jasne. W przeciwnym wypadku bylibyśmy kiepsko dopasowani.

- To chyba słaby argument. Wyglądała na skołowaną.

- Co masz na myśli?

- Wiesz, mogłoby się wam dobrze rozmawiać, nawet gdybyście do siebie nie pasowali, prawda?

- Chyba tak.

- Jedna dobra rozmowa o niczym nie świadczy.

Po twarzy Margaret przebiegł cień niepewności. Cholera. Co ja zrobiłam? Była szczęśliwa, a ja zarażałam ją własnymi wątpliwościami.

Autobus zwolnił i wjechał na parking obok jasno oświetlonej dyskoteki. Nad wejściem siedziała wielka neonowa żaba, a do środka wlewał się tłum mężczyzn i kobiet.

Po zapłaceniu potężnemu bramkarzowi za wejściówkę wkroczyłyśmy do dusznego baru. Pulsująca muzyka była tak głośna, że ledwie słyszałam własne myśli, ale to chyba nie było takie złe. Stroboskopy świeciły w różnych kierunkach, oświetlając czarne ściany i ogromny parkiet, na którym w rytm muzyki kiwał się tłum spoconych dwudziestoparolatków.

Powietrze pachniało skupiskiem ludzkim, zwietrzałym alkoholem i suchym lodem. U barmana ubranego w czarną siatkową koszulkę zamówiłam margaritę dla siebie i piña coladę dla Margaret. Stuknęłyśmy się kieliszkami, po czym je opróżniłyśmy.

Gdy alkohol przenikał do mojej krwi, czułam, jak rozluźniają mi się ramiona, a ciśnienie się podnosi.

-Chodźmy potańczyć! - wrzasnęła mi Margaret do ucha.

Wypite wino, stres i margarita sprawiły, że wydawało się to świetnym pomysłem. Odstawiłam pusty kieliszek na bar i ruszyłam za Margaret na parkiet. Natychmiast zaczęła poruszać swoim ciałem we wszystkich możliwych kierunkach jak derwisze, których widziałam na koncercie zespołu Grateful Dead parę lat przed śmiercią frontmana grupy Jerryego Garcii. Tańczyłam obok niej trochę spokojniej, starając się wczuć w muzykę. Nie wiedziałam, czy to przez gorąco, czy przez alkohol, ale moje ciało poruszało się bardziej płynnie niż zazwyczaj. Była szansa, że będę się dobrze bawić.

-Mogę postawić ci drinka? - spytał jeden z mężczyzn tańczących obok mnie. Był ubrany w biały podkoszulek, luźne szorty i sandały. Był wysoki i szczupły, miał ciemne włosy i jasne oczy. Gdybym zmrużyła oczy, mogłabym go

pomylić z Pierceem Brosnanem w **1985** roku. Z tym że był jeszcze młodszy.

- Jasne.

Poszłam z nim do baru, a on zamówił dla mnie margaritę.

- Skąd wiedziałeś, na co mam ochotę? - spytałam, przekrzykując muzykę.

- Widziałem wcześniej, jak zamawiałaś - powiedział mi wprost do ucha. Jego oddech połaskotał moją skórę.

O rany. Był niesamowicie przystojny, już wcześniej wpadłam mu w oko, a wyglądał, jakby miał dwadzieścia dwa lata. To na pewno zwiastowało kłopoty. Cofnęłam się o krok.

-Cóż... dzięki.

- Nie ma za co. Jestem Tom.

- A ja Anne.

- Jesteś tu pierwszy raz, Anne? -Tak.

- Przyszłaś sama?

Wskazałam na miejsce na parkiecie, gdzie wciąż szalała Margaret.

- Właściwie to przyszłam tu z nią. Zaśmiał się.

- Serio? To twoja koleżanka?

- Coś w tym rodzaju. Ile masz lat?

- Dwadzieścia dwa. A ty?

- A na ile wyglądam? Zmierzył mnie wzrokiem.

- Na dwadzieścia sześć.

Ha! Ten chłopak naprawdę chciał się do mnie dobrać. Tyle tylko, że ja w ogóle nie byłam zainteresowana.

- A tak naprawdę ile twoim zdaniem mam lat? No ciekawe...
Wzruszył ramionami.

- Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć. Ten facet jest w moim typie...

- Niezły strzał. -Trafiłem?

... i naprawdę na mnie leci. Ale...

- Dama nie odpowiada na takie pytania. Pochylił się do mnie. Pachniał piwem i plażą.

- Chcesz zatańczyć?

... nie jestem nim w ogóle zainteresowana. Ani trochę.

- Jasne.

Poszłam za nim na parkiet, zaskoczona swoją nowo-odkrytą odpornością na wszystkich Stuartów świata. Stanęliśmy do siebie przodem i zaczęliśmy się rytmicznie poruszać, śmiejąc się z Margaret dającej się ponieść muzyce.

-Mogę się wtrącić? - spytał znajomy głos. To był głos Jacka. Chyba był zły. Albo zazdrosny. Albo jedno i drugie.

- Co ty tu robisz? - spytałam.

- Bar dla facetów był do bani.

- Ten też jest do bani. Spojrzał na Toma.

- Ale ty się chyba dobrze bawisz. Serce zaczęło mi mocniej bić.

- Tylko tańczyłam.

- No dobra.

- Nie jesteś zazdrosny, prawda?

- Co? Nie słyszę, co mówisz. Krzyknęłam głośniej:

- Nie jesteś zazdrosny, prawda!?

Muzyka ucichła dokładnie w tym momencie. Wywrzeszczałam to w sam środek ciszy.

Tom położył mi dłoń na ramieniu.

- Wszystko w porządku, Anne? Spojrzał na Jacka wyzywająco.

Strząsnęłam jego dłoń z ramienia.

- Wszystko dobrze. Tom, poznaj mojego, hmm, narzeczonego, Jacka.

Tom otworzył szeroko oczy.

- Nie mówiłaś, że masz narzeczonego. -Ma.

Tom spojrział na Jacka, a potem znów na mnie.

- Miło było cię poznać, Anne.

- Ciebie też. Dzięki za drinka.

- Nie ma sprawy.

Muzyka znowu zaczęła grać - podrasowana bitem wersja *Hide and Seek* Imogen Heap. Jack i ja patrzyliśmy na siebie z niepewnością. Przysunęłam się bliżej, żeby nie musieć wrzeszczeć.

- Jesteś wkurzony?

- A powinienem być?

- Postawił mi drinka i poprosił do tańca. Ma dwadzieścia dwa lata. Nic się nie wydarzyło i nie miałam niczego w planach.

- Wyglądał jak faceci, którzy ci się zawsze podobali, prawda?

- Właściwie tak. Ale...

- Co mam z tym zrobić, Anne?

- Nie wiem, ale on mnie naprawdę nie interesował. Może powinien, ale tak nie było. - Zrobiłam jeszcze jeden krok w jego stronę. Kolorowe światła migotały na jego twarzy, błyskały na brodzie. - Wiesz, że złością ci do twarzy.

- Serio? -Tak.

Jego twarz złagodniała.

- Dobrze wiedzieć.

- Wybaczyłeś mi?

- Na razie tak.

- Chcesz zatańczyć?

Wyciągnęłam rękę. Po chwili wahania podał mi dłoń. Znaleźliśmy wolne miejsce na parkiecie i zaczęliśmy tańczyć. Szybko udało nam się zgrać z pulsującym rytmem muzyki. Zaskoczyło mnie, że tak dobrze tańczył, choć sama nie wiedziałam, dlaczego wydało mi się to takie dziwne. Po chwili wyczułam, że gniew, który w sobie tłumił, zaczyna z niego uchodzić. Przysunął się bliżej. Zbliżaliśmy się do siebie w rytm muzyki, co wcale mi nie przeszkadzało. Gdy poruszałam się w lewo, stykały się nasze uda. Gdy on poruszał się w prawo, ocieraliśmy się ramionami. Kosmyk włosów opadł mi na twarz. Odgarnął go. Gdy mnie dotknął, poczułam dreszcz, jakby musnął mnie chłodną dłonią, choć tak naprawdę była ciepła.

DJ puścił wolniejszą piosenkę - chyba jakiś kawałek Golbie Caillat. Jack położył dłonie na moich biodrach i zaczęliśmy się kołysać w rytm muzyki. Przez sukienkę czułam ciepły i mocny dotyk jego palców. Podniosłam wzrok. Jego twarz lśniła. Uniosłam ręce i położyłam je na jego ramionach. Pochylił się i mnie pocałował. Gdy złączyliśmy się w pocałunku, wsunął język między moje wargi. Smakował piwem i gumą miętową. Jego dłonie przyciągały mnie coraz bliżej i bliżej, i znów poczułam jego zapach: zapach lasu, mydła i słoną woń potu.

Nagle muzyka znów ucichła.

Odsunęliśmy się od siebie gwałtownie, bez tchu. Kręciło mi się w głowie. Czułam się, jakby coś mi odebrano, chociaż nie byłam pewna co.

Jack spojrzał na mnie tak, jak jeszcze nikt do tej pory.

-Anne...

- O, tu jesteś! - krzyknęła Margaret, chociaż muzyka już ucichła.

- Cześć, Margaret. To jest Jack.

- Nie wolno ci tu być - powiedziała do niego.
- Pomyślałem, że sprawdzę, co porabia Anne.
- Tańczyła z jakimś małym! Spoważniał.
- Wiem, widziałem.
- Czemu wyłączyli muzykę? - spytałam Margaret.
- To chyba już koniec imprezy.

Ustawiliśmy się w kolejce do wyjścia. Jack stał za mną, tak blisko, że nasze ciała się stykały.

Spojrzałam na duży zegar nad wyjściem. Była pierwsza w nocy. Pierwsza w nocy, dzień naszego ślubu.

- Nadal chcesz się ze mną ożenić? - spytałam cicho. Objął mnie w talii i przycisnął do siebie.

- A niby czemu nie?

ROZDZIAŁ 12

ZOSTAŃMY PRZYJACIÓŁMI

Obudziłam się nagle o szóstej piętnaście. Było o wiele za wcześnie, żeby wstawać. Wiedziałam jednak, że jestem już zbyt rozbudzona, żeby znów zasnąć, więc odrzuciłam kołdrę i rozsunałam zasłony. Zapowiadał się piękny dzień. Niebo było bezchmurne, a ocean wciąż spokojny.

Dzień w sam raz na ślub.

Otworzyłam szafę i popatrzyłam na sukienkę, którą kupiłam dzień przed wyjazdem. Była z kremowej bawełny w jasnobrązowy wzór w formie liści i powojów. W pasie zawiązywało się czarną kokardę. Dół był luźny i zwiewny, opadał za kolana. To nie była suknia ślubna, o jakiej zawsze marzyłam, ale była dość ładna.

Spojrzałam na zegarek. Szósta dwadzieścia.

Jezu. Przede mną oczekiwanie w męczarniach.

Włożyłam błękitny dwuczęściowy strój kąpielowy, narzutkę i jakieś klapki, po czym wyszłam z pokoju. Mimo tak wczesnej pory już było upalnie. Gorące powietrze przenikał zapach bugenwilli.

Wciągnęłam ten orzeźwiający zapach, idąc ścieżką.

Basen był duży i miał kształt litery U. Otaczały go leżaki i palmy. Panowie z obsługi w białych uniformach wlewali do niego jakieś substancje chemiczne. Powiedzieli, że skończą za dziesięć minut, więc usiadłam na leżaku i zamknęłam oczy, starając się powstrzymać przyływ paniki, która co chwilę mnie ogarniała. Skupiłam się na ciepłe promieni słonecznych padających na moją skórę i przypomniałam sobie pocałunek, którym Jack pożegnał mnie wczoraj pod drzwiami mojego pokoju - taki sam jak ten na parkiecie. Pocałunek, przez który długo nie mogłam zasnąć.

Gdy basen został już udostępniony, stanęłam na jego krawędzi i zanurzyłam na próbę palec u nogi. Woda była zimna, ale poszłam na całość i wskoczyłam do środka.

Było o wiele chłodniej niż w basenie obok poprzedniego dnia. Unosiłam się na powierzchni, starając się uniknąć szoku. Przepłynęłam parę metrów kraulem, a potem wyszłam na brzeg i otuliłam się ręcznikiem, przeczesując palcami włosy.

Kobieta około czterdziestki siedziała na leżaku obok, marszcząc czoło nad swoim blackberry. Wyraz jej twarzy przywiódł mi na myśl Sarah. Tęskniłam za nią.

Chciałabym móc jej powiedzieć, po co tu przyjechałam, i poczuć jej wsparcie. Oczywiście tak naprawdę nie popierałaby tej decyzji, ale i tak dobrze byłoby usłyszeć jej głos.

Spojrzałam na zegarek. Nie było za wcześnie na telefon. Wyciągnęłam komórkę z torby i wybrałam numer.

- Halo. - Głos Sarah był przytłumiony i zaspany. Cholera, może jednak było za wcześnie, żeby dzwonić.

- Cześć, Sarah, to ja. Przepraszam, obudziłam cię?

- Anne? Nie, nic nie szkodzi, i tak już wstawałam.

- Ale z ciebie kłamczuch.

- Powinnam już wstać.

- To czemu jeszcze spałaś?

- Siedziałam do późna w biurze. Miałam tam nawet zostać na noc.

- Wracaj do łóżka. Zadzwoń później.

- Nie, nie. Już się rozbudziłam. Co słyszeć?

Dzisiaj wychodzę za mąż. Cholernie się boję. Chcę, żebyś mi powiedziała, co mam robić.

- Nic wielkiego. Siedzę sobie przy basenie. Pomyślałam, że zadzwonię poplotkować.

- Na pewno? Dziwny masz głos. Odchrząknęłam.

-A, bo wczoraj byłam w klubie. Wszystko jest w porządku.

- W klubie... To świetnie, Anne. Jak tam jest?

- Gorąco.

- Są jacyś fajni faceci?

- Kilku. Wczoraj chyba kogoś poznałam.

- Chyba kogoś poznałaś?

- No dobra, na pewno kogoś poznałam.

- Tak szybko?

- Może.

- Tam coś dodają do wody? Kluby, faceci... A żebyś wiedziała.

- To pewnie przez te margarity. Roześmiała się.

- No jasne. To jaki on jest? Jest stąd?

- Tak, mam.

- Po prostu nie chciałam, żebyś marnowała czas na coś, co nie ma przyszłości.

Ach, ta Sarah - zawsze była moim głosem rozsądku. Szkoda, że nie słyszałam jej ciągle w głowie.

-Wiem, Sarah. Dzięki. W każdym razie tak. Nawet mieszka niedaleko ciebie. Do tego jest naprawdę sympatyczny.

- Jak wygląda? - spytała podejrzliwie.
- Nie tak, jak myślisz.
- Cieszę się.

Serce mi stanęło, gdy zobaczyłam Jacka wychodzącego zza rogu. Włosy miał potargane od snu. Uśmiechnął się na mój widok.

- Słuchaj, Sarah, muszę kończyć.
- Szalona randka przy basenie?
- Coś w tym rodzaju.
- Dobra. Baw się dobrze. Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła.

Marne szanse.

- Pa. - Zatrzasnęłam telefon i spojrzałam na Jacka, osłaniając oczy przed słońcem. - Witaj, Jacku H.

- Tak już się będę nazywał do końca życia?
- Może. - Miałam skrzeczący głos, tak jak zawsze tuż przed jakąś mową. Świetnie.
- Jakoś to zniosę.

Wyglądał na rozluźnionego i wypoczętego (jak to w ogóle możliwe?). Miał na sobie czerwone szorty kąpielowe, które były na niego o wiele za duże. Na nosie miał coś, co przypominało maść cynkową.

- Skąd masz te gatki? - Wstałam i stałam kciukiem trochę kremu z jego twarzy.

- A inni nie noszą takich samych? -Nie.

Wzruszył ramionami.

- Wały mi się po mieszkaniu, więc je spakowałam.
 - Zostały po wyprawie na Mount Everest?
 - Facet musi być przygotowany na każdą ewentualność.
- Zebrałam włosy z twarzy i związałam je gumką.
- Idę na śniadanie. Chcesz iść ze mną?

- Przed chwilą jadłem. Ale zobaczymy się na terapii, tak?

- Jasne.

Staliśmy tam chwilę, wpatrując się w siebie nawzajem. Myślami wróciłam do naszych wczorajszych pocałunków. Może on też teraz o nich myślał.

- To ja idę popływać - powiedział.

- To ja idę na śniadanie.

Posłał mi przelotny uśmiech, a potem odwrócił się, wziął rozbieg i wskoczył do basenu, tworząc potężną falę, która prawie utopiła pływającego spokojnie starszego faceta.

-Przepraszam, nie chciałem - zaczął się kajać, gdy wynurzył się na powierzchnię.

Patrzyłam, jak dokazuje w basenie. Bez ubrania wyglądał na szczuplejszego, chociaż daleko mu było do smukłych, wysportowanych facetów, do których zawsze miałam słabość. Przypomniałam sobie umięśniony brzuch Stuarta i dreszcz, jaki zawsze czułam, gdy na niego patrzyłam.

Odsunęłam od siebie tę myśl. Niczego nie zyskam, porównując Jacka do mężczyzn, z którymi się spotykałam. Przy bufecie w głównej jadalni nałożyłam sobie na talerz wędzonego łososia, tost francuski i świeże owoce, po czym zmieszałam świeżo wyciśnięty sok z papai, arbuza i melona w wyglądającą dość obrzydliwie miksturę. Byłam pewna, że ten koktajl doda mi odwagi, ale mogłam też zaliczyć nadprogramową wizytę w toalecie.

Wpadłam na Margaret stojącą w kolejce. Miała na sobie długą lnianą koszulę i klapki.

- Gdzie jest Jack? -Na basenie.

- Lepiej go pilnuj. Przystojniak z niego.

- Dzięki. - Poczulałam coś na kształt dumy. Tak jakbym przyczyniła się do jego stworzenia. - Gdzie jest Brian?

- Czeka na swój omlet. - Wskazała na kolejkę dla specjalnych zamówień, gdzie stał, cóż, ciężko to inaczej ująć, potężny mężczyzna z talerzem w dłoni.

- A. Jest o... Nieźle wygląda.

- Jest ogromny - powiedziała Margaret obojętnie. Cóż mogłam rzec? Był ogromny.

- Ale ciebie nie obchodzi wygląd, prawda? Wczoraj mówiłaś...

Niech to szlag.

Margaret nie wyglądała na zmieszaną.

- Nie. Jego wygląd mnie nie obchodzi.

- To świetnie. Mówiłaś, że świetnie wam się rozmawiało. Założę się, że do siebie pasujecie.

- Oczywiście, że tak. A ty i Jack nieźle wczoraj poszaleliście. Zaczerwieniłam się.

- Zwykle nie robię takich rzeczy.

- To świetnie, że już na tym etapie czujecie do siebie pociąg seksualny. Wyprzedziliście harmonogram.

- Jaki harmonogram?

- No wiesz, ten harmonogram.

Jack podszedł do okna, owinięty ręcznikiem w paski. Uśmiechnął się do mnie i powiedział bezgłośnie: „zobaczymy się później”. Pomachałam mu i poczułam, że znów się denerwuję, a apetyt mi mija.

- Chcesz z nami usiąść? - spytała Margaret.

- Niedługo mamy terapię. Chyba po prostu szybko to pochłonę. Ale dzięki za zaproszenie.

- Jasne. Do zobaczenia później.

Podeszłam z talerzem do wolnego stolika. Wzięłam po kęsie wszystkiego, ale nie poczułam żadnej różnicy w smaku. Wyróżniała się tylko obrzydliwa przeczyszczająca mieszanka soków - to nie był przyjemny smak.

Odsunęłam talerz i spojrzałam na zegarek. Nie było jeszcze ósmej.

Nie mogłam już tego znieść. Czułam się tak, jakbym miała się zaraz rozprysnąć na milion kawałeczków i tylko cieniutka nitka pajęczyny trzymała mnie w całości.

Musiałam zabić czas i ukoić nerwy przed terapią. Musiałam się zrelaksować. Potrzebowałam... masażu. Tak, to byłoby idealne. Zostawiłam jedzenie i pobiegłam w stronę spa, modląc się o wolne miejsce. Miałam szczęście - nikt nie zajął pierwszego terminu tego dnia. Wypełniłam kilka formularzy i zostałam odprowadzona do białego pomieszczenia. W rogu znajdował się japoński wodospad, a na środku stał stół do masażu. Położyłam się na miękkim, ciepłym materacu. Masażystka przykryła mnie białym prześcieradłem, chyba bardzo gęsto tkanym. Włączyła muzykę relaksacyjną - miks szumu wiatru i drzew - po czym zaczęła pracę, usuwając napięcie z moich pleców, karku i nóg.

Czterdzieści pięć minut minęło szybko. Gdy skończyła, czułam się gotowa na czekające mnie badanie głowy.

Doktor Szwick siedział w fotelu w swoim pokoju. Wyglądał na rozluźnionego. Miał na sobie bermudy i jasną hawajską koszulę.

- Jack, Anne, witajcie - powiedział, gdy weszliśmy. - Miło was znowu widzieć. Usiądźcie, proszę.

Zajęliśmy krzesła naprzeciw niego. Noga Jacka latała w górę i w dół - po raz pierwszy zauważyłam u niego coś, co mogłoby świadczyć o tym, że się denerwuje.

-Samantha przekazała mi, że zdecydowaliście się kontynuować. Zgadza się?

Samantha? A tak, panna Cooper. Z jakiegoś powodu imię Samantha wydawało się zbyt... ludzkie.

- Zgadza się - odpowiedział Jack za nas oboje.

- Świetnie. Oczywiście pracowałem z każdym z was z osobna, ale teraz będziemy się spotykać we troje. Jak już wiecie, Blythe& Company uważa, że każda para po ślubie powinna odbyć roczną terapię. Wiem, że aby tu dotrzeć, musieliście odrzucić wiele wyobrażeń na temat swojego życia czy miłości. Może nawet sądzicie, że dotarliście już na tyle daleko, że na pewno uda wam się zbudować związek. Mylicie się. Zrobiliście pierwszy krok, ale jeszcze nie znacie drogi, na którą weszliście. Małżeństwo wymaga pracy, poświęcenia i wysiłku. A małżeństwo, które właśnie zamierzacie zawrzeć, będzie pod wieloma względami trudniejsze. Odrzucacie konwenanse. Przed najbliższymi będziecie ukrywać prawdę o tym, jak się poznaliście. Powiedziano wam, że osoba, z którą jesteście, jest tą właściwą, ale będziecie się czasem, może nawet często, zastanawiać, czy na pewno tak jest. To tylko niektóre z powodów, dla których musicie kontynuować terapię i się w nią zaangażować. Będziecie się więc ze mną spotykać raz w tygodniu przez następny rok. W czasie naszych sesji postaramy się stworzyć fundamenty waszego związku, które utrzymają was razem. Będziemy też radzić sobie z ewentualnymi bieżącymi problemami. Ale teraz przed nami prostsze zadanie: przygotowanie do kroku, który dzisiaj zrobicie. Tak właśnie powinniście o tym myśleć, jak o kroku. Macie jakieś pytania?

Zaprzeczyliśmy, kręcąc głowami.

- Dobrze. Chciałbym z wami przedyskutować parę spraw, które wynikły podczas oddzielnych sesji. Rozmawialiście już o kwestii mieszkania?

- Nie - odparłam.

Doktor Szwick spojrzał na Jacka, a potem znów na mnie.

- No więc?

Jack wzruszył ramionami.

- Ja mieszkam w kawalerce.

- Anne?

- Chyba... Jack mógłby się wprowadzić do mnie. Doktor Szwick zmarszczył brwi.

- Czemu powiedziałaś „chyba”, Anne?

Czułam na sobie wzrok Jacka czekającego na moją odpowiedź. n

- Nie uda mi się zbyć pana zwykłym „nie wiem, prawda.

- Chyba nie masz już co do tego wątpliwości. No dalej, Anne, powiedz, o co chodzi.

Spojrzałam na swoje stopy. Oczywiście powinnam o tym wcześniej pomyśleć, ale przy tym całym zamieszaniu, ekscytacji i nerwach między telefonem od panny Cooper a lotem nie miałam czasu. I nie potrafiłam jasno określić, dlaczego robi mi różnicę, gdzie będziemy mieszkać. Wiedziałam tylko, że w brzuchu poczułam coś dziwnego, jakby ostrzeżenie.

'-Jeśli chcesz, możemy znaleźć nowe mieszkanie - powiedział Jack, biorąc mnie za rękę.

Spojrzałam mu w oczy i poczułam coś innego. Przyjemniejszego.

- Dzięki.

Doktor Szwick przerwał nam tę chwilę.

- To się powinno udać. Rozmawialiście o dzieciach? Ręka Jacka zacisnęła się na mojej.

-Nie.

- Cóż, oboje stwierdziliście, że chcecie mieć dzieci, me więcej niż dwoje. Oczywiście nie dopasowano by was, gdybyście różnili się w tym punkcie, ale czy rozmawialiście o tym, kiedy tego chcecie? Jack?

Wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że najpierw powinniśmy się poznać.

- Chyba tak naprawdę uważasz, że nie ma określonego momentu, prawda?

- Jak mogę myśleć o jakimś określonym momencie, skoro dopiero wczoraj poznałem Anne?

- Większość ludzi ma pewne wyobrażenie o tym, kiedy chce mieć dzieci, niezależnie od tego, czy są w związku, czy nie.

- A ja nie mam, jasne?

Doktor Szwick odwrócił się do mnie.

- Czy to ci odpowiada, Anne?

- Tak, nie spieszy mi się.

- Na pewno? Masz trzydzieści trzy lata.

-Wiem, ile mam lat. Mam mnóstwo czasu. Na pewno wystarczająco dużo, żeby najpierw lepiej poznać Jacka.

Uścisnęłam dłoń Jacka, żeby wiedział, że jestem po jego stronie. Odwzajemnił uścisk.

-Przynajmniej wy się zgadzacie. To dobry początek -Wodził po nas wzrokiem. - Jak sądzę, oboje czujecie teraz wobec mnie wrogość. Zgadza się?

- Skąd takie wrażenie? - spytał Jack kąśliwie. Doktor Szwick cmoknął z niezadowoleniem.

-Już o tym rozmawialiśmy, Jack. Jestem tu po to, żeby pomóc wam się otworzyć, zrobić wszystko, żebyście opowiedzieli o swoich prawdziwych uczuciach, a nie ukrywali się za frazesami, które zadowolilyby co najwyżej twoich kumpli od piwa.

Jack puścił moją dłoń.

- Tak, rozumiem.

- Na pewno? Czy może marnujemy tu czas? Marnujesz czas, Anne?

- Oczywiście, że nie.

- Taką mam nadzieję. A teraz będę strzelał, ale sądząc z waszych poprzednich odpowiedzi, mogę stwierdzić, że nie rozmawialiście jeszcze o finansach. Mylę się?

-Nie - odpowiedziałam.

- Czy mogę spytać, o czym rozmawialiście od wczoraj?
- O wielu rzeczach. O naszym życiu, poprzednich związkach.

Jak to na pierwszej randce.

- Co rozumiesz przez „jak to na pierwszej randce”?
Pocałunki. Przekonywanie mnie do ślubu. To właśnie przez to rozumiałam.

- No... sama nie wiem, właściwie nic konkretnego...

- Chodzi jej o to, że badaliśmy grunt. Tak się zwykle robi, gdy się poznaje kogoś nowego - powiedział Jack.

Doktor Szwick popatrzył na nas uważnie.

- Powiedźcie, całowaliście się wczoraj? -Tak.

- Więcej niż raz? -Tak.

Doktor Szwick odłożył pióro.

-Muszę przyznać, że jestem wami trochę rozczarowany. Jesteście świetnie dopasowani, prawie idealnie, ale chyba nie traktujecie sprawy dość poważnie. Za parę godzin bierzecie ślub. Ślub. Będziecie razem iść przez życie. Zamiast rozmawiać o poważnych sprawach, zamiast sprawdzić, czy na pewno chcecie tego samego, zachowujecie się, jakbyście byli na randce i sprawdzacie, czy możecie się zakochać. To przepis na porażkę. Już wam mówiłem, że w tym procesie nie chodzi o miłość. Chodzi o zbudowanie przyszłości opartej na przyjaźni, a to można osiągnąć dzięki wspólnym doświadczeniom, celom i dopasowaniu. Nie chciałbym, żebyście pękali, jak mówią moje dzieci. Chyba udało się wam stworzyć jakąś więź, a to napawa nadzieją. Potrzebujecie więzi, żeby razem przeżyć wszystkie niepowtarzalne chwile. Ale jeśli będziecie odrzucać mój wkład i ignorować moje rady, nie skończy się to dobrze.

Wpatrywał się w nas w skupieniu, a my milczeliśmy. Czułam się jak w liceum, kiedy ktoś z klasy coś zbroił, a nauczyciel karał wszystkich, bo nikt nie chciał naskarżyć.

Doktor Szwick podszedł do biurka w rogu i wyciągnął z leżącej na nim teczki kartkę papieru. Podał mi ją.

- Zanim się dziś pobierzecie, chciałbym, żebyście razem odpowiedzieli sobie na te pytania. Gdy będziecie to robić, porozmawiajcie poważnie o tym, czemu się na to zdecydowaliście i czego oczekujecie. Dobrze?

- Dobrze - odpowiedziałam lęklonie.

- Jack?

Wziął głęboki wdech i wyrzucił z siebie:

- Ta, w porządku.

- Uważa pan, że powinniśmy to odwołać? - spytałam.

- Tylko ty znasz odpowiedź na to pytanie, Anne. Przedyskutuj teraz to wszystko z Jackiem. Wykorzystajcie techniki, które znacie z sesji. Wtedy zyskacie pewność.

Wyszliśmy z pokoju i zeszliśmy po schodach na plażę, oboje pogrążeni w myślach. Jack przez chwilę wpatrywał się w fale, a potem celowo zaczął się oddalać od hotelu. Dogoniłam go tuż przy brzegu. Zerwał się silniejszy wiatr, rozwiewając moje włosy na wszystkie strony.

- Jack... poczekaś na mnie? Jack? Zatrzymał się, zaciskając dłonie w pięści.

- Do jasnej cholery.

Obeszłam go i spojrzałam mu w twarz. Fale obmywały mi kostki, woda wypełniała moje klapki.

- Wszystko w porządku?

- Chyba nienawidzę tego faceta.

- Też tak czasem czuję.

Spojrzał na mnie. Miał zasepiony wzrok.

- Przynajmniej myślimy podobnie.

- Naprawdę?

Nie odpowiedział, tylko położył mi ręce na ramionach i przyciągnął do siebie. Zadarłam głowę i nasze usta się spotkały. Tak jak poprzedniego dnia był między nami żar. Całowaliśmy się bez końca. Przesunął mi dłonie po plecach i oparł je na moich biodrach. Przysunęłam się o krok. Pragnęłam czuć jego ciało, pragnęłam, by nie dzieliła nas żadna przestrzeń.

Uderzyła w nas duża fala, mocząc nas aż do kolan. Jack przesunął dłonie z powrotem na moje ramiona.

- To pod tym względem myślimy podobnie? - spytałam, łapiąc oddech.

- Na to wygląda.

- Jak myślisz, to dobrze czy źle? Założył mi kosmyk włosów za ucho.

- Nie widzę w tym nic złego.

Uderzyła w nas kolejna fala. Odsunęłam się.

- Chyba powinniśmy zrobić to zadanie od doktora Szwicka.

- Chyba tak.

Odwróciłam się od oceanu, przeszłam kawałek i usiadłam na plaży, zatapiając obcasy w piasku. Poklepałam dłonią w miejsce obok siebie.

- Siadaj.

Opadł na ziemię, a ja wyciągnęłam listę z kieszeni

- Chyba już zadał nam większość z tych pytań, ale na jedno jeszcze nie odpowiedzieliśmy. Jak stoisz z pieniędzmi.

- Chyba dobrze.

- To znaczy?

- To znaczy, że mogę robić to, na co mam ochotę, w znaczeniu finansowym. .

- Nie mówiłeś mi, skąd wzięłeś pieniądze na to, żeby tu przyjechać.

Przygryzł wargę.

- Dostałem niewielki spadek po cioci. To wystarczyło na pokrycie kosztów, ale kiedy wrócę, może być ciężko. Nie dostanę kolejnej zaliczki, dopóki nie złożę roboczej wersji książki, nad którą teraz pracuję.

- A może zacząłbyś brać trochę więcej zleceń? Wykrzywił się.

Szlag. Pewnie przypominało mu to gadki mamy. Z tym że on już nie miał mamy. Szlag do kwadratu.

- Przepraszam, nie chciałam zrzędzić.

- Nic się nie stało. Biorę trochę zleceń, ale utrzymywanie takiej pracy zajmuje mnóstwo czasu, a przez to zostaje go niewiele na pisanie. Pewnie gadam jak duży dzieciak, co?

- Może trochę, ale rozumiem, co masz na myśli. Przeczesał palcami włosy.

- Mimo wszystko mogę nad tym popracować. Na pewno zaoszczędzimy, kiedy zamieszkamy razem.

- Ale chyba powinniśmy zostać przy moim mieszkaniu. Przeprowadzka jest droga.

- Na pewno?

- To tylko mieszkanie, prawda? Mocno pocałował mnie w usta.

- To świetnie, Anne. Dobra, jakie jest następne pytanie? Przy kolejnym pytaniu się zaczerwieniłam.

- No? - ponaglił Jack. Oparł mi podbródek na ramieniu, żeby przeczytać. - „Jaką rolę, twoim zdaniem, powinien odgrywać w małżeństwie seks?”. Phi. Łatwizna.

Odsunęłam się od niego. - Tak?

- No jasne. Ja jestem za seksem. Ty nie?

- Cóż, no tak... oczywiście, że tak, ale... - Zauważyłam na jego twarzy rozbawienie. - Jack, do cholery, to nie jest śmieszne.

Zachichotał.

- Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. Chcesz o tym porozmawiać?

- Chyba powinniśmy... - Wbiłam wzrok w palce u stóp, myśląc o tym, co powiedziała o nas Margaret w bufecie: że jesteśmy z Jackiem do przodu w kwestii pociągu seksualnego. Czyżby miała dostęp do jakiejś broszurki, której ja nie dostałam?

-Myśle... - Jack odchrząknął. - Myślę, że to się stanie w odpowiednim momencie. No wiesz, tak naturalnie.

- Tak. To chyba będzie właściwe.

Para na skuterze wodnym hałaśliwie przecięła fale i wylądowała na plaży. Mężczyzna, który siedział za sterem, wyłączył silnik. Jego dziewczyna wisiała na nim, obejmując go w pasie i przytulając głowę do jego pleców. Odwrócił się i coś do niej powiedział - fale zagłuszyły jego słowa. Uśmiechnęła się i zmierzwiła mu włosy.

- To już wszystkie? - spytał Jack. -Hmm?

- Pytania. Są jeszcze jakieś?

- A tak. - Spojrzałam na listę. Zostało jeszcze jedno, naprawdę mocne. - „Dlaczego tak naprawdę tu jesteś”?

- Cholera, dobre pytanie - odparł Jack. - Znasz odpowiedź?

-Nie... tylko...

- Tylko co, Anne? Odwróciłam się do niego.

- Jedyna odpowiedź, jaką znajduję, jedyna rzecz, która trzyma mnie przy zdrowych zmysłach, to fakt, że tu jestem. Skorzystałam z tej niesamowitej szansy, podjęłam tę ważną decyzję i chyba zrobiłam to z jakiegoś powodu, prawda?

-Czyli nic się nie dzieje bez przyczyny? Tak uważasz?

- Wcale nie.

- Dziwna z ciebie dziewczyna...

- Już cię ostrzegałam.

- To fakt.

Jack podniósł płaską muszlę i wrzucił ją do wody. Zniknęła w białej pianie. Kolejna muszla zagubiona w morzu.

- A ty, Jack? Masz na to jakąś odpowiedź?

-Nie bardzo. Całymi godzinami się nad tym głowiłem i nadal wydaje się to bez sensu, ale i tak wciąż chcę to zrobić.

- Może chcesz to zrobić właśnie dlatego, że to wydaje się nie mieć sensu?

- Czy to by znaczyło, że jestem wariatem?

- Nie wiem. Musisz spytać doktora Szwicka.

- Chyba to sobie odpuszczę. Uśmiechnęłam się.

- Naprawdę zalał ci za skórę, co? Wrzucił kolejną muszlę do wody.

- Zazwyczaj nie tracę czasu na zastanawianie się nad takimi sprawami. Wkurza mnie, że on nigdy nie akceptuje tego, co mu mówię.

- Chyba po prostu chce nas zbić z tropu, żeby mieć pewność, że odpowiadamy szczerze.

-Może i tak, ale udaje mu się jedynie mnie wkurzyć.

- Jasno to okazałeś.

-Tak mówisz? - spytał zadziornie, sadzając mnie na swoich kolanach.

- O tak, to było jasne jak słońce.

Pocałował mnie w miejsce między szyją a ramieniem. Ujęłam jego głowę w dłonie i spojrzałam mu w oczy. Miały kolor zielonego szkła wygładzonego przez fale oceanu.

- Jack, jesteś pewien, że to dobry pomysł? Na pewno powinniśmy to zrobić?

Odwzajemnił spojrzenie.

- A co najgorszego może się stać?

- Możemy się pozabijać jak bohaterowie *Wojny państwa Rose*, kłócąc się o meble, które razem wybraliśmy?

Roześmiał się.

- Może. I co z tego? Wiele małżeństw się rozpada. A my przynajmniej spróbujemy.

- Powinniśmy się poddać procesowi? Pracować nad tym dzień po dniu? - powiedziałam, jak najwierniej naśladowując pannę Cooper.

-Taa... A może spróbujemy pójść za radą doktora Szwicka?

- To znaczy?

- Zostańmy przyjaciółmi i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

- Chcesz zrobić coś, co poradził doktor Szwick?

- No... od czasu do czasu zdarzają mu się dobre pomysły. Co powiesz?

Przyjaźń. Podobało mi się to. Z tym że... co z całowaniem? Co z faktem, że teraz siedziałam mu na kolanach, mając twarz tuż przy jego twarzy, i z trudem myślałam o czymkolwiek innym niż pocałunek?

- Przyjaźń, tak? - spytałam.

-No... może coś więcej... - odparł i delikatnie mnie pocałował.

ROZDZIAŁ 13

I ŻE CIĘ NIE OPUSZCZĘ.

Jack zapukał do moich drzwi w południe.

- Anne, to ja. Jesteś już gotowa?

Ostatni raz kontrolnie zerknęłam w lustro. Włożyłam już przygotowaną wcześniej kremową sukienkę. Zebrałam kosmyki włosów z twarzy do tyłu, reszta opadała mi falami na ramiona. Miałam szeroko otwarte, wystraszone oczy. Gotowa czy nie, czas na mnie.

Otworzyłam drzwi.

- Jestem gotowa.

Obejrzał mnie od góry do dołu, trzymając dłonie za plecami.

- Świetnie wyglądasz.

Miał na sobie piaskowy garnitur i jasnozieloną koszulę. Jego włosy były wciąż trochę wilgotne po prysznicu, więc lekko się kręciły. Nawet się ogolił. Bez brody wyglądał młodziej, jakby bardziej bezbronne.

- Ty też ładnie wyglądasz.

- Dzięki. - Wyciągnął jedną dłoń z za pleców. Trzymał w niej mały bukietik kolorowych kwiatów. - Pomyślałem, że miło ci będzie go trzymać... Chyba że już jakiś masz?

Uznałam, że nie będę miała bukietu, żeby nie nadawać zbyt wielkiego znaczenia temu wszystkiemu. Temu, co się dzisiaj stanie. Oczywiście tak naprawdę mogłam o tym tylko pomarzyć, ale starałam się zachować pozory.

Podniosłam bukiet, żeby go powąchać. Pachniał latem.

- Dziękuję, Jack. Jest piękny. -Pójdziemy już?

Z duszą na ramieniu ruszyłam z Jackiem do hallu, trzymając go za rękę. Pojechaliśmy windą na czwarte piętro i podążyliśmy za znakami do pomieszczenia, w którym odbywały się śluby. Panna Cooper stała przy wejściu, jak zawsze z nieodłączną podkładką pod dokumenty. Odhaczyła na liście nasze nazwiska.

- Mogą państwo wejść.

Jack jej podziękował, a ja nie mogłam wydusić z siebie słowa. Czy to naprawdę miało się zaraz stać?

Gdy weszliśmy, Jack mocno ścisnął moją dłoń. W głębi pomieszczenia były okna na całą ścianę, z widokiem na błękitny ocean. To był spektakularny, piękny i spokojny widok. Słychać było ciche dźwięki klasycznego marsza - chyba jakiegoś utworu Pachelbela. Powoli przeszliśmy alejką między ławkami w stronę małego ołtarza. Stał przed nim mężczyzna koło czterdziestki. Miał ciemną karnację, a w dłoniach trzymał niewielką czarną księgę. Przedstawił się jako pastor Rodriguez i spytał, czy możemy zacząć. Twierdząco kiwnęliśmy głowami, a on zaczął skromne nabożeństwo. Miałam dziwną ochotę się roześmiać i z trudem się powstrzymywałam.

Jack zauważył mój wysiłek.

- Co się dzieje? - wyszeptał.

- Nic takiego.

Pastor Rodriguez kontynuował, powtarzając odwieczne słowa. Prawie go nie słuchałam. W końcu powiedział coś, co przykuło moją uwagę.

- Czy ty, Johnie Grahamie Harmerze, bierzesz sobie Anne Shirley Blythe za żonę i ślubujesz jej miłość, wierność i uczciwość małżeńską w zdrowiu i chorobie, w dobrej i złej doli oraz że jej nie opuścisz aż do śmierci?

- Tak - powiedział Jack pewnym głosem.

- Czy ty, Anne Shirley Blythe, bierzesz sobie Johna Grahama Harmera za męża i ślubujesz mu miłość, wierność i uczciwość małżeńską w zdrowiu i chorobie, w dobrej i złej doli oraz że go nie opuścisz aż do śmierci?

Spojrzałam na Jacka. Ujął w dłonie moje ręce i spojrzał mi w oczy. Kolana mi zmiękły, ale wzięłam głęboki oddech i powiedziałam:

-Tak.

- Macie obrączki?

Jack sięgnął do kieszeni garnituru. Wyciągnął małe pudełeczko, w którym były dwie proste srebrne obrączki. Podał mi jedną z nich.

Trzymałam ją mocno w prawej dłoni.

- Powtarzaj za mną. Anne, przyjmij tę obrączkę jako znak mojej miłości i wierności.

- Anne, przyjmij tę obrączkę jako znak mojej miłości i wierności. - Jack wsunął mi obrączkę na palec. Znalazła się obok pierścionka, który podarował mi poprzedniego dnia.

- Teraz twoja kolej, Anne.

- Jack, przyjmij tę obrączkę jako znak mojej miłości i wierności - powiedziałam prawie szeptem, wsuwając obrączkę na palec Jacka.

Pastor się uśmiechnął.

- Ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować pannę młodą.

Jack ujął palcami mój podbródek i podniósł mi głowę. Pocałował mnie tak jak po raz pierwszy poprzedniego dnia,

delikatnie, ale dłużej. Miał suche i ciepłe usta. Znow poczułam to samo mrowienie. Odsunęliśmy się od siebie.

- Gratuluję - powiedział pastor Rodriguez.

- Dziękujemy - odparliśmy jednocześnie.

W lekkim szoku przeszliśmy z Jackiem do niewielkiej restauracji w okolicy hotelu. Usiedliśmy, otoczeni przez inne wystrojone pary. Na wszystkich twarzach malowało się oszołomienie.

Dziwnie się czułam z ciężarem srebrnego pierścionka i obrączki na palcu serdecznym. Ciągle je obracałam, starając się je wygodnie ułożyć. Powoli zjedliśmy lunch i gawędziliśmy o ludziach za oknem, starając się nie myśleć o tym, jaka to niezwykła okazja. Prawie nam się udało.

- O, zobacz, następna - powiedziałam, wskazując na ogromną kobietę w T-shircie z nadrukiem szczupłego ciała w bikini. - Pewnie sprzedają je w sklepie z pamiątkami.

- Paniusiu, to cię w ogóle nie wyszczupła. Zaczęłam się bawić liśćmi sałaty na talerzu.

- Jack? -Si?

- Czy my się właśnie pobraliśmy?

- Tak mi się wydaje.

- Czyli to nie jest tylko mój szalony sen? Zmarszczył czoło.

- Chyba nie jest źle, co?

- Nie powiedziałam, że jest źle, tylko że to szalone.

- Mój próg tolerancji szaleństwa znacznie się przesunął w chwili, gdy przekroczyłem progi Blythe & Company.

- Słuszna uwaga.

- Co się dzieje?

- Sama nie wiem. Chyba po prostu... nie tak sobie wyobrażałam dzień swojego ślubu.

- Nie taki pan młody?

- Nie o to chodzi. Po prostu zawsze myślałam, że będę to przeżywać razem z rodziną i przyjaciółmi.

- I w białej sukni? Uśmiechnęłam się.

- Tak, chyba tak. Myślałeś kiedyś o tym? O tym, jak będzie wyglądał twój ślub?

- Pamiętasz, że jestem facetem, prawda? - Tak, jasne.

Upił łyk piwa.

- No... Myślałem o tym, że będą na nim moi rodzice. Chyba zawsze tak to sobie wyobrażałem.

- Jak to... czy to się dawno stało?

- Tak. Miałem dwadzieścia trzy lata. Wypadek samochodowy.

- Przykro mi.

- Dzięki. - Zaczął w zamyśleniu przeżuwać kawałek swojego burrito. - Mam pomysł.

- Jaki?

- Może spróbujemy nie panikować i zobaczyć, czy się uda?

- Co masz na myśli?

- No wiesz... oboje mieliśmy złe chwile... ty wczoraj wieczorem na plaży, ja dzisiaj rano na plaży... więc chyba kiedy się o tym za dużo myśli, to wcale nie pomaga, prawda? Już się stało. Postarajmy się po prostu tym cieszyć.

- Dasz radę to zrobić? Potrafisz tak zwyczajnie... o tym nie myśleć?

- Sam nie wiem. Ale nie masz już dość rozmyślania o tym przez cały czas? Czy to nie jeden z powodów, dla których zdecydowałaś się to zrobić?

- Tak, to prawda.

- To jak, zgadzasz się?
- Na wyłączenie mózgu i zabawę?
- A jesteś w stanie to zrobić?
- Mogę spróbować. Uśmiechnął się.
- Zuch dziewczyna. Patrz, następna! Odwróciłam się i zobaczyłam kobietę ważącą jakieś sto kilo w koszulce z ciałem kobiety o połowę od niej szczuplejszej.
- To kiedy mam się wprowadzić? - spytał Jack. Odwróciłam gwałtownie głowę.
- Co?
- Mam przenieść swoje rzeczy do twojego pokoju teraz czy po obiedzie?
- Mówisz poważnie?
- A jest jakiś powód, żebym tego nie robił?
- Zapewne sto powodów, ale jasne, możesz się od razu wprowadzić i będziemy mieli... chwila... nabijasz się, prawda? Jack się roześmiał.
- Nie chciałem przeginać. Zrobiłam się czerwona na twarzy.
- Jestem bardzo łatwowierna.
- Zauważyłem.
- Proszę, nie igraj sobie ze mną.
- Obiecuję, że najpierw cię upiję.
- Ładnie mówisz o swojej żonie. Zmarszczył nos.
- Kurczę. Ale dziwnie.
- Wiem.
- Dobra. Zostawmy to. Widziałem na plaży katamarany. Może krótki rejs?
- Nie potrafię żeglować.

- Nie szkodzi, ja umiem. Chwilę się wahałam.
- Trochę się boję głębokiej wody.
- To urocze.
- Nie, to żałosne.
- Będzie fajnie, obiecuję. Jeśli ci się nie spodoba, wrócimy tutaj.
- No dobrze. Jack zatarł ręce.
- Świetnie! A potem przeniosę do ciebie swoje rzeczy.
- Jack... cholera! Prawie znów się nabrałam.
- Kurczę, naprawdę jesteś naiwna.
- Mówiłam ci, żebyś ze mną nie igrał.
- Przepraszam, to się więcej nie powtórzy.
- Ale z ciebie kłamczuch.

Gdy przyszedłam na plażę, Jack już tam był. Miał na sobie te same czerwone szorty co rano i świeżą warstwę maści cynkowej na nosie. Stał obok biało-żółtego katamaranu i rozmawiał z pracownikiem resortu - młodym chłopakiem w niebieskich kąpielówkach. Chłopak powiedział coś, co sprawiło, że Jack odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał. Wyglądał na tak rozluźnionego i szczęśliwego, że mnie tym zaraził.

Podeszłam do nich.

-Miguel, to moja... żona, Anne. - Jack uśmiechnął się nieśmiało, wymawiając słowo „żona”. Odwzajemniłam uśmiech z radością. Wymieniliśmy z Miguelem grzeczności, po czym on dokończył instruować Jacka. Zapięliśmy plastikowe sprzączki na kamizelkach ratunkowych. Jack uściśnął dłoń Miguela i pomógł mi wejść do łodzi. Chwycił ster, a Miguel wypchnął nas w ocean. Wiał dobry wiatr,

Łódka szybko przecinała wodę, płynąc w stronę Isla Mujeres, wyspy położonej parę kilometrów od brzegu.

Chwyciłam gumową krawędź burty, starając się pewnie trzymać stopy pod czarnymi płóciennymi pasami na pokładzie. Jack kontrolował duży biały żagiel za pomocą grubej liny, którą ściągał i luzował prawą ręką.

Fale rozbijały się o łódź. Unosiliśmy się i opadaliśmy z głośnym pluskiem. Wsunęłam ręce między liny na burcie.

- Jack... trochę szybko płyniemy.

- Chcesz, żebym zwolnił?

Kiwnęłam głową, a on skierował łódź nieco bokiem do kierunku wiatru. Zdecydowanie zwolniliśmy.

- A jak teraz? -Lepiej, dzięki.

Zacząłam się rozluźniać i rozejrzałam wokół. Zatoka wręcz usiana była innymi łodziami i ludźmi na skuterach wodnych. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Wodę o intensywnym niebieskim kolorze przecinały drobne fale, na których już zaczynały się tworzyć grzywy piany. Spojrzałam znów na Jacka. Przechylał się do tyłu tak mocno, że jego głowa dotykała wody.

- Co ty robisz?

Podniósł głowę i strzepnął wodę z włosów.

- Chciałem się trochę zmoczyć.

- Chyba powinieneś uważać, dokąd płyniemy?

- Nie martw się, mam wszystko pod kontrolą. Może chcesz się wygodnie położyć?

- A będziesz płynął powoli?

- Oczywiście.

Wysunęłam stopy do przodu, kładąc się tak, żeby móc patrzeć na Jacka. Kamizelkę ratunkową podłożyłam sobie pod głowę, po czym zamknęłam oczy, poddając się kojącemu kołysaniu łodzi. Zapadłam w półsen, a słońce muskało moją skórę.

- Dobrze się bawisz? - spytał Jack. Podparłam się na łokciach. -Tak.

- Szkoda, że nie zabraliśmy ze sobą piwa.

- *Dos cervezas por señor Harmer, por favor.* -Imponujesz mi.

- *Gracias.* Ale tylko tyle umiem po hiszpańsku.

- Mógłbym się nabrać.

Spojrzałam Jackowi przez ramię. Nasz hotel był już małym, dalekim punktem.

- Jack, chyba powinniśmy zawrócić. Bardzo oddaliliśmy się od plaży.

- Nie aż tak bardzo.

- Ale chyba sporo czasu zajmie nam powrót, szczególnie że będziemy płynąć pod wiatr?

Przekrzywił głowę.

- Myślałem, że nie żeglujesz.

- Ale to nie znaczy, że nic nie wiem o żeglowaniu.

- Nie dość, że ładna, to jeszcze mądra. Dobra robota, Blythe& Company. Okej, przygotuj się. Zaraz zrobię zwrot.

- Poczekaj, usiądę tak jak wcześniej. - Usiadłam obok Jacka i wsunęłam stopy pod paski.

- Będę musiał przyspieszyć, żeby zrobić zwrot. Nie prze-strasz się.

Jack odwrócił katamaran tak, że wiatr wiał z tyłu i wydymał żagiel. Przyspieszyliśmy, a Jack szarpnął do siebie ster.

- O, cholera!

Lewy kadłub zniknął pod falą i tam już został. Po chwili to samo stało się z prawym. Serce zaczęło mi walić jak szalone, kiedy reszta łodzi przestała dotykać wody i uniosła się do góry. Coś zapiszczało i poleciało w moją stronę, po czym - trach! Bom uderzył mnie w bok głowy i wyrzucił do wody.

- A to sukinsyn - usłyszałam głos Jacka, gdy wydostałam się spod wody, zanosząc się kaszlem i nie wiedząc, co się dzieje.

Dzwoniło mi w uszach od uderzenia aluminiowym bomem. Biała fala przykryła mnie z głową, prawie mnie zatapiając. Mocno odepchnęłam się nogami, łapiąc powietrze i przeklinając się za to, że zdjęłam kamizelkę ratunkową. Miotaliśmy się przez chwilę, a potem poczułam, jak Jack obejmuje mnie w talii, wyciąga z wody i przyciska do mokrego ciała.

-Nic ci nie jest?

- Boże, Jack, mówiłam ci, żebyś płynął powoli...

- Bardzo cię przepraszam, Anne. Nie chciałem, żeby coś ci się stało.

- Już dobrze. Nic mi nie jest.

- Na pewno? -Tak.

-Miguel mówił, żebym nie przeholował. Niech to szlag. - Rozprysnął dłońmi wodę.

- Hej, ochlapałeś mnie.

Jack podniósł dłoń i otarł mi wodę z oczu.

- Przepraszam, maleńka. Mój gniew zelżał.

- Maleńka?

- Nie podoba ci się?

- Podoba.

Uśmiechnął się i pochylił w moją stronę. Miał zimne usta, a jego język był szorstki.

- Smakujesz solą - powiedziałam, kiedy się rozdzieliliśmy.

- A ty zaczynasz sinieć. Lepiej podnieśmy tę łódź.

- Powiedz mi, co mam robić.

Poinstruował mnie i przekręciliśmy wywrócony katamaran na właściwą stronę. Wspiął się na niego, po czym

chwycił moje ręce, żeby mnie wciągnąć. Znowu mnie pocałował, trzymając tak długo, aż nasze usta się ogrzały.

- Wiesz, całkiem ci do twarzy w sinym kolorze - powiedział.

- Możemy już wracać?

- Tak jest, kapitanie.

Resztę popołudnia spędziliśmy przy basenie, próbując różnych drinków z wypisanej ręcznie karty nad barem: od Bahama Mama po Tequila Sunrise. Zanim zaszło słońce, krawędzie budynków zaczęły się rozmywać.

O siódmej znowu ubraliśmy się w nasze ślubne stroje i poszliśmy na przyjęcie Blythe & Company. Odbywało się w tej samej restauracji co nasza kolacja poprzedniego wieczoru, ale tym razem ustawiono duże stoły dla wielu osób. W rogu stał zespół muzyczny - wszyscy w takich samych lśniących garniturach - a sala udekorowana była wiązkami na stołach i subtelnie oświetlona światłem lamp i świec. Sprawdziliśmy, gdzie są nasze miejsca. Zostaliśmy usadzeni przy jednym stole z Margaret i jej mężem oraz z dwoma innymi parami.

Margaret przedstawiła nas Brianowi, mężczyźnie o łagodnym głosie i ciepłych brązowych oczach za szklami okrągłych okularów. Zaczęła szczebiotać, a on co chwilę zerkał na koszyk z chlebem.

Podczas kolacji Jack zabawiał nas, opowiadając wszystkim przy stole o naszej żeglarskiej przygodzie. Ja dodałam parę szczegółów. Miałam wrażenie, że jesteśmy już małżeństwem z długim stażem i mamy mnóstwo takich historyjek, chociaż tak naprawdę mieliśmy dopiero jedną.

Po kolacji zespół zaczął grać typowe weselne piosenki -składankę utworów Abby, Village People i The Jackson Five.

Kilka par tańczyło z rękami w górze, aż w końcu zespół przeszedł do ckliwych piosenek miłosnych. W takich chwilach na weselach wodzirej zazwyczaj zapraszał wszystkie zakochane pary na parkiet. I oczywiście, jeśli było się w związku, dobrym, złym czy nijakim, trzeba było odpowiedzieć na to wezwanie. Trzeba było udawać, że jest się zakochanym, i tańczyć. Dzisiaj nie było wodzireja, ale stoliki i tak opustoszały. Zostały tylko białe obrusy pokryte okruchami i poplamione winem.

- Chcesz zatańczyć? - spytał niewyraźnie Jack.

- Pewnie.

Poprowadził mnie na środek parkietu i objął. Zespół grał *Endless Love*. Obracaliśmy się powoli w rytm łzawej melodii.

Jack odchylił się do tyłu. Miał rumieńce na twarzy i problemy z koncentracją.

- Ładnie wyglądasz.

- Jesteś pijany.

- Może i jestem, ale ty i tak ładnie wyglądasz.

Jack zbliżył swoje usta do moich i przycisnął je mocno, łapczywie. Przypomniało mi się potępienie doktora Szwicka, ale szybko o tym zapomniałam. To było zbyt przyjemne, żeby mogło być złe. Odwzajemniłam pocałunek, zamykając oczy i przesuając dłonie z jego talii na szyję. Wsunął mi język między wargi i przesunął po moich zębach. Po chwili nasze języki się splotły, a ciała były mocno przytulone. Kręciło mi się w głowie i czułam się nieswojo na oczach tych wszystkich świeżo upieczonych małżeństw, więc się odsunęłam. Patrzyliśmy na siebie, powoli wirując. Zespół grał słodką piosenkę o ptakach. Wokalista miał zachrypnięty głos.

- Nigdy nie pamiętam, kto to śpiewa - powiedziałam. Przez chwilę słuchał w skupieniu.

- Bob Dylan. *I'll Be Your Baby Tonight*.

- Serio? Myślałam, że wszystkie jego piosenki o kobietach opowiadały o złości.

- Na przykład?

- No nie wiem, *Dont Think Twice*. To ładna piosenka o złości. Albo *Idiot Wind*.

- To pewnie zależało od jego nastroju. - Zaczął cicho śpiewać razem z wokalistą wers o wielkim, tłustym księżycu. Miał niezły głos, głęboki i dźwięczny.

- Ładnie śpiewasz.

- Jesteś zaskoczona?

- Nigdy nie byłam z mężczyzną, który by dla mnie śpiewał.

-Ico?

- W gruncie rzeczy mi się podoba. Jack przesunął dłonią po moim krzyżu.

- Chcesz stąd iść? - spytał. -Tak.

Powietrze na zewnątrz było ciepłe. Wiała delikatna bryza. Basen oświetlały pochodnie. Woda odbijała ich ostre płomienie. Jack objął mnie w talii od tyłu, a ja oparłam się o niego z przyjemnością.

- Dokąd chcesz iść? - spytałam.

- Może do twojego pokoju?

Po kręgosłupie przebiegł mi dreszcz. To była kusząca propozycja.

- Jack...

- Żartowałem. Trochę... Chodźmy na plażę. Poszliśmy w to samo miejsce co poprzedniego wieczoru,

gdzie po raz pierwszy się całowaliśmy. Księżyc wciąż był prawie w pełni, a plaża przypominała scenografię filmową. Jack potknął się na granicy piasku i upadł na kolana. Próbowalam pomóc mu wstać, ale znów stracił równowagę

i wylądował tyłkiem na piasku.

Podniósł na mnie wzrok.

- Witaj, żono.

- Dziwnie to brzmi. - Położyłam mu ręce na ramionach. -
Witaj, mężu. - Przejechałam dłonią po jego podbródku.

- Wiesz, podobasz mi się ogolony.

- Poważnie?

- Poważnie.

- To co ty jeszcze robisz tam, na górze?

- A gdzie powinnam być?

- Tu, na dole, ze mną.

Pociągnął mnie za ręce i przewróciłam się na niego. Ze śmiechem obróciłam się tak, by leżeć na boku, twarzą do niego. Podparł się na łokciu.

-O wiele lepiej.

Gdy to mówił, patrzyłam na jego usta. Chciałam, żeby były bliżej. Chciałam, żeby mnie całował. Tym razem ja spytałam:

- Co ty robisz tam, na górze? -Nic.

Przyciągnęłam go do siebie i poczułam w ustach jego język - był miękki, ale zarazem szorstki. Mocno przytuliłam się do Jacka. Przesunął dłonią po moim ciele i potarł kciukiem moją pierś. Odskokczyłam.

- Co się dzieje?

- Łaskocze.

- Co łaskocze? - Znów potarł kciukiem moją pierś, tym razem wolniej. - To?

-Tak.

Położył dłoń na mojej talii, delikatnie głaszcząc mój bok. -Tak lepiej?

Kiwnęłam głową, a potem całowaliśmy się bez końca. Czułam, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada, a oddech

przyspiesza, tak samo jak mój. Jego palce dotykały przez sukienkę krawędzi mojej bielizny.

- Jack...

- Mhmm?

Położyłam mu ręce na ramionach i delikatnie go odsunęłam.

- Przerwij na chwilę. Podniósł głowę znad mojej szyi.

- Znów cię połaskotałem?

- Nie, nie o to chodzi. Tylko myślę, że może... to dzieje się za szybko.

Westchnął i przewrócił się na plecy.

- Masz rację, przepraszam. -Nie przepraszaj.

Oparłam głowę na jego ramieniu. Moja ręka spoczęła na jego brzuchu. Bawił się moimi włosami, owijając je wokół palców.

-Przeszkadza ci, że chcę się teraz z tobą kochać? -spytał.

- Byłabym zawiedziona, gdybyś nie chciał.

Przez jego pierś, jakby gdzieś w głębi jego ciała, usłyszałam, jak się śmieje.

- A ty? - spytał.

- Też tego chcę.

- Cieszę się.

Leżeliśmy razem, patrzyliśmy, jak czarne chmury przesuwają się przed księżycem, i słuchaliśmy rozbijających się fal. Przez alkohol i brak snu poprzedniej nocy zaczęła ogarniać mnie senność.

- Annę... -Tak?

- Zarąbista druga randka. Zachichotałam.

- Pewnie, że tak.
- Doktor Szwick nie byłby z nas zadowolony.
- Pewnie nie.

Jack pocałował mnie delikatnie w czoło i mocno tulił.
Leżeliśmy tak na piasku, aż w końcu zasnęliśmy.

ROZDZIAŁ 14

HULAJ DUSZA

Obudziliśmy się następnego ranka o wschodzie słońca, obryzgni morską solą. Lewa strona mojego ciała była zdrętwiała, włosy poprzyklejały mi się do twarzy. Czułam się, jakby w głowie wybuchło mi tysiąc bomb, a żołądek burzył się jak poranne morze.

Jack odwrócił się do mnie i jęknął.

- Moja głowa. Moja cholerna głowa.

Położyłam się na boku, twarzą do niego. O rany. Mój żołądek nie był z tego zadowolony.

Jack zacisnął oczy. Miał włosy oblepione piaskiem.

- Wszystko gra? - spytałam.

Z trudem uniósł powiekę. Białko oka miał poprzecinane czerwonymi liniami.

- To się jeszcze okaże. A u ciebie?

- Tak sobie.

- Mało powiedziane, jeśli czujesz się choć trochę podobnie do mnie.

Usiadłam. Wszystko wokół zaczęło wirować.

- Chyba masz rację.

Siedzieliśmy tak przez parę minut, czekając, aż świat wróci na swoje miejsce. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, powlekliśmy się do swoich pokoiw wziąć prysznic i choć trochę się zdrzemnąć.

Zdjęłam wymiętą sukienkę ślubną i stanęłam pod strumieniem wody, czekając, aż toksyny wyparują z mojego ciała. Kiedy skończyłam, owinęłam się szlafrokiem i osuszyłam włosy ręcznikiem, poruszając karkiem, by złagodzić skurcze. Narzuciłam na siebie cienką bawełnianą piżamę, wślizgnęłam się pod chłodną po nocy na pustym łóżku kołdrę i złożyłam bolącą głowę na miękkiej poduszce.

Gdzieś między jawą a snem wróciłam myślami do tego, na co wczoraj wieczorem pozwoliłam Jackowi. Duma zmieszała się z zawstydzeniem, tak samo jak na studiach po imprezowych romansach w akademikach.

Udało się?

Tak, udało się.

Okolo południa zobaczyłam Jacka drzemiącego na leżaku przy basenie, z książką opartą na piersi. Był ubrany w szorty w kratę i granatową koszulkę polo. Oczy ukrył pod ciemnymi szklami pilotek. Przedramiona zaczynały mu brązowieć.

Podniósł okulary.

- O, cześć. Od dawna tu jesteś?

- Przed chwilą przyszedłam.

- Czemu mnie nie obudziłaś?

- Bo tak spokojnie wyglądałeś. Wyprostował się i zaczął kręcić ramionami.

- O rany, ale mnie bolą plecy po wczorajszym.

- Może to cię nauczy, żeby nie sypiać z dziwnymi dziewczynami na plaży.

- Tak, na pewno to sobie zapamiętam. Ale chyba mogę zrobić wyjątek, jeśli ta dziwna dziewczyna jest moją żoną.

- Nie zauważyłam takiego wyjątku.

- Jest na stronie trzeciej w broszurce. To jedno z założeń „filozofii przyjaźni” w małżeństwie.

Zachichotałam.

- Serio? Doktor Szwick nigdy o nim nie wspominał. Podniósł kącik ust.

- Mógłbym przysiąc, że to właśnie mi powiedział. Właściwie to tylko dlatego się na to wszystko zgodziłem.

- Jak myślisz, co powiedziałby doktor Szwick o naszej wczorajszej decyzji związanej ze spaniem?

Zaczął huśtać nogami, siedząc na krawędzi leżaka. Miał długie, białe stopy.

- No nie wiem. Ale przecież nie policzyłem do dziesięciu.

- Tobie też kazał robić te dziwne ćwiczenia w fotelu?

- To było wkurzające, prawda?

- Strasznie.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- No więc... - powiedziałam.

- No więc... zapisałem nas na wycieczkę dziś po południu.

- Serio? Na którą?

- Będziemy nurkować.

- Super. Dawno tego nie robiłam.

- Łódź wypływa o drugiej, zdążymy jeszcze coś zjeść.

- Chcesz mi zasugerować, że jesteś głodny? Jack pogłaskał się po brzuchu.

- Mógłbym coś przekąsić.

Usiedliśmy w restauracji koło basenu. Zamówiliśmy duży talerz nachosów z wołowiną, cebulą, pomidorami i sosem serowym. Kiedy go przynieśli, rzuciliśmy się na jedzenie. Przez parę chwil słychać było tylko odgłos przeżuwania tłustych nachosów.

- Aż czuję, jak rośnie mi tyłek - powiedziałam, odsuwając prawie pusty talerz.

Jack wsadził głowę pod stół.

- Wygląda całkiem nieźle.

- Wyłaż stamtąd, wariacie.

Wysunął głowę z powrotem, szczerząc się jak dzieciak.

- Chcesz piwo?

Na samą myśl poczułam mdłości.

- Raczej nie.

- Poczujesz się lepiej, jak się napijesz.

- Od takiego myślenia chyba kończy się na odwyku, nie?

- Pewnie tak.

Wytarłam dłonie w serwetkę i spojrzałam na książkę, którą Jack położył na stole. To było *Zjem to, co ma na sobie* Davida Sedarisa.

- Dobrze?

- Bardzo zabawne. Czytałaś jakąś jego książkę?

- Nie, ale moja przyjaciółka Sarah ciągle mnie namawia. -I ma rację.

- Jaka jest twoja ulubiona książka? Czeka, nie mów!

*W drodze*⁷.

- Skąd wiedziałaś? - spytał zaskoczony.

- Bo faceci ją uwielbiają. Jest jak ten film z Peterem Sellersem.

- Chodzi ci o *Przyjęcie*⁷

- Pewnie uwielbiasz ten film, co? I jeszcze *Oto Spinał Tap*.

- Znany też jako Najzabawniejszy Film Świata.

- Wiedziałaś!

- Nie lubisz tego filmu? Szlag by was trafił, Blythe & Company. - Zaczął wymachiwać pięścią w stronę nieba.

- Tak mocno bym tego nie ujęła.

Na twarzy Jacka odmalowała się ulga.

- Dzięki Bogu. Odwołuję to, Blythe & Company. Już nigdy w was nie zwątpię.

- Na pewno? Bo muszę ci coś wyznać. Nigdy nie czytałam *W drodze*.

- To poważna sprawa, ale możemy coś na to zaradzić. Pożyczę ci tę książkę. Akurat mam ją w pokoju...

- Jakżeby inaczej - powiedziałam z pobłażliwym uśmiechem.

- No wiesz, nigdy nie wiadomo, kiedy się pojawi nagłe zapotrzebowanie na *W drodze*.

- Oczywiście, rozumiem.

- Tak więc mogę ci ją pożyczyć, ale najpierw musisz mi obiecać, że pozwolisz mi przeczytać swoją książkę.

- Serio?

- Pewnie. Chcę ją przeczytać.

- Zobaczymy.

- Wiesz, niedługo będę mógł ją sobie kupić - zauważył.

- Wiem, ale zostało jeszcze parę miesięcy. Do tego czasu lepiej mnie poznasz.

- A co to ma do rzeczy?

- Będzie ci trudniej powiedzieć, że jest okropna.

- Musisz być twarda, Anne. Komuś na pewno się nie spodoba. Zawsze tak jest.

- Wiem... ale ty nie jesteś jakimś tam „kimś”. Uśmiechnął się.

- Miło mi to słyszeć.

- Serio?

- Serio.

Popołudnie spędziliśmy na nurkowaniu. Spiekliśmy sobie plecy, pluskając się w słonej wodzie i obserwując przepływające ryby. Najlepszym momentem popołudnia była

chwila, w której zobaczyłam ogromnego szarego rekina przepływającego pod nami. No dobra, może „najlepszy” to nie jest właściwe słowo. Nigdy wcześniej tak szybko nie płynęłam, chociaż potem śmialiśmy się z tego, gdy leżeliśmy wyczerpani na pokładzie łodzi wycieczkowej.

Zjedliśmy kolację w meksykańskiej restauracji, a potem poszliśmy do baru w hallu na poobiedniego drinka. Po takiej przerwie od prawdziwego życia odwyk mógł się okazać konieczny.

-Wiesz - powiedział Jack - sprawdziłem program na dzisiejszy wieczór w tej Krainie Nudy. No i, wyobraź sobie, będzie gra w karty. Chyba sobie darujemy. Ale tam obok, w krainie hedonistycznych dwudziestolatków, mają imprezę pod nazwą Hulaj dusza. Może być niezła zabawa.

- Czy ty cokolwiek traktujesz poważnie? Wziął mnie za rękę i pocałował w nadgarstek.

- Parę rzeczy traktuję poważnie. Klepnęłam go lekko.

-Jak myślisz, co mają na myśli, nazywając to Hulaj dusza?

- Możemy się sami przekonać.

Przeszliśmy długą ścieżką oddzielającą nasz hotel od bliźniaczego budynku i dotarliśmy do amfiteatru wyglądającego identycznie jak ten, w którym się poznaliśmy. Kończył się upalny dzień. Powietrze pod grubym płótnem było gęste.

- To miejsce wygląda jak z filmu *Mad Max pod Kopułą Gromu* - powiedział Jack. - Znasz go?

- Chyba wszyscy go znają.

Usiedliśmy w połowie stopni po jednej stronie, wciskając się między młodą parę i grupkę chichoczących dziewczyn, które wyglądały na osiemnastolatki. Chuda kobieta z tlenionymi włosami wzięła do ręki mikrofon. Miała na sobie

obcisłą czarną koszulkę na ramiączkach i krótkie dżinsowe szorty.

- Panie i panowie, nazywam się Jill. Witam na wieczorze Hulaj dusza. Jak sama nazwa wskazuje, tutaj wszystko wolno. Osoby, którym przeszkadza nagość, pijaństwo i ogólnie Sodoma z Gomorą, powinny raczej opuścić to miejsce. Mamy tutaj tylko jedną zasadę: gdy już się wejdzie, trzeba zostać. Jeśli ktoś nie ma ochoty na przygodę, powinien się teraz ewakuować.

- Myślisz, że ona mówi poważnie? - wyszeptałam do Jacka.

- Na to wygląda. Chcesz zostać?

- Nie bez ciebie. -Mnie to pasuje.

Zobaczyłam, jak parę zawstydzonych osób wstaje i wychodzi. Trochę się denerwowałam tym, że zostajemy, ale co takiego strasznego mogło się wydarzyć?

Hm, chyba trochę za często zadawałam sobie to pytanie.

- Teraz, kiedy frajerzy już wyszli, zagramy w rozbierane bingo! Zasady są proste. Każdy dostanie kartę. Jeśli wywołanej liczby nie będzie na waszej karcie, musicie zdjąć jakąś część garderoby i położyć ją na środku kręgu. Jeśli znajdziecie tę liczbę u siebie, zostajecie w ubraniach.

Spojrzałam na swoje ciuchy: kremowe szorty, biała koszulka, stanik, figi i klapki. Pięć elementów - no, może sześć, jeśli klapki policzę osobno. Czego na pewno nie omieszkam zrobić. Tak czy owak, pod koniec gry na pewno będę naga.

- Pewnie żałujesz, że nie wzięłaś swetra - wyszeptał mi Jack do ucha.

- Nie wstydzę się swojej nagości.

- O, naprawdę?

- No... może trochę.

Jill przyniosła drucianą kulę wypełnioną piłeczkami, po czym rozdała karty i długopisy. Kiedy już wszyscy mieli karty, zgasiła światło. Siedzieliśmy w półmroku, więc istniała nadzieja, że nie będzie tragicznie. Może dam radę zdjąć ciuchy przy tłumie obcych ludzi i facecie, który umie się całować.

Zerknęłam na Jacka. Znacząco uniósł brwi, wyraźnie ucieszony myślą, że pewnie za parę minut będę naga. Zmieniłam zdanie - jednak bardzo chciałam wygrać w tej grze.

- **B12** - powiedziała Jill. Cholera!

Zdjęłam jeden kłapek i postawiłam stopę na zimnym betonie.

Jack zrzucił oba sandały. Pomachał w moją stronę palcami u stóp.

- Oszukujesz. Pokazałam mu język. -**N19**.

Tak! Skreśliłam kwadrat długopisem. Jack ściągnął podkoszulek.

- Ekshibicjonista.

- Ja na pewno nie wstydzę się nagości. -**O39**.

Zrzuciłam drugi kłapek, a Jack skreślił numer na karcie z zawiedzioną miną.

- No dalej, ludzie, macie rzucać swoje ciuchy na środek sali. No już, znieście je tutaj! - zakomenderowała Jill.

Parę prawie całkiem rozebranych osób zeszło po stopniach w mrok i rzuciło swoje ciuchy na stos. Ja zostałam na swoim miejscu, trzymając klapki w zasięgu ręki.

-**G23**.

Szorty czy koszulka? Szorty czy koszulka? Zdecydowałam się na koszulkę. W staniku można się czuć prawie jak w bikini. Żaden problem.

Zdjęłam koszulkę i położyłam ją obok kłapek. Jack ściągnął szorty, zwinął je w kulkę i rzucił na środek kręgu. Został w białych bokserkach.

- Ciekawe, jak to potem znajdziesz.

- Taka jesteś mądra? - Chwycił moją koszulkę i rzucił na stos.

-Ej!

- Takie są zasady, Anne. Chyba nie chcesz, żebyśmy mieli przez ciebie kłopoty, co?

-Ii7.

Wiedziałam, że tak będzie. Wstałam i rozpięłam szorty. Mocno trzymałam je na kolanach, kiedy Jack próbował mi je wyrwać.

- Daj spokój - powiedziałam, odganiając go. **-I25.**

Tego już za wiele!

- Bingo!

Oby to nie był fałszywy alarm.

Siedziałam jak na szpilkach, gdy Jill sprawdzała kartę kobiety, która krzyknęła „bingo”.

- Mamy zwyciężczynię! - W całej sali rozległy się oklaski. - Teraz wyłączymy światła i wszyscy spróbują znaleźć swoje ubrania.

Spojrzałam na Jacka złowrogo. Uśmiechnął się uspokajająco.

-Nic się nie martw. Znajdę nasze ciuchy. Zostań tutaj.

Szybko zszedł po schodach i po chwili wrócił z naszymi ciuchami. Wskoczyłam w swoje szorty i wciągnęłam top. Jack obok mnie zrobił to samo.

- Trochę to słabe, co? - powiedział.

- Szkoda, że wcześniej nie wyszliśmy.

- To chodźmy teraz.

- Przecież Jill powiedziała, że nie można.

Wyszczrzył zęby.

- Uosobienie naiwności. Chodź za mną.

Poszliśmy w górę po stopniach i dotarliśmy do krawędzi płótna. Jack je odsunął, odsłaniając schody przeciwpożarowe.

- Skąd wiedziałeś, że tu są? Klepnął się dłonią w głowę.

- Mam gigantyczny mózg.

- Blythe & Company jakoś nie wspomnieli o tym w swoim opisie.

- Będę się musiał z nimi rozmówić.

Zeszliśmy po schodach i zaczęliśmy oddalać się od amfiteatru. Ze środka dały się słyszeć piski.

- Czuję się jak tchórz - powiedziałam.

- Wczoraj wyszłaś za obcego człowieka, więc na pewno nie jesteś tchórzem.

- W sumie masz rację. To co teraz?

- Przejdziemy się po plaży? Plaża. Miejsce zbrodni. A co tam...

Zrzuciliśmy buty i zaczęliśmy powoli iść w stronę odległej plamy światła po drugiej stronie zatoki. Jack moczył stopy w wodzie. Co parę minut do brzegu zbliżała się ogromna fala, a on skakał, próbując jej uniknąć.

- Wiesz, że musieli odsysać cały ten piasek z dna oceanu po ostatnim huraganie? - powiedział.

- Obiło mi się o uszy.

- Podobno użyli wielkich maszyn do odsysania, bo plaże były ogołoczone do skał.

- Tak, coś o tym czytałam.

- Przepraszam, nudzę cię?

- Skądże. Czemu pytasz?

- Sam nie wiem. Nie masz wrażenia, że dzisiaj nastrój trochę opadł?

- Jak możesz mówić, że w dniu, kiedy widzieliśmy rekina i graliśmy w rozbierane bingo, nastrój opadł?

Uśmiechnął się.

- Był wielki jak cholera.

- Na sto procent grał w *Szczękach*.

- Ale poważnie mówiąc...

- Chodzi ci o to, że wczoraj zrobiliśmy coś, co całkowicie zmieni nasze życie, a ten dzień wygląda zupełnie zwyczajnie?

-Tak.

- A jakich zmian oczekiwałeś?

- Sam nie wiem. Nieważne, nie było pytania.

- Chciałbyś, żeby coś było inaczej? To znaczy, czy chciałbyś, żebym ja była inna?

Odwrócił się do mnie.

- Nie, Anne. Jesteś wspaniała. To chyba normalna reakcja po wprowadzeniu w życie czegoś, na co się długo czekało. No wiesz, czasem czeka się na jakieś ważne zdarzenie, a kiedy ono wreszcie przychodzi, pojawia się lekki zawód. Nie żebym ja był zawiedziony...

- W porządku. Wiem, co masz na myśli. Wielkie zdarzenia już za nami, teraz czas na trudniejszą część zadania: przejście przez resztę życia.

- Mam nadzieję, że to nas nie przerośnie.

- Ja też. Poza tym postanowiliśmy, że już nie będziemy o tym rozmyślać, prawda?

- Masz rację.

Okazało się, że światła w oddali należały do dwu statków pirackich zacumowanych przy kei. Czekały na wycieczkowiczów chcących przepłynąć się nocą po zatoce.

- Jak myślisz, co się robi na takim statku? - spytałam.

- Wyływają na środek zatoki i inscenizują bitwy.

- Powinnam się była domyślić. Wyglądał na znużonego.

- Dla zabicia czasu przeczytałem po przyjeździe wszystkie ulotki.

- Nie próbowałaś wybadać, kim jestem?

- To też - powiedział, unosząc lekko kącik ust. -I jak ci poszło?

- Trafiłem.

- Zgadłeś, kim jestem, mając do wyboru tyle kobiet? -Mhm.

- Ściemniasz.

- Przysięgam.

- Jak to zrobiłeś?

- Już ci mówiłem, że mam gigantyczny mózg.

- Tak, tak. No proszę, powiedz, jak ci się to udało.

- Była tylko jedna naturalnie ruda dziewczyna we właściwym przedziale wiekowym, nawet biorąc pod uwagę margines błędu.

- Margines błędu?

- No wiesz, kobiety, który wyglądają na dwadzieścia pięć lat, chociaż mogą mieć trzydzieści pięć i w drugą stronę.

Ze statków pirackich zaczęła dopływać muzyka. Wy-cieczkowicze ustawili się w kolejce. Patrzyliśmy na błyskające światła i ludzi usiłujących się dopchać do kładki prowadzącej na pokład.

- A ja wyglądam na młodszą czy na starszą? Objął mnie w talii.

- Zdecydowanie na młodszą. Dwadzieścia pięć lat, nie więcej. - Przyciągnął mnie do siebie tak, że nasze biodra się stykały.

Wsunęłam dłoń w tylne kieszenie jego szortów.

- Nabierasz mnie, prawda?

- Nigdy się tego nie dowiesz. - Musnął moje wargi swoimi.

- Nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdybyśmy zostali na tamtej imprezie?

- Nie podoba ci się tutaj?
- Tego nie powiedziałam.
- To dobrze. Co powiesz na bardziej kameralną wersję Hulaj dusza?
- Zobaczymy.
- Pocałował mnie w policzek i w szyję. Muzyka niosąca się po plaży ucichła.
- Jack... -Mhm?
- Widzieliśmy dziś rekina. Poczułam na skórze, jak się uśmiecha.
- Cholernie wielkiego rekina.
- Przyciągnęłam go bliżej, wciąż trzymając ręce w jego kieszeniach.
- Ta-dam, ta-dam - zaśpiewał z ustami przy moim obojczyku.
- Ta-dam, ta-dam - wyszeptałam mu do ucha.

ROZDZIAŁ 15

NIE KARMIĆ ZWIERZĄT

Siedziałam w autobusie obok Jacka, próbując przebrnąć przez *W drodze*, podczas gdy on czytał moją książkę. Całymi dniami mnie dręczył, żebym mu ją pokazała, aż w końcu tego ranka uległam i dałam mu plik kartek, który dostałam od wydawcy przed wyjazdem. Miałam to przeczytać po raz ostatni, ale byłam trochę zajęta.

Jechaliśmy właśnie do zaginionego miasta Majów odalonego o parę godzin drogi od naszego hotelu. Przez dwa dni leniliśmy się przy basenie, czytaliśmy, jedliśmy, piliśmy i gadali. Moja skóra zmieniała odcienie czerwieni, a Jack robił się coraz bardziej brązowy. A noce spędzaliśmy. .. obściskując się - to jedyne słowo, które przychodzi mi do głowy, razem ze wszystkim, co sugeruje. Właściwie często się czułam tak, jakbyśmy byli w liceum. Za dużo piłam, za dużo jadłam, wypaplałam mnóstwo rzeczy, których nigdy nie powiedziałabym na trzeźwo, a usta bolały mnie od całowania.

Tego ranka Jack zapukał do moich drzwi o szóstej trzydzieści z plecakiem na ramionach i dużym papierowym

kubkiem kawy w dłoniach. Intensywny zapach dotarł do moich zmęczonych nozdrzy.

- Dzięki Bogu. Gdzie to dorwałeś? Podał mi kubek.

- Jeden z pracowników się zlitował. Uważaj, gorące. Nie zwróciłam na to uwagi i pociągnęłam duży łyk, parząc sobie język.

- Cholera.

- Mówiłem.

- Pieprzyć to. Było warto.

- Ćpunka.

- Się wie.

- Masz dzisiaj dobry humor, co?

- Chyba tak. Nadstawił mi ramię.

- Zapraszam, moja droga.

Idąc pod rękę, dotarliśmy do głównego wyjścia z hotelu. W drugiej części budynku pachniało inaczej: było w tym zapachu więcej kurzu i upału, a mniej soli. Zawahałam się na progu.

- Wiesz, że przez parę dni nie opuszczaliśmy tego miejsca?

- Boisz się?

- Nie, po prostu czuję się trochę tak, jak wtedy, gdy się zasiedzę w mieszkaniu nad pisanie. Wiesz, kiedy po raz pierwszy wychodzisz z domu i wszystko wokół wydaje się nowe, albo inne. Tak, jakby coś się odrobinę zmieniło, kiedy cię nie było.

- Głębokie przemyślenia jak na tak wczesną porę.

- Nieważne.

- Jesteś gotowa zobaczyć, co czeka na nas na zewnątrz?

- Pewnie.

Z Marco, naszym dzisiejszym przewodnikiem, spotkaliśmy się na parkingu. Był nieco po czterdziestce, miał

jasnobrązowe włosy i białą bejsbolówkę Pумы. Po angielsku mówił całkiem nieźle, choć z akcentem.

Wgramoliliśmy się do autobusu i rzuciliśmy plecaki na półkę nad siedzeniami. Teraz mijała już godzina jazdy podskakującym autobusem.

Byłam zbyt zdenerwowana, żeby się skupić na narkotycznej podróży Sala Paradisea. Zerknęłam na Jacka. Miał na sobie koszulę w kolorze khaki i trochę za mały kapelusz panama. Uśmiechnął się, a parę minut później głośno się roześmiał.

- Co o niej sądzisz?

Jack podniósł głowę znad tekstu.

- Anne, mówiłem ci już milion razy, że ci nie powiem, dopóki nie skończę.

- Daj mi chociaż wskazówkę. Proszę... Podniósł moją dłoń do ust.

- Czytaj.

Przeczytałam kolejną stronę, ale słowa po prostu przepływały przed moimi oczami, nie będąc w stanie mnie wciągnąć. Zamknęłam książkę, wzdychając. Kiedy podniosłam wzrok, Jack się do mnie uśmiechał.

- Co? - spytałam.

- Chodź tu na chwilę.

Położył mi dłonie na policzkach i dał mi krótkiego całusa. Potem przyłożył mi usta do ucha.

- Jest dobra, Anne.

- Naprawdę? Naprawdę?

- Naprawdę. Daj spokój, przecież wiesz, że jest dobra. Zmarszczyłam nos.

- Czasem myślę, że jest dobra. A czasem wydaje mi się, że do bani. Albo zbyt trywialna. Albo za osobista.

- Tylko to, co osobiste, jest dobre. Czemu myślisz, że jest do bani?

- Bo czytałam książki innych autorów. I oglądałam dobre filmy.

- Na przykład?

- Na przykład *Tajemnicę Brokeback Mountain*. Prawie przestałam pisać po tym, jak to obejrzałam.

- Naprawdę dziwna z ciebie dziewczyna, Anne Blythe.

- Ciągłe to powtarzasz.

Jack uśmiechnął się ze znużeniem i ziewnął.

- O mój Boże. Moja książka jest nudna. Zaraz cię uspi. Wiedziałam.

- Spokojnie, Anne. Po prostu ostatnio nie za wiele spałem.

- Naprawdę? A co ci nie pozwalało zasnąć? - Zaczęłam patrzeć na przesuwany się za oknem krajobraz, próbując się uspokoić. Byliśmy na jakiejś podrzędnej zakurzonej drodze. Autobus brnął przez nią, co chwilę się trzęsąc.

- Myślę, że wiesz, co mi nie pozwalało zasnąć - powiedział Jack. - Wiesz też, co by sprawiło, że łatwiej bym zasnął.

Odwróciłam się do niego, oblewając się rumieńcem.

- Chcesz tutaj o tym rozmawiać?

- A czemu nie?

Bo nie wiem, czy jestem gotowa na seks z tobą, a jeśli nie będziemy o tym rozmawiać, to nie będę musiała o tym myśleć?

- A może porozmawiamy o twojej książce? Kiedy będę mogła ją przeczytać?

Wyglądał na zawiedzionego, ale tylko przez chwilę.

- Mam ze sobą jeden egzemplarz.

Wyciągnął plecak z półki nad nami, wyjął książkę i mi ją podał. Okładka była ciemnozielona, ze zdjęciem poszarpanych ośnieżonych szczytów. Tytuł - *Wyścig aż do mety* - był wypisany na skośną białą wytłuszczoną czcionką. Odwróciłam książkę, żeby przeczytać streszczenie na plecach okładki.

Zobaczyłam czarno-białe zdjęcie Jacka uśmiechającego się do obiektywu.

- Całkiem niezłe wyszedłeś na tym zdjęciu.

- Można się nabrać, co?

- Nie o to mi chodziło. Mogę ją teraz przeczytać?

- Pewnie. Ale obiecaj mi, że wrócimy do rozmowy o bezsenności w Meksyku.

- Zobaczymy. - Ułożyłam się wygodnie na siedzeniu, przeciągnęłam się i zaczęłam czytać.

Od razu mi się spodobała. Pisał krótkimi, mocnymi zdaniami, a historia wciągała od pierwszej strony. Opowiadała o grupie ludzi biorących udział w rajdzie przygodowym

i być może - jeszcze nie byłam pewna - o romansie między narratorem i jedyną kobietą w grupie.

- Jack.

Trzymał mój tekst na kolanach i miał zamknięte oczy. -Hmm?

- Jak możesz spać, wiedząc, że czytam twoją książkę? Podniósł powiekę.

-Odwracam swoją uwagę, fantazjując o nas na plaży.

- Jack!

- Mogę wrócić do spania?

- Dobra.

- Dzięki. W mojej fantazji wyglądasz naprawdę ostro. Walnęłam go książką, a on ze śmiechem zaczął masować się po ramieniu. Potem znów ułożyłam się na siedzeniu i dałam się porwać historii, którą opowiadał mi Jack.

- Witam wszystkich serdecznie - powiedział nasz przewodnik Marco. - Już dojeżdżamy do Coba. Podam wam parę informacji, zanim będziemy na miejscu. Po pierwsze, żebyśmy mogli się łatwiej znaleźć, będę mówił do was

„Pumy”, jak ta na mojej czapce. - Wymówił to, wydłużając samogłoski: „Puuumyyy” i wskazując na swoją czapkę. - Więc kiedy usłyszycie słowo „Pumy”, podejdźcie do mnie. Wszyscy zrozumieli? Pumy, chodźcie do mnie. Pumy, chodźcie do mnie.

Rozejrzał się wyczekująco po autobusie. Stłumiłam śmiech.

- No dobrze, następna rzecz. Kiedy wysiądziemy, musimy zamówić lunch. Będziemy w prawdziwej restauracji Majów i będziemy mieć do wyboru trzy potrawy. Pierwsza to pancernik. Pancernik smakuje jak kurczak. Druga to wąż. Wąż smakuje jak wieprzowina. Trzecia to aligator. Aligator smakuje jak wołowina. Kiedy będziecie wysiadać, powiedzcie: pancernik, wąż albo aligator. Dobrze?

- Anne, proszę, powiedz, że się na to nie złapałaś. Złapałam się. Właśnie pomyślałam, że nie chcę jeść żadnej z tych potraw. Zacisnęłam szczękę.

- Jasne, że nie. -Mhm.

-Tylko żartuję, Pumy - powiedział Marco. - Można wybrać kurczaka, wieprzowinę albo wołowinę. Przy wysiadaniu powiedzcie, na co się decydujecie. Dobrze, dojeżdżamy do Coba, miejsca, w którym znajduje się najwyższa piramida Majów na Półwyspie Jukatan. - Wymówił słowo „Majów” tak samo jak „Pumy”: „Maaajóóów”. - Większość ludzi myśli, że piramida w Chichen Itza jest wyższa, ale to nieprawda. Ponadto na tamtą piramidę już nie można wchodzić, więc dobrze dziś wybraliście, drogie Pumy.

- Skąd oni wzięli tego gościa? - spytał Jack.

Wjechaliśmy na parking pełen autobusów turystycznych i wysiedliśmy. Odebraliśmy bilety i udaliśmy się za Pumą Marco na trzykilometrową przeprawę przez dżunglę. Drzewa tworzyły gęste sklepienie, przez które nie przebijało

się światło. Wilgoć unosząca się z ziemi nie miała się gdzie ulotnić. Wiedziałam, że to dzieje się naprawdę, ale odnosiłam wrażenie, że wokół słyszę odgłosy dżungli odtwarzane z płyty.

Zatrzymaliśmy się przy ruinach boiska, gdzie starożytni Majowie grali w pok-ta-pok, prymitywną grę w piłkę. Marco wyjaśnił, że chociaż uważa się, jakoby przegrani byli zabijani...

nie odnaleziono w tym miejscu niczego, co mogłoby potwierdzić, że składano tu ofiary z ludzi. Znaleziono tylko dowód na złożenie dobrowolnej ofiary. Dobrrrowolllneeej ofiaaary - powtórzył, wykonując ruch przypominający podcinanie sobie żył. - Również dlatego wybraliście dzisiaj dobrze, drogie Pумы. Tego dnia usłyszycie prawdę.

Zniszczona przez klimat piramida z szarego kamienia, dla której tu przyjechaliśmy, miała czterdzieści dwa metry wysokości - mniej więcej tyle, ile dziesięciopiętrowy budynek - i stała na środku dużej pustej przestrzeni. Kolejki turystów przesuwały się w górę i w dół po głównych schodach, pomagając sobie przytwierdzoną z boku liną.

- Ścigamy się? - spytał Jack z błyskiem w oku.

- No nie wiem... - Schyliłam się, żeby zawiązać buta, po czym skoczyłam do sprintu w kierunku stopni.

-Ej!

Trzymałam głowę pochyloną, starając się skupić na tym, żeby jak najszybciej przebiec stopnie. Jack dogonił mnie po jakichś trzydziestu stopniach. Przemknęliśmy między brzuchatymi, spalonymi turystami. Żeby dotrzeć na samą górę, trzeba było pokonać sto dwadzieścia stopni, a nogi zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa przy osiemdziesiątym trzecim.

- No dalej, Anne. Chyba się nie poddasz, będąc tak blisko celu, prawda? - krzyknął Jack obok mnie, dysząc.

-Ni... gdy...

Resztką sił przeskoczyłam trzy ostatnie stopnie, po czym padłam na prostokątną platformę na górze.

-Wygrałam - powiedziałam tak zwycięsko, jak tylko mogłam.

Jack usiadł ciężko tuż obok mnie. Twarz miał zaczerwienioną, a na jego koszulce były plamy potu. Z trudem łapał oddech.

- Skoro jesteś taka szybka... to może pojedziesz ze mną na następny rajd przygodowy...

- Nie ma mowy. - Odwróciłam się, żeby spojrzeć na panoramę i uspokoiłam oddech. Warto było zaryzykować zawał serca. Widok ciągnął się na wiele kilometrów. Nad sklepieniem dżungli górowały inne ruiny. Ludzie na dole wyglądali jak mrówki. Cieszyłam się, że nie zapomniałam aparatu.

Gdy zrobiłam parę zdjęć, usłyszałam, jak Marco woła na dole:

- Do mnie, Pумы...

Z trudem stanęliśmy na nogach. Spojrzałam w dół. To był błąd. Jack złapał mnie za rękę, pomagając utrzymać równowagę.

- Nie patrz w dół, Anne.

- Powiedziałaś to o parę sekund za późno.

- Dasz radę?

- Skoro weszłam, to mogę też zejść.

- Trzymaj się liny i stąpaj ostrożnie. Będę tuż obok. Chwyciłam linę. Była śliska od potu miliona turystów.

Ostrożnie postawiłam stopę na pierwszym stopniu, tak jak wtedy, gdy miałam trzy lata. Jedna nóżka, druga nóżka, stój. Jedna nóżka, druga nóżka, stój.

Jack cały czas był obok mnie. Kiedy dotarliśmy na dół, miałam prawie takie samo poczucie zwycięstwa jak wtedy, gdy weszłam na górę.

Wróciliśmy za Marco na parking, wsiedliśmy do autobusu i przejechaliśmy parę kilometrów do „prawdziwej” restauracji Majów. Stoły na dwadzieścia osób były ustawione jak na biesiadzie pod wielką, ciemną, drewnianą konstrukcją. Nad nami był kryty strzechą dach. Usiedliśmy na końcu jednego z grubo ciosanych drewnianych stołów. Jack wziął dwa piwa z dużego wiadra z lodem na środku stołu.

- Udało ci się. - Stuknął swoją butelką o moją.

- Dzięki tobie.

- Zawsze do usług.

- Możemy się do was dosiąść? - spytała Margaret, odziana w długą, bezkształtną bawełnianą sukienkę. Brian stał za nią i pocił się w milczeniu w swoich dżinsach i białej podkoszulce.

Zobaczyłam ostrzegawcze spojrzenie Jacka i zignorowałam je.

- Jasne, że tak.

Usiedli. Brian łąpczywie sięgnął po butelkę piwa.

- Skąd wracacie? - spytałam. - Nie widziałam was w autobusie.

- Byliśmy w innej grupie - powiedziała wymijająco Margaret.

- Jak wam się podobały ruiny? Wzruszyła ramionami.

- Nie zrobiły na mnie takiego wrażenia, jak się spodziewałam.

Jack wydawał się skonsternowany.

- Jak to?

- Myślałam, że będą wyższe. Wiesz, jak te w Egipcie.

- Chyba nie bardzo można je porównywać.

- Czemu nie? Jedno i drugie to piramidy.

- Tak, ale to zupełnie coś innego, inna technika.

- A co tu ma do rzeczy technika?

- A słyszałaś kiedyś o czymś takim jak koło? Położyłam dłoń na ramieniu Jacka.

- Ja byłam zachwycona.

Kelner podszedł do naszego stolika, by spytać, czy zamawialiśmy kurczaka, wołowinę, czy wieprzowinę.

- Ja zamawiałam pancernika - powiedziała Margaret.

- Znanego też jako kurczak - wymamrotał Jack, wywracając oczami do kelnera.

- Jedzicie dziś po południu do wioski Majów? - spytałam.

- Tak - powiedziała Margaret z entuzjazmem. - Nie mogę się doczekać, aż zobaczę ich domy i dzieciaki. Podobno są taaakie słodkie.

- Będziemy wchodzić do ich domów?

- Tak, żeby zobaczyć, jak mieszkają. Wejdziemy do środka i będziemy oglądać wszystko, co tam mają.

Kelner wrócił z naszym jedzeniem. Kurczak był bardzo miękki - został przyrządzony w glinianym piecu z pomidorami i przyprawami. Pachniał przepysznie. Kolejno podawaliśmy sobie duże miski z ryżem, sosem i tortillami.

Jack otworzył następne piwo i odchylił się na krześle. Miał podstępny błysk w oku.

- To jak ci się podoba w Meksyku, Margaret?

- Jest całkiem przyjemnie. Chociaż w Chinach było lepiej.
-W Chinach?

- Tak, tam było wspaniale. Wielki Mur naprawdę robi wrażenie.

- Nie można porównywać Chin i Meksyku...

- Czemu nie?

- Bo... nikt przecież nie zapyta: „Powinienem jechać do Meksyku czy do Chin?”. Te miejsca odwiedza się z zupełnie innych powodów.

- Do obu się jedzie, żeby je zwiedzić, prawda?

- Chyba tak. Ale jeśli się nad tym głębiej zastanowić...

- Ja nie widzę różnicy. Jack potrząsnął głową.

- Jeśli ty jej nie widzisz, to ja ci tego nie wytłumaczę.

Margaret nabiła kawałek mięsa na widelec i podniosła go.

- Wiecie, ten pancernik naprawdę smakuje jak kurczak.

- Słuchajcie, Pummy, zaraz zobaczymy prawdziwą wioskę Majów. Rodziny, które tam mieszkają, zarabiają sto pięćdziesiąt dolarów, tak, sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. Tam, skąd pochodzicie, chętnie zapłacilibyście sto pięćdziesiąt dolarów, żeby nie musieć wychodzić rano z łóżka, co? Ale tutaj to całkiem niezła stawka. Musicie jednak pamiętać, żeby nie dawać pieniędzy dzieciom, niezależnie od tego, jakie są uroczę. Przez to nabierają złych nawyków. Musieliśmy wykluczyć jedną rodzinę, bo dzieci zbyt nachalnie prosiły o pieniądze. Więc bardzo proszę, nie dawajcie im pieniędzy. Słodczyce tak, ale nie pieniądze. Dobrze, Pummy?

Jack pochylił się do mnie.

- Jak myślisz, co miał na myśli, mówiąc, że musieli wykluczyć jedną rodzinę?

- Nie wiem. Może to coś jak Disneyland Majów, a wioska jest sztuczna?

- Ależ, Pummy, to miało być autentyczne! Marco mówił dalej.

- Wiecie, Pummy, tu jest świetny system opieki zdrowotnej, który ustępuje miejsca tylko kubańskiemu. Na Kubie mają wiele wspaniałych rzeczy. Opiekę zdrowotną, edukację...

-Wzruszył ramionami. - Nie ma wolności, ale przecież nie można mieć wszystkiego.

Ramiona Jacka zatrząsnęły się od śmiechu.

- Każda cena za tę wycieczkę byłaby za niska.

„Prawdziwa” wioska Majów to było dziesięć przerdzewiających metalowych baraków przy zakurzonej drodze. Dwie małe dziewczynki o śniadej skórze, wystrojone w zwiewne białe bluzki i marszczone spódniczki z jasnymi wzorami, siedziały na progu pierwszego domu. Pomachały i uśmiechnęły się do nas, pokazując niezwykle białe zęby. Dom był wewnątrz oświetlony jedną gołą żarówką. Kobieta po czterdziestce siedziała przy starej maszynie do szycia marki Singer. W rogu trzaskał ogień. W pomieszczeniu było pełno gryzącego dymu, od którego oczy zaczęły mi łzawić.

- Chcesz stąd wyjść? - spytał Jack. Był chyba tak samo zmieszany jak ja.

-Tak.

Wyszliśmy frontowymi drzwiami i zaczęliśmy w milczeniu iść drogą. Dziesięcioletni chłopiec przemknął obok nas na rowerze. Na bagażniku z tyłu wioził roześmianego kolegę.

Jack odwrócił się i patrzył, jak odjeżdżają drogą, wzniesając chmurę kurzu.

- To miejsce wygląda jak scenografia z początku filmu o rewolucji w Ameryce Południowej.

- Wiem, co masz na myśli.

- Nie podoba mi się to. Myślę, że nie powinniśmy zwiedzać tych domów.

- Zgadza się.

- No dobra, Pumpy, czas na nas!

- No już, już.

Gdy dojechaliśmy do hotelu, Jack dał Marcowi hojny napitek, po czym rozdzieliliśmy się, żeby się odświeżyć. Godzinę później Jack przyszedł po mnie, żeby mnie zabrać na obiad. Miał na sobie jasnozieloną koszulkę i lniane spodnie. W ciągu dnia jeszcze bardziej się opalił. Nie wiem, czy to

przez wspomnienie dotyku jego dłoni na mojej twarzy, czy przez to, że jego zapach coraz bardziej mnie uzależniał, ale z każdym dniem podobał mi się coraz bardziej.

- Jak ci się dorastało z imieniem książkowej postaci? - spytał Jack, gdy siedzieliśmy nad deserem.

- Mój brat Gilbert miał gorzej. Dziewczyny łączyły za nim, licząc na to, że odegra z nimi jakąś scenę z książki.

- To brzmi całkiem nieźle.

- Bo myślisz, że wielbicielkami *Ani z Zielonego Wzgórza* są ostre laski.

- A ty za nią nie szalałaś? Uśmiechnęłam się.

- To co innego. Kiedy byłam młodsza, myślałam, że te książki są o mnie. Że ktoś wiedział, jak będzie wyglądać moje życie.

- A teraz?

- A teraz... sama staram się stworzyć fabułę.

- Jak wszyscy.

- Skoro już przy tym jesteśmy... Kim jest Kate?

- Kate z książki?

- Właśnie ta.

- Nikim. To postać fikcyjna.

Patrzyłam, jak wywija widelcem, próbując nadziać na niego kawałek ciasta czekoladowego.

- Ciągle ci się podoba.

- Nieprawda.

- Mówiłeś, że nie istnieje. Podniósł ręce na znak, że się poddaje.

- No dobrze, niech będzie. Wygrałaś. Poczułam ucisk w brzuchu.

- Czyli nadal ci się podoba?

- Nie, nie. Chodziło mi o to, że naprawdę istnieje. Chodziliśmy ze sobą, ale to nie przetrwało. Nic wielkiego.

- W książce wygląda to inaczej.
- To tylko fikcja, Anne.
- Ale oparta na twoich przeżyciach, prawda?
- Tak, bo tak właśnie piszę, ale to nie znaczy, że nie korzystam z wyobraźni.

- Przepraszam. Po prostu chciałam się upewnić, że nie masz żadnych niedokończonych spraw.

Położył swoją dłoń na mojej.

- Każde z nas coś przeżyło, Anne, ale nie musisz być zazdrosna. Byliśmy razem, nie wyszło, zerwaliśmy. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

- Chyba na razie to mi wystarczy.

- Dobrze. To jak, chcesz dziś wziąć udział w wieczornych atrakcjach?

- Pewnie masz na myśli atrakcje w hotelu obok, dla małych latów?

- A jakże.

- A co się będzie działo?

- Ma być chyba konkurs picia.

- Cały nasz tydzień był jednym wielkim konkursem picia, nie sądzisz?

- O to właśnie chodzi. Musimy jakoś wykorzystać ten trening.

- Szczerze mówiąc, jestem trochę zmęczona. Chyba pójdę dziś wcześniej spać. Dobrze?

- Nie ma sprawy.

Wstałam, żeby odejść. Jack też się podniósł.

- Możesz zostać. Dopij swoje piwo. Zobaczymy się rano.

- Na pewno?

Pocałowałam go w opalony policzek, w miejsce gdzie zaczynała mu odrastać broda.

- Zobaczymy się rano.

Dwie godziny później leżałam w łóżku. Czułam się wyczerpana, a zarazem byłam dziwnie podenerwowana. Każda część mojego ciała błagała o sen, ale umysł nie chciał się wyciszyć. Pokazywał mi jak w kalejdoskopie różne twarze Jacka. Czytającego moją książkę z lekkim uśmiechem. Sterującego katamaranem, radosnego jak mały chłopiec. Patrzącego na mnie po pocałunkach tak długich, że zdawały się trwać wiecznie.

Przewróciłam się na bok, przycisnęłam jedną z dodatkowych poduszek do piersi i zacisnęłam powieki, czekając, aż przyjdzie sen. Po chwili zaczął nadchodzić. Już prawie odpływałam, kiedy usłyszałam delikatne stukanie w drzwi.

- Anne? To ja.

Przez chwilę czułam się skołowana, nie wiedziałam, czy to nie sen. -Jack? -Tak.

- Poczekaj chwilę.

Zarzuciłam na podkoszulkę i figi cienki bawełniany szlafrok i założyłam włosy za uszy. Zapaliłam światło w przedsionku i uchyliłam drzwi. Jack opierał się o framugę, lekko się chwiejąc.

- Co się dzieje?

- Przyszedłem dać żonie buziaka na dobranoc. -Jesteś pijany? Zamyślił się na chwilę.

- Może odrobinę.

- Ech, miałam nadzieję, że gdy skończę trzydziestkę, przestanę się zadawać z facetami, który pukają po pijaku do moich drzwi.

- A może... zrobisz mały wyjątek?

- Zastanowię się.

- A buziak?

- Tego ci nie odmówię.

- To dobrze.

Położył mi ręce na biodrach i przyciągnął mnie do siebie z tym spojrzeniem, które nie pozwalało mi zasnąć. Smakował piwem, miał mokre i miękkie usta. Objęłam go za szyję, opierając się plecami o framugę, której prawie nie czułam. Nie do końca się rozbudziłam, wciąż miałam w myślach fantazje o naszych pocałunkach, więc gdy teraz całowaliśmy się łapczywie, splatając języki i przygryzając wargi, miałam wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę.

Podniósł usta do mojego ucha.

- Może wejdziemy do środka?

- Tak - powiedziałam. Tak.

Czułam, że się uśmiecha, gdy się pochylił i wziął mnie na rękę.

- To nie dzień naszego ślubu, ale niewiele się spóźniłem - rzucił przekornie. Wniósł mnie do pokoju i zatrzasnął drzwi nogą. Podeszedł do łóżka i delikatnie mnie na nim położył. Światło w pokoju było przyćmione.

Ukląkł przy mnie i sięgnął do paska mojego szlafroka.

- Chcesz tego?

- Tak - powiedziałam. Tak.

Szarpnął nim, rozłożył poły i zsunął szlafrok z moich ramion. Jego dłonie przesunęły się po moich nagich ramionach. Zaczął pieścić kciukami moje piersi, swobodnie ułożone pod cienką koszulką.

- Nadal ci się podoba?

- Mhmm.

Zjechał dłońmi do krawędzi mojej koszulki i włożył je pod nią. Czułam jego delikatne, a zarazem mocne palce na bokach. Alkohol nadał jego twarzy łagodny wyraz. Patrzyłam na niego w oczekiwaniu, gdy dotykał mnie coraz niżej, aż w końcu położył dłonie na moich udach. Zaczął

mnie lekko muskać opuszkami palców. Zadrżałam i się odsunęłam.

- Co jest?

- Łaskoczesz mnie.

Roześmiał się, po czym znów zbliżył usta do moich. Naszym pocałunkom nie było końca, nie wiedziałam już, gdzie kończą się jego wargi, a zaczynają moje. Popchnął mnie do tyłu i ułożył się między moimi nogami. Całował moją twarz, szyję, płatki uszu. Mruczał mi do ucha różne rzeczy, trochę urocze, a trochę podniecające. Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Myślałam tylko: Jack, Jack, Jack.

- Jack.

- Taaak? - Pocałował kolejny centymetr mojej skóry.

- Jack. - Położyłam mu ręce na ramionach, delikatnie go odsuwając.

Położył się na boku, z twarzą tuż przy mojej.

- Chcesz, żebym sobie poszedł?

- Nie. Po prostu chcę, żebyśmy chwilę pogadali o tym, co się dzieje.

- Nie martw się, mam, co trzeba.

- To dobrze, ale nie o to mi chodziło.

- Więc o czym chciałaś rozmawiać? - Przechylił głowę i zaczął całować mnie po szyi.

Znów położyłam mu dłonie na ramionach.

- Nie mogę się skupić, kiedy tak robisz.

- Wiem.

- Jack.

Podniósł twarz, by znów na mnie spojrzeć.

- To nie dzieje się za szybko, Anne. To dobre tempo.

- Na pewno?

- W końcu i tak by do tego doszło. Po prostu daj się ponieść.

- Dać się ponieść?

Musnął moje wargi swoimi. -Tak.

- Dać się ponieść - mruknęłam tuż przy jego ustach. -To jest do zrobienia.

Sięgnęłam do jego koszuli, kolejno rozpięłam guziki. Przesunęłam palcami po jego klatce piersiowej i plątaninie jasnych kręconych włosów nad jego mostkiem. Poczułam przez koszulkę dotyk jego gorącej skóry.

Jack wstał i pociągnął mnie do góry. Zdjął z siebie wszystko oprócz bokserek, a potem ściągnął mi koszulkę przez głowę. Byliśmy tak blisko, że wydawało się, jakbyśmy mieli jedną skórę. Czułam tylko jego ręce i oddech na każdej części ciała.

- Chcę w ciebie wejść, Anne - wymamrotał mi Jack do ucha.

Kiwnęłam głową i po chwili zdjął ze mnie i z siebie resztę bielizny.

A potem we mnie wszedł i już o niczym nie myślałam.

ROZDZIAŁ 16

ROZPROMIENIONA

Następnego ranka wydawało mi się, że w nocy przeniosłam się do piosenki *Your Body Is a Wonderland*. Leżeliśmy zaplątani w prześcieradło i kołdrę. Wyciągnęłam się, a moje ciało było rozluźnione. Przez otwarte drzwi balkonu dobiegał nas szum fal rozbijających się o brzeg - pewnie pięknie połyskiwały w słońcu.

Spojrzałam na Jacka. Miał zaciśnięte oczy, jak mały chłopiec, który nie chce, żeby mu przerywać drzemkę.

- Śpisz? -Mmm.

- Chcesz, żebym była cicho?

- Mmm. - Podciągnął kołdrę, a potem, wiercąc się, przysunął się do mnie. Zaczął mnie całować po ramieniu. - Podoba mi się zapach twojej skóry.

- Fuj. Pewnie obrzydliwie pachnie.

- Niiieee. Pachniesz nami.

-I tak myślę, że przydałby się nam prysznic.

Jack przewrócił się na plecy i podłożył mi ramię pod głowę, tak że znalazłam się na jego klatce piersiowej. Ułożyłam na niej głowę z uczuciem spokoju i szczęścia.

- Dobrze ci się spało? - spytał.

- Tak, a tobie?

- Po raz pierwszy w tym tygodniu.

- Chyba opadło ci napięcie - powiedziałam zadziornie.

- Niewątpliwie. Ale jeśli chcesz, może znowu wzrosnąć...

- Zagrywka jak u maślaka.

- Każdy facet w głębi duszy jest czternastoletnim chłopcem.

- To nie brzmi zachęcająco.

Jack pocałował mnie w czubek głowy. Leżeliśmy tak przez parę minut, a on głaskał mnie po włosach.

- O czym myślisz? - spytałam w końcu.

- Znowu to samo pytanie.

- Czyżby było zakazane?

- Cóż... zastanawiałem się, czy mam ochotę wstawać.

- Podjąłeś decyzję?

- Jeszcze nie. A ty?

- Ja myślałam o tym, jak seks zmienia atmosferę między ludźmi. Po tym wszystko jest inaczej, niezależnie od tego, z iloma osobami wcześniej się spało.

Jack zaśmiał się cicho.

- Naprawdę o poranku masz głębokie przemyślenia.

- Zazwyczaj o tej porze piszę.

- Ja zwykle piszę po południu.

- Podobno mieliśmy być dopasowani...

- Mnie się wydaje, że jesteśmy.

- Chyba masz rację.

- No pewnie, że mam. Chodź tutaj. -Tutaj?

- Mhmm.

Sporo czasu upłynęło, zanim w końcu zdecydowaliśmy się zjeść późne śniadanie. Jack spytał:

- To co chciałabyś robić ostatniego dnia w rajku?
- Nie ruszać tyłka znad basenu?
- Chcesz się ostatecznie zmienić w raka?
- Zaczęłam już trochę brązowieć.

Podniósł moją lewą rękę i dokładnie ją obejrzał.

- Nie widzę tu nic brązowego poza piegami.
- Chyba i tak najpierw musimy iść na spotkanie z doktorem Szwickiem.

- Hura!

Spojrzałam na zegarek.

- Szlag. Kompletnie straciłam poczucie czasu. Nasza sesja powinna się zacząć za pięć minut.

- No to chodźmy i miejmy to z głowy.

Poszliśmy do prowizorycznego gabinetu doktora Szwi-cka, zorganizowanego w pokoju hotelowym. Jack splótł palce z moimi, a ja zaczęłam podskakiwać jak mała dziewczynka, huśtając jego ręką. Roześmiał się, a ja przyspieszyłam i pociągnęłam go za sobą. Dotarliśmy do drzwi doktora Szwicka na czas.

- Terapia w samym środku wakacji zupełnie psuje zabawę - powiedział Jack.

- Fakt. - Zapukałam do drzwi.

- Proszę.

Doktor Szwick znowu miał na sobie hawajską koszulę w krzykliwych barwach.

- Witajcie, moi drodzy. Usiądźcie, proszę. - Przyglądał nam się uważnie, gdy siadaliśmy. - Wyglądacie na zrelaksowanych.

- Dziękujemy - odparłam.

- A więc pobraliście się? Równocześnie kiwnęliśmy głowami.

- Jak wam się układa?

- Dobrze.

- Zgadzasz się z tym, Jack? Dobrze wam się układa?

- Jasne.

Doktor Szwick patrzył na nas przez chwilę.

- Ach, rozumiem. Poszliście do łóżka.

- Czemu pan tak myśli?

- Mylę się?

- Nie, ma pan rację - odparł Jack. - Poszliśmy do łóżka. Czy to jakiś problem?

- A czy ty uważasz, że to problem?

- Dlaczego miałbym tak myśleć?

-To chyba część twojego schematu, prawda? Chodzenie do łóżka z kobietami, zanim się upewnisz, że chcesz się zaangażować?

Co takiego?

Jack zacisnął usta.

- W tym przypadku jest inaczej.

- Na pewno?

Zerknęłam na Jacka, chcąc spojrzeć mu w oczy, ale on wpatrywał się w doktora Szwicka.

- Anne chyba też chciałyby poznać odpowiedź.

- Właśnie się zaangażowałem, prawda?

- Do pewnego stopnia.

- Co to miało znaczyć?

-Dopóki całkowicie nie zaangażujesz się emocjonalnie i fizycznie, nie będziesz w stanie uszczęśliwić drugiej osoby.

Jack poczerwieniał na twarzy.

- To właśnie staram się zrobić. To właśnie robię. -Odnoszę wrażenie, że coś ukrywasz, Jack. I to coś ważnego.

- A ja nie mam takiego wrażenia - wtrąciłam się. - Myślę, że robił właśnie to, co pan radził. Starał się nawiązać przyjaźń, stworzyć więź.

Jack posłał mi spojrzenie pełne wdzięczności.

- Cieszę się, że tak uważasz, Anne. Mam nadzieję, że masz rację. Ale chciałbym wam coś wyjaśnić. Nie jestem waszym wrogiem. Chcę wam pomóc stworzyć udany związek, a nie skłócić was. Ale jeśli nie zaczniecie teraz ciężko pracować, to potem wasza relacja się rozpadnie, tak jak poprzednie związki. I nie będzie miało znaczenia, jak bardzo do siebie pasujecie.

- Czy pana zdaniem to źle, że poszliśmy do łóżka? - spytałam.

- Niekoniecznie. Chciałbym tylko, żebyście nie powtarzali nieświadomie swoich schematów. Wyobraźcie sobie, że jestem uosobieniem waszej pamięci. Jestem tu po to, by wskazać wam sygnały ostrzegające, że wracacie do pierwotnych ustawień, że tak to ujmę.

- A powinniśmy się zmienić w Anne i Jacka w wersji dwa zero, tak? - spytał Jack.

- Jeśli tego chcecie. Przygryzłam wargę.

- Jednym z sygnałów ostrzegawczych u Jacka jest to, że zbyt wcześnie idzie z partnerką do łóżka?

-Tak.

- Jack, czy to prawda? Jack westchnął. -Tak.

Spojrzałam mu w oczy.

- Czy możesz mi powiedzieć, że w naszym przypadku jest inaczej?

- Myślę, że jest. Wczoraj mówiłem szczerze. Nie było za wcześnie.

Przeciągle spojrział mi w oczy. Zapomniałam o doktorze Szwicku i przypomniałam sobie o więzi, która wczoraj połączyła nas w moim łóżku.

- Ja też tak myślę - powiedziałam.

Jack się uśmiechnął i odwrócił do doktora Szwicka, patrząc na niego surowo.

- Mogę pana o coś spytać? Dlaczego wyciąga pan to, co mówiliśmy panu na sesjach indywidualnych? Czy to nie są poufne informacje?

- W przypadku normalnej terapii rzeczywiście tak by było. Ale to nie jest tradycyjna terapia. Spotykałem się z wami osobno, żeby przygotować was do procesu i zebrać informacje, które będą przydatne na sesjach łączonych. Wszystko, co mi powiedzieliście, jest jawne dla drugiej strony, Jack. Tak to działa i tylko tak. Jasne?

- Tak - odparliśmy równocześnie.

Resztę dnia spędziliśmy przy basenie. Patrzyłam na puszyste białe chmury, a obok mnie Jack bazgrał coś w notatniku. Po raz pierwszy od paru dni czułam powiew prawdziwego życia. To zaczynało mnie przerażać.

Spojrzałam na Jacka znad krawędzi kieliszka z margaritą.

- Myślałeś już o tym, co powiemy ludziom, kiedy wrócimy?
Zamknął notes.

- Moglibyśmy opowiedzieć klasyczną bajeczkę o tym, jak to poznaliśmy się na wakacjach, oszaleliśmy na swoim punkcie, pobraliśmy się któregoś wieczoru po pijanemu i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

- No dobra, ale którego wieczoru się pobraliśmy? Kto udzielił nam ślubu? Czemu nie unieważniliśmy go następnego dnia?

Jack otworzył szeroko oczy.

- Wiem, że gadam jak wariatka, ale znam swoją najlepszą przyjaciółkę i wiem, że ona będzie mnie o to pytać. Musimy przygotować historię ze szczegółami.

- Czemu miałyby być taka ciekawska?

- Bo jest kobietą, bo coś takiego zupełnie do mnie nie pasuje, bo jest prawniczką... Wybierz, co chcesz.

- No dobra. Pomyślmy... Powiemy, że poznaliśmy się w pierwszą noc po przyjeździe, przegadaliśmy całe godziny, poczuliśmy coś do siebie. Poszliśmy razem do klubu, tam obściskiwaliśmy się na parkiecie, po tym jak uratowałem cię od natrętnego dwudziestodwulatka, który oszalał na twoim punkcie. Chciałaś dobrać mi się do skóry, ale ja, jako że jestem dżentelmenem, powiedziałem, że jeszcze będzie na to czas.

Jack zrobił unik przed chrupką, którą w niego rzuciłam.

- Potem cały czas spędzaliśmy razem, rozmawiając za dnia i całując się w nocy.... Przedostatniego wieczoru zjedliśmy romantyczną kolację i wypiliśmy parę butelek wina. -Kilka razy strzelił palcami. - Potem odurzeni wpadliśmy na czyjś ślub i postanowiliśmy poudawać, że jesteśmy jak Britney Spears i Jason Alexander. Obudziliśmy się z bólem głowy i radością w sercu, po czym zgodnie uznaliśmy, że możemy spróbować, czy się uda. To chyba wystarczy jako przykrywka. Co o tym myślisz?

- Myślę, że nie chciałabym być twoją matką, gdy byłeś nastolatkiem. Powiedz, skąd pamiętałeś nazwisko pierwszego męża Britney Spears?

- Mówiłem ci już milion razy, że mam...

- ... gigantyczny mózg. Tak, jasne. No dobra, uznajmy, że to nasza historyjka, ale chyba będzie bardziej wiarygodna, jeśli przyjmujemy, że to ty szalałeś za mną na parkiecie.

- A co z tym małym, którego musiałem od ciebie odklejać?

- Czyżbym wyczuwała zazdrość?

- Nigdy się nie dowiesz. - Odchylił się na leżaku i zamknął oczy.

Po paru minutach do mojego leżaka podeszła Margaret. Znowu pozbyła się góry od kostiumu. Włosy miała splecione w drobne warkoczyki. Jej piersi zwisały płasko na ciele. Były blade i kontrastowały z opalenizną, której nabrała przez ostatni tydzień.

Jack na jej ospałe powitanie odpowiedział tylko „cześć”, po czym wymamrotał coś o piwie i poszedł sobie.

- Nie wierzę, że ten tydzień już się skończył, a ty? - powiedziała. - Brian przed chwilą się dziwił, że tak szybko to przeleciało.

- Dobrze się wam układa? Wydaje się małowówny.

- Kiedy jesteśmy sami, jest zupełnie inaczej. Chyba się trochę boi Jacka.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Bo on jest taki sarkastyczny.

- Naprawdę? -1 to bardzo.

- Co będziecie robić ostatniego wieczoru?

- Nie wiem. Może pójdziemy do łóżka. Niechący wyrwało mi się parsknięcie.

- To chyba niezły pomysł...

- Ciekawe, czy w ogóle będzie przyjemnie...

- Eee...

- Naprawdę go lubię, wiesz?

- Cieszę się. Myśleliście już o tym, co powiecie bliskim, kiedy wrócicie? Jak to wytłumaczycie rodzinie i przyjaciołom?

- Ja pewnie po prostu powiem im prawdę.

-Myślałam, że Blythe & Company zobowiązali nas do dyskrecji.

- A kogo to obchodzi? Nie będę okłamywać rodziny, a już na pewno nie syna. - W jej głosie zabrzmiała nutka troski. - Poza tym moja siostra już wie.

- Chyba mogłaś mieć przez to kłopoty, nie? -Niby jakie?

- No nie wiem, mogli cię wyrzucić z programu czy coś...
-Poczułam, że moje IQ gwałtownie spada, jak zawsze, kiedy mowa o Blythe & Company.

- Anne, wyszliśmy za mąż. Znaleźli nam partnerów. Zrobili dla nas wszystko, co mieli zrobić. Masz jakąś kartkę?

- A po co?

- Chciałam ci dać swój e-mail. Żebyśmy mogły utrzymywać kontakt.

Czy chciałam utrzymywać kontakt z Margaret? Jack na pewno by nie chciał. Ale w końcu to tylko e-mail.

- Dobra, poczekaj chwilę. - Zobaczyłam notes Jacka na jego leżaku. Wyrwałam czystą kartkę, sięgnęłam po jego długopis i zapisałam swój adres. - Proszę.

-Dzięki. - Z drugiej strony zapisała swój, oddała ten kawałek i podała mi go. - Cieszysz się, że wracasz do domu?

Przemknęła mi przed oczami osłupiała mina Sarah, którą na pewno zobaczę.

-Chyba tak...

- Ja bardzo. Między tobą i Jackiem chyba dobrze się układa. Mam rację?

- Tak. Wygląda na to, że się nam uda.

- To świetnie. To do zobaczenia, tak? -Pa.

Odeszła. Po chwili wrócił Jack, niosąc dla nas piwo. Osloniłam dłonią oczy.

- Czekaleś, aż sobie pójdzie?
- Już tak dobrze mnie znasz.
- Nie jest taka zła. W sumie nawet ją polubiłam.
- Jesteś bardzo tolerancyjna. - Spojrzał na kawałek kartki z notatnika zapisany przez Margaret, który wciąż trzymałam w dłoni. - Co to?

- Wymieniłyśmy się adresami. Wyrwałam kartkę z twojego notesu. Chyba ci to nie przeszkadza?

- Jeśli mam być szczery, to trochę tak.

- To była ostatnia strona. Co to za problem?

W milczeniu usiadł na leżaku i zaczął sączyć piwo.

- Musisz coś wiedzieć. Jediną rzeczą, którą chcę zachować dla siebie, jest pisanie. Nie pozwalam nikomu przeczytać nawet kawałeczka, zanim skończę. Chciałbym cię więc prosić, żebyś nie ruszała tego notatnika ani żadnego innego, który należy do mnie. Wiem, że to brzmi jak wariactwo, ale czuję, że tak muszę. To dla mnie bardzo ważne. - Uśmiechnął się szeroko, chcąc rozwiać niezręczny nastrój, który właśnie wytworzył.

Poczułam, że się wściekam i robię się trochę zazdrosna o to, że chce coś przede mną ukryć. Ale pomyślałam, że może ja też będę chciała zachować coś dla siebie. Jego prośba była uzasadniona.

- Dobrze, Jack. Przepraszam.

- Nie, to ja przepraszam, że jestem takim dupkiem.

- Nie jesteś dupkiem.

- Zapamiętam to sobie.

- Margaret mówi, że zdaniem Briana jesteś sarkastyczny i że on się ciebie boi.

- A ty tak uważasz? - Nie.

- I tylko to się liczy. - Jack spojrział na zegarek. - Zrobiłem się głodny. Pójdziemy już?

Rozejrzałam się wokół. Na niebieskich leżakach siedzieli spaleni słońcem urlopowicze. Kelnerka przemykała między nimi z tacą pełną drinków. Opierała ją mocno na ramieniu. Jakaś wielgachna kobieta w jednej z tych „wyszczuplających” koszulek przypaliła papierosa i rozwiała dym, machając dłonią. Ponad tym wszystkim świeciło bezlitosne słońce.

Odwróciłam się do Jacka. Do mężczyzny, którego poznałam tydzień temu. Do mojego kochanka, przyjaciela, męża.

- Prowadź.

CZESC III

ROZDZIAŁ 17

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Wylądowaliśmy po siódmej. Czekaliśmy pół godziny, aż celnik wbije nam stemple do paszportów, a potem odebraliśmy bagaże i pojechaliśmy taksówką do domu. Po krótkim zwiedzaniu mieszkania - tutaj jem, tutaj piszę, tutaj oglądam za dużo telewizji - zamówiliśmy chińszczyznę i spędziliśmy resztę wieczoru w łóżku.

Następnego dnia Jack obudził mnie, delikatnie potrząsając moim ramieniem.

- Wstawaj, śpiochu!

Wystawiłam głowę spod kołdry. Jack miał na sobie stare dżinsy i sprany podkoszulek.

- Co jest?

- Już dziewiąta. Czas wstawać. Schowałam się z powrotem pod kołdrę.

- Myślałam, że lubisz późno wstawać.

- Mówiłem tylko, że piszę popołudniami. Rano zajmuję się dręczeniem kobiety, z którą sypiam.

- Świetnie. Mało dzisiaj spałam, wiesz?

- Czy jako boski kochanek mogę coś na to zaradzić? Znów się odkryłam, patrząc na niego z niedowierzaniem.

- Boski? To trochę przegiecie.

-Dobra, kto jest moim rywalem? - Skrzywiłam się.
-Nieważne, nie chcę wiedzieć.

- A właściwie to czemu się tak spieszysz?

- Chciałbym dzisiaj wnieść swoje rzeczy. Za godzinę przyjedzie ciężarówka.

- Kiedy zdążyłeś ją zamówić? Trochę się zmieszał.

- Złożyłem zlecenie jeszcze w Meksyku przez internet, po tym jak postanowiliśmy... po tym jak się zgodziłaś, żebym się tu wprowadził.

- Ile rzeczy chcesz tu przywieźć? - Rozejrzałam się po sypialni, patrząc na meble, które przestawiłam tak, że było idealnie.

- Nie martw się. Większość mebli i tak jest do wywalenia. Przywiozę tylko ciuchy, maszynę do pisania, skórzany fotel, książki i plazmę.

- Piszesz na maszynie?

- Gorąco polecam. Same efekty dźwiękowe są tego warte. Dziwne uczucie.

- Niedawno myślałam dokładnie o tym samym. -Więc mnie rozumiesz. W każdym razie czas już wystartować.

Wstałam, wzięłam szybki prysznic, po czym włożyłam sprane dzinsy i znoszoną bluzę. Widok telefonu na komodzie przypomniiał mi, że od tygodnia nie odsłuchiwałam wiadomości. Wybrałam numer poczty głosowej. Miałam parę wiadomości z pracy i jedną od Sarah.

- Anne, słońce, gdzie jesteś? Wracasz dziś wieczorem? Mam nadzieję, że świetnie się bawiłaś! Chcę, żebyś mi wszystko opowiedziała o tym facecie, którego chyba po-

znałaś. Może wyskoczmy dziś wieczorem na drinka z Mi-kiem? Zadzwoń do mnie na komórkę.

Usunęłam wiadomość od Sarah, przygryzając wargę.

- Jack?

Wysunął głowę zza framugi kuchennych drzwi.

- Co jest?

- Chcesz dziś poznać moją najlepszą przyjaciółkę?

- Czy to ta, która będzie żądna wszystkich szczegółów?

- Właśnie ta.

- Myślisz, że to dobry pomysł?

- I tak w końcu będę musiała się z nią zmierzyć. Chcę to już mieć za sobą. Zadumał się nad tym.

- No dobra. Możemy wychodzić?

- Poczekaj, najpierw zadzwonię.

Wybrałam numer Sarah i złapała mnie poczta głosowa.

- Cześć, kochana. Wróciłam już. Przepraszam, że wczoraj nie zadzwoniłam, byłam strasznie zmęczona. Możemy dzisiaj iść na tego drinka. Mam wieści o tym facecie. Ma na imię Jack. I przyjdzie wieczorem, więc będziesz mogła go poznać. Może najpierw spotkamy się we dwie? O siódmej trzydziści? Wyślij mi SMS-a, czy ci pasuje. Mam dziś cholernie dużo na głowie. Buziaki.

Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam się wpatrywać w telefon. Sarah nie zareaguje na to dobrze. Ale teraz już nic nie mogłam z tym zrobić.

- Jesteś gotowa, maleńka? -Tak jest.

Większość dnia spędziliśmy, przenosząc rzeczy Jacka z jego mieszkania do mojego. Na szczęście pogoda zwiastująca nadejście marca była po naszej stronie. Słońce świeciło

słabym światłem, gdy pospiesznie pakowaliśmy do pudeł jego książki, a ubrania do worków na śmieci. Miał rację co do stanu swoich mebli - odziedziczył je po jakimś studencie, który tam wcześniej mieszkał. Zostawiliśmy je temu, kto wyląduje tam jako kolejny lokator.

- Myślisz, że długo będziesz szukać kogoś, kto to wynajmie?

- Odkąd zamieściłem ogłoszenie w sieci, odezwało się już pięć osób.

Rozejrzałam się po kawalerce o powierzchni sześćdziesięciu metrów kwadratowych.

Na podłodze w miejscach, gdzie stały fotel i telewizor Jacka, zostały ślady kurzu. Jedno okno wychodziło na ceglany mur i aż się prosiło o umycie. Po zdjęciu plakatów filmowych ze ścian lokum wydawało się ciasne i opuszczone.

- Naprawdę jest tak kiepsko z rynkiem nieruchomości?

- Nie, po prostu umiem napisać dobry opis. „Perełka budownictwa, ciekawy wystrój, parę kroków do wszystkiego, czego może potrzebować kawaler. Nie czekaj!”.

- Pewności siebie ci nie brakuje.

- Się wie. - Pocałował mnie w czoło i zakleił taśmą ostatnie pudło.

Znaleźliśmy dla ciężarówki miejsce na parkingu niedaleko drzwi do mojej klatki. Opróżniłam parę szuflad w komodzie i robiłam miejsce w szafie, układając stos rzeczy do oddania potrzebującym. Jack zaczął przymocowywać do ściany w salonie swoją plazmę i głośniki. Nie byłam pewna, jak się będę czuła z wielkim telewizorem zajmującym połowę ściany w salonie, ale wiedziałam, że nie wszystko może być po mojemu, jeśli to ma się udać.

Okolo czwartej mieliśmy kryzys związany z naszymi księgozbiorami. Jack zapomniał nadmienić, że ma jakieś dwadzieścia pudeł książek, które nie miały szans się zmieścić na moich (i tak już przeładowanych) półkach.

- Nie potrzebujemy chyba dwóch egzemplarzy każdej książki? - powiedziałam, podnosząc jego egzemplarz *Tajemnej historii* Donny Tartt.

- Ale to jest mój egzemplarz. Są w nim moje notatki.

- Notatki?

- Myśli, które przychodzą mi do głowy, kiedy czytam. Lubie mieć je zapisane.

- Po co?

- Dobrze się czuję, wiedząc, że gdzieś tam są. -Chyba mogłabym się pozbyć mojego egzemplarza... Zmarszczył się.

- Czy będziesz chciała jeszcze kiedyś przeczytać tę książkę?

- Tak. Czemu pytasz?

- Bo nie lubię, jak inni czytają moje notatki...

- Chodzi o to samo co z notatnikami?

- Coś w tym stylu.

- No to moje rozwiązanie szlag trafił.

Wbił wzrok w ścianę za moją dziwaczną kanapą.

- A może zrobię półki na całą tamtą ścianę? Wtedy będziemy mieć mnóstwo miejsca.

- Zrobisz półki?

- Pewnie. Chodziłem na zajęcia ze stolarstwa. Znam się na tym.

- A co zrobimy do tego czasu?

- Mogę je ułożyć tam, w rogu. Półkami zajmę się w przyszłym tygodniu.

Patrzyłam, jak układa kolejne pudła. -Jack?

- Słucham?

- Chcesz trzymać książki oddzielnie, na wypadek gdyby nam nie wyszło?

Podszedł do mnie i położył mi dłonie na ramionach.

- Skąd u ciebie takie myśli, Anne?

- Sama nie wiem. To chyba przez zderzenie z rzeczywistością. Denerwuję się przed rozmową z Sarah.

- Zaczynasz żałować? -Nieeee...

- Od razu pewniej się poczułem.

- Tylko że to wszystko stało się tak szybko. Nagle jesteś tu ze mną, wnosisz swoje rzeczy, a kiedy ostatni raz z kimś mieszkałam, to nie skończyło się za dobrze...

- Anne, to tylko rzeczy. Wniosłem je w parę godzin i w parę godzin mogę je zabrać. Rzeczy są w porządku. Nie zamieniamy się w doktora Szwicka, dobra?

Spojrzałam mu w oczy. Były w nich pewność i spokój.

- No dobra.

- Świetnie. - Zmierzył mi włosy. - Brudna jesteś. Może wskoczysz pod prysznic? Ja w tym czasie zrobię nam drinki.

- Świetny pomysł. Będiesz miły dla Sarah, prawda?

- Jasne, że tak.

- Chciałabym, żeby cię polubiła.

- A ja chciałbym polubić ją. No już! Pod prysznic.

Dotarłam do baru dwadzieścia minut przed czasem - po raz pierwszy przebiłam w tej kwestii Sarah. Usiadłam przy stoliku dla czworga, twarzą do drzwi, żeby widzieć, jak będzie wchodziła. Zmusiłam Jacka, żeby mi obiecał, że przyjdzie najpóźniej o ósmej. Miałam zatem pół godziny, żeby wszystko wypaplać.

Lepiej sobie radzę, kiedy mam termin.

Zamówiłam u kelnerki piwo i siedziałam, popijając je i próbując ukoić nerwy. Co parę minut wkładałam i zdejmowałam pierścioneł i obrączkę od Jacka.

Po piętnastu minutach w drzwiach stanęła Sarah w trenczu z paskiem, obcisłych džinsach i kozakach do kolan.

Weszła ze swoim blackberry przy uchu. Po tym, jak napinała ramiona, poznałam, że nie podoba jej się to, co słyszy. Schowałam ręce pod stół i zdjęłam pierścionek i obrączkę, i schowałam je do kieszeni.

Zakończyła rozmowę krótkim „na razie” i powiedziała:

- Cześć! Świetnie wyglądasz. Nawet się opaliłaś!
- Cuda się zdarzają. Co słychać? Przerzuciła płaszcz przez oparcie krzesła.

- Jesteśmy potwornie zajęci. Planowanie ślubu jest jak pełny etat, ale chyba w końcu mamy wszystko pod kontrolą. Jak było w Meksyku?

- W Meksyku było...

Kelnerka podeszła do stolika i przyjęła zamówienie od Sarah. Kiedy się oddaliła, Sarah spojrzała na mnie wyczekująco. Wzięłam głęboki wdech i zaczęłam od początku.

- W Meksyku było wspaniale. Piękna pogoda, piękny ocean, piękne plaże.

- Kogo to obchodzi, głuptasie? Opowiadaj o tym facecie, którego poznałaś. Czemu do mnie nie oddzwoniłaś?

- Byłam tak zajęta odpoczywaniem, że zapomniałam. -Tak, jasne...

- No już dobra. Ma na imię Jack. Jest pisarzem. Jest inteligentny i miły. No nie wiem. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

- To chyba jasne. Wszystko!

- Mówiłam mu, że będziesz chciała wszystko wiedzieć.

- Pewnie, że chcę. Ale czemu rozmawialiście o tym, co będę chciała wiedzieć?

Ups.

- Bez powodu. Po prostu opowiadałam mu o tym, że moja najlepsza przyjaciółka to bardzo ciekawska osoba, która zawsze chce znać wszystkie szczegóły z mojego życia.

- To coś złego?

- Jasne, że nie.

- No to opowiadaj.

Wróciłam myślami do historii, którą wymyślił Jack przy basenie. Prawie poczułam słodko-słony posmak margarity w ustach i mocne promienie słońca na skórze.

- Poznaliśmy się w noc mojego przyjazdu. Zaczęliśmy rozmawiać i złapaliśmy kontakt. Spędzaliśmy razem całe dni i... No wiesz, jest świetny i bystry... Mówiłam już, że jest bystry? Tak, mówiłam. No więc, na czym stanęłam?

Sarah ściągnęła brwi.

- Anne, co się dzieje? Dziwnie się zachowujesz. Przełknęłam ślinę.

- Po prostu się denerwuję.

- Czemu?

- Bo stało się coś naprawdę ważnego i boję się, jak zareagujesz.

- A co, przespałaś się z nim pierwszej nocy? Wiem, że uważasz, że jestem bardzo konserwatywna w tych sprawach, ale nie narzucam tego samego innym. Nie przeszkadza mi to, nie będę cię osądzać.

- Nie, nie o to chodzi. To znaczy tak, spałam z nim, ale nie pierwszej nocy...

- No więc w czym problem? To jeszcze nie małżeństwo, prawda? - Milczałam. Sarah patrzyła na mnie z niedowierzaniem. - Że co? Co zrobiłaś? Anne, to nie jest śmieszne.

Odchrząknęłam.

- Pobraliśmy się. Sarah nagle zbladła.

- Chyba żartujesz.

- Wcale nie. To prawda.

-Jezu... - Podniosła swoje martini i wzięła duży łyk. Wyglądała na smutną i zdenerwowaną. - Co z tobą, Anne? Co ty sobie myślałaś?

- No wiesz, byliśmy trochę pijani. Ale nie aż tak bardzo. Właściwie to było na swój sposób romantyczne. Wpadliśmy na ślub jakiejś innej pary, a urzędnik w żartach zapytał, czy chcemy skorzystać z jego usług. No to my spojrzeliśmy po sobie i zanim się obejrzeliśmy, składaliśmy przysięgę.

- Wyszłaś za mąż po pijanemu... No dobra, możemy to wykorzystać. Skontaktuję cię z moim znajomym. Już wcześniej załatwiał takie sprawy. Będzie o wiele łatwiej, skoro byłaś pijana.

- Łatwiej z czym?

- Z unieważnieniem małżeństwa, rzecz jasna. Jeżeli to w ogóle miało moc prawną. Nie wiem, jakie jest prawo w Meksyku, ale mogę się dowiedzieć.

Sarah wyciągnęła swojego blackberry i zaczęła przeszukiwać kontakty.

- Sarah. - Nie spojrzała na mnie. - Sarah. - Co?

- Nie chcę unieważniać małżeństwa. Zdecydowaliśmy, że chcemy sprawdzić, czy się uda.

Gwałtownie podniosła głowę.

- Co? Zwariowałaś?

A najważniejszego nawet nie wiedziała.

- Nie - powiedziałam lękliwie.

- Jeśli teraz tego nie unieważnisz, potem będziesz musiała się rozwodzić. Unieważnienie można przeprowadzić tylko krótko po zawarciu małżeństwa.

- No to się rozwiodę. Poza tym może się uda. Sarah spojrzała na mnie ostro.

- Nie żartuj sobie, Anne.

- Wcale nie żartuję. Jack dzisiaj przywiózł do mnie swoje rzeczy.

- Mój Boże. - Opadła na oparcie krzesła z wyrazem rezygnacji na twarzy.

- Słuchaj, wiem, że to dla ciebie szok. Dla mnie też. Ale myślę, że to może być coś dobrego. Myślę, że to może się udać. Tylko potrzebuję twojego wsparcia. Chciałabym, żebyś była ze mną.

- Nie wiem, czy potrafię.

- Dlaczego?

- Ja nie chciałabym, żebyś mnie wspierała, gdybym zrobiła coś głupiego.

- Skąd wiesz, że to głupie?

- Anne, proszę cię.

Poczułam, jak wzbiera we mnie gniew.

- A gdybym uważała Mikea za dziwaka? Chciałabyś, żebym ci to powiedziała?

- Tak, chciałabym. Dlatego powiedziałam ci o skokach w bok twojego byłego. Chyba pamiętasz? Uważasz, że Mike jest dziwakiem?

- Nie, Mike jest wspaniały. Ze Stuartem to była zupełnie inna sytuacja. Chodziło o coś więcej niż niechęć. Wspierałaś mnie, gdy z nim byłam, chociaż go nie lubiłaś. Pamiętasz? Tamtego wieczoru, gdy z nim zerwałam, siedziałyśmy w tym samym miejscu. Powiedziałaś wtedy, że nie mówiłaś mi, co o nim myślisz, bo wolałaś, żebym miała po swojej stronie kogoś, kto będzie mnie pilnował. Tego właśnie potrzebuję, Sarah. Kogoś, kto stanie po mojej stronie.

Sarah uśmiechnęła się, polectana. - Jak mogłabym się z tobą kłócić, skoro cytujesz moje własne słowa?

- Mówisz poważnie?

- Raczej tak. Ale naprawdę się martwię, Anne. Wiem, że byłaś zdołowana i zagubiona, ale rzucanie się w związek z pierwszym facetem, którego spotkałaś na swojej drodze, nie rozwiąże twoich problemów.

Ała.

- Wiem, że tak to właśnie wygląda, Sarah, ale tak nie jest. Poczekaj, aż go poznasz, dobra? Jest inny niż faceci, z którymi się dotąd spotykałam.

Chyba nie dowierzała.

- Jak to?

- Choćby z jednego powodu. Nie ma czarnych włosów i niebieskich oczu.

- To chyba jakiś postęp. Mów dalej.

-No nie wiem... Czuję, że... po raz pierwszy jestem z kimś, z kim naprawdę mogę się zaprzyjaźnić. On chyba czuje to samo.

-Zaprzyjaźnić? - spytała sarkastycznie.

- Właśnie tak. To naprawdę świetny facet, Sarah. Chyba mam wielkie szczęście. - Sięgnęłam do kieszeni po pierścionek i obrączkę. - Zobacz, co od niego dostałam.

Dotknęła pierścionka z niebieskim kamieniem. Jej mina była przeciwieństwem mojej, gdy oglądałam jej pierścionek zaręczynowy.

- Czy on na pewno różni się od facetów, z którymi dotąd byłaś?

- Na pewno. Sama zobaczysz.

- Trudno mi będzie to zaakceptować.

- Wiem. To wspaniałe, że się o mnie martwisz. Ale daj mu szansę, zanim go osądzisz, dobrze?

- Postaram się, ale powiedz mi: naprawdę myślisz, że go kochasz?

Jack stanął w drzwiach baru, mając Mike'a za plecami. Gdy zobaczyłam jego świeżo ogolony podbródek nad kołnierzem znoszonej kurtki, poczułam przyływ ciepła.

Pomachałam im. Po drodze zorientowali się, że idą do tego samego stolika. Przedstawili się i uścisnęli sobie dłonie. Proste męskie powitanie.

- Sarah, przedstawiam ci Jacka Harmera.

Zlustrowała go i zmarszczyła czoło.

- Cześć, Jack.

- Bardzo mi miło, Sarah. - Uśmiechnął się najszerszej, jak potrafił. Odrobinę zmięła.

Jack usiadł obok mnie, a Mike obok Sarah. Zamówili po piwie. Patrzyliśmy na siebie skrepowani.

- Wiesz, Mike? Anne i Jack pobrali się w Meksyku. Mike nie wiedział, gdzie oczy podziać.

-Aha.

-Nie obrażę się, jeśli stwierdzisz, że to przerażające, Mike. Sarah zareagowała tak samo. Uśmiechnął się.

- Dzięki. Nie byłem pewien, jak zareagować.

- Chyba powinieneś być w ciężkim szoku - mruknęła Sarah.

- To jednak lepsze wieści niż o bombardowaniu w Bagdadzie, co? - wtrącił Jack.

- Nie byłabym taka pewna. - Znów zmarszczyła czoło. - Taki tekst świetnie się nadaje na zakończenie rozmowy, prawda? No wiesz, możesz w dowolnym momencie rzucić: „wyszłam w Meksyku za obcego faceta”, i cisza jak makiem zasiał gwarantowana.

- Ja sądziłem, że to świetne na początek rozmowy. Pomyśl o tej całej paplaninie, gdy coś podobnego robi jakaś gwiazdka. - Znów posłał jej szeroki uśmiech, ale tym razem nic tym nie działał.

- Anne nie jest żadną gwiazdką, ty też nie.

- To prawda. A ty nie leżysz nieprzytomna w kałuży własnej krwi.

- Nie rozumiem.

- Nie było tu żadnych wybuchów. Ani trwałych okaleczeń.

- Pas. - Sarah odwróciła się do mnie. - Jest warunkowo przyjęty.

Mike stuknął kuflem o kufel Jacka.

- Łatwo się wykpiłeś, stary. Jack upił duży łyk piwa.

- Odnoszę inne wrażenie.

- Powinieneś zobaczyć, jak rozprawia się z ludźmi w sądzie.

- Wyobrażam sobie.

- Zamówimy coś? - spytałam. Teraz, gdy napięcie już opadło, zaczynało mi burczeć w brzuchu.

Wszyscy się zgodzili. Przywołaliśmy kelnerkę i złożyliśmy zamówienie.

- Jack, może mi opowiesz, jak przekonałeś moją najlepszą przyjaciółkę, by za ciebie wyszła?

Zerknął w moją stronę. Moje spojrzenie mówiło: „ostrzeżałam, że tak będzie”.

Po jego twarzy przebiegł złowieszczy uśmieszek.

- Tak właściwie to był jej pomysł...

Wieczorem w łazience myliśmy razem zęby.

- Jedno starcie za nami, trzy przed nami - powiedziałam ze szczoteczką w ustach.

- Trzy?

- William. Mój brat. Rodzice.

- Nie możemy się spotkać z twoim bratem i rodzicami jednocześnie?

- Zobaczymy. A jak u ciebie? Kiedy masz zamiar powiedzieć swoim?

Jack splunął do umywalki.

- Jak wiesz, nie muszę tego oznajmiać rodzicom, a mój najlepszy przyjaciel bawi się teraz w sześciomiesięczną odyseję dookoła świata. A o czymś takim nie informuje się chyba w e-mailu.

- A ten facet, o którym mi opowiadałeś? Twój wydawca?
- Nie jesteśmy ze sobą tak blisko.
- Wydawało mi się, że zastąpił ci ojca.
- O ile zastępowanie ojca polega na słownym dręczeniu. On jest bardziej typem nauczyciela, który poprzez strach stara się zmotywować swoich uczniów, by osiągnęli coś wielkiego.

Wypłukał usta i przyciągnął mnie do siebie. Wyglądał uroczo, chłopięco, w białym T-shircie i bokserkach. Zaczął całować mnie po szyi.

- A nie masz jeszcze innych przyjaciół? - spytałam
- Jasne, że mam. Głównie kumpli od piwa. Powiem im przy kolejnym spotkaniu. To żaden problem.
- Myślisz, że dramatyzuję?
- Nie, myślę, że jesteś kobietą. Kobiety potrzebują rozmów o swoich sprawach, lubią je analizować. Nie ma w tym nic złego. Faceci zwyczajnie są inni. Przypomnij sobie dzisiejszą reakcję Mikea. Swoją drogą fajny facet. W każdym razie powiedział: „aha”. Podejrzewam, że większość moich kolegów zareaguje podobnie.
- Wojna płci nie ustaje.
- Szczerze mówiąc, liczyłem raczej na dialog płci. Dotknęłam jego nosa swoim.
- Proszę, proszę, naprawdę? Potarł nosem o mój nos.
- O tak, zdecydowanie.

W poniedziałek rano w pracy przejrzałam e-maile, których się w czasie mojego urlopu trochę nazbierało, i rozpisałam w kalendarzu terminy na kolejny tydzień. Wczesnym rankiem zadzwonił do mnie asystent doktora Szwicka, by umówić nas na sesję w piątek po południu. Kiedy Modowa Faszystka wyszła na spotkanie, zadzwoniłam do Gilberta.

- *Hola*, Kordelia, fajnie, że już wróciłaś.
 - Cześć, Gil.
 - Jak było na wycieczce?
 - Całkiem fajnie.
 - Cóż za wyczerpująca odpowiedź.
 - Co chciałbyś wiedzieć?
 - Chodziłaś na jakieś szalone imprezy?
 - To nie były juwenalia.
 - A już myślałem.
- Zaczęłam się nerwowo bawić kablem od telefonu.
- Słuchaj, Gil, muszę ci coś powiedzieć.
 - Co takiego?
 - Poznałam kogoś w Meksyku.
 - Czyli w końcu przestałaś się chować w szafie?
 - Gilbert!
 - No już, przepraszam. Co chciałaś powiedzieć?
 - No więc poznałam kogoś, ma na imię Jack i wiesz, wy-szłam-za-niego - wyrzuciłam z siebie na jednym oddechu.
 - Co proszę?
 - Wyszłam za niego.
- W słuchawce nie było słyhać żadnego dźwięku.
- Gil? Jesteś tam?
- Gilbert zagwizdał do słuchawki.
- Rodzice chyba oszaleją. -Możliwe...
 - Jak to się stało?
 - A jak ci się wydaje? Poszliśmy do faceta, który zadał nam parę pytań, a my powiedzieliśmy „tak”.
 - Nie o to mi chodziło.
 - Sama nie wiem. Trochę słabo to pamiętam.
 - Mhm, rozumiem. Uroczystość zakrapiana margaritą.
 - Coś w tym rodzaju.
 - Znam kogoś, kto pomoże ci się z tego wyplątać.

- Rany, Gil, dokładnie to samo powiedziała Sarah. Nie po to dzwonię. Nie chcę unieważniać małżeństwa. Zamieszkał ze mną, stwierdziliśmy, że spróbujemy...

- Spokojnie. Chcę tylko chronić swoją siostrzyczkę.

- Dzięki.

- To jakieś szaleństwo.

- Wiem. Tak czy owak, chciałabym, żebyście go poznali. Co ty na to?

- Zadzwoń do Cathy i coś ustalimy.

- Dzięki, Gil.

- Luzik.

- Tak sobie myślałam, że może zrobiłbyś dla mnie coś jeszcze?

- Co takiego?

- Powiesz rodzicom? Roześmiał się z głębi przepony.

- Nie ma mowy. Ale bardzo chcę być przy tym, kiedy ty im to powiesz.

- Może zaczekam do kolejnej rodzinnej uroczystości.

- Tchórz.

- Ciekawe, czy byłbyś taki odważny, gdybyś wziął ślub z kimś, kogo poznałeś na wakacjach.

- Co takiego? - Podniosłam wzrok. Will stał przy ścianie odgradzającej moje biurko, o dwa odcienie bledszy niż zazwyczaj.

- Gil, muszę kończyć. Zadzwoń później i umówimy się na obiad.

William opadł na krzesło naprzeciw biurka i wbił we mnie szeroko otwarte oczy.

- Zdaje się, że słyszałeś moją rozmowę z Gilem? Powoli kiwnął głową.

- Czyli wiesz już, że wzięłam ślub? Znow kiwnął.

- Daj spokój, William. To chyba nie jest aż takie wielkie zaskoczenie, co?

- Zależy, co rozumiesz pod pojęciem „zaskoczenie”.

- Coś totalnie zadziwiającego, szokującego albo przerażającego.

Rysował palcem w powietrzu, jakby odhaczał kolejne pozycje.

- Wszystkie warunki spełnione.

- To ciekawe, że przyjaciele uważają za niemożliwe zrobienie czegoś, co się naprawdę zrobiło.

- Ale jak to się stało, Anne? Mówiłem, żebyś wyluzowała i się zabawiła, ale nawet w najśmielszych snach...

- Wyluzowałam się i zabawiłam. A oprócz tego poznałam faceta i wiesz... to dość wesoła historia, chcesz ją usłyszeć?

Zdradziłam mu ustalone wcześniej szczegóły. Za każdym razem gdy je powtarzałam, wydawały się trochę bardziej prawdziwe. William słuchał, nie przerywając. Pewnie dlatego, że był zbyt zbaraniały, żeby coś powiedzieć.

- Ciągle nie mogę w to uwierzyć.

- Zapewniam cię, że to prawda.

- Kiedy będę miał okazję go poznać i sprawdzić, czy jest dla ciebie wystarczająco dobry?

- Jest wystarczająco dobry.

Jack wyrzął zza mojej ścianki działowej.

- Mam taką nadzieję - powiedział.

Świetnie wyglądał w dzinsach. Nad znoszoną niebieską koszulką Oksfordu zobaczyłam ładnie ułożoną fryzurę. Wyciągnął rękę.

- Ty pewnie jesteś William. Miło mi cię poznać. William wstał i uścisnęli sobie dłonie.

- To ty jesteś tym facetem, który przekonał małą sierotkę Anne, żeby się ustatkowała?

- Nie trzeba jej było zbyt długo przekonywać. Wystarczyło parę drinków.

William spojrział na niego surowo.

- Rzeczywiście, ma słabość do drinków.

- Zauważyłem.

- Ale żaden dżentelmen, rzecz jasna, nie wykorzystałby tej słabości do swoich celów.

- Podważasz mój honor?

- Nie, bronię honoru Anne.

- W porządku. Pistolety czy miecze? Kąciki ust Williama zadrżały.

- Hm, chyba pistolety.

- A przypadkiem nie znasz Sarah?

- Oczywiście. Przeurocza kobieta.

- Myślę, że bijesz ją na głowę.

William nie wytrzymał i uśmiechnął się szeroko.

- No dobra, A.B. Może tak do końca nie oszalałaś. Zostawiam was, dzieciaki.

- Co cię sprowadza? - powiedziałam do Jacka, gdy William już sobie poszedł.

- Siedziałem w domu, próbowałem pisać i pomyślałem sobie, że jeszcze żaden z przyjaciół Anne nie wieszał dziś na mnie psów... - Wstałam i machnąłam dłonią w jego stronę. Zrobił unik. - Uznałem, że moglibyśmy skoczyć razem na obiad.

- Świetny pomysł.

- Powinienem wiedzieć o kimś jeszcze, zanim opuścimy bezpieczną przystań twojego biurka?

- Nikt mi nie przychodzi do głowy. -Uff.

Pocałowałam go w policzek.

- Doskonale sobie poradziłeś.

- Dzięki ci, o pani.

ROZDZIAŁ 18

DZIEJE SIĘ

Resztę tygodnia spędziliśmy na organizowaniu wspólnej codzienności. Chodziłam do pracy, Jack zabierał mnie na obiad, wracałam do pracy, jechałam do domu, zamawialiśmy coś na kolację i spędzaliśmy wieczory w łóżku. Od powrotu z Meksyku ani razu się porządnie nie wyspałam i zaczynałam odczuwać tego skutki.

Tamtego ranka byłam szczególnie zmęczona. Artykuł, który właśnie pisałam, dotyczący zażartej miejskiej debaty na temat zastąpienia naturalnej trawy na boiskach sztuczną, zupełnie mnie nie wciągał. A to nie pomagało.

Zadzwonił mój telefon. Wetknęłam słuchawkę między ucho a ramię.

- Heja.
- Już wszystko wiem.
- Co takiego wiesz, Sarah?
- Wiem, dlaczego wyszłaś za Jacka.

Modowa Faszystka akurat przechodziła, stukając dziesięciocentymetrowymi szpilkami. Z dezaprobatą przestudiowała moje czarne spodnie w kant i niewyprasowaną koszulę.

Uśmiechnęłam się do niej sztucznie i ściszyłam głos tak bardzo, jak tylko mogłam.

- Już ci mówiłam, dlaczego wyszłam za Jacka. Westchnęła.

-No tak, jasne, ale chyba odkryłam, o co naprawdę chodzi.

Jak ona to...? -No dobra...

- Dręczyło mnie to przez resztę tygodnia. Uznałam, że to trochę przeze mnie.

- Przez ciebie?

- Może nie dosłownie przeze mnie, ale przez to, że wychodzę za mąż, poczułaś się opuszczona i zazdrosna, więc sama wzięłaś ślub.

Jej słowa były jak cios obuchem.

- Słucham?

- Wiem, że to brzmi, jakbym była egocentryczna, ale jeśli zastanowisz się nad swoimi działaniami od czasu, gdy ci powiedziałam, że wychodzę za mąż, przekonasz się, że mam rację.

Staralam się nie podnosić głosu.

- Jakie dokładnie moje działania masz na myśli, Sarah? Zawahała się.

- Cóż, właściwie tylko jedno, ale chyba dosyć ważne, nie sądzisz?

- No jasne, że ważne. Ale nie widzę żadnego związku z tobą.

- Nie? Ja się zaręczam, a parę miesięcy później ty wykupujesz wycieczkę *last minutę* i bierzesz ślub z pierwszym facetem, którego na niej spotykasz. To chyba oczywiste! Nawet jest trochę podobny do Mike'a.

- Co proszę?

- Powiedziałam, że jest trochę podobny do Mike'a.

- Sarah, co ty do cholery wygadujesz?
- Niech to szlag! Wściekłaś się, prawda? Wiedziałam, że się wściekniesz.
- A niby jak miałam zareagować? Dzwonisz do mnie do pracy, żeby mi oznajmić, że jedną z najważniejszych decyzji w swoim życiu podjęłam przez zazdrość o coś, co się dzieje w t w o i m życiu, a do tego szukałam faceta wyglądającego jak twój facet. Może myślisz, że tak naprawdę pragnę twojego faceta?
- Nigdy tak nie pomyślałam, Anne. Ani przez chwilę. Jesteś niesprawiedliwa.
- Niesprawiedliwe jest stawianie mnie pod ścianą takimi telefonami.
- Przepraszam, dobrze? Wiesz, że czasem coś chlapnę, zanim pomyślę.
- To nieprawda. Zawsze mówisz dokładnie to, o co ci chodzi, i zawsze się zastanawiasz, zanim coś powiesz.
- Cóż, pewnie masz rację, ale nie chciałam cię urazić.
- Sarah, posłuchaj mnie uważnie. Nie chcę rozważać, dlaczego to zrobiłam. Nie chcę się z tego wyplątywać. Chcę po prostu wsparcia przyjaciół, czy też ludzi, których miałam za przyjaciół.
- Anne, proszę cię. Przepraszam. - Jej głos, jak nigdy, brzmiał tak, jakby za chwilę miała się rozplakać. Przez to mnie samej zaczęły napływać do oczu łzy.
- Odchrząknęłam.
- Teraz nie mogę, Sarah. Mam artykuł do napisania.
- Rozłączyłam się, zanim zdążyła odpowiedzieć. Z wściekłością otarłam łzy. Pieprzyć to! Dlaczego musiała mi to mówić? Czemu nie mogła po prostu pozwolić mi walczyć o szczęście, którego jej nie brakowało?
- Czemu zawsze musi mieć cholerną rację?

Tego dnia spotkałam się z Jackiem w hallu wieżowca, w którym mieliśmy odbyć pierwszą wspólną terapię po powrocie z Meksyku.

Jack pocałował mnie w policzek i przyjrzał mi się uważnie.

- Co się stało?

Zamrugalam szybko, żeby powstrzymać łzy.

- Właśnie okropnie pokłóciłam się z Sarah. -O co?

- O ciebie i mnie. O nas.

- Myślałem, że się wycofała.

- O, nie. Dopiero się rozkręca.

- Co takiego powiedziała?

- Później ci opowiem.

Wziął mnie za rękę i ją uścisnął.

- Przykro mi.

- Wiem, mnie też. Chodźmy już na górę.

Wsiedliśmy do windy i pojechaliśmy do gabinetu doktora Szwicka. Zasłony były rozsunięte. W pomieszczeniu nie było już tak przytulnie, gdy marcowy deszcz uderzał o szyby.

Doktor Szwick przerzucił kartkę w notesie. -Jack, Anne, jak wam idzie organizowanie życia małżeńskiego?

- Chyba całkiem nieźle. W weekend Jack przetransportował do mnie swój dobytek - odpowiedziałam.

- A, moment łączenia rzeczy we wspólną całość. To zawsze wywołuje napięcia. Jak wam poszło?

- Dość dobrze. Jack niewiele przywiózł poza gigantyczną kolekcją książek.

-Ej, przecież oboje mamy mnóstwo książek - powiedział Jack obronnym tonem.

Uśmiechnęłam się, żeby wiedział, że się drocę.

- To prawda.

- Chcę zrobić półki. Dzisiaj kupiłem materiały. Doktor Szwick kiwnął głową do Jacka, jakby chwalił grzecznego chłopca, a potem znów odwrócił się do mnie.

- W Meksyku niechętnie przystałaś na pomysł, by Jack u ciebie zamieszkał. Żałujesz tej decyzji?

- Przyzwyczajam się.

- Co to znaczy, Anne?

Czy ten facet nie mógłby czasem odpuścić?

- To znaczy, że potrzebuję czasu, ale ogólnie jestem zadowolona, że Jack się wprowadził.

- Gdybyś nie była zadowolona, nie byłoby w tym nic złego.

- Wiem o tym.

-A jak jest z tobą, Jack? Przeszkadza ci, że Anne była niechętna temu, byś u niej zamieszkał? Położył dłonie płasko na udach. -Nie.

- Proszę cię, Jack. Ani trochę?

- Rozumiem, co nią kierowało.

- Bo czujesz to samo?

-To chyba normalne czuć się przytłoczonym, gdy zaczyna się razem mieszkać?

- Oczywiście, że tak. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Czy ty czujesz się przytłoczony?

Jack uśmiechnął się do niego nerwowo.

- Nieszczerólnie. Anne nie ma w domu przez cały dzień, więc mogę pisać. Urządziłem sobie nawet kącik do pracy, swoje własne miejsce...

- To nie talk-show, Jack - przerwał doktor Szwick.

- Jest dobrze, przysięgam. Z ręką na sercu. Możemy przejść dalej?

- Zgoda, ale jeszcze do tego wrócimy. Jak wam poszła rozmowa z rodziną i przyjaciółmi? Anne?

- Mój brat przyjął nowiny dobrze. Nie powiedziałam jeszcze rodzicom, ale najbliżsi przyjaciele już wiedzą.

-I co?

Wzięłam głęboki wdech, próbując stłumić ból, jaki sprawiła mi Sarah.

- Najlepsza przyjaciółka chciała mnie przekonać, żebym unieważniła małżeństwo, a dzisiaj powiedziała, że wyszłam za mąż, bo jej pozazdrościłam.

- Czy to dlatego byłaś dziś taka zdenerwowana? - spytał Jack.

-Tak.

Doktor Szwick zaczął przerzucać kartki notatnika w poszukiwaniu czegoś.

-A tak. Rozmawialiśmy już o tym. Zadzwoiłaś do Blythe&Company zaraz po tym, jak powiedziała ci, że się zaręczyła, zgadza się?

-Tak, ale...

- Ale co, Anne?

- Wtedy nie wiedziałam, czym się zajmuje Blythe & Company. Chciałam znaleźć chłopaka na randkę, a nie męża.

- Ale chciałaś, prawda? A może to czysty przypadek, że zdecydowałaś się rozpocząć proces, gdy się dowiedziałaś, czym jest Blythe & Company?

Zarówno Jack, jak i doktor Szwick wpatrywali się we mnie, oczekując odpowiedzi.

- Nie wiem. Może. Tak, dlatego zdecydowałam się zadzwonić, ale wcale nie jest tak, jak myśli Sarah. Ona uważa, że wyszłam za pierwszego faceta, który mnie zechciał, bo nie mogłam znieść samotności. A było inaczej.

- Uraziła cię, sugerując, że wyszłaś za Jacka z kaprysu?

- Może trochę.

- Wiem, że to trudne, ale czy jesteś gotowa na znoszenie jej złości i nieporozumień, żeby ukryć prawdę?

- Chyba tak. Jeśli pana zdaniem jest to konieczne.
- To konieczne.
- Może pan przypomnieć dlaczego? - spytał Jack.
- Przekonaliśmy się, że tak jest najlepiej. Co prawda trudno oczekiwać od rodziny, by zaakceptowała coś, co zrobiliście pod wpływem impulsu, ale przynajmniej mogą się do tego jakoś odnieść, jeśli pomyślą, że waszymi działaniami kierowały uczucia. Ludziom, którzy zrezygnowali z romantycznej miłości na rzecz głębokiej przyjaźni, jest o wiele trudniej, wierzcie mi.
- Jack nie był co do tego przekonany.
- Skoro pan tak twierdzi.
- Tak twierdzą. Anne, myślisz, że uda ci się naprawić relacje z... jak ma na imię twoja przyjaciółka?
- Sarah.
- Z Sarah. Uda wam się to przegadać? Jesteście ze sobą dostatecznie blisko?
- Zawsze tak myślałam. Spojrzał na mnie ze współczuciem.
- Daj jej trochę czasu, Anne. To dla wszystkich wielkie zaskoczenie.
- No tak.
- A jak u ciebie, Jack? Jak ci poszła rozmowa z przyjaciółmi?
- Nikomu jeszcze nie powiedziałem.
- Dlaczego? Wzruszył ramionami.
- Bo nie bardzo mam komu.
- Ciężko mi w to uwierzyć. Wiesz, może ci się to wydawać fikcją, dopóki nie przeniesiesz tego do rzeczywistości.
- Mnie się to wydaje dość rzeczywiste.
- Doktor Szwick przeciągnął dłońią po podbródku.
- Powiedz, czemu ciągle tworzysz bariery?

- Nie tworzę.

- Przeciwnie, tworzysz. Robiłeś to od samego początku. Przez takie zachowania między tobą i Anne może powstać mur, na pewno powstanie. Musimy nad tym pracować i powstrzymać to, zanim będzie za późno.

Zaczął wodzić po nas wzrokiem, nad czymś się zastanawiając.

-W takim razie, Jack, chciałbym, żebyś do następnej sesji znalazł dwie osoby, które poinformujesz o swoim ślubie. Nie chcę słyszeć żadnych wykrętów o tym, dlaczego nie mogłeś tego zrobić. Dobrze?

Jack kiwnął krótko głową.

- Do zobaczenia za tydzień.

- Lekcja skończona - wymamrotał Jack.

- Co powiesz na przygodę? - spytał Jack, gdy w następny czwartek jechaliśmy jego rozklekotanym jeepem do Gila i Cathy. Była akurat godzina szczytu, więc tkwiliśmy w korku. Jack zaciskał dłonie na kierownicy, a jego knykcie aż zbieleły. Wlekliśmy się w ślimaczym tempie przez drogę ekspresową. Kręciłam gałką radia, przerzucając między ulubioną stacją Jacka z klasycznym rockiem i tą, której ja zwykle słucham - puszczającą nowości. Najwyraźniej współczynnik dopasowania osiem nie obejmował gustu muzycznego.

-Po cholere ktoś mieszka w takim miejscu? - spytał Jack.

- Dla podwórka, imprez ogródkowych, możliwości zagrania w hokeja na ulicy...

- To wszystko jest przereklamowane. Zjechaliśmy z drogi obok stacji kolejowej i potoczyliśmy się dalej drogą dojazdową. Mijaliśmy rząd małych,

przypominających pudełka domków z lat pięćdziesiątych. Słońce zbliżało się do horyzontu. Parę sznurów lampek, które zostały po świętach, migotało na gankach i krzewach.

- Skręć w następną w lewo. O jaką przygodę ci chodziło?
- Uprawiałaś kiedyś rafting?
- Rafting? Chodzi ci o płynięcie w pontonie rwącą rzeką? - zaskrzeczałam.

- Tak - odparł entuzjastycznie.
- Nie czułam takiej potrzeby. Skręć tutaj.
- To jak?
- Czy to nie jest niebezpieczne?
- Ani trochę.

Niedaleko domu Gilberta zauważyłam miejsce między dwoma miejskimi terenówkami i je wskazałam.

- Nie jest za wcześnie, żeby pływać po rzece? Woda będzie lodowata.

- Sezon zaczyna się w drugim tygodniu kwietnia. Dostaniemy stroje do nurkowania.

Nie miałam już więcej wymówek poza jedną:

- Jack, czemu ty ciągle próbujesz mnie zabić? Zgasił głośny, stukający silnik.

- Wcale tak nie jest, przysięgam. Po prostu lubię takie wypadki. To dobra odskocznia od tego, co robię całymi dniami.

- A co takiego robisz całymi dniami? - rzuciłam przewrotnie.

- Głównie siedzę i wpatruję się w pustą kartkę. To jak, chcesz jechać?

Wysiedliśmy z auta i stanęliśmy przed chodnikiem prowadzącym do domu Cathy i Gila. Poprawiłam pas spódnicy. Jack zaczął gmerać przy kołnierzyku.

- A kiedy chciałbyś jechać?
- Dzwoniłem tam. Mają miejsca na dwunastego.

- Ale tego dnia wychodzi moja książka!
- Wiem. Pojedziemy rano i wrócimy na długo przed premierą.
I przed tym, jak mnie zostawisz i wyruszysz na wielkie *tournee* z książką.

Uśmiechnęłam się.

- To tylko tydzień.

- To tylko rzeka.

- W sumie racja. No dobra, zgoda.

- Świetnie.

- Gotowy na rozpoczęcie wieczoru? Uśmiechnął się do mnie półgębkiem.

- A mam jakieś wyjście?

- Nie bardzo.

- No to zaczynamy.

Podeszliśmy do drzwi. Zanim zdążyłam nacisnąć dzwonek, Jane otworzyła drzwi na oścież i zaczęła skakać.

- Ciocia Anne, ciocia Anne! Mamo, przyjechała ciocia Anne!

Kucnęłam, żeby uścisnąć ją na powitanie. Miała na sobie jednoczęściową piżamę i pachniała, jakby przed chwilą wyszła z kąpieli. Wierciła się z radości w moich ramionach.

- Kto to? - spytała, wyglądając przez moje ramię.

- To mój przyjaciel Jack. Jack, to jest Jane. Schylił się, żeby uścisnąć jej małą dłoń.

- Witaj, Jane, jestem Jack.

- A, to już wiem. Wy jesteście teraz małżeństwem.

- Zgadza się.

- Kto ci to powiedział, skarbie?

- Słyszałam, jak tata mówił to babci i dziadziowi. Świetnie.

- Kiedy? Przez telefon?

- Nie, w salonie.

- Gdzie?

- W salonie - odpowiedział za nią Gil, wychodząc do hallu. Doskonale się prezentował w szarym kaszmirowym swetrze, czarnych spodniach w kant i z radosnym uśmiechem na twarzy. Do dopełnienia stylizacji ze sztuki *Nasze miasto* brakowało tylko zgaszonej fajki i widowni.

- Gil, brat Anne - powiedział, mocno, biznesowo ściskając dłoń Jacka. Obejrzał go od góry do dołu. - Nie wyglądasz mi na właściwego faceta dla Kordelii.

- Gil!

- Bo ja jestem ulepszonym modelem - odparł Jack. Gil podniósł brwi.

- Rozumiem.

- Gil, czy mama i tata są teraz w salonie? Zakołysał się do tyłu i do przodu na obcasach.

- Mhm.

- Ale kiedy mówiłam, że chciałabym, żebyś im powiedział, odmówiłeś...?

- Zmieniłem zdanie.

- I nie powiedziałaś mi, bo...

- Tak jest zabawniej, rzecz jasna.

- Jak jest zabawniej, skarbie? - Moja mama wystawiła głowę zza drzwi salonu. Wystroiła się dzisiaj w klasyczny różowy kostium od Chanel. Odziedziczyła go po tej samej ciotce co futro, które miała na sobie na mojej imprezie z okazji podpisania umowy z wydawcą. Wiedziałam, że nie bez powodu czuję się jak w teatrze.

- Anne, czemu jeszcze stoicie w hallu? Wejdźcie. A pan, młody człowieku, jest zapewne... mężem Anne. - Wciągnęła powietrze, jakby chciała poznać po zapachu, czy to dobry człowiek.

- Mamo, proszę cię, przestań się wcielać w Małgorzatę Linde!

Jack wymamrotał:

- To pewnie postać z książek o Ani, co?

- A jakżeby inaczej? Ciągłe jeszcze możemy uciec - odpowiedziałam, mamrocząc.

- Nie trzeba. No dalej, do przodu.

Spojrzałam na Gila spode łba i ruszyłam za mamą do salonu. Jane plątała się między nami, więc Gil zagroził jej pójściem spać. Tata rozsiadł się w ulubionym fotelu Gila z solidną porcją szkockiej w dłoni. Po oparach w pokoju wnioskowałam, że to nie był jego pierwszy drink.

Przedstawiłam Jacka rodzicom i usiedliśmy na dwuosobowej kanapie pod oknem wykuszowym. Siedzieliśmy tak, wpatrując się w siebie bez słowa, aż w końcu do pokoju weszła Cathy w czarnej sukience z elastycznej tkaniny, doskonale podkreślającej jej piękny ciążowy brzusek. Jej długie blond włosy opadały falami na plecy.

- Co tu się dzieje? Gil, dlaczego nie podałeś Anne i Jackowi drinków? Wygląda na to, że dobrze by im zrobiły, tak samo zresztą jak mnie. - Uśmiechnęła się do nas szeroko. - Ale skoro zostało mi jeszcze parę miesięcy abstynencji, będę po prostu tęsknie zerkać na wasze.

Gil pokornie zebrał od nas zamówienia i poszedł do kuchni, żeby je zrealizować.

Cathy usiadła na kanapie obok mojej mamy i oparła ręce na brzuchu.

- Jack, powiedz coś o sobie.

- A co chciałabyś wiedzieć?

- Skąd jesteś? Jak się poznaliście z Anne? Jak ją przekonałeś, żeby za ciebie wyszła? Tyle na razie wystarczy. A kiedy skończysz, może wszystkim rozplączą się języki.

Jack zerknął na mnie ukradkiem i zaczął odpowiadać na jej pytania. Cathy słuchała uważnie, podczas gdy mój ojciec kurczowo ścisnął szklanekę, a matka udawała

obojętność, równocześnie czujnie wsłuchując się w każde słowo.

Dzięki Bogu i Cathy, najnormalniejszej z nas wszystkich. Gdy na mnie spojrzała, powiedziałam bezgłośnie:

- Dziękuję.

Potrząsnęła lekko głową i odparła także bezgłośnie:

- Przystojniak.

Po trzech godzinach sterczeliśmy przy drzwiach, gotowi do ucieczki. Chociaż Jane już dawno powinna leżeć w łóżku, stała przyklejona do nogi Jacka. Zaspana Elizabeth uczepiła się mojej.

Zanim Jack skończył odpowiadać na pytania Cathy, rodzice byli już dość wstawieni i zdołali przezwyciężyć nieśmiałość. Niestety. Mama przez ostatnie dwie godziny robiła przerwy tylko na oddech, skacząc chaotycznie między różnymi historyjkami. Tata z kolei zasypywał Jacka przypadkowymi pytaniami, które mogłyby konkurować z tymi w formularzu Blythe & Company. Jak miał na imię jego ojciec? Jakiego dnia się urodził? Gdzie mieszkał między czwartym a szóstym rokiem życia? W końcu udało mi się go przystopować, gdy spytałam, czy ma zamiar postawić horoskop dla Jacka.

- Co? Nie. Nie wiem, o czym ty mówisz.

- Czemu zadajesz takie dziwne pytania, tato? Czemu w ogóle obchodzą cię takie rzeczy?

- Ciociu, ciociu, zobacz, jak robię fikołka!

- Za chwilę, skarbie.

- A jak inaczej mam poznać swojego zięcia?

- Ciociu, ciociu, ja umiem zrobić lepszego fikołka. Zobacz, zobacz!

- Dziewczynki, proszę, teraz rozmawiam z dziadkiem. Nie wiem, tato. Tak jak normalni ludzie.

- Co to niby miało znaczyć?

- To mi przypomina, jak Anne śpiewała w chórze w trzeciej klasie - wtrąciła mama. - Miała partię solową, z tym że inna dziewczyna, która dużo gorzej śpiewała, myślała, że to ona ma śpiewać solo. Już chciała zacząć w tym samym momencie co Anne, ale moja mądra córeczka zorientowała się, że tamta dziewczyna chce zacząć śpiewać. Szybko ją uciszyła, a potem wystąpiła. To było wspaniałe.

- Co to znaczy „normalny”? Czy ktoś tu nie jest normalny? Pochyliłam się i odczepiłam Elizabeth od swojej nogi.

- Dziewczynki, pożegnajcie się z wujkiem Jackiem.

- Dobranoc, wujku - powiedziały równocześnie. Pocałował obie w policzki. Zachichotały i uciekły, piszcząc radośnie. Cathy i Gila czekała dziś ciężka noc, to pewne.

- Pa, mamó, pa, tato. Dzięki Gil. - Spojrzałam na niego zabójczym wzrokiem, chociaż w głębi duszy byłam wdzięczna, że mnie wyręczył i powiedział rodzicom. Poza tym doktor Szwick będzie zadowolony. Dodatkowy bonus.

W końcu drzwi się za nami zamknęły i skierowaliśmy się w stronę samochodu Jacka. Niebo z dala od świateł miast migotało gwiazdami. Rozejrzałam się za Gwiazdą Polarną, czując, jak miękną mi kolana.

- Dasz radę prowadzić? - spytałam. Zerknął na mnie.

- Na pewno lepiej niż ty. Wyprostowałam się.

- To był jedyny sposób, żeby przetrwać ten wieczór.

- A ja myślałem, że dużo piłaś w Meksyku.

- Baran.

- Twój tata przecież dziś ustalił, że mam inny znak zodiaku.

Wgramoliliśmy się do samochodu. Nie mogłam sobie poradzić z pasem bezpieczeństwa. Jack wziął go ode mnie i zapiął.

- Dzięki. I przepraszam za dzisiejszy wieczór. Moi rodzice zazwyczaj nie są aż tacy... dziwacznymi.

- Nie myśl o tym. - Odpalił silnik i wycofał na ulicę. -Potem wyznaczę ci karę.

- Zobaczymy. Lepiej powiedz, czy moi bliscy zniechęcili cię do idei zakładania rodziny?

- Twoje bratanice są urocze.

Jack prowadził, a ja patrzyłam na przesuwane się obok nas wolno stojące domy z czterema sypialniami. Zatrzymaliśmy się przed znakiem stopu. W domu na rogu salon oświetlony był jak scena w teatrze, telewizor migotał różnymi barwami. Gdy byłam nastolatką, lubiłam sobie wyobrazać, co dzieje się za zasłonami domów takich jak mój. Może mogłabym po prostu otworzyć wytrychem któreś drzwi i spróbować całkiem nowego życia?

- Rozmawiałaś już z Sarah? - spytał łagodnie Jack. Wykrzywiłam twarz.

-Nie.

- „Nie” w sensie „już nigdy się do niej nie odezwę”? Czy „nie” w sensie „jeszcze nie było okazji, ale mam taki zamiar”?

- Jeszcze nie wiem. Wiesz, naprawdę mnie uraziła. Wyciągnął dłoń i zmierzwił mi włosy.

- Głowa do góry, młoda.

- Młoda?

- No co?

- Skąd ty bierzesz te teksty?

- Tam, skąd pochodzę, mamy takich na pęczki. -Dzięki za dzisiejszy wieczór. - Pochyliłam się i pocałowałam go w policzek.

- Zawsze do usług.

ROZDZIAŁ 19

GOTOWI, DO BIEGU, START!

Minął miesiąc. Sporo pracowałam, a wolny czas spędzałam z Jackiem. Przygotowywałam się do premiery książki i do krótkiej trasy promocyjnej, którą potem miałam odbyć. Kilka razy już prawie to zrobiłam, bardzo tego chciałam i z trudem wytrzymywałam, ale nie zadzwoniłam do Sarah. Przez tę emocjonalną huśtawkę miałam problemy ze snem. Z łatwością zasypiałam wtulona w ramię Jacka, ale o trzeciej w nocy nagle otwierałam oczy, jakby sterował mną zegar. Jedynym plusem było to, że mając te dodatkowe godziny, mogłam poświęcić więcej czasu na pisanie. Z tym że za każdym razem, gdy następnego wieczoru czytałam zapisane strony, zgniatałam je i wyrzucałam do kosza.

Tamtej nocy nawet nie czekałam. Po trzech stronach wycelowałam swoimi wypocinami do metalowego kosza w rogu. Nie trafiłam.

- Pewnie się o to potknę - powiedział Jack zaspanym głosem, stojąc w drzwiach. Jego klatka piersiowa odbijała blade światło lampy podłogowej, przy której usiłowałam pisać.

- Miałam zamiar to podnieść. Przepraszam, obudziłam cię?
Ziewnął i podrapał się po głowie.

- Skąd. Zawsze wstaję o czwartej rano, żeby pograć w kosza
kiepsko napisanymi tekstami.

- Dowcipniś.
Podniósł wyrzucone kartki, wygładził je i zaczął czytać.

- Ej, to nieładnie czytać coś, co wyrzuciłam. Tak w ogóle, to
nieładnie czytać coś, czego nie skończyłam.

Usiadł obok mnie.

- Masz rację. Ale czemu to wyrzuciłaś? Nieźle się zapo-
wiadało.

- Wtórne i nudne.

- To surowa ocena jak na środek nocy, nie sądzisz? Zawsze
jesteś dla siebie taka ostra?

- Tylko wtedy, kiedy śpiam po pięć godzin.

- Może powinnaś pogadać z Sarah.

- Może powinieneś się zająć własnymi sprawami. Odchylił
się do tyłu, zaskoczony.

- Przepraszam. Nie chciałem cię zranić.

Położył mi dłonie na ramionach i zaczął rozmasowywać
moje napięte mięśnie. Zamknęłam oczy i skupiłam się na
cieplej sile jego palców.

- Już dobrze?

- Prawie.

Przesunął dłonie po mojej szyi i twarzy do skroni, cały czas
masując.

- Teraz lepiej?

- Odpowiem za minutę.

- Skoro jesteś taka spięta, to chyba można cię uleczyć tylko w
jeden sposób.

Otworzyłam oczy i uśmiechnęłam się.

- Czyżby?

- O, tak.

- Myślisz, że zdołasz mnie uleczyć?

- Na pewno mogę spróbować. -No to próbuj.

Jechaliśmy mokrą, wyboistą drogą. Godzinę wcześniej minęliśmy dom Cathy i Gila. Pomiędzy wysokimi iglastymi drzewami rosnącymi wzdłuż drogi dojrzałam połyskującą rzekę, którą wkrótce mieliśmy pokonać. Wyglądała na szeroką. Głęboką. Rwącą. Rozbijającą się o brzegi. A przede wszystkim, chociaż był piękny wiosenny dzień, wyglądała na zimną.

- Na pewno bezpiecznie jest płynąć przy takim poziomie wody?

Jack zerknął na mnie zza ciemnych okularów. Zobaczyłam w nich swoje małe, przestraszone odbicie.

- Chyba mi tu nie tchórzysz, co?

- Nie... ale beznadziejnie byłoby zginąć w dzień premiery własnej książki, nie sądzisz?

- Nie bój się, jest bezpiecznie.

Wjechaliśmy na parking obok drewnianej chatki nad brzegiem połyskującej czarnej rzeki. Grupa studentów w szortach i koszulkach na ramiączkach grała w siatkówkę plażową na wysypanej piaskiem przestrzeni. Sześć kobiet mniej więcej w moim wieku siedziało przy drewnianych stołach, wygrzewając się w słońcu. Przygotowane paczki węgla leżały obok grilla. Weszliśmy do chatki, żeby zapłacić i dostaliśmy oświadczenia do podpisania. Podpisz w wykropkowanym miejscu, a nie będziesz mógł dochodzić swoich praw od firmy organizującej spływ, choćby wszystko zaniedbała. Czytając, uświadomiłam sobie, że tęsknię za Sarah - to z jej powodu w ogóle wczytywałam się w ten prawniczy bełkot.

Podpisaliśmy oświadczenia i przedstawiono nam przewodnika Steve'a. Był atletycznie zbudowanym dziewiętnastolatkiem z ciemnoblond włosami i opaloną twarzą, w czerwonej kamizelce ratunkowej, włożonej na piankę do nurkowania. Przód był na tyle rozpięty, że odsłaniał budzące zaufanie mięśnie. Wyjaśnił nam krótko, jak sobie radzić z pontonem, po czym dostaliśmy pianki, kamizelki ratunkowe i wiosła. Jack zapiął mi kamizelkę, zaciągając paski tak mocno, że nawet się nie poruszyłam, kiedy mnie za nie podniósł, żeby je sprawdzić.

- Teraz jesteś bezpieczna.

- Myślałam, że i tak jestem...

- Bo jesteś. No, przestań się już bać. Mógł o tym pomarzyć.

Znieśliśmy jasnożółty ponton do rzeki. Miała jakieś piętnaście metrów szerokości, przy brzegach ograniczały ją ostre skały i zielone liściaste drzewa. Woda z bliska wydawała się jeszcze czarniejsza i pachniała skruszonymi kamieniami - jakby przed chwilą wyrzeźbiła góry, które się nad nią wznosiły. Usiadłam w pontonie obok Jacka. Byłam druga od przodu. Steve odepchnął nas od brzegu i kazał zacząć wiosłować. Jack powiedział, że bym zablokowała lewą stopę pod paskiem na dnie pontonu, tak samo jak na katamaranie w Cancun.

- Tak, jasne, wtedy świetnie na tym wyszłam - mruknęłam.

- No co? Nie podobała ci się nasza przewrotka?

- Mam nadzieję, że to będzie jedna z tych rzeczy, które zdarzają się raz w życiu.

Jack nagle zaczął patrzeć w inną stronę.

- Czemu robisz taką minę, Jack? Zanurzył wiosło w wodzie.

- Jaką minę?

- Nie zmieniaj tematu. - Zaczęłam głośno myśleć: - No dobra, zrobiłeś tę minę, kiedy zaczęliśmy mówić o przewrotce. .. Ożeż, kurde! Będą nas wywracać?

-Nieeee... -Jack!

- Przewodnik przewraca ponton, kiedy przepływa się przez pierwszy próg - powiedział facet siedzący naprzeciw mnie, chcąc pomóc.

- To prawda? Jack?

Zaczęliśmy szybko zbliżać się do pasa białej piany na granicy spadku. Nie widziałam zbyt wiele, ale miałam dziwne przeczucie co do tego, co jest dalej. Czy raczej czego tam nie ma...

- Spokojnie, Anne. Będzie dobrze.

- Nie podoba mi się to...

Ponton zaczął się kołysać, unosić i podskakiwać na burzącej się pod nim wodzie. Minęliśmy próg i nagle znaleźliśmy się siedemdziesiąt metrów dalej.

- Mocno wiosłujcie! - wrzasnął Steve.

- Jack!

- Wiosłuj, Anne, wiosłuj mocno - krzyknął rozradowany Jack.

Zacisnęłam zęby i zanurzyłam wiosło w wodzie. Przy każdym ruchu uderzałam prawą dłoń o powierzchnię zimnej wody.

- Zapłacisz mi za to...

Gdy stoczyliśmy się po progu, przestałam wiosłować i chwyciłam się kurczowo burty pontonu. Wszyscy zaczęli wrzeszczeć. Nie wiedziałam, kto wrzeszczy ze strachu, a kto z radości, ale wiedziałam, do którego obozu sama należę.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Steve'a. Uśmiechał się szeroko, utrzymując ponton na środku rzeki. A potem zo-

baczyłam, jak to robi. Celowo wywrócił ponton, wkładając wiosło do rzeki i napierając nim pod prąd. Ponton się przechylił i wypłuł nas do wody. Starłam się gładko wyskoczyć, ale znalazłam się pod nim, gdy staczał się z prądem.

Zimna woda wypchnęła powietrze z moich płuc. Usiłowałam trzymać głowę nad powierzchnią, wdychając powietrze spod żółtego namiotu uformowanego przez ponton. Usłyszałam głośny ryk, a potem zapadła względna cisza, gdy spłynęliśmy na spokojniejsze wody. Ktoś zdjął ponton z mojej głowy i znalazłam się w ramionach Jacka. Był wystraszony i blady.

- Wszystko w porządku, Anne? Zaczęłam szczekać zębami.

- Chyba tak.

- Myślałem, że już po tobie.

- Tak to już jest, kiedy się mnie namawia na takie wyczyny. Mówiłam ci, żebyś mnie nie mordował w dzień premiery mojej książki.

- To się już nie powtórzy.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Rozejrzałam się. Prąd rzeki był łagodniejszy, słońce mocno świeciło, połyskując na jej powierzchni. Tutaj woda wydawała się cieplejsza, nie tak bardzo dzika. Uświadomiłam sobie, że chociaż przeraziła mnie przewrotka, tak naprawdę dobrze się bawiłam. Podobało mi się takie spędzanie czasu z Jackiem. Wypadki za miasto jednak były w moim guście.

- Pomożesz mi się wgramolić?

- Na pewno?

Uśmiechnęłam się pogodnie.

- Jak przygoda, to przygoda.

- Czyli dobrze się bawiłaś?

- Chyba ze sto razy ci powiedziałam, że tak. Siedzieliśmy w taksówce wiozącej nas na premierę. Gdy

wróciliśmy do mieszkania, ledwie starczyło mi czasu, żeby wziąć prysznic, ubrać się i wysuszyć włosy. Stres, który przez cały dzień od siebie odsuwałam, dopadł mnie teraz ze zdwojoną siłą. Wysunęłam dłoń z dłoni Jacka i oparłam podbródek o brzeg drzwi, wpatrując się w jadące auta.

- Jeszcze raz przepraszam za tę przewrotkę.

- Daj spokój.

- Denerwujesz się? -Tak.

- Będzie dobrze.

- Może chciałbyś za mnie czytać?

- Chyba nikt nie miałby ochoty słuchać, jak czytam twoją książkę, Anne.

- Pewnie nie.

- Po prostu wyobraź sobie, że wszyscy siedzą tam na golasa.

Koło taksówki wpadło w dziurę. Mój podbródek uderzył o krawędź drzwi. Roztarłam go, martwiąc się, czy nie zostanie ślad.

- Myślisz, że to zadziała?

- Bo ja wiem...?

Taksówka zatrzymała się przed księgarnią. W oknie wisiał plakat z moim zdjęciem i wielką okładką mojej książki. *Dom* autorstwa Anne Blythe. Rany, jak to możliwe?

W środku, przy ladzie, stała kobieta po dwudziestce z imieniem „Shelley” wypisanym na piersi. Wyglądała na zdenerwowaną. Byłam spóźniona dziesięć minut. Przeprosiłam, a ona szybko wyjaśniła mi, gdzie mam stanąć do czytania, gdzie siedzieć przy podpisywaniu i gdzie się ustawić podczas toastu i poczęstunku. Poprowadziła nas

na górę po krętych drewnianych schodach. Nie mogłam oderwać oczu od tych wszystkich książek na półkach ani uwierzyć, że niedługo między nimi znajdzie się moja. Dziwne uczucie.

W dużej sali ustawiono stoły i składane krzesła, mównicę i spory stos egzemplarzy mojej powieści. Stałam obok pulpitu i czekałam tam cała w nerwach. Cathy i Gil siedzieli w przednim rzędzie, a Jack zajął miejsce obok nich. Rodzice usiedli w kolejnym. Tata pochylił się do przodu i zaczął coś mówić do Jacka.

Biedny Jack! Pewnie będzie musiał się wypowiadać z badań dentystycznych. Wystraszyłam się, gdy ktoś przytulił mnie od tyłu.

- Siemka, A.B.! - Odwróciłam się i zobaczyłam radosny uśmiech Williama.

- Dzięki, że wpadłeś - powiedziałam.

- Żartujesz sobie? Niby co innego miałbym teraz robić? - Pić?

- W sumie racja. Ale drinki mogą poczekać. Chyba je dostaniemy, co?

- No jasne.

Usiadł razem z grupką ludzi z pracy. Przyszło więcej osób, niż się spodziewałam - pofatygowwała się nawet Mo-dowa Faszystka. Redaktor i wydawca mojej książki siedzieli z tyłu, obok Janey i Nan. Susan się wymówiła. Pomachałam im, a one odmachały, podekscytowane. Starłam się nie rozglądać za Sarah, której obecności najbardziej teraz pragnęłam.

Shelley dała znak, że czas zaczynać. Wzięłam głęboki wdech, weszłam na podwyższenie i rozejrzałam się po tłumie. Gdy tak przesuwalam wzrokiem po kolejnych osobach, sama czułam się naga.

Odchrząknęłam.

- Dobry wieczór wszystkim. Bardzo dziękuję za przybycie. Nawet nie wiecie, ile to dla mnie znaczy. Zanim przeczytam fragmenty mojej książki i zanim wszyscy kupią po dwa egzemplarze, chciałabym coś powiedzieć.

Przerwałam, żeby odchrząknąć - z nerwów zaschło mi w gardle. Kątem oka zobaczyłam, jak Sarah i Mike zajmują miejsca obok Williama. Sarah uśmiechnęła się do mnie niepewnie.

- Po pierwsze: pisanie książki kojarzy mi się z tym, czym zapewne jest ciąża. Ma się jakieś wyobrażenie tego, jak to powinno wyglądać, słyszy się od innych, jak to jest, ale tak naprawdę nie ma się o niczym pojęcia. W dodatku wszyscy zadają mnóstwo pytań. Jaki będzie tytuł? Czy jest duża? Kiedy się ukáže? Po jakimś czasie ludzie przestają pytać o cokolwiek innego i zaczyna się żałować, że się o tym komukolwiek powiedziało. Twór zaczyna się rozrastać i pojawia się marzenie o tym, żeby to się wreszcie skończyło. Chce się zobaczyć, jaki będzie efekt. A potem się go widzi i nie sposób powiedzieć, czy jest piękny, potworny, czy może coś pomiędzy. Mniej więcej dotąd sięga ta analogia, ale tak czy owak pokazuje się go przyjaciołom, a oni się zachwycają. Chociaż wiadomo, że mówią to z grzeczności, to ich słowa pozwalają nabrać odwagi, by wyjść z tym do innych ludzi. Zaryzykować. Czasami to ryzyko popłaca, tak jak w moim przypadku. Chciałabym zatem podziękować przyjaciołom, którzy pomogli mi dotrzeć do narodzin tej książki, zwłaszcza Sarah, która przeczytała ją więcej razy niż ja. - Nagle znów zawładnęły mną nerwy. - No dobrze, po drugie: wiem, że pewnie powinnam to powiedzieć każdemu z osobna, ale raz kozie śmierć. Tych, którzy jeszcze nie wiedzą, informuję, że wyszłam za mąż. Przedstawiam mojego męża Jacka.

Jack wstał przy odgłosie kilku zdziwionych westchnień i wielu ciekawskich spojrzeń, po czym się uklonił. Parę osób się zaśmiało, parę zaklaskało. - Cóż, to tyle o mnie. Czas na rozdział pierwszy *Domu*. „Wiem, że jesteś kimś takim. Wiem to na pewno. Złamał ci serce, a ty nie możesz o nim zapomnieć, chociaż bardzo się starasz. Ciągłe o nim myślisz. Myślisz o przypadkowym spotkaniu z nim. O tym, jak będziesz wyglądać, kiedy to się stanie. Chcesz, żeby znów cię pragnął. Nieważne, ile szczęścia daje ci ten, z którym jesteś teraz, ciągle się zastanawiasz, co by było, gdyby wybrał cię ten, który tego nie zrobił. Co by przyniosła ta drobna zmiana? W moim przypadku tym mężczyzną był Ben. Po zerwaniu przez jakiś czas utrzymywaliśmy kontakt, a potem przestał się odzywać albo to ja przestałam, więc nie wiem już o nim wielu ważnych rzeczy. Nie wiem, gdzie mieszka, kogo kocha, czym się na co dzień zajmuje. Ale zawsze byłam przekonana, że znam mężczyznę, który kryje się za fasadą nieznannej codzienności. Głupie, ale tak właśnie jest. Tak było i ciągle jest”.

- Przekąskę?

- Poproszę. Dziękuję bardzo. - Wetknęłam sobie koreczek z krewetką do ust. Ostry azjatycki sos zaczął palić mnie w język. Wzięłam duży łyk białego wina, chcąc złagodzić pieczenie w ustach.

- Cześć - powiedziała Sarah. W jednej z tych jej niebieskich sądowych garsonek, z włosami spiętymi z tyłu głowy wyglądała poważnie i smutno.

- Cześć, Sarah.

- Całkiem dobrze wyszło.

- Co? Książka?

-Książka, mowa. Wszystko. - Machnęła swobodnie dłonią.

- Dzięki.

- Jak się miewasz?

- Dobrze.

- Nie oddzwaniałaś.

- Wiem.

- Nie chcesz mi darować, co?

- Raczej nie.

Kiwnęła głową z rezygnacją.

- Nie miałam zamiaru dziś przychodzić.

- To czemu przyszłaś?

- Jack mnie przekonał. -Jack?

- Tak. Zadzwoił do mnie i powiedział, że powinnam przyjść. Że na pewno chciałabyś, żebym przyszła.

- Nie wiedziałam o tym. Złapała oddech.

- Chyba nie zna cię aż tak dobrze, co?

Czekała, aż coś powiem. Milczałam, więc odwróciła się, żeby odejść.

Widok jej oklapłych ramion wystarczył, żeby stopić reszkę lodu w moim sercu.

- Sarah, zaczekaj. Naprawdę się cieszę, że przyszłaś. Mówię poważnie.

Położyłam jej dłoń na ramieniu, a ona się odwróciła z wyrazem ulgi na twarzy. Objęłyśmy się i przycisnęłam ją mocno do siebie.

- Może po moim powrocie wybrałybyśmy się razem na obiad? - spytałam.

Otarła łzę w kąciuku oka.

- Bardzo chętnie.

- Może mogłabyś dać Jackowi szansę?
- Dostanie co najmniej dziesięć.
- Dobijmy do dwunastu i umowa stoi.

Tego wieczoru, dużo później, po obiedzie z Sarah, Mikiem, Williamem, Janey, Nan, Gilem i Cathy oraz morzem wina, usiłowałam wetknąć klucz do zamka naszego mieszkania. Przy trzeciej próbie Jack mi go odebrał.

- Daj, ja to zrobię. - W skupieniu, powoli wsunął klucz do zamka. Otworzył drzwi, wyprostował się i uśmiechnął mgliście.

- Widzisz? To było proste. Na pewno jesteś pijana. Objęłam go za szyję.

- Czemu tak mnie kręci, że to robisz?
- Co takiego?
- Wkładasz klucz do zamka. Otwierasz mi drzwi.
- Co jeszcze cię kręci?
- Niech pomyślę. Wszystko, co męskie? Pochylił się i wziął mnie na rękę.

- To też?

- Zdecydowanie.

Przeniósł mnie przez próg i zaniósł do salonu, po czym delikatnie ułożył na kanapie. Wziął moje stopy na swoje kolana, zdjął mi szpilki i zaczął masować.

-A to?

- O, tak.

Przyjemnie było czuć jego palce na moich stopach, kostkach i łydkach. Potem jego dłonie zaczęły stopniowo wędrować w górę, co jeszcze bardziej przypadło mi do gustu. Jack przesunął się na kanapie, moje nogi były przerzucone przez jego kolana. Zaczął całować wgłębienie w mojej szyi.

- Nieżle dziś wypadłaś - powiedział między pocałunkami.
- Mhmmm. Ale uważaj, ja ci zaraz pokażę. Poczułam na skórze jego uśmiech.

- Ciekawy dobór słów. Odepchnęłam go.
- Zadzwoń do Sarah. Poproś ją, żeby dziś przyszła.
- Owszem.
- Dlaczego?
- Bo ktoś musiał to zrobić. - Rozpiął mi sweter i pochylił się nade mną.

- Jestem na ciebie zła.
- Nieprawda.
- Ale mogłabym być.
- Ciii - szepnął mi do ucha. I uciszyłam się.

Moja głowa spoczywała na piersi Jacka. Oddychał głęboko. Światło księżyca rzucało bladą poświatę na drewnianą podłogę. Słysząc było pomruk miasta.

- Śpisz? - spytałam.
- Raczej tak.
- Dzięki, że zadzwoniłaś do Sarah.
- Nie ma sprawy.
- Nastawiłaś budzik? Pocałował mnie w czubek głowy.
- Na pewno cię obudzę, nie bój się.
- Dzięki za dzisiejszy dzień, Jack.
- Zawsze do usług.

Dałam się ukołysać do snu jego falującej klatce piersiowej. A potem, kiedy już prawie odpływałam, usłyszałam własny głos:

- Kocham cię.

Poczułam, jak jego ramiona się napinają, i usłyszałam przyspieszone bicie jego serca. A może to było moje serce. Te słowa uderzyły we mnie jak lodowaty nurt rzeki tego popołudnia. Z trudem łapałam dech.

Czemu to powiedziałam? Co pomyślał Jack? Dlaczego nie odpowiedział?

Jego milczenie mówiło: nie tak się umawialiśmy.

Miłości wcale nie było w umowie.

ROZDZIAŁ 20

TERAZ TO MA SENS

Następnego dnia Jack odwiózł mnie na lotnisko. Rozmawialiśmy o banałach: o mojej trasie, o tym, ile razy w każdym mieście będę podpisywać książki, co będziemy robić w weekend po moim powrocie. Jack obiecał, że popodlewa kwiatki i wymyśli coś szalonego, ale nie za bardzo. Był chyba podekscytowany. Trajkotał, gdy ja obgryzałam paznokcie ze wzrokiem wbitym w okno i powstrzymywałam się przed spytaniem go o to, co powiedziałałam poprzedniej nocy.

- To co, pewnie będziesz pisał? - powiedziałałam rozkojarzona.

- Tak, mówiłem ci już. Mam teraz wenę.

- A tak, przepraszam. Chyba nie słuchałam.

- Wszystko gra? Wyprostowałam się.

- Jasne, tylko trochę się stresuję.

- Boisz się?

- Odrobinę.

-Zrób to, co wczoraj wieczorem, a wszystko będzie dobrze.

Serce mi zamarło, ale on oczywiście miał na myśli promocję książki, a nie to, co się stało w łóżku. Nie to, że powiedziałam mu, że go kocham. To było potwornie głupie.

Zatrzymał jeepa przed znakiem linii lotniczych, którymi miałam lecieć. Wysiedliśmy, Jack wyciągnął z bagażnika moją walizkę i postawił ją na betonie. Sprawdziłam, czy mam w torebce bilet, portfel i komórkę. Wszystko było na swoim miejscu.

- Boisz się latać? - spytał Jack. - Nie.

- Zachowujesz się dość dziwnie. Unikałam jego wzroku.

- Jestem po prostu zmęczona.

Położył mi ręce na ramionach i czekał, aż na niego spojrzę. Nie spojrzałam, więc ujął mój podbródek i podniósł go tak, że nie miałam wyboru.

- Co się dzieje?

Przez ściśnięte gardło wydusiłam: - Nic.

- Chodzi o to... co powiedziałaś wczoraj w nocy?

A więc mnie słyszał. Łudziłam się, że nie. Że napięcie jego ciała było tylko złudzeniem wywołanym przez milczenie.

- A, to - rzuciłam, próbując się roześmiać. Zabrzmiało to bardziej, jakbym się krztusiła. Odchrząknęłam. - Za dużo wypiałam, wiesz, ciężko się odzwyczaić... To nic nie znaczyło.

- Anne...

- Zapomnij, że to powiedziałam. - Pocałowałam go mocno w usta, żeby ukryć, co czuję. Gdybym tylko wiedziała, co naprawdę czuję...

Oderwał usta od moich.

- Możesz mnie przez chwilę posłuchać...?

- Spóźnię się na samolot.
 - Proszę, Anne...
 - Teraz nie mogę, dobrze? Pogadamy, jak wrócę.
- Uśmiechnęłam się, żeby pokazać, że będzie dobrze. Wiedziałam, jak się waha.
- No dobrze.
 - Zadzwoń wieczorem.
 - Dobra. Powodzenia.
 - Dzięki.

Chwyciłam za plastikową wyciąganą rączkę przy mojej walizce. Usłyszałam jej kliknięcie. Przeciągnęłam za sobą walizkę do szklanych drzwi, stukając nią po betonie.

Gdy się odwróciłam, Jacka już nie było.

Kolejne trzy dni spędziłam, mówiąc, uśmiechając się, rozdając autografy i czytając dziesiątki razy pierwszy rozdział mojej książki, aż w końcu nauczyłam się go prawie na pamięć. Mój stan umysłu się nie polepszał, gdy czytałam o sprawach związanych z przeżywaniem pierwszej miłości. O chwilach, gdy czujesz zapach swetra należącego do chłopaka. Gdy dostrzegasz przebłyski tego, jak będzie wyglądał, gdy stanie się mężczyzną. Te przebłyski są tak krótkie, że wydają się nieprawdziwe. Ale coś się między wami zmienia. Zaczyna was łączyć więź, o której oboje wiecie.

Oboje czujecie, jak ta nić się napina.

- Jak ci dzisiaj poszło? - spytał Jack podczas naszej czwartej nocnej rozmowy telefonicznej.

Leżałam na łóżku w pokoju hotelowym z telefonem wetkniętym pod ucho.

- Dzień dobry, nazywam się Anne Blythe. Słucham? Tak, zgadza się. Anne Blythe. Owszem, tak jak w książkach o Ani. Nie, przyszedłam przeczytać fragment swojej książki. Tak,

mama jest wielbicieleką tej serii. Pani też? Tak, to całkiem zabawne, że mam rude włosy i zielone oczy. Moja mama ma magiczne moce. Nie, mój mąż nie ma na imię Gilbert. Mój brat ma tak na imię. Tak, moja mama jest naprawdę dziwna. No dobrze, to zaczynamy. Rozdział pierwszy.

- Czyli kolejny świetny dzień, tak?

- Sama tego chciałam.

- Tego i jeszcze więcej.

- Gadam jak rozpieszczony bachor.

- Po prostu jesteś zmęczona.

- To prawda.

- Może się położysz?

- Mam taki zamiar. Ale najpierw muszę coś zjeść. Umieram z głodu.

- W takim razie nie będę cię zatrzymywał. - W jego głosie zabrzmiało rozczarowanie.

- Przepraszam, naprawdę jestem głodna. -Rozumiem. Pogadamy jutro. Zobaczymy się za dwa dni.

- Jasne. Dobranoc, Jack.

- Dobranoc, Anne. Śpij dobrze.

Odłożyłam słuchawkę, wzięłam klucz od pokoju i zeszłam do hotelowego baru, żeby rozluźnić się po całym dniu. To był jeden z tych barów z angielskimi pejzażkami, mahoniowym kontuarem i ciemnozielonymi ścianami. W kominku trzaskał ogień. Zapach płonącego drewna prawie maskował woń rozlewanych przez lata piwa i whisky. W sałi nie było nikogo oprócz barmanki w białej koszuli i czarnym fartuchu. Wycierała ze znużeniem blat, słuchając radia. To chyba była stacja z aktualnymi hitami. Zdecydowałam się usiąść przy barze, a nie przy jednym z rozrzuconych wokół stolików. W przeciwieństwie do miejsc przy barze wiało od nich samotnością.

Zamówiłam kufel piwa Harp i kanapkę z wołowiną, po czym otworzyłam gazetę, którą wzięłam ze sobą dla zabicia czasu.

- Mogę się przysiąść? - spytał mężczyzna z brytyjskim akcentem.

- Jeśli masz ochotę - odparłam, zerkając na niego kątem oka. Miał krótkie czarne włosy i przeciętny profil.

Odwrócił się do mnie.

- Dziękuję. Jesz coś czy tylko pijesz?

Spojrzałam w jego błękitne oczy. Może z profilu wyglądał zwyczajnie, ale *en face* to był typ faceta, który do mnie pasuje.

- Czekam na kanapkę.

Uśmiechnął się. Miał piękne równe zęby.

- Brzmi całkiem nieźle.

Kiwnął na barmankę, po czym zamówił guinnessa i kanapkę z rostbefem. Gdy składał zamówienie, obejrzałam go sobie dokładnie. Miał na sobie dobrze skrojony czarny garnitur i wykrochmaloną bladoniebieską koszulę. Granatowy krawat był poluzowany pod szyją, a dwa pierwsze guziki koszuli - rozpięte, co pozwalało dojrzeć odpowiednią ilość czarnych włosów na klatce. Odwrócił się znów do mnie.

- Cóż sprowadza...

- Taką fajną dziewczynę w to miejsce? - Roześmiałam się. - Stać cię na więcej!

- Może tak się wydaje, ale jest zupełnie inaczej. - Roześmiał się ze mną niskim, zaraźliwym śmiechem.

Psiakrew.

- Jestem na *tournee* promującym moją książkę. Podniósł brwi.

- Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem.

- A co, myślałeś, że jestem damą lekkich obyczajów? Damą w starych luźnych dżinsach i prostym sweterku w serek.

Potrząsnął głową.

- Mam na imię Perry. - Ja jestem Anne.

Barmanka przyniosła nam kanapki. Gdy jedliśmy, Perry opowiedział mi o swojej podróży biznesowej (negocjacje z klientem) i firmie (badania rynkowe). Ja opowiedziałam mu o książce (temat wyraźnie mu nie leżał, ale uprzejmie słuchał) i trasie promocyjnej (tu się bardziej zainteresował). Spędziliśmy razem niezobowiązującą godzinę. Gdzieś między kęsami ogórka kiszzonego i wołowiny a kolejnymi dwoma piwami uznałam, że jest najbardziej podobny do Johna, ale nie umiałam stwierdzić, czy to dobrze, czy źle. Wiedziałam tylko, że pierwszy raz w tym tygodniu moje rozbiegane myśli się uspokoiły.

- To jak? - spytał, gdy wysączyłam ostatnie krople z trzeciego kufła. Nasze stołki stały tak blisko, że ocieraliśmy się udami. Stykaliśmy się tak już od paru minut, kiedy oboje w tym samym momencie przysunęliśmy się do siebie. - Jeszcze po jednym?

- Powinnam już iść spać. Jutro muszę rozdać kolejną porcję autografów. - Wstałam. Czułam, że mam nogi jak z waty.

- Tylko się nie przewróć. - Położył mi ręce na ramionach. Przez sweter czułam ciepło jego dłoni i rozumiałam, co mówiło jego spojrzenie. Być może on widział w moich oczach to samo. Wszystko nagle zwolniło, moje zmysły się wyostrzyły. Czułam zapach zwiędzłego piwa i kurzu. W radiu śpiewała Christina Aguilera.

Potem ogarnęło mnie nagle *déjà vu*. Impreza z okazji podpisania umowy z wydawcą. Wtedy wszystko - nawet moja skóra - pragnęło Aarona. Spojrzałam na lewą rękę Perry ego, żeby sprawdzić, czy na serdecznym palcu ma obrączkę. Nie miał jej, ale ja oczywiście miałam swoją.

- Mogę cię odprowadzić do pokoju?

- Pewnie.

Co ja, do cholery, robię?

- Idziemy?

Odwróciłam się do wyjścia, ale po dwóch krokach poczułam, że kręci mi się w głowie.

- Pójdę do łazienki przemyć twarz. Zaraz wracam.

- Zaczekam. - Usiadł z powrotem na stołku. Po jego idealnej twarzy przemknął uśmiech.

Ruszyłam w kierunku toalet w głębi baru i popchnęłam drzwi. W środku przez maleńki głośnik płynęła cicha muzyka z radia, wprawiając kafelki w delikatne drżenie. Odkręciłam kran, żeby umyć ręce, gdy Christina ciągnęła ostatnią nutę, która przeszła w łagodne dźwięki gitary. Piosenka o odlatujących ptakach.

Od razu ją rozpoznałam. To do tej piosenki tańczyłam z Jackiem w dniu naszego ślubu. To tę piosenkę mi śpiewał.

Patrzyłam na swoje odbicie w lustrze i pozwalałam się obmywać słowom piosenki. Moja twarz wydawała mi się dziwna, jak słowo, które powtarza się wiele razy i w końcu traci się pewność, czy ono naprawdę istnieje.

Boże, Boże, co się ze mną działo? Czy naprawdę nie potrafiłam się oprzeć idiotycznej, dziecinnej słabości do pewnego typu facetów? Powiedziałam sobie, że nie jestem taka. Nie zdradzam. Nie podrywam facetów w barach. Ale z drugiej strony nie wychodzę też za obcych mężczyzn. Niech to szlag! Czego ja chcę od życia? Czego chcę od Jacka? Od małżeństwa? Od tej nocy?

Uświadomiłam sobie, że płaczę, i otarłam łzy. Świeżo umyte dłonie pachniały mydłem, co przywiodło mi na myśl Jacka. Moje dłonie pachniały tak jak on. Przypominały jego zapach, przypominały mi o nim.

Spojrzałam ponownie na swoje odbicie w lustrze, stawiając czoła prawdzie. Wiedziałam już, jaką myśl usiło-

wałam zignorować, odepchnąć od siebie. Czego się bałam. O czym starałam się zapomnieć przy Perrym, wcielając się w osobę, którą dawniej byłam. Kochałam Jacka.

Ukradkiem minęłam Perryego, który pod moją nieobecność flirtował z barmanką (plan awaryjny?), i wróciłam do pokoju, żeby się nad sobą poważnie zastanowić.

Po godzinie wciąż tkwiłam w tym samym miejscu: przy tym, że kocham Jacka i że cholernie mnie to przeraża.

Zakochanie było łatwiej zrozumieć. To mi się zdarzało. Zbyt wiele razy. W dodatku Jack pasował do mnie jak jeszcze nikt dotąd. Ale skąd się brał ten lęk? Bałam się, że Jack mnie nie kocha? Nie. Miałam cichą pewność, że kocha. Chociaż wtedy milczał, wiedziałam, że zbyt podobnie myślimy, by czuć inaczej. Pewnie na lotnisku chciał mi powiedzieć, że też mnie kocha, ale ja spanikowałam i nie pozwoliłam mu na to. Od tamtego czasu, gdy rozmawialiśmy, stale trzymałam go na dystans.

Więc o co chodziło? Dlaczego byłam taka przerażona?

Boże, chciałabym pogadać z Sarah. Ale co miałabym jej powiedzieć? Właśnie zrozumiałam, że kocham swojego męża, i potwornie mnie to przeraża? Nie minęłoby pięć minut, a odkryłaby całą prawdę o Blythe & Company. Musiałam to wprawdzie z kimś przegadać, ale nie miałam ochoty odkrywać przed nią, jak się poznaliśmy.

Skoro już mowa o Blythe & Company, to w cenie dziesięciu tysięcy dolarów powinny zostać uwzględnione telefoniczne sesje z doktorem Szwickiem w nagłych wypadkach.

Co powiedziałyby doktor Szwick, gdybym mogła do niego zadzwonić? Nie pozwoliłyby mi się wywinąć odpowiedzią,

że nie wiem, dlaczego się boję. Chyba sama mogłam sobie odpowiedzieć na to pytanie... Chyba już dość dobrze znałam swój umysł...

Oczywiście wiedziałam. Wiedziałam, dlaczego się boję miłości. Bo z zakochaniem zawsze wszystko zaczynało się psuć. To wtedy rzeczywistość przestawała być bajkowa. Po szczęśliwym zakończeniu następowało... rozczarowanie. A ja nie zniósłabym kolejnego rozczarowania. Zrobiłam coś szalonego, wyszłam za obcego człowieka, więc powinnam go uniknąć i liczyć na szczęśliwe zakończenie.

Ocal siebie, Anne. Jeszcze jeden raz.

Rano zadzwoniłam do linii lotniczych, żeby przebukować bilet. Chciałam wrócić zaraz po ostatnim spotkaniu z czytelnikami. Uznałam, że nie będę mówić Jackowi o wcześniejszym powrocie. Chciałam mu zrobić niespodziankę. I powiedzieć, że nie odwołuję tego, co wtedy wyznałam. Powiedzieć, że go kocham i mam nadzieję, że on czuje to samo.

Po godzinach niepokoju i radości otworzyłam drzwi naszego mieszkania i zaczęłam go wołać.

-Jack?

Żołądek ścisnął mi się z nerwów i oczekiwania, ale nie usłyszałam odpowiedzi. Starłam się powstrzymać rozczarowanie, gdy weszłam do pustego salonu. Jack ustawił na środku koziół do piłowania drewna, ale ledwie posunął się do przodu w pracy nad półkami. Uśmiechnęłam się, patrząc na cały ten bałagan. W tamtej chwili kochałam nawet jego bałaganiarstwo.

Wciągnęłam walizkę do sypialni i moim oczom ukazał się jeszcze większy bałagan. Łóżko było niepościelone. Na podłodze wałały się ubrania. W radiu wył Neil Young.

Wyłączyłam je, rozglądając się za czymś, co wskazywałoby, kiedy Jack wróci. Oczywiście niczego nie znalazłam, bo nie wiedział, że dziś przylatuję. Przez chwilę się zastanawiałam, czy do niego nie zadzwonić, ale zobaczyłam, że na szafce nocnej leży jego komórka. Psiakrew. Nawet nie mogłam wysłać mu wiadomości, że już jestem.

Sfrustrowana wróciłam do salonu i usiadłam przy biurku, które ustawił w kącie do pisania. Leżał tam jego otwarty kalendarz. Był umówiony na drinka ze swoim wydawcą Tedem na wpół do szóstej.

Spojrzałam na zegarek. Była szósta. Więc pewnie nie wróci zbyt szybko. Może powinnam pójść do niego do baru? Nie, to szaleństwo. Spokojnie, Anne, spokojnie...

Usiadłam na kanapie, włączyłam telewizor i zaczęłam przerzucać kanały. Nie mogłam się skupić na żadnym dłużej niż dziesięć sekund. Po paru minutach uświadomiłam sobie, że siedzę na czymś dużym i niewygodnym. Sięgnęłam tam ręką i znalazłam plik kartek spiętych spinaczem. To był szkic pracy Jacka, coś, czego nigdy nie pozwalał mi czytać.

Tytuł sprawił, że zakręciło mi się w głowie. Ręce mi za - drżały, gdy zaczęłam czytać.

Małżeństwo takie jak moje Prolog

Jakieś pół roku temu wpadłem do biura mojego wydawcy, żeby usłyszeć nieuniknione: „Jack, mój chłopcze, to jaki jest twój kolejny pomysł?”. Tylko po to w ogóle wzywał mnie na spotkania.

Ted jest świetnym facetem, ale przez te wszystkie lata, które razem przepracowaliśmy, przybrał rolę rodzica zatroskanego o moją karierę, brak motywacji i dziewczyny zmieniane co sześć miesięcy, przechodzące przez moje życie jak przez obrotowe drzwi. Ma też niesamowitą zdolność

dzwonienia do mnie dokładnie wtedy, kiedy potrzebuję kopniaka. Końcowe poprawki do mojej książki zostały zaakceptowane dwa tygodnie po tym, jak ostatnią sześciomiesięczną kadencję zakończyła Jessica, żądając oddania jej klucza i pisząc: „Nie dzwoń do mnie więcej”. Wiedziałem, że moment, w którym Ted zacznie znów mówić o przyszłości, zbliża się nieubłagane.

- Panie Jackson, proszę się stawić w moim biurze jutro punkt druga.

- Tak jest, panie Ted.

- Odpuść sobie, Jackass. Masz tu jutro być. - Rozłączył się, żeby zadzwonić do kolejnego trudnego dziecka.

Hoduje nas około dwudziestu. Samych facetów. Wszystkich ze średnimi sukcesami. Wszystkich pragnących jego chłodnej miłości, bez której - jak sam twierdzi - nigdy nie udałoby nam się ruszyć tyłków i stworzyć czegoś, co da się sprzedać. „I gdzie byście wtedy skończyli?”, pyta czasem.

- To jak, Jack, masz jakiś plan? - spytał Ted, gdy siedziałem przed nim.

- Cóż, rozważałem wyjazd na taki obóz przetrwania, gdzie zostawiają cię w środku lasu na dwa tygodnie bez niczego.

- Jezu, Jack. Szukałeś inspiracji w prasie kobiecej? - O co ci chodzi? - spytałem, starając się hamować.

- Gwyneth Paltrow zrobiła coś takiego dla „Voguea”.

Ted cierpi na bezsenność, więc czyta i zapamiętuje niemal wszystko pod słońcem. Jest też swoistym kompendium wiedzy: gwiazdy, prawie-gwiazdy, ludzie, którzy mogliby być gwiazdami i zwykli zjadacze chleba - Ted zapewne o nich wszystkich coś wie.

- A może pojedę na McKinley. Ludzie tam umierają.

- Myślałem, że ta góra nazywa się teraz Denali.

- No i co?

- *A może od razu Everest, niedoszły sobowtórze Krakauera? - Dobrze wiedział, że gra mi na nerwach, i bardzo mu się to podobało. Spojrzałem na niego, siedzącego z zadowoleniem z nogami na blacie biurka. Głowę odchylił na oparcie krzesła. Zrozumiałem, że umknęło mi coś oczywistego.*

- *Może ty mi powiesz, jaki będzie mój kolejny projekt?*

- *W końcu na to wpadłeś!*

- *Na to wygląda.*

Zdjął nogi z biurka i pochylił się do przodu, patrząc na mnie z ekscytacją. Spytał, czy słyszałem kiedyś o firmie Blythe & Company. Gdy powiedziałem, że nie, poprosił, żebym zamknął drzwi. Miał pomysł na książkę, która kompletnie rozpieprzy mi mózg. Musiałem tylko zrobić jeden drobiazg.

- *Co takiego? - spytałem z trwogą. Po dramatycznej pauzie odparł:*

- *Ożenić się.*

ROZDZIAŁ 21

NIEDOKOŃCZONY PROJEKT

Przeczytałam książkę Jacka niemal do samego końca, ledwie się poruszając, ledwie oddychając, ledwie myśląc.

Było w niej tyle szokujących rzeczy, że trudno zdecydować, od czego zacząć.

Ale oto najważniejsze:

Ujawnił mnóstwo szczegółów na temat działalności Blythe& Company, których nie znalazłam w swoich pobieżnych internetowych poszukiwaniach. Szczegółów, które pokazały mi, że albo jestem beznadziejną dziennikarką, albo głupią dziewczynką pragnącą bajkowego życia. A może jednym i drugim. Ale teraz, dzięki Jackowi, dowiedziałam się wszystkiego o starzejącej się parze guru, która za tym wszystkim stała, o ich ogromnym domu i kontaktach w szwajcarskich bankach. Niezależnie od tego, czy Blythe& Company działa skutecznie i czy jest prawdziwą firmą, ktoś zarabia na niej mnóstwo pieniędzy.

Jackowi udało się też dotrzeć do paru byłych klientów Blythe & Company. Niektórzy szaleli z radości i mówili o firmie tak, jak kiedyś wiele osób mówiło o Świątyni Ludu. Inni

skończyli gorzej. Rozwiedli się i zgorzkniali. Opowiadali o „procesie” tak, jak dzieci opowiadają o szkole: wszystko było przypadkowe, nie było żadnych określonych metod. Nie umiałam stwierdzić, czy ich związki się rozpadły, bo rzeczywiście to wszystko było przypadkowe, czy po prostu nie dali sobie szansy. Czy należeli do tych pięciu procent? Czy w ogóle było jakieś pięć procent?

A potem pisał o mnie. O tym, jak mnie po raz pierwszy zobaczył. Zmienił mi nazwisko - nazwał mnie Dianą Barry (rany, Jack, nie mogłeś wymyślić jakiegoś nazwiska, zamiast wykorzystywać inne z tej samej książki, z której pochodzi moje?) - ale dało się poznać, że chodzi o mnie.

Zanim się poznaliśmy, Jack dowiedział się o mnie mnóstwa rzeczy. Gdy dostał kartkę od panny Cooper, znalazł kogoś, komu zlecił włamanie się do ich systemu, i poznał moje prawdziwe nazwisko. Potem przegooglował mnie na wylot i przeczytał wszystko, co znalazł.

To nie w Meksyku zobaczył mnie po raz pierwszy. Przez jeden dzień mnie śledził. Patrzył, jak kupuję ubrania na wyjazd. Zastanawiał się, czego kobieta taka jak ja (ładna, odnosząca sukcesy, wykształcona) może oczekiwać od takiego biura. Czy to moja wina, że wszystkie związki mi się rozpadały, czy po prostu miałam pecha?

Miał tę potworną zdolność, którą mają najlepsi dziennikarze: zapamiętywał rozmowy co do słowa albo niemal co do słowa, bez notatek. Za każdym razem gdy cytował mnie w książce, to było coś, co powiedziałam, albo brzmiało, jakbym mogła to powiedzieć, chociaż tego nie pamiętałam. Dokładność Jacka nie sprawiała, że czytanie tego na piśmie, przygotowanego do druku, było znośniejsze.

Gdy czytałam o naszej pierwszej wspólnej nocy, prawie się zapowietrzyłam. Ten rozdział był najbardziej powściągliwy. Ale i tak zrobiło mi się niedobrze, gdy

widziałam na papierze opis chwil, które dla mnie były tak intymne.

Dziesięć stron przed końcem rzuciłam tekst na podłogę i pobiegłam do łazienki. Zwymiotowałam wszystko, co zostało po zjedzonym dawno lunchu. Gdy skończyłam, usiadłam na zimnych kafelkach i oparłam głowę o ścianę. Fakt, że wymiotowałam, doprowadził mnie do szału. Nie znosiłam tego. Nie znosiłam ostrego metalicznego posmaku w ustach, braku kontroli i...

Nie znosiłam Jacka. Nienawidziłam go.

Zaczęłam płakać.

Od siedzenia na zimnej, twardej podłodze zaczął mnie boleć tyłek. Serce też mnie bolało, potwornie, więc płakałam do chwili, gdy nie została mi już ani jedna łza.

Pieprzyć to. Co ja mam zrobić? Co powiedzieć Jackowi? Jak mogłabym z nim rozmawiać, patrzeć na niego, przebywać z nim w jednym pomieszczeniu choćby przez chwilę? Chyba nie byłabym w stanie tego znieść. Chwila to za długo. Musiałam stamtąd wyjść przed jego powrotem. Zostawić mu liścik, kazać mu się wynosić i napisać, że nie chcę go więcej widzieć.

Nie kontaktuj się ze mną, nie dzwoń. I nie publikuj, do cholery, tej książki, albo Sarah dobierze ci się do tyłka w sądzie i nie zostawi na tobie suchej nitki. Myślisz, że wcześniej ci się nie wiodło? Teraz dopiero zobaczysz. Zabiorę ci wszystko, co stworzysz do końca życia, ty skurwysynu!

Rany, która godzina? Jack pewnie niedługo wróci. Musiałam wstać i zebrać się w sobie.

Wstawaj, Anne, wstawaj.

Usłyszałam szczełęk klucza w zamku.

- Zaczekaj chwilę, Ted. Chyba zostawiłem go na kanapie - powiedział Jack. Słyszałam go wyraźnie, chociaż dzieliło nas parę pokoiów. Nawet jego głos był za blisko mnie.

Usłyszałam pomruk niższego głosu, ale nie rozróżniłam słów. Zebrałam całą swoją siłę woli, wstałam, odkręciłam kran i zmyłam z twarzy rozpacz. Czułam się niepewnie, gdy wycierałam twarz ręcznikiem. Nie chciałam oglądać Jacka, ale bardziej nie chciałam, żeby on zobaczył mnie w takim stanie.

- Anne? Anne, jesteś tu?

- Daj mi chwilę - jęknęłam. - Zaraz wyjdę - powiedziałam trochę głośniejszym, mocniejszym głosem.

- Chciałbym, żebyś poznała Teda! - zawołał Jack z drugiej strony drzwi łazienki.

Żartował sobie, do kurwy nędzy? Chciał, żebym poznała Teda, reżysera całego tego pieprzonego przedstawienia? Na samą myśl o tym tak się wściekłam, że zamieniłam się w wulkan energii.

- Wyjdę za sekundę - powiedziałam tak pewnie, jak mogłam.

Gdy jego kroki się oddaliły, zaczęłam obmyślać plan poradzenia sobie z sytuacją i zachowania (chyba) odrobiny godności. Spojrzałam na siebie w lustrze. Wyglądałam potwornie, ale dało się to naprawić. Uczesałam się, umalowałam rzęsy, wepchnęłam bluzkę w spodnie. Znowu spojrzałam w lustro. Prezentowałam się przyzwoicie. Każdy by pomyślał, że wyglądam normalnie.

Wyprostowałam ramiona i wyszłam z łazienki. Jack stał w salonie z mężczyzną przed sześćdziesiątką. Mężczyzna był mniej więcej tego samego wzrostu co Jack, z dużym piwnym brzuchem, który sterczał poziomo z jego ciała. Miał krótkie szpakowate włosy i nosił jakby za duże okulary. Pod pachą trzymał tekst Jacka.

Podaliśmy mu dłoń z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Nic nie mogłam poradzić na to, że miałam żądzę mordy w oczach.

- Ty pewnie jesteś Ted. Jack opowiadał mi... właściwie niewiele, ale sporo o tobie czytałam.

Ted uścisnął mi dłoń, zbity z tropu. Jack podszedł i pocałował mnie w skroń. Staralam się nie wzdrygnąć, gdy jego usta dotknęły mojej skóry.

- Cześć - powiedział. - Wróciłaś wcześniej. Całe szczęście.

-Tak.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że sporo o mnie czytałaś? - spytał Ted podejrzliwie.

- Książkę Jacka, rzecz jasna. - Wskazałam na plik kartek, który wciąż trzymał pod pachą.

Na ich twarzach malował się szok. Jack ze zdziwienia aż otworzył usta. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego. To było jak w kreskówce. Roześmiałam się.

- Oj, chłopcy, skąd to zaskoczenie? Przeczytałam książkę Jacka i wiem, że to był tylko wielki eksperyment, projekt. -Ogarnęłam gestem pokój, jakby to salon i niedokończone półki Jacka były projektem. - Teraz już wiem. A do tego masz zakończenie swojej książki. Totalnie niespodziewane, bach! - Uderzyłam dłońmi o siebie. Głośno klasnęły. - Nikt tego nie przewidzi.

Jack odzyskał mowę.

- Anne, proszę...

- Jakie „proszę”? Możesz mi to wyjaśnić? Nie fatyguj się. Nie zapominaj, że czytałam książkę. Ted, pewnie zauważyłeś, że mamy z Jackiem parę spraw do omówienia. Wyjdź, proszę.

Odgoniłam go w stronę drzwi. Otworzył je i odwrócił się do mnie, patrząc na mnie smutno.

- Anne, pozwól, że cię przeproszę. Chyba żaden z nas nie zastanawiał się nad tym, co robi.

-Nie rozśmieszaj mnie. Jasne, że się zastanawialiście. Nie pomyśleliście tylko o mnie. Może oddasz mi tę książkę? Nie ma sensu jej czytać, skoro nigdy nie zostanie wydana, prawda?

Podał mi ją jak dzieciak, którego przyłapano na kradzieży cukierka.

Przycisnęłam ją mocno do piersi.

- Żegnaj, Ted.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Kiwnął głową do Jacka i wyszedł. Jack siedział bezwładnie na kanapie. Ręce zwisały mu między kolanami.

- A więc, Jackson. A może wolisz, żebym cię nazywała Jackass?

- Anne, skarbie, proszę...

- Nie waż się tak do mnie mówić. Nawet się, kurwa, nie waż.

Jack wstał i podszedł do mnie. Podniósł otwarte dłonie, jakby oddawał się w ręce policji. Jego twarz przypominała białą flagę.

- Co mam zrobić?

- Jadę do Sarah. Gdy jutro wrócę, ma tu nie być śladu po tobie. Zabranie swoich rzeczy nie powinno ci zająć wiele czasu. Pamiętasz? Sam to powiedziałeś, gdy się wprowadzałeś. Parę godzin powinno ci wystarczyć. Kiedy skończysz, masz zapomnieć, że się w ogóle poznaliśmy.

- Anne, proszę, czy możemy o tym porozmawiać? -Nie.

- Czy możesz przynajmniej wysłuchać moich przeprosin i wyjaśnienia?

-Nie.

Podszedł bliżej i chwycił mnie za ramiona tuż nad łokciami.

-Anne, kocham cię. Wiem, że teraz mi nie wierzysz. Wiem, że być może nigdy nie uwierzysz, ale opisałem to wszystko tak, a nie inaczej, bo musiałem.

Odsunęłam się od niego.

-Pieprzysz, Jack. Nie musiałeś niczego pisać. A już na pewno nie musiałeś pisać o mnie.

- Masz rację, nie musiałem. Ale zacząłem to pisać, zanim cię poznałem, a potem było za późno, żeby to zmienić. Ale chcę to zmienić. To właśnie powiedziałem Tedowi.

- Przestań kłamać, dobra? Byłeś zadowolony z tego, jak ci wyszła ta książka. Codziennie mi to powtarzałeś.

To go uciszyło. Opuścił bezwładnie ręce.

- Tak właśnie myślałam.

-Anne, kocham cię. I wiem, że ty też mnie kochasz. Jakoś sobie z tym poradzimy. - Głos mu drżał.

Ścisnęło mi się gardło. Nie rozplakałam się tylko dlatego, że wszystkie łzy wylałam już wcześniej w łazience.

- Anne, proszę. Nie możemy zacząć od nowa? Czy nie ma niczego, co mógłbym powiedzieć lub zrobić, żeby to wszystko naprawić?

Jakaś mała, głupia cząstka mnie chciała wierzyć, że to możliwe. Ale nie mogłam się poddać. Nie mogłam. Wzięłam głęboki wdech. -Nie.

W jego oczach pojawiło się powątpiewanie.

- Dlaczego nie?

- Bo... Ja cię nie kocham. - Głos mi drżał i brzmiał nieprzekonująco. Spróbowałam jeszcze raz. - Wiem, że tamtej nocy tak powiedziałam, ale byłam pijana i zmęczona. Wcale tak nie myślałam.

-Anne...

-Nie, Jack. To prawda. Byłeś dla mnie tylko przyjacielem. A teraz jesteś przyjacielem, który zrobił mi cholerne

świństwo. Więc już cię nie potrzebuję w swoim życiu. Chcę, żebyś się spakował i wyniósł.

Na jego twarzy malował się smutek, ale zniknęło powątpiewanie. Teraz mi uwierzył.

Zdjęłam z palca pierścioneł i obrączkę. Położyłam je na stole. Uderzyły o siebie, wydając głuchy dźwięk. Pomyślałam, że tak pewnie brzmiałoby moje serce, gdyby nie było roztrzaskane na kawałki.

- Anne, proszę. Wiem, że wszystko spieprzyłem. Wiem, że byłem kompletnym dupkiem. Ale proszę cię... nie odchodź.

I oto padły te słowa. Te, które chciałam usłyszeć pół roku wcześniej od innego mężczyzny. Słowa, które być może by mnie zatrzymały. Ale nie teraz. Nie dzisiaj.

- Żegnaj, Jack - powiedziałam i wyszłam.

Gdy Sarah otworzyła mi drzwi, padłam jej w ramiona i uczepiłam się jej kurczowo, jakby była tratwą, a ja - rozbitkiem.

- Anne, co się stało? Ktoś umarł? Anne?

Nie byłam w stanie wydobyć z siebie słowa. Łapałam tylko powietrze. Zaprowadziła mnie do kanapy i posadziła.

- Anne, boję się o ciebie. Powiedz mi, co się dzieje. Wytarłam rękawem nos i drżąc, złapałam parę oddechów.

Potem zaczęłam wyrzucać z siebie słowa.

-Nigdy... nie uwierzysz... pomyślisz, że... szaleństwo.

- Chodzi o Jacka? Pokłóciliście się? Kłótnia nie sprawia, że jesteś szalona, Anne. To normalne.

Potrząsnęłam głową i wyciągnęłam książkę Jacka z torebki.

- Sarah, nawet się nie domyślasz.

Gdy Sarah czytała, przebrałam się w piżamę, którą mi dała, i skuliłam się na kanapie, żeby obejrzeć powtórkę *Kochanych kłopotów*. Akurat nadawali odcinek o tym, jak Lukę i Lorelai w końcu po raz pierwszy się pocałowali. Uwielbiałam ten serial, a zwłaszcza ten odcinek. Był idealny, romantyczny. To była ostatnia rzecz, którą powinnam w tej chwili oglądać. Ale cóż mogę powiedzieć? Lubię bajki.

Mniej więcej co stronę Sarah, czytając jakieś zdanie, krzyczała: „No nie wierzę, kurwa!” albo „To chyba jakieś żarty!”. Po trzydziestu stronach - to chyba wtedy Jack rozważał, co skłoniło mnie do skorzystania z usług biura - wyjątkowo jadowitym tonem powiedziała: „Pierdol się, dupku”. Jej kolejne okrzyki sprawiały mi przyjemność. Czułam dziwną satysfakcję, będąc częścią tego dramatu, tej szalonej, sensacyjnej opowieści i słuchając, jak reaguje na nią Sarah.

Gdy była w połowie, wrócił Mike i spytał, co się dzieje. Bez słowa podała mu część tekstu, którą już przeczytała. Usiadł na kanapie obok niej i zaczął czytać. Jakieś dwie minuty później wyrwało mu się pierwsze „ja pierdolę”. Sarah uciszyła go i czytała dalej. Czytali przez kolejne dwa odcinki (najwyraźniej trafiłam na maraton *Kochanych kłopotów*), nie szczędząc przy tym komentarzy.

Sarah dotarła do ostatniej strony, czyli dalej niż ja. Nic dziwnego. Zawsze była ode mnie silniejsza. Spojrzała na mnie ze łzami w oczach.

- Anne, jak mogłaś to zrobić? Ciaśniej otuliłam się wełnianą narzutą.

- Nie wiem. Pomyślałam, że to może się udać, wiesz?

- Ale te wszystkie pieniądze. Pieniądze za książkę... -To tylko pieniądze, Sarah. Zrobiłam to dla swojego życia. Chciałam je w końcu mieć.

- Przecież masz życie.

- Ale nie takie, jakiego pragnę.

- Kto powiedział, że zawsze można mieć to, czego się pragnie?

-Ty.

- Oj, Anne... Otarłam łzy pięściami.

- Nie rozczulaj się nade mną. Proszę.

- Ale ty się w nim zakochałaś, prawda?

- Skąd wiesz?

- Wiedziałam to od momentu, kiedy się pokłóciłyśmy. Broniłaś nie tylko swojej decyzji. Broniłaś też jego.

- Czuję się taka żałosna. Myślałam, że będzie nam dobrze. Że jest dobrze. - Potrząsnęłam głową. - O Boże, będę się musiała rozwieść.

- Nie będziesz musiała, Anne.

- Jak to?

Sarah przygryzła wargę.

- Tylko się nie złość.

- O co chodzi?

- Cóż... kontaktowałam się z tym adwokatem rozwodowym, o którym ci wspominałam, no wiesz, w razie gdybyś zmieniła zdanie. Zrobił mi przysługę i zbadał sprawę. No i... w sumie to złożyłam za ciebie papiery o unieważnienie...

- Co takiego? Skuliła się.

-Cholera, wściekłaś się, prawda? Mogę się wytłumaczyć?

- Zamieniam się w słuch.

- To było wtedy, kiedy się tak pokłóciłyśmy. Pomyślałam, że i tak w końcu się zdecydujesz, bo coś między wami nie wyjdzie. Chciałam, żebyś wtedy nie musiała się męczyć i tak długo czekać. Pomyślałam, że się ucieszysz.

-Ale to było parę ładnych miesięcy temu... Czy to znaczy...

- Nie, sprawa jeszcze nie jest zakończona. Musisz podpisać papiery. Jack też.

Ledwie jej słuchałam. Od unieważnienia małżeństwa dzieliły nas tylko dwa podpisy. Czy to polepszało, czy pogarszało sprawę? Sama nie wiedziałam.

Sarah z niepokojem przygryzała kciuk.

- Jesteś zła?

-Powinnam być, ale... Sama już nie wiem. Staram się teraz niczego nie czuć.

- Rozumiem. I przepraszam.

- W porządku. Myślisz, że Jack wyda tę książkę?

- Nie po tym, jak dostanie ode mnie prawny zakaz. Mike podniósł wzrok.

- Facet naprawdę nieźle pisze.

Sarah spojrzała na niego morderczym wzrokiem.

- Mike! Jesteśmy po stronie Anne.

- No jasne, że tak. To pieprzony dupek. Co nie zmienia faktu, że to jest naprawdę dobrze napisane.

-Mike!

- Chyba śpisz dziś na kanapie, stary. Zrobił smutną minę.

- Poświęcam się dla męskiej drużyny. No trudno. Sarah uśmiechnęła się do niego z miłością. Starła się ukryć ten uśmiech przede mną.

- Co się stało po tym, jak znalazłaś książkę? Rozmawiałaś z nim?

-Tak. Wróciłam wcześniej do domu z tej mojej trasy promocyjnej, żeby mu powiedzieć, co do niego czuję. Uwierzysz w to, do cholery? No ale znalazłam to na kanapie. Miał zanieść tekst wydawcy, ale zapomniał go zabrać. Przeczytałam to, zwymiotowałam i ryczałam, siedząc na podłodze w łazience. Kiedy wrócił do domu, wygarnęłam mu.

- Co powiedział?

Odtworzyłam scenę, odgrywając najpierw swoją, potem jego rolę.

- Jestem pod wrażeniem. Ja chyba bym się po prostu zwinęła w kłębek.

- Wiesz, ja przez jakiś czas siedziałam taka skulona, a potem się wściekłam, nie chciałam okazać przy nim słabości. Nie wiem, czy to kupił, ale dobrze, że się starałam. - Znow się rozplakałam. Sarah położyła sobie moją głowę na ramieniu i zaczęła mnie głaskać po włosach.

-Wiesz, miałaś rację - powiedziałam.

- Co do czego?

- Zrobiłam to wszystko dlatego, że ty wychodzisz za mąż.

- No to masz nauczkę, żeby mnie nie małpować. Razem roześmiałyśmy się przez łzy.

Ten śmiech był bolesny.

ROZDZIAŁ 302

ZAMKNIJ SIĘ, DO CHOLERY!

- To najbardziej popieprzona rzecz, jaką słyszałem. Kuliłam się na kanapie w biurze Williama. Siedziałam na łydkach, a na kolanach trzymałam książkę Jacka. Właśnie zdetonowałam bombę małżeńskiego oszustwa i trzymałam łzy pod kontrolą. Jak na razie.

- Przysięgam.

- Nie. Ma. Szans.

- Przyrzekam, że to prawda.

- Anne, to niemożliwe.

- Sądzisz, że mogłabym coś takiego zmyślić? William spojrzał mi w oczy, szukając w nich śladu kpiny.

Wyglądał jednocześnie na bardzo zaciekawionego i równie smutnego. Ledwie powstrzymywałam łzy.

- Podsumowując, twoje małżeństwo było aranżowane. A Jack, który wydawał się fajnym, zwariowanym na twoim punkcie gościem, tak naprawdę zbierał materiał do książki. Do tego jest tak zaangażowany w pracę, że ożenił się z tobą tylko dla niej. A ty dałaś się na to nabrać i gdy wróciłaś do domu, żeby mu powiedzieć, że go kochasz,

znalazłaś jego książkę, odkryłaś tajemnicę i wywaliłaś go za drzwi?

- Tak, tak to mniej więcej wyglądało. - Klepnęłam dłonią w tekst na kolanach. - Chcesz o tym przeczytać?

- Mówisz serio?

- Jest naprawdę dobrze napisana, choć przyznaję to z przykrością. Wyciągnął rękę.

- No dobra, pokaż mi ją.

Podaliśmy. Trzymał ją ostrożnie, podnosząc i opuszczając, jakby ważył ją w dłoniach.

- To wszystko?

- Do miejsca, gdzie skończył.

Prawie do miejsca, gdzie ja z nim skończyłam.

- Jest lekka jak na taki niszczycielski twór.

- A co ma do rzeczy waga?

- Sam nie wiem. Po prostu wydaje się, że jest tu za mało słów, żeby mogły zmienić całe twoje życie.

- Wystarczyło jedno słowo, żeby je zmienić.

- Jakie? - Tak.

- To jak będzie? Powiesz rodzicom? - spytałam Gila tego samego dnia przez telefon.

- Czemu zawsze mam być twoim posłańcem?

- Bo jesteś najlepszym bratem na świecie? Zachichotał.

- No jasne, że powiem, Anne. Jeśli tylko chcesz.

- Dzięki, to dla mnie naprawdę ważne.

- Chcesz, żebym mu spuścił manto?

- To wyjątkowo kusząca propozycja.

- Anne, którą znam, by tak nie powiedziała.

- Nie wiem, czy Anne, którą znasz, jeszcze istnieje.
- Może wpadniesz na obiad?
- Zastanowię się.
- Przyjdź, proszę.

Gardło mi się ścisnęło. Ostatnimi czasy to uczucie stało mi się zbyt bliskie.

- Muszę kończyć, Gil. Zadzwoń później.

Rozłączyłam się i zaczęłam sprzątać na biurku, przygotowując się do powrotu do domu. Od chwili gdy wtedy wyszłam, nie byłam jeszcze w mieszkaniu. Sarah wpadła tam, żeby zabrać parę moich rzeczy i sprawdzić, czy Jack rzeczywiście się zmył. Wróciła z moimi ciuchami i listem od Jacka.

Długo wpatrywałam się w kopertę. A potem ją odłożyłam, nie mając pewności, czy chcę przeczytać to, co jest w środku. Zamiast tego wypożyczyliśmy głupawy film akcji i zamówiliśmy pizzę. Gdy Sarah i Mike poszli spać, w końcu otworzyłam kopertę, nie mogąc się już powstrzymać.

Sam widok listu prawie mnie zabił. Jack napisał go na maszynie, więc wyglądał jak kartka z jego książki. To nie był najlepszy wybór, chociaż pewnie nie zrobił tego celowo. Ale i bez tego widok tych słów na papierze i świadomość, że to Jack je napisał, zabołały tak bardzo, że w końcu nie mogłam tego przeczytać. Nagle zapragnęłam go spalić. Włożyć go do kominka Sarah, podpalić i patrzeć, jak się obraca w popiół, dymi, znika.

Oczywiście ostatecznie tego nie zrobiłam. Musiałam poznać historię do końca. Doczytać część, której Jack nie zdążył napisać. Chciałam wiedzieć, czy może mnie jeszcze czymś zaskoczyć. Okazało się, że nie może.

Droga Anne!

Przepraszam, że piszę na maszynie. Nie mogę powstrzymać drżenia rąk, a chcę, żebyś mogła zrozumieć to, co mam Ci do powiedzenia. O ile to przeczytasz.

Chciałbym, żebyś wiedziała, że żałuję tego bardziej niż czegokolwiek, co dotąd zrobiłem. Wiem, że mi nie uwierzysz i że niczym sobie nie zasłużyłem na Twoje zaufanie. Nie wiem, czy to, co zrobiłem, można wybaczyć. Zrozumiem, ja też się w tym wszystkim pogubiłem. Małżeństwo z Tobą było zarazem najgorszą i najlepszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłem. Albo inaczej: najgorsze było to, że pisałem o tym książkę. Teraz to rozumiem. Bo gdybym tego nie ciągnął, pewnie nigdy byś się o tym nie dowiedziała. Moglibyśmy być szczęśliwi. Szczerze w to wierzę.

Kocham cię, Anne. Mam nadzieję, że o tym wiesz i że w to wierzysz. Będę musiał żyć, dręcząc się pytaniem, dlaczego mi to nie wystarczało. Dlaczego to nie powstrzymało mnie przed pisaniem. Dlaczego nie wyrzuciłem tych kartek po tym, jak po raz pierwszy się kochaliśmy. Czemu nie byłem dość silny, by to zrobić.

Znajduję tylko jedną odpowiedź: jestem słabym człowiekiem. Wiem, że nie mam prawa liczyć na to, że między nami jeszcze kiedykolwiek coś będzie. A jednak muszę żywić tę nadzieję. Muszę mieć nadzieję, że jesteś zarazem lepsza ode mnie i równie słaba jak ja.

Muszę mieć tę nadzieję, Anne. Wybacz mi, proszę.

Twój Jack

Po przeczytaniu tego listu poczułam się dziwnie odrętwiała. Nie dlatego, że mu nie wierzyłam. Wierzyłam, wiedziałam, że żałuje i że mu na mnie zależy. I ta sama mała, głupia część mnie chciała mu wybaczyć, poczuć, jak mnie obejmuje, całuje, usłyszeć, jak wyznaje mi miłość. Ale ta część mnie wciąż wierzyła w bajki. Ta część mnie dalej czekała na to, że mały chłopiec, który ciągnął mnie za warkoczyki, okaże się tym jedynym. Ta część mnie myślała, że kocham Jacka.

W połowie drogi do domu zmieniałam zdanie i postanowiłam pojechać do Cathy i Gila. Chciałam jeszcze na chwilę odsunąć od siebie widok i zapach mieszkania. Zatrzymałam taksówkę, która powłokła się przez popołudniowy korek do ich domu. Nie myślałam o tym, ile na nią wydam.

Gdy zjechaliśmy z autostrady, odczułam nagłą zmianę. Zamiast zwykłego wrażenia obcości, które pojawiało się, gdy wjeżdżałam w te okolice, ogarnęło mnie poczucie bezpieczeństwa. Stukanie deszczu o przednią szybę, odgłos wycieraczek, zapach mokrego betonu i trawy wpadający przez okno sprawiły, że poczułam się jak w domu.

Poprosiłam taksówkarza, by wysadził mnie parę przecznic od domu Cathy i Gila. Nie miałam parasola, ale to była tylko nieszkodliwa mżawka. Przeszłam obok wygodnych domów, patrząc na rozświetlające się codzienne życie.

Samochód za mną rozprysnął wodę w kałuży, co przywróciło mnie do rzeczywistości. Ostatnio i tak zbyt wiele czasu spędziłam w świecie fantazji.

Przeszłam po ścieżce do drzwi Cathy i Gila, po czym nacisnęłam dzwonek. Jane, która zawsze czuwała, otworzyła drzwi z rozmachem.

- Otworzyłam.
- Zauważyłam, skarbie.
- W przyszłym roku, jak pójdę do szkoły, dostanę własny klucz i będę sama wracać do domu.
- Jakoś nie wierzę.
- Ale to prawda. - Zatrzymała się i zaczęła mi się przyglądać.
- Ciociu, dlaczego jesteś smutna?

Gdyby tak widzieć świat oczami niespełna siedmioletniej dziewczynki.

- Bo boli mnie serce, szkrabie.
- Może pan doktor ci je wyleczy?
- Raczej nie.

Przez chwilę stała zadumana.

- A może wujek Jack je wyleczy?

- Nie, skarbie, on też nie. - To może ja?

Schyliłam się do niej i spojrzałam jej w oczy, cofając się w czasie do momentu, gdy byłam w jej wieku. Zabawne, ale pamiętałam tylko chwile, kiedy robiłam sobie krzywdę. Jak złamałam sobie rękę na zbiórce drużyny zuchowej. Jak oparzyłam dłoń na kuchence. Jak dostałam zatrucia w szkole. Nie pamiętałam już bólu fizycznego, tylko wydarzenia. Ale gdy patrzyłam na Jane, przypominałam sobie też, jak mnie wtedy wszystko cieszyło.

Jak nie wyobrażałam sobie, że kiedykolwiek mnie albo moim bliskim może się przytrafić coś naprawdę złego.

Przyciągnęłam ją do siebie. Objęła mnie rączkami za szyję.

- Może ci się uda, malutka.

Siedzieliśmy przy stole w jadalni, kończąc drugą butelkę wina i gadając o wszystkim oprócz Jacka. A właściwie to ja kończyłam drugą butelkę wina. Gil wypił tylko kieliszek, a Cathy była wykluczona z powodu ciąży.

- Anne, opowiesz nam teraz wszystko? - spytała Cathy, patrząc na mnie z powagą.

Potrząsnęłam głową.

- Nie dam rady. Ale zaczekajcie chwilę.

Wyszłam do przedsiionka, żeby poszukać torebki. Znalazłam ją przy wyjściu i przyniosłam do stołu, potykając się po drodze.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Cathy, gdy ciężko upuściłam tekst na stół.

-Wiem, wiem. W każdym razie... zrobiłam dopisek.

-Dodałam go ostatniej nocy u Sarah, gdy nie mogłam

spać. Nie dorównywałam stylem Jackowi, ale nie o to chodziło.

- Dopisek?

- Zgadza się. Nie mam siły wszystkim w kółko opowiadać, co się wydarzyło, więc zrobiłam dopisek do książki Jacka. Nie zamierzam niczego opowiadać, po prostu będę dawać ludziom plik kartek i będą mogli przeczytać sobie całą historię. A ja nie będę musiała niczego wyjaśniać.

Cathy spojrzała na mnie sceptycznie.

- Musisz z kimś pogadać, Anne. Może z jakimś terapeutą albo...

- Nie. Nigdy więcej terapeutów. - Opróżniłam kieliszek. - Wiecie, czytałam taki artykuł o tym, że ludzie z zasłoniętymi oczami zazwyczaj nie odróżniają białego wina od czerwonego. Myślicie, że to prawda?

Gil zaczął zbierać talerze. Znacząco podniósł butelkę wina i zabrał ją do kuchni.

- Gilowi chyba nie podoba się to, że dziś piję - szepnęłam do Cathy.

Położyła dłoń na mojej dłoni.

- Po prostu się o ciebie martwi, Anne. Wiesz, on bardzo cię kocha. Oboje cię kochamy. Dziewczynki też.

- Wiem, Cathy. Dzięki. - Przełknęłam ślinę. - Chcesz to przeczytać?

- Dobrze.

Podaliśmy jej tekst i poszłam do kuchni, żeby nie słyszeć okrzyków zaskoczenia, których byłam pewna. Gil stał przy zlewozmywaku. Spłukiwał naczynia i wstawiał je do zmywarki. Wlałam sobie resztkę wina do kieliszka.

- Wiesz, że marnujesz w ten sposób wodę.

- Od kiedy to przejmujesz się środowiskiem?

- Tak tylko mówię.

Włożył ostatni talerz do zmywarki, zamknął klapę i odwrócił się do mnie. Zmarszczył brwi, widząc kieliszek w mojej dłoni.

- Jeszcze ci mało?

-Naprawdę nie powinieneś się tak o mnie martwić. Dam sobie radę. Jestem silna. Już przez to przechodziłam. Przetrwam. - Brzmiało to nieźle. Przetrwam. Jak w piosence Glorii Gaynor *I Will Survive*. O tak, właśnie. *Don't be afraid, don't be petrified...* Ta-dadam. O tak... Będę musiała zmienić cholerne zamki, bo zapomniałam ci kazać oddać klucz... Coś tam dalej i dobry fragment: *So go, go, go, walk through my door, and don't turn around, no, I won't welcome you here anymore, you think I'm going to crumble, that I might want to die, but no, no, no, I'm going to survive!*

- Anne, co ty, do cholery, robisz? Zatrzymałam się w połowie obrotu.

- Tańczę do piosenki w głowie. Gil zabrał mi kieliszek.

- Więcej już nie pijesz.

- Rozwalasz mi imprezę!

Usiadłam przy blacie, opierając głowę na rękach. Stuknęłam jednym obcasem o drugi, próbując znów znaleźć rytm, ale piosenka uciekła. Stuknięcie obcasami przypomniało mi o tamtej nocy wiele miesięcy wcześniej. Nocy, gdy znalazłam wizytówkę Blythe& Company na chodniku. Trzy razy stuknęłam obcasami, chcąc znaleźć się gdzie indziej, choć sama nie wiedziałam gdzie. Po jakimś czasie zadziało. Może nie tak, jak powinno, ani też tak, żebym to chciała powtórzyć, ale być może zadziałoby po raz drugi. Zamknęłam oczy i stuknęłam obcasami. Stuk, stuk, stuk.

- Anne, a teraz co robisz? Szybko otworzyłam oczy.

- Posyłam życzenie do gwiazdy.
- Jesteś pijaną wariatką, Kordelia.
- Może tak, a może nie.

Poszedł do salonu oglądać telewizję. Po chwili udałam się tam za nim, ale najpierw usłyszałam z jadalni niespotykane u Cathy: „O, kurwa!”. To mi przypomniało, dlaczego tu jestem i ból, który ustąpił na chwilę, gdy tańczyłam, myślałam życzenie i droczyłam się z Gilem, wrócił nagle i opadł mi na ramiona wielkim ciężarem.

Gil usiadł w swoim ulubionym fotelu, więc ja skuliłam się na kanapie. Siedzieliśmy tak, nie odzywając się do siebie i oglądając odcinek programu satyrycznego Jona Stuarda, który Gil wcześniej sobie nagrał.

- Wiesz, kiedyś na Kostaryce poznałam jednego ze scenarzystów tego programu - powiedziałam.

- Przynosisz dziś same fascynujące wieści. Rzuciłam w niego poduszką.

- Stul pysk!

- Ładnie się wyrażasz.

- Powinieneś teraz posłuchać swojej żony. Pewnie mówi o wiele gorsze rzeczy.

- Anne, cicho, chcę posłuchać programu.

Znowu skuliłam się na kanapie i już nie odezwałam się słowem. W pewnym momencie zapadłam w półsen. Słyszałam program, ale słowa nie układały mi się w całość i nie potrafiłam stwierdzić, czy są zabawne. Po dłuższym czasie Gil - na pewno Gil - wyłączył telewizor i poczłapał w moją stronę. Otulił mnie kocem i pocałował w czubek głowy.

- Dobranoc, siostrzyczko. Karaluchy pod poduchy.

ROZDZIAŁ 23

ZASADY REKLAMACJI

Następnego ranka obudziłam się z zeszywniałym karkiem i włosami sterczącymi na wszystkie strony. W świetle nowego dnia zrozumiałam, że już dostatecznie długo użalałam się nad sobą po rozstaniu. Już dość płaczu, gadania czy myślenia o nim. Chryste, w końcu znałam go tylko parę miesięcy! Powiedziałam sobie, że jestem ponad to. Przetrwałam gorsze rzeczy. Nie pozwolę, by wokół tego kręciło się całe moje życie.

Odrzuciłam koc i usiadłam pełna energii, gotowa zmierzyć się z dniem. Trwało to jakieś trzydzieści sekund. A potem wypite poprzedniej nocy wino zaczęło się nade mną znęcać. Nagle dopadł mnie oślepiający ból głowy. Poczułam, że muszę dotrzeć do łazienki w ciągu dwóch, góra trzech sekund, zanim pozostałości jedzenia czy napojów samoistnie wydostaną się z mojego organizmu.

Wzięłam kilka głębokich wdechów i skupiłam się na wyciszeniu żołądka. Po paru minutach zaczęło mi się poprawiać. Mdłości i ból ustępowały. Wstałam i skierowałam się do kuchni, podążając za aromatem kawy. Ładnie

pachniała, chociaż wino ciągle skakało na trampolinie w moim żołądku.

Cathy stała przy kuchence. Robiła jajecznicę i tosty francuskie. Mary gaworzyła cichutko w swoim kojcu w rogu pomieszczenia.

- Jesteś człowiekiem czy robotem? Cathy spojrzała na mnie i roześmiała się.

- Dzisiaj bardziej przypominasz Pippi Pończoszanę niż Anię z Zielonego Wzgórza.

Zaczęłam gładzić włosy z boku głowy, ale nie udało mi się ich poskromić.

- Chyba jednak jesteś robotem.

- Zaparzyłam kawy. - Wskazała na dzbanek.

- Dzięki. Zastanawiam się, czy mi się po niej polepszy, czy pogorszy.

Usiadłam na jednym ze stołków i oparłam głowę na rękach, starając się powstrzymać wirowanie świata.

- Aż tak źle? - Gil położył mi rękę na ramieniu i lekko ścisnął.

- Czemuż, ach, czemuż pozwoliłeś mi tyle pić?

- Na pewno nie pozwoliłem.

Głośno westchnęłam i podniosłam głowę. Gil stał za Cathy. Objęł ją, głaszcząc po dużym, okrągłym brzuchu.

-No już, może nie przy ludziach! Bo będę zazdrosna o własnego brata.

- Wybacz, Anne.

Gil podszedł do dzbanka z kawą i nalał nam po kubku. Objęłam dłońmi swój, napawając się ciepłem grzejącym moje dłonie. Wzięłam parę próbnych łyków i pozwoliłam kofeinie rozlać się po moim krwiobiegu. Poczułam się odrobinę lepiej niż przed paroma minutami. Przez chwilę poczułam, jak będzie, gdy wrócę do pełni sił.

- To jakie plany na dziś? - spytał Gil, odrywając palcami kawałek francuskiego tostu.

- Powinam iść do pracy.

- Czy słowo „powinam” jest w tym zdaniu kluczowe? - Tak.

- Urlop na żądanie?

- To już raczej pewniak.

Cathy postawiła przede mną talerz z francuskim tostem. Ostrożnie skubnęłam parę kęsów. Kęs, głęboki wdech, łyk kawy i od nowa. Po trzech czy czterech powtórzeniach prze-
rwałam, żeby się upewnić, że to wszystko nie wróci zaraz do góry. Na razie nie miało zamiaru.

Jane i Elizabeth wpadły do jadalni w identycznych jedno-
częściowych piżamkach, pełne porannej energii. Dokazywały, hałaśliwie jadły śniadanie i kłóciły się z mamą o to, w co się ubiorą. Jane wdrapała się na moje kolana i mocno mnie uścisnęła.

-Za co to?

- O rany! No przecież po to, żebyś była weselsza. Zeskoczyła na ziemię i wybiegła z pokoju z tupotem

i rozwianymi rudymi włosami. Podziękowałam Cathy za śniadanie i poprzedni wieczór, ucałowałam dziewczynki i razem z Gilem pojechałam pociągiem do miasta. Po drodze zadzwoniłam do pracy, żeby się zwolnić. Z tonu głosu recepcjonistki wywnioskowałam, że już słyszała o Jacku. Wyraźnie domyślała się, że moje żalosne próby udawania kaszlu i kataru to ścierna. Zanotowałam w myślach, żeby skopać Williamowi tyłek za to, jaki z niego plotkarz.

Przed drzwiami do mieszkania się zawahałam. Nie byłam pewna, czy zniosę widok opustoszałej przestrzeni. Ale było zupełnie tak jak przy śniadaniu - po paru głębszych

wdechach byłam w stanie to zrobić. Weszłam i skierowałam się prosto do łóżka. Do mojego łóżka. Naszego łóżka. A teraz chyba znów mojego łóżka. Wciąż czułam w pościeli zapach Jacka. Wtuliłam się w jego poduszkę i zasnęłam.

Spałam przez parę godzin. W urywanych snach wciąż pojawiał się Jack. Gdy się obudziłam, ciągle obejmowałam poduszkę, na której został jego zapach. Leżałam tak przez parę minut, wdychając go, aż w końcu nie mogłam tego znieść. Sama już nie wiedziałam, czy bardziej jestem wściekła na niego, czy na siebie, że chwytam się rzeczy, która mi o nim przypomina.

Gniew przeszedł w to uczucie, które przepełniło mnie u Gila i Cathy: determinację, by przejść nad tym do porządku dziennego i się nie dołować. Byłam gotowa ze wszystkich sił spróbować wziąć się w garść. Tym razem, gdy wstałam

1 rozsunałam zasłony, nie powstrzymał mnie kac.

Zdjęłam z łóżka pościel i wrzuciłam ją do prania. Potem poszłam pod prysznic. Gdy się mydliłam, ułożyłam plan. Ubrałam się w najgorsze ciuchy i zabrałam się do roboty. Zaczęłam od największej przeszkody: półek zaczętych przez Jacka. Wisiały niedokończone w moim salonie, zajmując zdecydowanie za dużo miejsca. Pożyczyłam ze sklepu duży młot i rozwaliłam półki, starając się za bardzo nie niszczyć ścian. Za każdym razem gdy podnosiłam młot i uderzałam nim w deski, czułam się silniejsza. Gdy ustał hałas i została tylko sterta drewna, zebrałam to rumowisko do kilku mocnych worków na śmieci i wyniosłam. Potem przesunęłam tam własny regał, żeby zakryć zniszczenia. Cieszyłam się, że ostatecznie nie połączyliśmy naszych księgozbiorów.

Potem poprzestawiałam resztę mebli w salonie. Ustawiłam je tak, jak stały, zanim Jack zorganizował sobie kącik do

pracy - ten, w którym napisał tę potworną książkę. Kupiłam doniczkowe drzewko owocowe i postawiłam je w tamtym miejscu. Nie znałam się *nafeng shui*, ale czułam, jak zmienia się energia w pokoju, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy otwiera się okna po srogiej zimie.

Gdy już skończyłam, rozejrzałam się wokół. Chciałam się upewnić, że usunęłam wszystkie pozostałości po Jacku.

Gdyby nie parę śladów na ścianie, można by pomyśleć, że nigdy go tu nie było.

Tamtego wieczoru wyciągnęłam zza ramy lustro w łazience wizytówkę, która wciąż tam tkwiła. Podarłam ją na możliwie najdrobniejsze kawałeczki i wrzuciłam do kosza. Szczęśliwa wizytówka - zawsze tak o niej myślałam.

Może teraz szczęście się do mnie uśmiechnie.

Następnego dnia przy porannej kawie przeglądałam pocztę, która zebrała się, kiedy byłam w trasie promocyjnej mojej książki i gdy ukrywałam się u Sarah. Rachunek, rachunek, śmieci, śmieci, śmieci. No i proszę, w samym środku stosu koperta od Blythe & Company. Otworzyłam ją. Faktura za ostatni miesiąc terapii z doktorem Szwickiem.

Nie wierzyłam własnym oczom! Na ostatnim spotkaniu nawet się nie pojawiliśmy, a ja na pewno nie wybierałam się na kolejne. Byłam wściekła na nich, na Jacka, ale głównie na siebie, bo wywaliłam tyle pieniędzy i nabito mnie w butelkę. Nawet jeśli nie mieli pojęcia o całej sprawie z Jackiem i z książką, rachunek przeważał szalę.

Musiałam coś zrobić, coś od nich wyciągnąć, jakoś się odegrać. Tylko jak mogłabym się zemścić?

Rozważyłam możliwości. Mogłabym napisać o nich artykuł, ale wtedy ujawniłabym prawdę o sobie. Każdy, kto wiedział o moim ekspresowym małżeństwie, od razu

skojarzyłyby fakty i doszedłby do wniosku, że Anne kompletnie odbiło. Poza tym mogłabym skrzywdzić inne pary, które korzystały z ich usług, a tego nie chciałam.

Po chwili mnie oświeciło. Wiedziałam już, co zrobię. O ile wystarczy mi tupetu.

- Panna Cooper panią prosi.

Podniosłam głowę znad czasopisma, w które się wpatrywałam. Gdy wstałam, ześlizgnęło się z przeciągłym dźwiękiem i opadło na podłogę. Odłożyłam je z powrotem na stół i poszłam za recepcjonistką znaną drogą do biura panny Cooper.

- Jak się pani miewa, panno Blythe? Czy raczej pani Harmer?
- spytała, posyłając mi swój spięty uśmiech.

Gdy wymówiła nazwisko Jacka, a co gorsza, zwróciła się nim do mnie, poczułam na plecach dreszcz.

- Wystarczy „panno Blythe”.

Usiadłam, zaciskając na kolanach pięści. Ona też zajęła swoje miejsce.

- Co mogę dla pani zrobić?

- Przyszłam tu po... zwrot kosztów.

- Co proszę?

- Przyszłam po zwrot kosztów - powtórzyłam głośniej.

- Wydaje mi się, że wyjaśniłam pani, iż nie udzielamy zwrotów.

- No cóż, facet, którego mi znaleźliście, był do niczego, więc chcę pieniądze z powrotem.

Rzuciła mi to swoje zblazowane spojrzenie.

- Czy to ma być jakiś żart? Powinnam się roześmiać?

- Zapewniam panią, że mówię poważnie. Zostałam oszukana i chcę odzyskać pieniądze.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

- Mówię o tym, że mieliście mi znaleźć męża. Prawdziwego męża. A nie wziąć moje pieniądze i wyswatać mnie z mężczyzną, który pisze książkę o waszej żyle złota szumnie zwanej biurem kojarzenia małżeństw.

Zrobiłam to. W końcu powiedziałam coś, czego panna Cooper się nie spodziewała. Wpatrywała się we mnie, mrużąc, i chyba brakowało jej słów. Odkaszlnęła cicho.

- Co pani ma na myśli?

- To, że Jack Harmer nie szukał żony. Po prostu pisał książkę o małżeństwie aranżowanym. To była praca pod przykrywką, pisał o tym, jak to wygląda od kuchni. Coś w rodzaju reality show na papierze o tym biurze, naszym małżeństwie i o mnie. Tak więc chcę dostać... swoje pieprzone... pieniądze.

Przy każdej pauzie dla wzmocnienia efektu uderzałam ręką o blat biurka. Przy każdym uderzeniu panna Cooper się wzdrygała. Potem podniosła słuchawkę telefonu na biurku, nacisnęła przycisk i powiedziała:

- Proszę natychmiast wezwać tu ochronę.

- Tak, jasne. Niech mnie pani wywali, udaje, że to, co powiedziałam, to nieprawda. Ale to prawda. I dostanę swoje pieniądze z powrotem.

Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam maszynopis Jacka. Rzuciłam go na biurko, gdy dwóch mężczyzn w czarnych garniturach i cienkich krawatach stanęło w drzwiach.

- Nie za dramatycznie? - rzuciłam do nich. - Ważę tylko pięćdziesiąt sześć kilo.

Wskazałam na kopię książki.

- Niech pani to przeczyta, panno Cooper. I niech się pani zastanowi, co się stanie z tym miejscem, z pani pracą, jeśli ta książka zostanie wydana. Potem niech pani da mi znać, czy firma nadal obstaje przy zasadzie „żadnych zwrotów”. Wie pani, jak się ze mną skontaktować.

Przeszłam obok facetów w czarnych garniturach spokojnie, z wysoko podniesioną głową. Poszli za mną do recepcji, gdzie czekała zdenerwowana czterdziestoparolatka o blednącej urodzie. Podeszłam do głównych drzwi, otworzyłam je, a potem odwróciłam się i głośno powiedziałam do oczekującej:

- Proszę zaufać instynktowi. Proszę tego nie robić. Wyglądała na zszokowaną.

- Słucham?

- Proszę tego nie robić. Niech pani wstanie i po prostu stąd wyjdzie. Nie mają pani nic do zaoferowania. - Mężczyźni zaczęli się do mnie zbliżać, ich ramiona napięły się w gotowości. - No już, już, nie ma się czego bać. Idę sobie.

Zbliżyłam się do windy i wcisnęłam guzik na dół. Winda zadzwoniła, weszłam do środka. Drzwi się za mną zamknęły, a ja zaczęłam drzeć. Drżałam, ale czułam się lepiej. Czułam się silniejsza. To właśnie w tym momencie siły zrozumiałam, że dam radę to przetrwać. Dam radę.

ROZDZIAŁ 24

WRZUĆ NA LUZ

I tak się stało. Przetrwałam pierwszy tydzień bez Jacka. Przetrwałam drugi i trzeci. Potem minął miesiąc, dwa i już nie myślałam o nim bez przerwy i nie zastanawiałam się ciągle, czy przypadkiem na niego wpadnę. Minęło jeszcze więcej czasu, aż w końcu czas, który upłynął, był dłuższy niż czas naszej znajomości, niż okres od chwili, gdy się o nim dowiedziałam, czy nawet rozważałam, czy zacząć go szukać. Chwile, które spędziliśmy razem, zaczęły się wydawać odległe niczym wspomnienia z dzieciństwa, niczym maleńka gwiazda daleko w kosmosie.

Dużo pracowałam, spotykałam się z Sarah i Mikiem, a czasami z Williamem. Byłam w szpitalu, gdy Cathy rodziła czwartą córeczkę. Trzymałam ją na rękach zaledwie parę minut po tym, jak się pojawiła na świecie. Kołysząc jej maleńkie ciało, czułam, jak cała jej klatka piersiowa porusza się w górę i w dół pod wpływem bicia jej serca. Pachniała czystością, świeżością. Kiedy otworzyła oczy, oglądała wszystko po raz pierwszy. Czeką ją odkrywanie świata. Łza skapnęła mi na jej śpioszki, na to dziecko, które wyglądało, jakby mogło być

moje, moje i Jacka. Szybko odsunęłam od siebie tę myśl - to była moja kochana czwarta bratanica. Oddałam ją Cathy.

Odbyłam kilka spotkań z czytelnikami, ale moja książka nie stała się bestsellerem. Tak czy owak, miałam kontrakt na dwie książki i termin, więc noce i weekendy spędzałam, pisząc opętańczo i starając się nie potępić każdego słowa, które napisałam. Druga książka opowiadała o kobiecie, której życie wywraca się do góry nogami, gdy jej podróż do Afryki kończy się inaczej, niż planowała. W połowie pracy zaczęłam się przeklinać za to, że nie poszłam na łatwiznę i nie napisałam drugiej części *Domu*. Jedno było jednak pewne -bohaterki tej książki na pewno nie ocali mężczyzna!

Kolejne urodziny szybko minęły. Kończyłam trzydzieści cztery lata, od przerażającej trzydziestki piątki dzielił mnie już tylko rok. Sarah i Mike zorganizowali mi imprezę. Nikt słowem nie wspomniał o Jacku. Codziennie przeglądałam pocztę w poszukiwaniu koperty od Blythe & Company, licząc na zwrot pieniędzy, ale nie doczekałam się. Ostatecznie uznałam, że odpuszczę. Najważniejsze było to, że miałam odwagę się upomnieć.

Parę razy nawet dostałam propozycję randki i skorzystałam. Ale chociaż faceci byli dość mili, zainteresowani i całkiem przystojni, nie czułam żadnej chemii. Z żadnym nie poszłam na drugą randkę.

- Co było z nim nie tak? - spytała Sarah w barze przy piwie parę dni po mojej pierwszej i ostatniej randce z Garym, fajnym facetem, który niedawno zaczął pracę w jej biurze.

- Mam ci pokazać listę? Sarah się ożywiła.

- Zrobiłaś listę? Serio?

- No jasne. - Wzięłam serwetkę i wyciągnęłam długopis. Napisałam na niej jedno słowo i podałam Sarah.

- Co to ma znaczyć?

Napisałam na serwetce „ja”.

- To właśnie było z nim nie tak. Nie potrafię ocenić, czy jest w porządku, czy nie. Nie potrafię nawet spisać argumentów za i przeciw. Chyba czas skończyć z randkami.

- Nie możesz przestać chodzić na randki w wieku trzydziestu czterech lat!

- Kto tak twierdzi? -Ja.

- Nie masz nade mną władzy.

-Ale pamiętaj, że mam władzę nad twoimi randkami. Zgodziłam się na to miesiąc wcześniej, po tym jak wypiałam o parę piw za dużo.

- Nie wiem, czy ta umowa jest ważna.

- Zapewniam cię, że jest wiążąca. Mam ją na piśmie.

- No dobra. Skoro ty jesteś szefem, to jak chcesz mnie wyciągnąć z martwego punktu?

-Wykorzystam swoje moce i dzięki czarom znajdę ci idealnego faceta. - Machnęła dłonią tak, jakby trzymała różdżkę. Zakręciła nią nade mną raz, dwa, trzy razy.

- Gdyby to było takie proste...

- Ależ jest. Nie wiem, czemu ciągle wątpisz w moje moce. Dopiłam piwo i zmieniłam temat.

- To jak, wszystko gotowe do ślubu?

- Tak. Nie mogę uwierzyć, że to już tak niedługo - powiedziała, nerwowo przełykając ślinę.

- Planowałaś to zaledwie rok.

- Wiem. Chciałam, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik. I żeby wszyscy dobrze się bawili.

- Wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie wspaniale. W końcu ty wszystkim zarządzasz.

Zrobiła zbolaną minę.

- Ja się naprawdę denerwuję, mówię serio.

- Mikiem?

- Nie, *raczej* różnymi drobiazgami, które mogą się nie udać.
A, przypomniało mi się: byłaś na ostatniej przymiarce?

- Tak, Sarah.

- Świetnie.

- Na pewno będzie fantastycznie. Wychodzisz za wspa-
niałego faceta i będziecie żyli długo i szczęśliwie.

- Myślałam, że już w to nie wierzysz.

- Nie wierzę. Ale dla ciebie zrobię wyjątek. Uśmiechnęła się.
A potem przybrała taki wyraz twarzy,

jakby przypomniała sobie coś, o czym chciała zapomnieć.

- Co się stało?

- Co? Nic takiego. Położyłam jej dłoń na ramieniu.

- Sarah, powiedz, co się dzieje. Twoja mama znów jest
chora?

- Nie, z nią wszystko w porządku.

- To co jest? Westchnęła.

- Wczoraj widziałam Jacka.

- Co? Gdzie? Rozmawiałaś z nim? Coś powiedział? Czemu
dopiero teraz mi o tym mówisz? - Serce waliło mi tak głośno,
że aż je słyszałam.

Sarah przesunęła w moją stronę swoje piwo.

- Masz, napij się trochę.

Wzięłam łyk jej piwa i spróbowałam się uspokoić, ale ciągle
czułam, że serce wali mi jak młotem.

- Dzięki. A teraz gadaj.

- Przepraszam, że wcześniej ci o tym nie powiedziałam, ale
chciałam to zrobić twarzą w twarz. Potem ty zaczęłaś
opowiadać o randce z Garym i zrobił się z tego zwyczajny
wieczór, wiesz, taki jak przed Jackiem i Blythe & Company.
Nie chciałam tego psuć.

- Nie ma sprawy, rozumiem. A teraz opowiadaj.

- No więc poszłam do Starbucksa w moim biurowcu po kawę. Mogłam się wyrwać tylko na chwilę z pewnego niedorzecznego spotkania...

- Sarah! Skup się, proszę.

- Rany, przepraszam, Anne, miałam ciężki dzień. W każdym razie, gdy się odwróciłam, praktycznie wpadłam na Jacka i niewiele brakowało, a wylałabym na niego wrzącą kawę.

-I co?

-No cóż... On chyba nie był zaskoczony, że mnie widzi. Miałam przeczucie, że jakimś cudem wiedział, że tam przyjdę. No i spytał mnie, czy mogę z nim chwilę pogadać, a ja zaczęłam się zastanawiać, czego ty byś chciała. Czy wolałabyś, żebym kazała mu się odpieprzyć i chlusnęła kawą w twarz, czy wysłuchała tego, co ma do powiedzenia.

- Jedno i drugie, rzecz jasna.

- No tak, wiem, tak też pomyślałam. Doszłam do wniosku, że kiedy go już wysłucham, będę mogła posłać go do diabła.

- Dobrze podejście. No i?

- No cóż, usiedliśmy i powiedział mi, że liczył na to, że na mnie wpadnie. Chyba często przychodzi do tego Starbucksa. Zdaje się, że jest niedaleko biura jego wydawcy czy coś. Dodał, że już mnie parę razy widział.

Poczułam przypływ gniewu.

- Czyli teraz zaczął cię szpiegować? Potrząsnęła głową.

- Nie, nie sędzę. Nie wyglądało na to.

- Nic w tym dziwnego, prawda? Jeśli chce, potrafi odegrać rolę godną Oscara.

- Wiem o tym, Anne.

- Czemu liczył, że na ciebie wpadnie? Chodzi o to unieważnienie?

Wysłałyśmy Jackowi papiery parę miesięcy wcześniej, a on wciąż ich nie podpisał.

-Nie. - Przerwała, waząc słowa. - Chce się z tobą spotkać.

- Chce się ze mną spotkać? - spytałam prawie szeptem. -Tak.

-I dlatego cię szukał? Żeby zdobyć twoje pozwolenie? Żebyś mnie do tego przekonała?

- Właściwie to nie wiem dlaczego.

- No to co powiedział?

- Że czuje się potwornie, że doskonale rozumie, dlaczego go wyrzuciłaś... I coś o tym, że starał się uszanować twoją prośbę i trzymać się od ciebie z daleka, ale skutek był rozpaczliwy. - Przy ostatnim zdaniu wywróciła oczami.

Rozpaczliwy. Podobało mi się to słowo w odniesieniu do Jacka.

- Wyglądał rozpaczliwie?

- Trochę.

- To dobrze. Ale... Nie rozumiem. Czemu z tobą o tym rozmawiał?

- Nie wiem, Anne. Dałam mu jakieś trzy minuty.

- Co mu powiedziałaś? Powiedziałaś, że pewnie będę się chciała z nim spotkać? Masz mnie przekonać, żebym się z nim zobaczyła?

- Nie, nie. Nic nie mówiłam. Naprawdę. Tylko słuchałam. Nie powiedziałam nawet, że mam zamiar opowiedzieć ci o tej rozmowie. Anne, wszystko w porządku?

Zaczęłam powoli oddychać, starając się powstrzymać uczucie, które przypominało atak paniki.

- Chyba tak.

- To co zamierzasz zrobić?

- Z Jackiem? Kiwnęła głową.

- Nie wiem - odparłam. - Nie jestem pewna, czy chciałabym go jeszcze kiedyś oglądać. W końcu co mógłby mi powiedzieć? Że żałuje? Że mnie kocha? Już to mówił. Jak mogłabym uwierzyć w choć jedno jego słowo?

Zmarszczyła czoło.

- Nie wiem, Anne. Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania.

- A właśnie, że znasz.

- Nie tym razem.

- Co byś zrobiła na moim miejscu?

- Po pierwsze, nie wyszłabym za niego. "Ej!

- Przepraszam. Chodzi mi o to, że sama musisz znaleźć wyjście. Będę cię wspierać, niezależnie od tego, co zdecydujesz. Zrozumiem, jeśli zechcesz się z nim zobaczyć. Zrozumiem też, jeśli nie zechcesz.

Rozważyłam to, co mi powiedziała.

- A co, jeśli chcę jednego i drugiego?

- To może się z nim spotkać i powiedz mu, że nie chcesz się z nim więcej widzieć. - Sięgnęła do torebki i wyciągnęła wizytówkę. - Dał mi to.

Podawała mi ją. Jego nazwisko raziło mnie wytłuszczoną czarną czcionką. Trzymałam w dłoni wizytówkę, dotykając jej krawędzi tak, jak dotykałam krawędzi jego teczki tyle miesięcy wcześniej w biurze panny Cooper.

- Dzięki, Sarah.

- Za co?

- Wszystkie zasługi nie zmieszczą się na liście. Uśmiechnęła się.

- Zawsze można zrobić listę.

- Nie tym razem.

Kolejne kilka dni spędziłam, zastanawiając się, co zrobić. Prawie nie spałam. Ledwie mogłam pisać.

Zastanawiałam się tylko, co on chciał mi powiedzieć. I jak by wyglądał, mówiąc to.

Jego wizytówka mnie hipnotyzowała, była jak duch w moim mieszkaniu. Ostatecznie ciekawość wzięła górę. Napisałam do niego e-mail, a potem umówiłam się z nim.

Zgodziłam się na spotkanie w barze. Nie w moim barze. Wybrałam neutralny irlandzki pub w centrum. Nie byłam tam od lat i nie robiło mi różnicy, czy jeszcze kiedyś tam pójde. Nie wiązały się z nim żadne wspomnienia. Po tym wieczorze będzie to tylko bar, w którym po raz ostatni widziałam się z Jackiem. Takie samo podejście miałam do tego, w co się ubrałam. Wybrałam dzinsy i kremowy T-shirt ze stosu ubrań, które miałam oddać potrzebującym. Jutro te rzeczy będą należeć do kogoś innego.

Jack przyszedł przede mną. Zastałam go przy stoliku dla dwóch osób. Jego twarz oświetlało nagle światło świecy w okrągłej szklanej kuli zdobionej koralikami. Postarał się, jeśli chodzi o wygląd - włożył wyprasowaną koszulę w paski i eleganckie spodnie, które wyglądały jak nowe. Przyciął brodę, fryzurę miał taką, jakby dopiero co się strzygł. Wstał, gdy podeszłam do stolika. Chyba chciał mnie pocałować, ale usiadł z powrotem bez jednego gestu, gdy wsunęłam się na krzesło naprzeciw niego i skrzyżowałam ręce na piersi.

- Czego chcesz? - spytałam najbardziej chłodnym tonem, na jaki mogłam się zdobyć.

- Czułem potrzebę, żeby się z tobą spotkać - odparł Jack. W jego głosie słychać było nerwy i... strach. Bał się.

Przelotnie spojrzałam mu w oczy, ale nie wytrzymałam jego spojrzenia. Zauważyłam, że ubyło mu parę kilo. Małostkowa część mnie się z tego cieszyła.

- Myślisz, że obchodzą mnie twoje pieprzone potrzeby?
- Ścisnęło mi się gardło.

Oddychaj, Anne, oddychaj. Jack drgnął.

- Wiem, Anne. Jestem samolubnym draniem. I nie zasługuję na nic z twojej strony. Jestem ci wdzięczny, że postanowiłaś się ze mną spotkać.

Żołądek zaczął mi się wywracać.

- Czego chcesz?

- Wszystko w porządku?

Wszystko było w porządku, zanim zdecydowałam się z tobą spotkać.

- Co masz mi do powiedzenia, Jack? Po co tu przyszłam?

Opuścił wzrok i wbił go w swoje dłonie. Wciąż nosił obrączkę, którą wsunęłam mu na palec wiele miesięcy wcześniej w Meksyku.

- Czytałaś mój list? - Tak.

- I co?

- I co „co”?

- Myślisz, że mogłabyś mi wybaczyć?

- Hm, nie.

- Hm, nie. I to wszystko?

- Zgadza się.

- To twoja ostateczna odpowiedź?

- O co ci, do cholery, chodzi? Nie jesteśmy w *Milionerach*. To nasze życie. Moje życie.

- Wiem, Anne. Chcę być częścią twojego życia. Położył mi dłoń na ramieniu. Przez chwilę tak trwałam,

czując dotyk jego skóry na swojej. Potem uświadomiłam sobie, że to przecież Jack mnie dotyka, i straciłam jego dłoń z ramienia.

- Nie mogę pozwolić, żebyś był częścią mojego życia, Jack. Nie mogę.

- Ale przecież jesteśmy małżeństwem, Anne. Może powinniśmy spróbować nad tym popracować?

-Nie, Jack, nie jesteśmy. Nie powinniśmy być. Musisz podpisać te dokumenty, które przesłała ci Sarah.

- Na pewno chcesz, żebym je podpisał? - spytał płaskim, jednostajnym tonem.

-Tak.

- Aha. - Westchnął głęboko. Jego oddech zgasił świeczkę. Między nimi zaczęła powiewać smuga dymu.

- Mogę cię o coś spytać? - powiedziałam.

- Oczywiście.

- Zastanowiłeś się nad tym, jak się poczuje twoja przyszła żona, zanim zdecydowałeś się zrobić to, co zrobiłeś?

Poczerwieniał na twarzy.

- Na pewno niewystarczająco, ale tak, zastanowiłem się. -1... co? Nadal uważałeś, że to w porządku?

- Może niezupełnie w porządku, ale... sam nie wiem... przecież dla żadnego z nas to nie byłoby prawdziwe małżeństwo, więc chyba po prostu wmówiłem sobie, że to nic wielkiego.

- Myślałeś o tym, co się stanie po publikacji książki?

- Gdybyś jej nie znalazła? -Tak.

- Starłem się o tym zbyt wiele nie myśleć.

- Daj spokój, Jack.

- Mówię prawdę. Czuję się, jakbym prowadził podwójne życie. Jedno prawdziwe, kiedy byłem z tobą, a drugie, kiedy stawałem się tym kimś, kto napisał tę książkę.

- Myślałeś, że udałoby ci się mnie przy sobie zatrzymać?

- Nie. Ze względu na to, jak była napisana książka, wiedziałem, że to niemożliwe. Słuchaj, wiem, że mi nie

uwierzyłaś, kiedy ci to wcześniej mówiłem, ale naprawdę tamtego wieczoru powiedziałem Tedowi, że będziemy musieli przesunąć publikację, bo chcę przerobić książkę.

- Dlaczego?

- Kiedy cię nie było, przeczytałem ją od początku do końca i zrozumiałem, jaka jest... potworna. Dostrzegłem, w jaki sposób pisałem o nas, o tobie, i wiedziałem, że dłużej już tak nie mogę. Wiedziałem, że jeśli zostawię ją w takiej formie, stracę cię na zawsze. - Wykrzywił usta, rozgoryczony. - Ale i tak cię straciłem, prawda?

„Na zawsze”. To brzmiało tak ostatecznie.

- Tak, tak sędzę.

- Czy jest jakaś szansa, żebyśmy zaczęli od nowa? -Nie.

Jego ramiona opadły z rezygnacją.

- Tego się obawiałem.

Przygryzłam wargę, czekając, aż powie coś jeszcze, ale nie powiedział.

- Tylko tyle chciałeś mi powiedzieć? Jack spojrzał mi w oczy.

- Nie... Muszę powiedzieć ci o czymś jeszcze. Chciałem, żebyś dowiedziała się o tym ode mnie.

Serce znów zaczęło mi walić.

- O czym?

- Za cztery tygodnie wychodzi moja książka. Zatkalo mnie z wrażenia. Ledwie oddychałam. Znów położył mi rękę na ramieniu.

- Anne, wszystko w porządku?

Boże, miałam już dość tego, że ludzie wciąż mnie o to pytają. Strząsnęłam jego dłoń i starałam się złapać oddech.

- Jak mogłeś? Wyglądał ponuro.

- Musiałem. Dostałem zaliczkę, którą już wydałem. Poza tym zapłacili za usługi Blythe & Company. Wydawca nalegał. Gdybym odmówił, pozwaliby mnie.

- Czyli chodzi tylko o pieniądze?

- Nie, Anne. Nie w tym sensie, co myślisz. Ale tak właśnie zarabiam na życie. Jeśli nie wydam tej książki, już nigdy niczego nie wydam. Co niby miałbym ze sobą zrobić, gdybym już nie mógł pisać? Tylko to potrafię. Tylko w tym' jestem dobry.

Poczułam przebłysk współczucia. Nie wiedziałam, co bym zrobiła, gdybym sama musiała się zmierzyć z taką sytuacją. Na szczęście ja nie popełniłam takiego błędu.

-Może takie właśnie powinny być tego konsekwencje.

-Myślałem o tym. Ale czułem też, że muszę skończyć tę książkę. Dla siebie. Dla ciebie. Dla nas. Ale zmieniłem ją, Anne. Zmieniłem.

- Zmieniłeś?

-Tak. Dostałem zgodę. Jest inna, przysięgam... Przerwałam mu. Mój gniew wrócił, przyćmiewając tamten przebłysk współczucia.

- Nadal opowiada o tym, jak cię ze mną wyswatali? -Tak, ale...

Powstrzymałam go gestem dłoni.

- Ty wciąż jesteś sobą, ja wciąż jestem sobą i wszystko, co się wydarzyło w książce, to tak naprawdę to, co zdarzyło się nam?

-Tak, ale...

- Jack, czy ty nic nie rozumiesz? Prosiłam cię tylko o jedną rzecz. Prosiłam, żebyś nie publikował tej książki. A ty przychodzisz, zgrywasz smutnego i pełnego żalu, ale i tak ją wydajesz. Więc chyba tak naprawdę niczego nie żałujesz, co?

Wyglądał na zranionego. Bardzo zranionego.

- Jak możesz tak mówić? Popatrz na mnie. Jestem kompletnie rozbity. Jasne, że żałuję. Kocham cię, Anne. Kocham cię.

Serce zatrzepotało mi przy tych słowach, ale starałam się nie zwracać na to uwagi. Swojemu sercu nie zawdzięczałam zbyt wiele.

- Ale i tak robisz wszystko tak samo. Choćby dzisiaj. Zanim powiedziałaś mi o tym, że wydajesz książkę, spytałaś, czy możemy do siebie wrócić. Najpierw zagrałaś tą kartą. Wciąż próbujesz coś przede mną ukrywać.

- To nie tak. Chciałem się z tobą spotkać, żeby ci powiedzieć, że wychodzi moja książka. To drugie wypłynęło tak po prostu. Przy tobie się nie kontroluję.

- Przyszedłeś tu tylko po to, żeby powiedzieć mi o książce?
- Tak, ale...

- W takim razie chyba już skończyliśmy.

Wstałam i omal się nie przewróciłam. Jack wyciągnął ręce, żeby mnie złapać, ale odsunęłam się i prawie wybiegłam z baru. Na zewnątrz nabierałam pełne płuca powietrza, starając się uspokoić oddech. Z trudem powstrzymywałam się przed wymiotowaniem na chodnik, przed powrotem do środka i przyłożeniem Jackowi.

- Anne.

- Zostaw mnie w spokoju, Jack. Proszę.

Nie chciałam na niego patrzeć. Nie chciałam, żeby zobaczył, jak płaczę. Nie chciałam go już więcej widzieć.

- Anne. - Wziął mnie w ramiona i przycisnął do siebie.

- Proszę, Jack, nie - wymamrotałam w jego koszulę.

Przycisnął mnie mocniej i przestałam się opierać. Wdychałam jego zapach: zapach mydła i lasu, zapach małego chłopca. Czułam, jak jego dłonie przesuwają się po moich plecach i wplatają we włosy. Jego szorstkie dłonie na gładkich włosach. Zaczął całować moją twarz przy linii włosów, przy uchu, i mamrotać słowa, których nie rozumiałam i nie

wiedziała, czy chce zrozumieć. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy przesunął ustami po moim policzku. Potem jego wargi dotknęły moich i zaczęliśmy się całować. Trwało to chwilę.

Położyłam mu dłonie na piersi i odepchnęłam go.

- Jack, nie. Nie mogę.

Odwróciłam się. Łzy spływały mi strumieniami po twarzy, nie mogłam ich powstrzymać. Zobaczyłam taksówkę i wybiegłam na ulicę, żeby ją zatrzymać. Czułam, że Jack stoi za mną, ale nie się odwróciłam. Taksówka podjechała, otworzyłam drzwi i wsiadłam.

Usłyszałam stukanie w szybę. Podniosłam wzrok. Jack trzymał otwartą dłoń na sercu. Po jego twarzy spływały łzy. Odezwał się. Słyszałam ton jego głosu i odczytałam słowa z warg.

- Przepraszam - powiedział. - Przepraszam.

ROZDZIAŁ 25

ROZBRZMIEWA DZWON

Spotkanie z Jackiem cofnęło moje myśli do chwili, gdy kazałam mu się wyprowadzić. Spędzałam dni, starając się o nim nie myśleć, a w nocy, gdy spałam, śniło mi się, jak całował mnie przed barem. Zbyt często łapałam się na rozmyślaniu, czy moglibyśmy zacząć od początku, czy mogłabym zdobyć się na to, by wybaczyć mu oszustwo. Gdy opowiedziałam Sarah o naszej rozmowie, nie sprawiło mi to żadnej przyjemności, tak samo jak jej zaskoczenie tym, że Jack wydaje książkę. Bo, niestety, zakaz publikacji nie był prawomocny, a proces byłby jawny, co znaczyłoby, że wszyscy - nie tylko moi przyjaciele - dowiedzieliby się, kim jest główna bohaterka książki.

Po trzeciej bezsennej nocy uświadomiłam sobie, że muszę w końcu z kimś porozmawiać. I choć nie byłam pewna, czy mogę się spotkać z doktorem Szwickiem, wiedziałam, że powinnam się zwrócić właśnie do niego. Doktor Szwick ze swoimi dziwnymi metodami, wnikliwymi spostrzeżeniami i wiedzą o nas obojgu był jedyną osobą, która mogła pomóc mi zrozumieć, czego chcę.

Gdy zadzwoniłam, żeby się umówić, recepcjonistka się zawahała i poprosiła, żebym zaczekała. Uśmiechnęłam się do siebie, wyobrażając sobie zaskoczenie moim telefonem, nawet u przewidującego doktora Szwicka. Gdy czekałam, przyszło mi do głowy, że może mi odmówić spotkania. Zwłaszcza po scenie w biurze panny Cooper. Kiedy jednak recepcjonistka znów się odezwała, powiedziała, że mogę przyjść na sesję w normalnych godzinach mojej piątkowej terapii.

Któregoś wczesnego popołudnia pod koniec jesieni, gdy pierwsze płatki śniegu spadały na ziemię, usiadłam w znajomym fotelu naprzeciw doktora Szwicka i jego czarnego notesu. Ballada o Jacku i Anne.

- Jest pan zaskoczony, że przyszłam?
- Trochę tak.
- Zapewne słyszał pan o Jacku? -Tak.
- I o mojej wizycie u panny Cooper? Uśmiechnął się.
- Mówiło się o tym w całej firmie.
- To dlaczego zgodził się pan ze mną spotkać?
- Uznałem, że jestem ci to winien, Anne. Jeśli uważasz, że potrzebujesz mojej pomocy, chcę, żebyś ją otrzymała.
- Dziękuję.
- Nie ma sprawy. Powiesz mi, dlaczego przyszłaś?
- Dobrze.

Opowiedziałam mu, jak się dowiedziałam o Jacku od Sarah i o naszym spotkaniu w zeszłym tygodniu. Gdy skończyłam, odłożył pióro i zamknął opowieść o mnie i Jacku.

- Jak sobie z tym wszystkim radzisz?
- Czasami bywa lepiej, czasami gorzej, ostatnio raczej gorzej.

- Wydajesz się zaskoczona. Podciągnęłam krawędź golfu pod podbródek.

- Po prostu myślałam, że już mi minęło.

- A gdy go zobaczyłaś, zrozumiałaś, że jest inaczej? -Tak.

- Co sprawiło, że doszłaś do takiego wniosku? Poczulałam wspomnienie ust Jacka na swoich.

- Wszystko. To, że wyglądał na takiego smutnego. To, że w pewnym sensie wciąż było mi łatwo z nim rozmawiać. Dotyk jego dłoni na moim ramieniu. Nie sposób wskazać jednej rzeczy. To wszystko jest ze sobą powiązane.

- Wydaje się, że ciągle jesteś w nim zakochana.

- Wiem. Ale nie jestem pewna, czy tego chcę.

- Bo nie potrafisz mu wybaczyć?

- A powinnam?

- Sama musisz o tym zdecydować, Anne. Spróbowałam się uśmiechnąć.

- Miałam nadzieję, że pan to za mnie zrobi.

- Chyba znasz mnie trochę lepiej.

-Tak, ale... możemy wykonać to ćwiczenie z fotelem? Oderwanie się od ziemi w dziwny sposób sprawia, że wszystko staje się prostsze.

- Możemy tego spróbować, jeśli chcesz, ale celem tego ćwiczenia było wprowadzenie cię na drogę świadomego życia. Chyba wiesz, co chcesz zrobić i tak naprawdę nie potrzebujesz ani mnie, ani tego fotela, żeby to sobie uświadomić.

- Myli się pan. Naprawdę potrzebuję pomocy. Nie ustępowałam.

- To nieprawda. Musisz po prostu być ze sobą szczerą co do tego, jak chcesz przeżyć swoje życie. Kiedy już to odkryjesz, będziesz wiedziała, czego chcesz i jak to zdobyć.

Wczesnym rankiem w dniu ślubu Sarah przysłała do mnie paczka. Poznałam na niej pismo Jacka: moje nazwisko zapisane jego kanciastymi literami. Położyłam ją na stole w kuchni. Opatulona szlafrokiem wpatrywałam się w nią przez chwilę, pijąc poranną kawę. Przeczuwałam, co jest w środku, ale nie byłam pewna, czy jestem dość silna, by się z tym zmierzyć.

W końcu sięgnęłam po kuchenne nożyczki i rozcięłam opakowanie. W środku było parę mniejszych paczek: plik zdjęć, spięty komplet dokumentów, małe pudełeczko i egzemplarz książki Jacka.

Zaczęłam od dokumentów. To był wniosek o unieważnienie małżeństwa, który przygotowała Sarah, ten, którego Jack nie podpisał. Tyle że teraz już go podpisał. Nazwisko „Jack Harmer” widniało na trzech egzemplarzach tuż nad moim. A więc to był koniec. Już nie byliśmy małżeństwem. Nigdy nie byliśmy.

Sięgnęłam po fotografie i zaczęłam je niespiesznie przeglądać. To były zdjęcia, które Jack zrobił w Meksyku. Hotel, w którym mieszkaliśmy. Ocean w samo południe, ocean przy zachodzie słońca. Było jedno świetne nocne zdjęcie palmy na plaży, której pień owinięty był sznurem lampek. Były też nasze zdjęcia z wycieczki - te, które zrobiliśmy ze szczytu piramidy w dżungli. Zdjęcia wykonane przeze mnie: Jack czytający przy basenie, Jack gryzmolący coś w swoim notesie. W tym jego cholernym notesie. Pewnie gryzmolił coś o mnie.

Ostatnie zdjęcie przedstawiało nas leżących razem w hamaku. Spałam na plecach, twarz miałam czerwoną od snu i słońca. Jack zwinął się, obejmując mnie całym ciałem, jakby chciał mnie ochronić. Nie wiedziałam, kto zrobił to zdjęcie. Pewnie ktoś pomyślał, że wyglądamy uroczo i po prostu sięgnął po aparat leżący obok nas.

Wpatrywałam się w to zdjęcie, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Nagle uświadomiłam sobie, że płaczę. Otarłam pospiesznie twarz i otworzyłam drzwi - stał w nich William. Tylko na mnie spojrzął i bez słowa mnie objął, przytulając moją głowę do swojej piersi i pozwalając mi się wypłakać. Zaprowadził mnie na kanapę i czekał, aż się uspokoję i znów będę w stanie mówić.

- Co się stało? - spytał łagodnie.

Podalam mu zdjęcie, które wciąż ściskałam w dłoni.

- Jack mi to przysłał.

- Aaa.

- Przysłał mi też książkę. I jakieś pudełko. Nie wiem, co jest w środku.

- Nędzny robak - powiedział głucho.

- Sam jest nędznym robakiem.

- Wiem, przecież właśnie to powiedziałem. Wypłatałam się z jego uścisku.

- Co to za ton? Zabrzmiało to, jakbyś go bronił.

- Nie bronię go, Anne. Po prostu nie uważam, że jest złym człowiekiem tylko dlatego, że wysłał ci zdjęcia, książkę i dlatego, że próbuje cię odzyskać.

-Nie?

- Nie. Zastanów się nad tym, Anne. Gdyby nie próbował tego zrobić, pewnie byłabyś jeszcze bardziej wściekła.

- No dobra, cwaniaku. Ale to nie znaczy, że nie jest nędznym robakiem.

-Rozumiem. Ale to pokazuje, że ma też swoje dobre strony.

- Nie pomagasz mi. Nie chcę się zastanawiać nad dobrymi stronami Jacka.

- Przepraszam.

- Tak właściwie to po co przyszedłeś?

- Umówiliśmy się, nie pamiętasz? Mieliśmy pobiegać...

Pokazał na siebie i po raz pierwszy w życiu zobaczyłam Williama w spodniach do joggingu i w bluzie z Gore-Teksu z długim rękawem.

- Zapomniałaś?

- Rozproszyłam się. Wyglądał na zrezygnowanego.

- Pokażesz mi tę książkę?

Poszłam po nią do kuchni, biorąc też pudełeczko, które przyszło razem z nią. Okładka książki była biała, był na niej bukiet kwiatów. Gdy na nią patrzyłam, zrozumiałam, że bukiet był uderzająco podobny do tego, który Jack dał mi w dniu naszego ślubu. Nie wiedziałam, czy zacząć krzyczeć, czy płakać.

Rany, miałam już dość płaczu.

Podalam książkę Williamowi. Zaczął przerzucać kartki.

- Przeczytasz ją?

- Nie sądzę.

- Zdołasz się oprzeć?

- Już ją czytałam, zapomniałaś?

- Chyba mówił, że ją zmienił? -No i?

- Nie jesteś ciekawa? Tak. Nie. Może.

- Nie bardzo.

Chyba mi nie dowierzał.

- Nie dość, żeby ją przeczytać - powiedziałam.

- Może cię zaskoczy.

- Znowu go bronisz! Podniósł ręce przed siebie.

- Spokojnie, Anne. Przysięgam, że tak nie jest.

- Chcesz ją przeczytać?

- I powiedziec ci, co w niej jest?

- Może.

- Nie. Nie ma szans.
- Czemu nie?
- Nie mam zamiaru znosić doli posłańca.
- Bydlak.

Zerknął na pudełko, które trzymałam w dłoni.

- Otworzysz to?
- Sama nie wiem. Myślisz, że poprawi mi to nastrój czy pogorszy?

- Nie mam pojęcia, Anne.

- Jak zwykle jesteś bardzo pomocny. - Przygryzłam wargę. -
No dobra, otworzę.

Uchyliłam wieczko małego srebrnego pudełeczka. W środku znalazłam różowe emaliowane serduszko na plecionym złotym łańcuszku. Końce palców zaczęły mi drżeć.

- O co tu chodzi? - spytał William.
- To oznacza, że ciągle próbuje mną manipulować.
- Skąd taki wniosek?
- Chyba mówiłeś, że przeczytałeś moją książkę. Odwrócił wzrok z poczuciem winy.

- Tak mówiłem?

- Tak. I jeszcze, że jest bardzo dobra i zabawna...

- No cóż, zacząłem ją czytać, ale takie rzeczy mi nie leżą.

- Do której strony doszedłeś?

- Dwudziestej dziewiątej?

- Jej. Dzięki, że dałeś jej szansę. Gdybyś przeczytał moją książkę, wiedziałbyś, że Ben wysłał Lauren taki sam naszyjnik, kiedy ze sobą nie rozmawiali. To jej uświadomiło, że może powinni do siebie wrócić... Właściwie to pożyczyłam ten pomysł z jednej z książek o Ani z Zielonego Wzgórza.

- Czyli uważasz, że to dlatego Jack wysłał ci naszyjnik? Żeby cię nakłonić do zmiany zdania?

- Na sto procent.

- W czym problem? Boisz się, że mu się uda? Tak. Nie. Może.

- Nie musisz być taki wnikliwy.
- Potraktuję to jako komplement.
- To jak? Idziemy biegać czy nie?
- W tym będziesz biegać?
- Daj mi chwilę, przebiorę się.

Odłożyłam książkę i naszyjnik na łóżko, po czym przebrałam się w ciuchy do biegania: stary dres, który pamiętał czasy szkoły średniej. Spojrzałam na książkę. Jakaś część mnie chciała wrzucić ją do śmieci. Inna chciała ją przeczytać. Nie wiedziałam, która z tych części wygra. Wróciłam do salonu. William zaczął się śmiać.

- No co?
- To jest twój strój?

Spojrzałam na siebie. Wyglądałam trochę jak Ally Sheedy w *Grach wojennych*.

- A co w nim złego?
- Zupełnie nic, Anne, o ile biega się w **1984** roku. Masz też walkmana, czy to dla ciebie zbyt zaawansowana technologia?
- Radzę ci szybko biec, chłopaku.

Pół godziny później wróciliśmy z Williamem z naszej żalösnej próby biegania. Wzięłam szybki prysznic i pojechałam taksówką do salonu fryzjerskiego, gdzie miałam się spotkać z Sarah.

To był jeden z tych staromodnych salonów, do których kobiety w wieku mojej babci przychodzą regularnie, by zrobić sobie trwałą. Były tam nawet takie suszarki z blado-niebieską emalią - takie w kształcie stożków opuszczanych na głowę - ustawione w rzędzie w głębi pomieszczenia. Powietrze pachniało spalonymi włosami i preparatami

chemicznymi. Zastanawiałam się, jak to się stało, że Sarah tu trafiła. Siedziała na fotelu, wyglądała na podenerwowaną. Pocałowałam ją w policzek.

- Co tam?

Wskazała na swoją głowę.

- To drugie podejście.

Fryzjerka miała pełną skupienia minę. Zgarniała drobne kosmyki włosów Sarah i kolejno je upinała.

- Ładnie.

- Powiedziałaabyś, gdyby było inaczej?

- Nie jestem pewna.

- Anne!

- No jasne, że bym powiedziała, głuptasie. Wyglądasz świetnie.

To była prawda. Fryzura składała się z delikatnych, opadających miękko loków. Sarah wyglądała... jak panna młoda.

Umyto mi włosy i posadzono na fotelu obok niej. Na ramionach miałam jasnoróżowy ręcznik.

- Wyglądasz na wycieńczoną - powiedziała Sarah.

- Rano poszłam z Williamem pobiegać. Uśmiechnęła się.

- Znów się wystroiłaś w ten paskudny strój rodem z lat osiemdziesiątych?

- Ej, wyglądam w nim uroczo.

- Wydaje ci się, że wyglądasz jak Ally Sheedy. -No i?

- Nie wyglądasz.

- Sarah, gdyby to nie był dzień twojego ślubu, zapłaciłabyś mi za to.

- Ale to jest dzień mojego ślubu. Uśmiechnęłam się do niej w lustrze.

- Zgadza się.

- Straszne.

- Wiem. Zmarszczyła się.
- Głupio mi, że jestem taka szczęśliwa, kiedy...
- Rany, nie przejmuj się. Poza tym to normalne, że się denerwujesz w dniu ślubu. Ja się denerwowałam. - Uśmiechnęłam się, żeby pokazać, że wszystko ze mną w porządku.
- To normalne, tak? To normalne, że się denerwuję. To normalne, że się denerwuję, to normalne...
- Położyłam jej dłoń na ramieniu.
- Będzie dobrze, zobaczysz.
- Wiem. To, co dziś zrobię, jest właściwe. - Wyglądała na tak szczęśliwą, że poczułam, jak do oczu napływają mi łzy. To były chyba łzy radości. Ostatnio płakałam tak dużo, że trudno mi było to ocenić.
- Przestań - powiedziała Sarah. - Bo sama zaraz zacznę i będę musiała poprawiać makijaż.
- Otarłam łzy.
- Przepraszam. Ej, powiedzcie ci coś śmiesznego? - Nie byłam pewna, czy to śmieszne, ale chciałam zmienić temat.
- Dostałam dzisiaj pocztą egzemplarz książki Jacka.
- Na jej twarzy malował się taki sam wyraz jak wtedy, gdy powiedziała mi o spotkaniu z Jackiem.
- Sarah?
- Proszę, nie bądź na mnie zła, Anne.
- Za co miałabym być zła? -Czytałam ją.
- To znaczy?
- Parę dni temu Jack przesłał mi ją i przeczytałam. Starłam się udawać obojętność.
- I co, dobra jest?
- Co chciałabyś wiedzieć? Masz zamiar ją przeczytać? Tak. Nie. Może.
- Nie sędzę.

- Czemu nie?
- Nie wiem, czy będę w stanie.
- Uważam, że powinnaś ją przeczytać, Anne.
- O co chodzi z tym, że on wysłał ją do ciebie? Nie podoba mi się to, co się między wami dzieje. Może niedługo zaczniesz z nim chodzić na piwo?

- Nie bądź niemądra. Myślę, że wysłał mi ją z tego samego powodu, z którego przedtem mnie szukał. Chciał, żebym cię przekonała do przeczytania.

- Jego strategia chyba działa. - Wiedziałam, że mówię to nadąsanym tonem, ale miałam wielką ochotę odrobinę się obrazić.

- Anne, jestem twoją najlepszą przyjaciółką. Nie mówiłabym ci, żebyś coś zrobiła, gdybym nie uważała, że to będzie dla ciebie dobre. On mnie nie obchodzi. Ale myślę, że gdy ją przeczytasz, poczujesz się lepiej. Może dzięki temu uda ci się zostawić to za sobą.

Fryzjerka Sarah wzięła do ręki lakier do włosów, żeby utrwalić swoje dzieło.

- Chwila. Proszę jej tego nie nakładać! - Wyciągnęłam rękę i osłoniłam głowę Sarah od lakieru.

- Dzięki - powiedziała Sarah, obracając do mnie swój fotel. - No i? Jak ci się podoba?

- Wyglądasz pięknie.

Tak wyglądała. Piękna, szczęśliwa, gotowa na ślub kobieta.

Zastukałam w swój kieliszek z winem, żeby skupić na sobie uwagę zebranych. Byłam w jasnoróżowej sukni drużyny, patrzyłam na salę pełną odświętnie ubranych ludzi. Duże okrągłe stoły mieniły się od świec oraz białych i różowych tulipanów.

- Chciałabym powiedzieć parę słów o Mikeu. To znaczy o Sarah, oczywiście o Sarah (śmiech). Cóż mogę powiedzieć

o Sarah? Po pierwsze: myślę, że zasługuje na brawa jako organizatorka tego wspaniałego wydarzenia (oklaski). Nie wyobrażacie sobie, ile list powstało po drodze do tego celu, ile drzew zginęło pod niekończącymi się projektami i poprawkami projektów (ciche śmiechy). Ale poważnie, dzisiejszy wieczór jest wspaniały, a chyba wszyscy wiedzą, że planowanie imprez to nie jest mocna strona Mikea (wrzask pijanego kumpla ze studiów, którego nie mogłam zidentyfikować). No dobra, dość żartów, zanim Sarah na zawsze przestanie się do mnie odzywać. Naprawdę chcę powiedzieć parę słów o mojej najlepszej przyjaciółce. Poznałyśmy się w trzeciej klasie. Do naszego spotkania doprowadziło chyba pilne zapotrzebowanie na spinę (łatwo się domyślić, kto jej potrzebował, a kto ją miał). Wiem tylko, że minutę wcześniej był to najgorszy dzień w moim młodzieńczym życiu, a minutę później znów wszystko było w porządku. Od tamtego czasu już zawsze był przy mnie ktoś, kto bezwarunkowo mnie wspierał. Gdy się o tym mówi, brzmi to jak frazes, ale tak naprawdę ktoś taki to ogromna rzadkość. Ktoś, na kogo zawsze można liczyć, to skarb. A Mike był gotów wspierać Sarah, odkąd się poznali. Dostrzega, jaka jest piękna i mądra, ale wiem, że kocha ją też za jej małe dziwactwa. Chciałabym zatem wznieść toast za Mikea i Sarah. Sarah, jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką mogłam sobie wymarzyć. Nie wiem, jak udałoby mi się przejść przez życie bez ciebie. A ty, Mike, przywróciłeś mi wiarę w szczęśliwe zakończenia. Za Mikea i Sarah.

Podniosłam kieliszek, wszyscy w sali zrobili to samo. Upiłam łyk szampana i podeszłam do Sarah przy aplauzie gości. Jej oczy lśniły od łez. Uścisnęłyśmy się i wyszeptała: - Przeczytaj książkę, Anne.

- Chyba zostaliśmy tylko my. - William wyciągnął rękę, zapraszając mnie do tańca. W ciemnym garniturze z białą różą w klapie wyglądałby poważnie i przystojnie, gdyby nie jego niesforne włosy. Podałam mu rękę i zajęliśmy miejsce na parkiecie między krewnymi Sarah i jej znajomymi ze studiów. Zespół grał starą piosenkę U2. William prowadził mnie po parkiecie raz wolno, raz szybko. Czułam się jak w liceum. Wyglądaliśmy komicznie, trochę zwracaliśmy na siebie uwagę. Sarah i Mike, promieniejący, podpici i wyczerpani, odjechali parę minut wcześniej.

- Zupełnie jak w końcówce *Mój chłopak się żeni* - powiedziałam.

- Ale to Sarah wyszła za męża.

- Nie, głuptasie, chodzi mi o film z Julią Roberts... Wiesz, ten, w którym starała się zepsuć ślub swojego najlepszego przyjaciela i na koniec wylądowała na parkiecie z przyjacielem-gejem.

William się ode mnie odsunął.

- I ja mam być tym gejem?

Wywróciłam oczami.

- Po prostu tak się czuję.

- Nie jestem gejem, Anne.

- Wiem o tym, William.

- W zeszłym tygodniu byłem na randce. Z kobietą. Może nawet znów do niej zadzwonię.

- Świetnie. W każdym razie wylądowała na parkiecie ze swoim przyjacielem. Lepiej?

Znów zaczął prowadzić mnie w tańcu.

- No i? Brzmi jak cholernie dobry film.

- Tak, tylko że ona na końcu zostaje sama. Nie udaje jej się zdobyć tego faceta.

- A chciała tego faceta?

- Nie o to chodzi. Ważne, że chciała jakiegoś faceta.

- Chcesz mi powiedzieć, że ty go zdobędziesz?

- Może.

Dotknął różowego emaliowanego serduszka na jej szyi.

- Możesz go mieć, jeśli tylko chcesz, Anne.

ROZDZIAŁ 26

DRUGIE PODEJŚCIE

O pierwszej w nocy William wysadził mnie pod mieszkaniem. Wyczerpana, opadłam na kanapę. Zdjęłam szpilki, w których od paru godzin umierałam, i rzuciłam je w kąt. Uderzyły o drewnianą podłogę z przyjemnym stuknięciem. Teraz oczywiście, gdy już nic mnie nie rozpraszało, zaczęłam myśleć o książce Jacka. Leżała w sypialni, tam gdzie ją zostawiłam, i czekała, tak samo jak Jack czekał na mnie kiedyś, gdy musiałam pracować po nocy, by oddać tekst w terminie. Gdy wróciłam, czytał w łóżku, ale wiedziałam, że na mnie czekał. Usiadłam obok niego i pocałowałam go na powitanie, a on przesunął mi rękę po policzkach w ten swój sposób i pocałował mnie w ten swój sposób. Pocałunki schodziły w dół po mojej twarzy, szyi i niżej, niżej, wszędzie, a potem kochaliśmy się, nie mówiąc już ani słowa. Było to tak silne doznanie, że gdy teraz, wiele miesięcy później, o tym myślałam, zaczynałam się rumienić. Później leżeliśmy w łóżku i rozmawialiśmy długie godziny. O moim artykule, o dziwnej rozmowie, którą słyszał w parku, gdy zrobił sobie przerwę w pisaniu, o moim ulubionym parku z czasów dzieciństwa, o wielu innych

rzeczach, których już nie pamiętałam. Nasza rozmowa była prawie tak intensywna jak seks. Było cudownie leżeć w jego ramionach i rozmawiać o wszystkim, co przyszło nam do głowy. Byłam pewna - bo czasem ma się taką pewność co do innych ludzi - że oboje najbardziej chcemy właśnie tego: rozmawiać ze sobą. Zwalczyliśmy sen i tłumiliśmy nawet podniecenie, które mogłoby doprowadzić do drugiego razu, żeby rozmawiać, rozmawiać, rozmawiać.

Książka w sypialni mnie wzywała. Znów chciałam usłyszeć głos Jacka. Chciałam usłyszeć, jak mówi do mnie wśród nocy. Jak mówi mi rzeczy, których nie wiedziałam, albo pokazuje to, co znam, z nowej perspektywy. Chciałam spojrzeć na świat z jego perspektywy. Książka w sypialni mnie wzywała.

W końcu oczywiście się poddałam. Poszłam do sypialni i wzięłam ją do ręki. Przesunęłam dłońmi po zdjęciu mojego ślubnego bukietu. Otuliłam się kołdrą, otworzyłam książkę i zaczęłam czytać:

Małżeństwo takie jak moje Prolog

Przez całe życie miałem wyobrażenie o tym, jak będzie wyglądać i jaka będzie kobieta, którą w końcu poślubię. Brzmi to głupio, jak coś babskiego, ale tak jest. Nie wiem, skąd mi się wzięło to wyobrażenie. Może to była ta dziewczynka, którą ciągnąłem za warkoczyki, zamiast powiedzieć, że mi się podoba. Może mi się przyśniła. Może ją zmyśliłem. Ale wiedziałem, że gdzieś tam jest.

Dorostłem. Poznałem inne kobiety. Zakochałem się parę razy. Ale nigdy nie przestałem na nią czekać. Aż w końcu się pojawiła.

Stałem przed jej drzwiami. Miałem do nich zapukać. Miałem sprawić, by została moją żoną. Przedstawiono nas sobie dzień wcześniej. Byłem potwornie zdenerwowany. Chociaż

znaliśmy się dopiero jeden dzień, czułem się tak, jakbym czekał na nią całe wieki.

Spotkaliśmy się w sali przypominającej miniaturę areny do korridy na czasach all-inclusive w Cancun w Meksyku. Pojechałem tam właśnie po to, by ją poznać i się z nią ożenić. By ją poznać, ożenić się z nią, żyć z nią przez jakiś czas, a potem ją zostawić i napisać o tym książkę.

Ona pojechała tam, bo wierzyła, że firma organizująca wyjazd do Meksyku, dobierając nas, kierowała się tym, czy do siebie pasujemy a ja miałem być najwłaściwszym dla niej partnerem. Pojechała tam po to, by wyjść za mnie, nie znając mnie, nic o mnie nie wiedząc, nie oglądając wcześniej nawet mojego zdjęcia.

Gdy po raz pierwszy stanęliśmy twarzą w twarz, uścisnęliśmy sobie dłonie tak jak pozostałe pary, które były tam z tego samego powodu.

Zaprowadziłem ją do najbardziej romantycznego baru, jaki poprzedniej nocy znalazłem w okolicy. Usiedliśmy przy stoliku, patrząc na siebie ze skrepowaniem. Zastanawialiśmy się, co powiedzieć.

Przyglądałem się jej twarzy. Wyglądała tak, jak ją sobie wyobrażałem. Biała skóra, nos usiany piegami. Zielone oczy, które w pewnym świetle wydawały się szare. Długie, bardzo rude włosy. Inteligentna twarz.

Znałem tę twarz. Znałem ją z wieloletnich snów i z poszukiwań przed wyjazdem do Meksyku. Nie powinienem był jej znać ani też niczego o niej wiedzieć. Gdybym był tam z odpowiedniego powodu, zobaczyłbym ją wtedy po raz pierwszy. Jednak z powodu książki, którą zamierzałem napisać, wiedziałem o niej zbyt wiele. Miałem przewagę.

Zamówiliśmy drinki i siedząc naprzeciw siebie, wpatrywaliśmy się jedno w drugie, choć udawaliśmy, że tego nie robimy. W końcu przerwałem milczenie.

- Dziwnie, prawda? - powiedziałem. - Ito bardzo - zgodziła się.

- Nawet nie wiem, jak masz na nazwisko - powiedziałem, chociaż oczywiście to wiedziałem. - Ja jestem Jack Harmer.

Podala mi swoje nazwisko. Znów skłamałem, pytając, dlaczego jej nazwisko brzmiało mi znajomo. Odparła, że pisze do magazynu. Udałem, że przypominam sobie jeden z jej artykułów i zażartowałem z tematu.

Wiedziała, że też piszę. To była jedna z nielicznych informacji, które jej o mnie podali i które miała prawo znać, więc zaczęliśmy rozmawiać o mojej twórczości.

Ponieważ często piszę o podróżach, spytałem, czy lubi spędzać czas poza domem. Powiedziała, że czasami, może trochę.

Potem zadała mi pytanie, na które czekałem.

- Mogę cię o coś spytać? - powiedziała z nerwowym drżeniem.

- Co ja tu robię? - odparłem.

Zaczerwieniła się: jej skóra od szyi po końce uszu przybrała jasnorożowy odcień.

- Tak.

- No cóż... Jestem tu z tego samego powodu co większość, jak sądzę. Byłem w paru dłuższych związkach, które nie wypaliły. Pracuję prawie cały czas sam, więc ciężko kogoś poznać. Mam trzydzieści cztery lata i zawsze myślałem, że w tym wieku będę już miał żonę i dzieci. Któregoś razu usłyszałem o tej firmie od kogoś, kto korzystał z jej usług. Wciąż jest żonaty, szczęśliwy i ma dzieci, więc stwierdziłem, że raz kozie śmierć.

Tę odpowiedź przygotowałem sobie już wcześniej. Wydawała mi się wiarygodna, na bardziej wiarygodną nie było mnie stać.

Uśmiechnęła się do mnie. Miała ładny uśmiech. - Czyli jesteś całkowicie normalny?

Roześmiałem się i położyłem dłoń na sercu. -Przysięgam, że jestem całkowicie normalny. A ty? Powiedziała mi, dlaczego tam była: parę nieudanych związków, chęć założenia rodziny. Wszystko do przewidzenia.

- Czyli ty też jesteś całkowicie normalna? - spytałem. Skrzyżowała palce na sercu.

- Przysięgam na wszystko.

Wpatrywaliśmy się w siebie i wtedy coś poczułem. Była między nami więź, porozumienie. Od dawna nie poczułem czegoś takiego. Może nigdy.

Poszliśmy na kolację i opowiedzieliśmy sobie historie naszego życia. Godziny mijały. Po kolacji miała chwilę zwątpienia, ale przekonałem ją do małżeństwa. Pocałowałem ją po raz pierwszy na plaży przy świetle księżyca i dałem jej prosty srebrny pierścionek z turkusem. Potem widziałem, jak flirtuje z innym facetem, i poczułem zazdrość. Powiedziała, że nie mam się czym przejmować, i znów ją pocałowałem, przyciskając mocno do siebie.

I tak oto stałem przed jej drzwiami następnego ranka, zastanawiając się, czy zapukać. Czy naprawdę mam się ożenić z kobietą, na którą czekałem tyle lat? W taki sposób? A potem to zrobiłem.

Zastukałem do jej drzwi. Wyglądała tego ranka bardzo ładnie w kremowej sukience. Odgarnięte z twarzy włosy opadały jej na ramiona. Zarumieniona od słońca skóra podkreślała zieleń jej oczu.

Wziąłem głęboki wdech i spytałem:

- Jesteś gotowa, Emmo? Uśmiechnęła się do mnie nerwowo.

- Jestem gotowa.

- Ślicznie wyglądasz. Uśmiechnęła się szerzej.

- Ty też ładnie wyglądasz.

Wyciągnąłem rękę zza pleców i podałem jej bukietek polnych kwiatów. Podniosła je do świeżo umytej twarzy i wciągnęła ich zapach.

- Pomyślałem, że ci się spodobają.

- Dziękuję, Jack, są piękne.

Wzięła mnie pod rękę i przeszliśmy przez hotel do sali, w której odbywały się ceremonie.

Ślubu udzielił nam śmieszny mały człowieczek mówiący z wyraźnym akcentem. Emma w czasie całej tej uroczystości wyglądała, jakby za chwilę miała się roześmiać. Spytałem, co ją tak bawi, a ona uciszyła mnie, mówiąc, że powie mi później.

- Czy ty, Emmo Ellen Gardner, bierzesz sobie Johna Grahama Harmera za męża i ślubujesz mu miłość, wierność i uczciwość małżeńską w zdrowiu i chorobie, w dobrej i złej doli oraz że go nie opuścisz aż do śmierci?

Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Tak.

W jej głosie słychać było zdenerwowanie, ale powiedziała „tak”. Potem urzędnik skierował do mnie to zapytanie i ja też powiedziałem „tak”. Wymieniliśmy obrączki, a on ogłosił nas mężem i żoną. Pocałowałem jej miękkie usta i już byliśmy małżeństwem.

Ale wyprzedzam fakty. Powinienem zacząć od początku. Powinienem napisać, dlaczego to zrobiłem. Jak ją tym skrzywdziłem. Jak ją straciłem.

Powinienem opowiedzieć, jak doszło do małżeństwa takiego jak moje.

ROZDZIAŁ 27

KSIĘGA OBJAWIEŃ

Tydzień po ślubie Sarah siedziałam w kawiarni, czekając na Williama, kiedy zobaczyłam, że w drzwiach stanął Stuart.

Nie widziałam go od roku, od czasu gdy wyszłam z naszego mieszkania, i w pierwszej chwili miałam ochotę schować się pod stół.

Daj spokój, Anne. To niedorzeczne. Przecież to tylko Stuart. Podniosłam gazetę, którą czytałam, zastanawiając się nerwowo, czy mnie zauważy. Czy w ogóle chciałam, żeby mnie zauważył? Sięgnęłam po kawę i rozlałam ją po całym stole. Świetnie.

- Anne?

Upuściłam serwetkę, za pomocą której usiłowałam ogarnąć bałagan.

- Cześć, Stuart.

Był ubrany w niebieską sztruksową marynarkę, którą dwa lata temu dałam mu na urodziny, i džinsy, które idealnie na nim leżały. Wyglądał, jakby wrócił z wakacji w ciepłych krajach. Prezentował się jak zwykle świetnie.

- Kurczę, dawno się nie widzieliśmy - powiedział.

- Hm, tak.

- Mogę się przysiąc?

- Chyba możesz.

Stuart obrócił wolne krzesło i usiadł, krzyżując ręce na oparciu.

- No, no, Anne Blythe. Nieźle wyglądasz.

Miałam na sobie jasnoniebieski kaszmirowy sweter, który dostałam od mamy pod choinkę. Włosy spięłam' w kucyk. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy tak podobałam się Stuartowi. Ze spiętymi czy rozpuszczonymi włosami?

Kogo to, do cholery, obchodzi, Anne? To przecież Stuart.

- Dzięki.

- To co tam u ciebie słychać?

- Po staremu. A u ciebie?

- A, wiesz, po staremu.

Rozejrzał się, wyraźnie szukając czegoś, na czym mógłby skupić wzrok. Zawsze tak robił. Zawsze potrzebował dodatkowej rozrywki oprócz mnie. Stąd pewnie ta zdrada.

Jego wzrok znów skupił się na mnie.

- Słyszałem, że wydałaś książkę.

- Owszem.

-1 jak, jest znośna?

To było w jego stylu. Gdy byliśmy razem, Stuart nigdy nie przeczytał niczego, co napisałam. To oczywiste. Nie było o nim, więc go to nie interesowało.

- Niektórzy tak uważają. Roześmiał się.

- Jak zwykle poważna. Czytałem ją.

- Naprawdę?

-No jasne. Podobała mi się. I bez trudu poznałbym, że to ty ją napisałaś.

- Serio? W jaki sposób?

- Dało się wyczuć tę wiarę w przeznaczenie. Pamiętam, że zawsze uważałaś, że to, czy dwoje ludzi jest sobie przeznaczonych, po prostu wiadomo.

Niech to szlag. Stuart Johnson miał na mój temat jakieś trafne spostrzeżenia. Chyba piekło zaraz zamarźnie.

- Tak, rzeczywiście tak myślałam.

- Myślałaś tak kiedyś o nas? Niestety tak.

- Może, czasami - odparłam.

- Słodziutka dziewczynka.

Rany, naprawdę był cholernym dupkiem. Miałam nadzieję, że trochę to wyolbrzymiłam we wspomnieniach. Ale nic z tego.

Uśmiechnęłam się do niego sztywno.

- Zawsze tak mówiłaś.

- Jesteś z kimś?

- Byłam z kimś.

W jego oczach pojawiła się kpina.

- Byliście sobie przeznaczeni?

Tak myślałam. Szczerze mówiąc, znów zaczęłam tak myśleć, odkąd spędziłam bezsenność nad książką Jacka.

- Wiesz, już nie wierzę w takie rzeczy.

Stuart zaczął się we mnie intensywnie wpatrywać.

- Ciągle jesteś w nim zakochana. Tak, piekło właśnie zamarzło.

- Czemu tak sądzisz?

- Daj spokój, Anne. Znam cię od dawna. Widzę po tobie, że ciągle ci na nim zależy.

- Cóż... zerwaliśmy.

- Przykro mi - powiedział łagodnie. O dziwo.

- Dzięki, Stuart.

-Możesz mi wierzyć lub nie, ale życzę ci jak najlepiej.

Spojrzałam na niego i poczułam się, jakbym widziała go po raz pierwszy. Nie był potworem. Nie był też bogiem. Był po prostu mężczyzną, którego kiedyś znałam.

Zerknął na zegarek.

- Słuchaj, przepraszam cię, ale muszę już lecieć. Nie po gniewasz się?

- Nie ma sprawy. William zaraz tu będzie.

-Wiesz, zawsze myślałem, że jest w tobie zakochany. Roześmiałam się.

- Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby tak było.

- To do zobaczenia, tak?

- Jasne.

Wstał i odwrócił się do wyjścia.

- Stuart. -Tak?

- Dziękuję. -Za co?

Za przypomnienie mi, czego nie chcę. Za to, że okazałeś się takim dupkiem, że musiałam zmienić swoje życie. Za wszystko. Za nic.

- To skomplikowane. Wyszczерzył zęby.

- Wiesz, że nie znoszę komplikacji.

- Wiem.

Parę dni później szłam do baru na spotkanie z Sarah. Właśnie wróciła z podróży poślubnej do Grecji. Zimny wieczór przypominał o tym, że to już niemal zima i że powinnam była włożyć cieplejszy płaszcz. Rozświetlone sklepy czekały na tłum ludzi, którzy przyjdą po pracy na wczesne świąteczne zakupy. Wciąż zachwycała mnie atmosfera tej okolicy: ludzie na ulicach, śmiechy, zapachy unoszące się

z restauracji, kawałek dalej spokojniejsze drogi. Niezależnie od nastroju spacer tymi ulicami zawsze sprawiał, że czułam się lżej, radośniej. Doszłam do skrzyżowania przecznicę od baru i złapało mnie czerwone światło. Po chwili się zmieniło, a moją uwagę przyciągnął jakiś papier przelatujący przez drogę. Przez moment myślałam, że to może być ulotka o premierze książki Jacka, ale gdy ją podniosłam, okazało się, że to informacja o wystawie w muzeum.

Premiera książki Jacka odbywała się tego wieczoru, parę przecznic dalej. Przesłał mi zaproszenie, a ja trzymałam je w mieszkaniu, nie będąc w stanie go wyrzucić. Po części chciałam tam iść, a po części nie byłam pewna, czy jestem już gotowa, by się z nim zobaczyć. Na zaproszeniu była okładka książki Jacka i zdjęcie, które zrobiłam mu któregoś dnia na plaży w Meksyku. Jeśli się dobrze przyjrzeć (a ja się oczywiście przyjrzałam), można było dostrzec w jego oczach odbicie mojej postaci trzymającej aparat.

Zabrzmiało klakson. Wciąż byłam na ulicy. Przeszłam na drugą stronę i przyspieszyłam kroku, nie patrząc, dokąd idę.

Zderzyłam się z jakąś kobietą.

- Przepraszam - wymamrotałam, próbując ją wyminąć.

- Anne? To ty?

Przyjrzałam się dokładniej osobie, którą prawie przewróciłam. To była Margaret. Miała na sobie za wielką czarną pikowaną kurtkę i dzierganą czapkę z pomponem. Jej nos był czerwony od zimna.

- Tak, to ja. Cześć, Margaret. - Próbowałam się uśmiechnąć. - Jak się masz?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Świetnie!

Po chwili uświadomiłam sobie, że głaszcze się po brzuchu. Była mniej więcej w szóstym miesiącu.

- To wspaniale, Margaret. Bardzo się cieszę.

- Dzięki. A jak tam u was? Są już jakieś dzieci? -Nie.

Uśmiechnęła się ze współczuciem.

- Pewnie byliście zbyt zajęci.

Wyglądała na tak szczęśliwą, że nie miałam serca powiedzieć jej tego, co wiedziałam. O Jacku. O tym, że Brian był pewnie losowo wybranym facetem, a nie idealnie dopasowanym mężczyzną.

- Coś w tym stylu. Słuchaj... muszę lecieć... Kiwnęła głową.

- Jasne. Idziesz w tamtą stronę, prawda? Pójdę z tobą. Zanim zdążyłam ją spytać, skąd wie, w którą stronę idę,

już szliśmy w tym samym kierunku, a Margaret trzymała mnie pod ramię.

- Czytałam twoją książkę. Anne. Jest świetna. Poleciałam ją wszystkim znajomym. Moje kółko książkowe przeczytają w przyszłym miesiącu.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Wszystkim mówię o niej i o tym, że cię znam. Ale oczywiście nie o tym, skąd się znamy... nie bój się. - Zachichotała konspiracyjnie. - To, że moje koleżanki wiedzą, gdzie poznałam mojego misia, nie znaczy, że muszą wiedzieć o tobie, prawda?

Zastanawiałam się, kiedy będę mogła się jej wymknąć. I dokąd ona mnie w ogóle prowadziła?

-No i oczywiście nie mogę się doczekać, kiedy przeczytam książkę Jacka. Czytałaś ją? No jasne, że tak. To zabawne, że wpadłam na ciebie, bo dziś rano widziałam plakat o premierze. W ostatniej chwili zdecydowałam się tu przyjść, no, znasz mnie, a potem na ciebie wpadłam i w ogóle...

- Słuchaj, Margaret, idę się spotkać z przyjaciółką. Chyba przecnię temu minęłam bar.

- O czym ty mówisz, Anne? Księgarnia jest przecież tutaj. Idziesz na premierę książki Jacka, prawda? - Zamrugła powoli, szeroko i niewinnie otwierając oczy.

-Hm...

Znów złapała mnie za ramię.

- No chodź, gapo. Co się dzisiaj z tobą dzieje?

Otworzyła drzwi i prawie siłą wciągnęła mnie do księgarni. Pozwoliłam jej poprowadzić się przez przedsionek na antresolę na drugim piętrze. Stała tam krótka kolejka ludzi czekających, aż Jack podpisze im książki. Widziałam jego głowę, jak się pochylał nad otwartą książką, i piszącą rękę. Ukryłam się za kimś, kto stał przede mną. Czy właśnie to się czuje, gdy ma się atak serca?

- Nie idziesz do przodu, Anne?

- Eee... pomyślałam, że zrobię mu niespodziankę... Popatrzyła na mnie.

- Jesteście tacy zabawni.

Wyglądałam zza osoby stojącej przede mną, żeby ukradkiem zerknąć na Jacka. Za nim stała jakaś kobieta. Była wysoką, opaloną blondynką. Bardzo ładną. Pochyliła się i położyła mu dłoń na ramieniu, mówiąc mu coś do ucha.

- Czy to Cameron Diaz? - spytała Margaret.

- Jasne, że nie.

Jack uśmiechnął się na to, co powiedziała mu ta piękna kobieta.

- A bardzo podobna.

- To nie Cameron Diaz, Margaret.

Ale... cholera. Chyba Jack mówił mi wtedy w Meksyku, że tak wyglądała jego była. Myślałam, że mścił się za moje porównanie do Piercea Brosnana. Ale... to musiała być Kate. Kate z książki o rajdzie przygodowym. Czy jak tam naprawdę miała na imię.

Potrzebowałam powietrza.

Zadzwoił mój telefon. Zaczęłam grzebać w torebce, szukając go i pragnąc, żeby był ciszej.

Proszę, nie podnoś wzroku. Proszę, nie podnoś wzroku.

- Halo - wyszeptałam.

- Gdzie ty, do cholery, jesteś, Anne? Czekam na ciebie od dwudziestu minut.

- Przepraszam, Sarah. Wpadłam na jedną znajomą i... poczekasz chwilę?

Schyliłam się i chyłkiem wymknęłam się z kolejki do Jacka. Parę osób zerknęło na mnie dziwnie, ale nie podniosłam się, dopóki nie wyszłam z księgarni.

- Przepraszam. Wpadłam na znajomą z Blythe& Company, która uznała, że idę na premierę książki Jacka. Właściwie to mnie tam zaciągnęła.

- Widziałaś Jacka?

- W zasadzie nie. Tylko z daleka.

- Masz zamiar z nim porozmawiać?

- No nie wiem. Chyba jest tu jego była dziewczyna.

- Czemu tak myślisz?

-Widziałam, jak rozmawiał z dziewczyną, która... To skomplikowane. Jestem po prostu pewna, że to właśnie ona.

- Jak się czujesz?

- Chyba mi niedobrze.

Usiadłam na ławce naprzeciwko wejścia do księgarni i opuściłam głowę między nogi.

- Anne? Wszystko w porządku? - spytała Sarah.

- Nie wiem.

- Co? Mów głośniej. Ledwie cię słyszę.

- Anne? Dobrze się czujesz? - spytał męski głos.

Podniosłam wzrok na Jacka. Serce zaczęło mi walić i zaschło mi w gardle. W starannie wyprasowanych spodniach w kolorze khaki, ciemnoniebieskim swetrze i marynarce

wyglądał tak samo jak wtedy, gdy się poznaliśmy, tak samo jak wiele miesięcy wcześniej.

- To się jeszcze okaże.

Cholera. Czemu to powiedziałam? Czemu powtarzałam coś, co powiedział do mnie, gdy między nami było wszystko dobrze? Po twarzy Jacka poznałam, że zauważył mój cytat z tamtego poranka w Meksyku. Zastanawiał się, czy to dobrze.

Rozłączyłam się. Sarah na pewno zrozumie.

- Co się dzieje? - spytał czujnie.

- Hm, no, zrobiło mi się słabo.

Zaczęłam się trząść. Nie wiedziałam, czy z zimna, czy z powodu bliskości Jacka. Może przez jedno i drugie.

- Wejdiesz do środka?

- Nie wiem.

Wstałam. Nogi miałam jak z waty. Jack zdjął marynarkę i zarzucił mi ją na plecy. Przez chwilę stał tak blisko, że prawie znalazłam się w jego ramionach. Potem się odsunął, a ja tkwiłam tam owinięta marynarką, która była na mnie za duża i pachniała Jackiem. Zakręciło mi się w głowie.

- Dzięki.

- Chciałaś ze mną o czymś porozmawiać? Chciałam? Czemu pozwoliłam, by Margaret mnie tu przyprowadziła? Czemu stałam tutaj, topiąc się w jego marynarce?

- Zaprosiłeś mnie. -Wiem, ale...

- Ale co?

Jack wypuścił oddech, który wstrzymywał.

- Przyszłaś tu z jakiegoś powodu?

Spojrzałam na Jacka - mężczyznę, za którego wyszłam. Mężczyznę, który złamał mi serce. Mężczyznę, przez którego wciąż biło jak szalone. Coś sobie uświadomiłam. Znacie

to uczucie, gdy coś, co jest dla wszystkich oczywiste, w końcu staje się oczywiste dla was?

Chciałam wybaczyć Jackowi. Może nawet już to zrobiłam.

- Czytałam twoją książkę.

Wydawał się zarówno zadowolony, jak i pełen obawy.

- Co o niej sądzisz?

- Sądzę, że... Dla mnie była lepsza.

- To znaczy?

- Wiesz, przez pierwszą książkę się wściekałam i smuciłam.

A tym razem po prostu zasmuciłam się na myśl o nas, Jack. Na myśl o tym, że mieliśmy coś ważnego, a to się tak spieprzyło.

Wyglądał na zrezygnowanego.

- Ja to spieprzyłem.

- Tak, ale ja nie powinnam była w ogóle się na to decydować.

Tak naprawdę nie kupiłam tego, co oni sprzedawali. Szukałam miłości, a nie przyjaźni.

- Znalazłaś ją? - spytał łamiącym się głosem. Blondynka, którą wcześniej widziałam, wystawiła głowę

zza drzwi. Wyglądała na wkurzoną.

- Co ty tu robisz, Jack? Czeka na ciebie masa ludzi.

- Wracam za chwilę.

- Jack...

- Powiedziałem, żebyś dała mi chwilę.

Spojrzała na mnie, lekko się marszcząc. Potem coś jej przyszło do głowy i zamknęła drzwi bez słowa. Ledwie byłam w stanie mówić.

- Czy to Kate?

- Kate z mojej książki?

- Kate z twojej książki. - Tak.

- Jak naprawdę ma na imię?

- Jessica.

- Ładna.

Zrobił krok w moją stronę.

- Nie jest tak, jak myślisz. -Nie?

- Nie. Jesteśmy przyjaciółmi. Pracuje dla wydawnictwa. Tak się poznaliśmy.

- Myślałam, że poznaliście się na rajdzie przygodowym. Tak jak w książce.

- Nie wszystko, co mówią książki, jest prawdą, Anne. Nawet moje książki.

- Czyli nie jesteście znowu razem?

-Nie, Anne. Daj spokój, dobrze wiesz. Poza tobą przecież nie istnieje dla mnie na świecie żadna inna kobieta .

Serce mi na chwilę zamarło. Czy on właśnie zacytował jedną z książek o Ani z Zielonego Wzgórza?

-Nie istnieje?

-Nie.

Wzięłam pierwszy pełny oddech od momentu, gdy zobaczyłam, jak Jessica rozmawia z Jackiem w księgarni.

- Przypominam sobie chłopca, który ciągnął mnie za warkoczyki, kiedy byłam mała - powiedziałam, zaskakując samą siebie.

Zrobił krok w moją stronę.

- Naprawdę?

- Miał kręcone brązowe włosy, ale nie pamiętam jego imienia.

- Myślisz, że to byłem ja?

Wciąż dzielił nas jeden krok. Chciałam go wykonać. Chciałam, ale nie byłam pewna, czy jestem w stanie.

- Nie wiem. Zastanawiałam się nad tym, odkąd przeczytałam...

* L.M. Montgomery, *Ania na uniwersytecie*, tłum. J. Zawisza-Krasucka, wyd. 8, Warszawa 1990, s. 236 (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

- Może to byłem ja. Może to znak.

- Może. Ale już ci mówiłam, że nie wierzę w znaki.

Wyciągnął dłoń i odgarnął mi włosy.

- Nie wierzysz?

- Masz zamiar znowu ciągnąć mnie za warkoczyki?

- Może. - Pogładził mnie kciukiem po twarzy. Znów poczułam to, co zawsze nas łączyło. - Ale tylko, jeśli obiecasz, że nie będziesz próbowała rozbić mi na głowie tabliczki.

- A ty nawet nie próbuj nazywać mnie Marchewką.

Roześmiał się.

- Nie ośmieliłbym się. - Jego wzrok stał się poważny. - Wiesz, czego chcesz, Anne?

- Mówisz jak doktor Szwick. Wykrzywił usta.

- Cóż... może nie zawsze gadał kompletne bzdury.

- Powiedział mi, że jeśli odpowiem sobie na pytanie, jak chcę żyć, będę wiedziała, jaką mam podjąć decyzję co do ciebie.

- Jak chcesz żyć? - spytał. W jego głosie słychać było drżenie.

- Myślę... że u twojego boku.

Jack szybko pokonał dzielący nas dystans. Gdy nasze usta się zetknęły, wydawało mi się, że cały świat zniknął i że jesteśmy jedynymi ludźmi na ulicy, w mieście, na świecie, we wszechświecie.

Gdy moje płuca zaczęły się domagać powietrza, Jack się odsunął. Drżały mu ręce. Wyglądał na szczęśliwego. Szczęśliwszego niż kiedykolwiek, odkąd go znałam. Nie wiedziałam, co wyraża moja twarz, ale podejrzewałam, że to samo.

Zbliżył swoje czoło do mojego.

- Po poprzednim pocałunku uciekłaś ode mnie zalana łzami.

- Winisz mnie za to?
 - Nie mogę cię za nic winić. - Znów mnie pocałował, tym razem delikatnie, zsuwając ręce na moją talię.
 - A Blythe & Company?
 - Nie, ich też nie mogę winić. Chociaż słyszałem, że zwolnili pannę Cooper.
- Uśmiechnęłam się.
- Zażądałam zwrotu pieniędzy, ale oni nie uwzględniają reklamacji.
 - Chyba nie byłem najlepszą inwestycją. -Nie.
 - Przykro mi, Anne.
 - Wiem. Ale mam nadzieję, że mogę liczyć na jakiś procent zysków z twojej książki, kiedy już będzie bestsellerem.
- Jack się zmarszczył.
- Tak, dostałem wezwanie od Sarah.
 - Co? Sarah wysłała wezwanie? Mówiłam, żeby nie... Cholera, czemu zawsze się nabieram? Jack się roześmiał w głos.
 - Nigdy się nie zmieniaj, Anne. -I tak już jest za późno.
- Uśmiechnęliśmy się do siebie. Nasze oddechy tworzyły białe chmury w powietrzu.
- Czy wcześniej widziałem cię z Margaret? -Tak.
 - Skąd ona się tu wzięła?
 - Spotkałam ją przypadkiem na ulicy. To ona mnie tu przyciągnęła.
 - W takim razie należą jej się podziękowania.
 - Mówiłam ci, że nie jest taka zła.
 - Wychodzi na to, że miałaś rację. Zawsze masz rację.
 - Czasem tak, czasem nie.
 - Wyglądasz na zmarzniętą.

- Jest dobrze.
- Kocham cię, Anne.
- Ja też cię kocham, Jack.
- Wiem.
- Co ty nie powiesz, Hanie Solo?
- A czego tu nie kochać?
- Ale serio.

Przybrał poważną minę.

- Serio. To najlepsze słowa, jakie usłyszałem od dłuższego czasu. Może nawet od zawsze. Jeszcze tylko jedna sprawa...

-Tak?

- Jakiś czas temu zadałem ci pewne pytanie, Anne. Czy dzisiaj odpowiedź byłaby inna, gdybym to pytanie powtórzył?

O Boże, on naprawdę cytował słowa Gilberta z *Ani z Zielonego Wzgórza*. A mówiąc ściśle, jego drugie oświadczenie z *Ani na uniwersytecie*.

- Nadrabiałeś zaległości w lekturze, co? Uniósł kąciki ust w uśmiechu.

- Wiesz, te książki są całkiem niezłe.

- Co za zniewaga.

- No więc?

- Może tym razem trochę zwolnimy tempo? Spróbujmy przez jakiś czas chodzić na randki...

- Brzmi to całkiem niezłe.

- To jaki jest następny krok?

- Może wejdiesz do środka? Chcesz poznać moich przyjaciół?

- Z przyjemnością.

PODZIĘKOWANIA

Jedną z rzeczy, które są wspaniałe przy wydawaniu drugiej książki, jest możliwość podziękowania ludziom, którzy sprawili, że pierwsza książka okazała się sukcesem. Chciałabym zatem podziękować:

Przyjaciołom za kupienie całego mnóstwa egzemplarzy i polecanie wszystkim znajomym mojej książki. Amy, Annie, Candice, Chadzie, Christie, Danie, Ericu, Janet, Katie, Kevinie, Lindsay, Marty, Olivierze, Patricku, Philu, Presseau, Saro, Stephanie, Tanyo i Thierry - dzięki Wam moje życie jest lepsze.

Rodzinie - mamie, tacie, Cam, Scottowi, Owenowi, Mikeowi, dziadkowi Royowi i babci Dorothy. Oraz Tashy i Phyllis za przyjaźń przez całe życie.

Wszystkim tym, którzy przeczytali wczesne szkice, zwłaszcza Amy, która czytała książkę, wręcz zaglądając mi przez ramię, gdy ją pisałam, i bez której nigdy bym jej nie skończyła.

April Eberhardt za wkład w wydanie książki i za to, że doprowadziła mnie do HarperCollins Canada.

Moim redaktorom z HarperCollins Canada Aleksowi Schultzowi i Jennifer Lambert - za to, że ulepszyli to, co napisałam. Lindsey Love, odpowiedzialnej za promocję, za to, że poinformowała świat o książce. Odpowiedzialnej za publikację Iris Tupholme, że zdecydowała się zaufać właśnie mnie. Guru marketingu internetowego Deannie McFadden za to, że nauczyła mnie promować się na Twitterze. Wszystkim zaangażowanym w sprzedaż i produkcję.

Grupie z IMK za wielkie zrozumienie.

Diane Saarinen za smykałkę do marketingu internetowego.

Wszystkim pisarzom, których w tym czasie poznałam i którzy działali na mnie motywująco, a wśród nich Cathy Marie Buchanan, Tish Cohen, Nadii Lakhdari King oraz Seanowi Cummingsowi. A przede wszystkim Shawnowi Klomparensowi za przyjaźń i za to, że za jego sprawą ta książka stała się lepsza.

Lucy Maud Montgomery za stworzenie Ani i napisanie wspaniałych książek. Bez Pani moje dzieciństwo nie byłoby takie samo.

Wszystkim czytelnikom mojej pierwszej powieści *Spin* -za to, że przyczynili się do sukcesu.

I Davidowi, z powodu którego tak naprawdę napisałam tę książkę.